

Józef Piłsudski

Rok 1920

Michail Tuchaczewski
Pochód za Wisłę

Tekst przygotowano według: Józef Piłsudski, Pisma zbiorowe, tom VII, Warszawa 1937

Projekt okładki i Stron tytułowych JAN OPALINSKI

Posłowiem opatrzył

prof. dr Arnulfi GARUCKI

Wydawnictwo łódzkie, Łódź 1989

Józef Piłsudski

Rok 1920

Przedmowa

Rok 1920 pozostanie w dziejach co najmniej dwóch państw i narodów rokiem na długo pamiętnym. Na ogromnej arenie, pomiędzy brzegami Dniepru, Berezyny i Dźwiny, a z drugiej strony Wisły, rozstrzygały się w walce wojennej losy nasze polskie i sąsiedniej z nami Sowieckiej Rosji. Rozstrzygnięcie walki rozstrzygnęło zarazem na czas pewien i losy milionów istot ludzkich, które reprezentowane były wtedy przez walczące na tej ogromnej przestrzeni wojsko i jego wodzów. Nie chcę wchodzić w dociekania, czy boje toczone w tym roku swym znaczeniem nie obejmowały znacznie szerszych kręgów, niż zakreślone one były granicami obu państw, będących w sporze wojennym, niechybny jednak jest, że napięcie nerwów w całym świecie cywilizowanym było niezwykle duże i ku nam, ówczesnym żołnierzom, skierowane było mnóstwo oczu, napełnionych to trwogą, to nadzieją, to łzą goryczy, to uśmiechem szczęścia. Nic więc dziwnego, że ciekawość dotąd pyta o wyjaśnienie zagadek i wątpliwości, które dręczyły ongiś ludzi. Zrozumiałą również jest ciekawość nasza, głównych aktorów ówczesnych dziejowych zdarzeń, w stosunku do działań, myśli i nawet wszelkich szczegółów pracy tych, z którymi ongiś skrzyżowaliśmy szpady. P. Tuchaczewski (nie mogę znaleźć innej formuły, gdyż nie wiem, czybym określeniem rangowym nie uraził w czymkolwiek swego byłego przeciwnika) wydał świeżo książeczkę pt. Pochód za Wisłę, ja zaś zostałem zaproszony przez polskich wydawców tej książeczki o danie dla polskiej publiczności swojej tego dziełka oceny i przeciwstawienia myślom i ujęciom każdorazowej sytuacji wodza jednej z partii walczących myśli i takiegoż ujęcia wodza z naszej strony. Sądzę, że wydawcy mieli w tej sprawie myśl szczęśliwą, gdyż taka jednoczesna obserwacja obu stron walczących daje największe zbliżenie do realnej prawdy i stanowić może bardzo dobrą podstawę dla każdego z poważnych badaczy historii. Niechybnie p. Tuchaczewski ma przede mną przewagę pierwszeństwa, że tak powiem - przewagę inicjatywy: zaczął pierwszy. A z tego powodu zgodnie z celami wydawnictwa jestem z góry związany zarówno układem pracy p. Tuchaczewskiego, jak metodą i jej konstrukcją; w pracy zaś literackiej równie dobrze, jak i w pracy wojennej, jest to niemało ważną przewagą. Wobec tego jednak, że i w naszym spotkaniu wojennym losy pod względem inicjatywy sprzyjały nie mnie, lecz partii przeciwnej, zgodziłem się chętnie na propozycję wydawców, gdyż sama metoda ujęcia pracy przez p. Tuchaczewskiego niezwykle sprzyja zadowoleniu szeroko odczuwanych u nas potrzeb wyświetlenia wielu Zjawisk, przeżytych przez nas tak głęboko w przełomowym dla naszej ojczyzny roku 1920.

Mianowicie - p. Tuchaczewski, wydając pod powyższym tytułem swe prelekcje na dopełniającym kursie akademii wojennej w Moskwie, poszedł w ograniczeniu ich treści tak daleko, że zamknął je, jak mówił

we wstępie, "w obszczem strategiczeskom obzorze operacji", a "razsmo-trienja strategiczeskich dietalej i takticzeskich sojedinienij" zdecydował uniknąć zupełnie. Z tego powodu dziełko p. Tuchaczewskiego staje się dostępne szerokiemu kołu czytającej publiczności. Strategia bowiem, tak ogólnie pojęta, bez związania jej ściślej zarówno ze szczegółami tej dziedziny, jak z taktycznymi działaniami wojska, oswobadza piszącego czy mówiącego od ciężko strawnej dla ogółu analizy wojennych sytuacji, nie wymaga trudnych do odcyfrowania dla przeciętnego czytelnika szkiców i map, a zarazem przenosi czytelnika i słuchacza do tej dziedziny, gdzie zaczyna panować niekiedy wszechwładnie nieuchwytny nieraz dla ścisłej analizy czar sztuki wojennej. Dziedzina zaś każdej sztuki jest tą, gdzie przeciętnie wykształcony człowiek obraca się względnie swobodnie, a przynajmniej swobodnie się czuje; gdy jest wystawa obrazów, wszyscy memalujący rozpowiadają wcale swobodnie o artystach i ich metodach, gdy zaś jest wystawa wojny, ma szerzej omawianego tematu, jak strategiczne błędy i zalety głównych aktorów wojny, których właśnie udziałem jest dziedzina strategicznej sztuki wojennej. Gdy więc nasz Stańczyk mówi, że najwięcej na świecie jest lekarzy, dających porady chorym, to śmiem zaprzeczyć znakomitemu rodakowi, stwierdzając, że podczas wojen najwięcej jest mądrych strategików, operujących swobodnie w dziedzinie strategicznych operacji. Gdy zaś echa wojny ubiegłej drżą jeszcze w powietrzu, gdy nieraz starzy i młodzi uczestnicy tak niedawnych jeszcze klęsk i zwycięstw gwarzą wśród chętnych słuchaczy o swych przejściach, wdzięczny jestem p. Tuchaczewskiemu, że swą metodą pracy zachęcił mnie do skrzyżowania jeszcze raz z nim szpady, tym razem niewinnie na papierze, w nadziei, że w ten sposób przyczynimy się do gruntowniejszych i bardziej uzasadnionych rozpraw wśród strategicznych amatorów w obu naszych ojczyznach.

Gdy mówię o skrzyżowaniu szpad i stwierdzam przewagę p. Tuchaczewskiego, bo ma ich wybór, spieszę od razu zaznaczyć, że mam swoje przewagi, z których nie omieszkam skorzystać. Pierwszą z nich jest fakt, że dzieje postawiły mnie wyżej od p. Tuchaczewskiego. Dowodził on większą co prawda, lecz jednak tylko częścią wojsk sowieckich, walczących ongiś z nami, gdy ja byłem naczelnym wodzem wojsk polskich. Gdy więc on, jako podwładny, nieraz z konieczności był krępowany w swoich zamierzeniach rozkazem przełożonych i wyznaczeniem mu środków dla prowadzonej przez niego walki, ja tego skrępowania nie miałem. Z tego też powodu w dziedzinie najogólniejszych strategicznych działań z musu musiałem sięgać szerzej i obracać się w rejonach wojennej sztuki i w myślach z nią związanych w wyższym kręgu, niż to było udziałem p. Tuchaczewskiego. Pocieszam się tym, że ta naturalna przewaga jest przez p. Tuchaczewskiego zupełnie negowana, gdyż czyni on mnie w swoich rozumowaniach także podwładnym: to generalnemu sztabowi Ententy, to znowu kapitalistom całego świata.

Pozostaje do omówienia inna przewaga z mojej strony, z powodu której przez dłuższy czas się wahałem, czy mam się podjąć w ogóle pracy, o którą mnie proszono. Jeżeli p. Tuchaczewski przez celowe, jak zaznaczyłem, ograniczenie siebie do najogólniejszych strategicznych rysów operacji przez siebie dowodzonych stał się dostępnym dla względnie szerokiego koła czytającej publiczności, to równocześnie z tym wyrządził sobie krzywdę, gdy mówiąc i wydając książkę o historycznej swej pracy dowodzenia wielką ilością wojsk, obniżył ją do rozmiarów jednej tylko funkcji wodza, sprawiając tym często wrażenie wiatraka obracającego się w pustej przestrzeni. Nie chcę tym obrażać lub w czymkolwiek ujmować p. Tuchaczewskiemu, lecz nadmierna, zdaniem moim, abstrakcyjność wykładów oddziela p. Tuchaczewskiego od wojska, którym dowodził, tak daleką i tak niczym nie zapełnioną przestrzenią, że jedynie z wielkim nakładem pracy nad sobą mógłbym iść w jego ślady i przystosować swoją pracę do jego metody i do jego ujęcia wykładów.

Przerzucałem więc po kilka razy kartki książeczki, nie zdecydowany ciągle, czy mam podjętą pracę wykonać, czy też zrzec się jej całkowicie. O pracach bowiem historycznych, rzeczach, które się działy na wojnie realnie, nie mogłem się odważyć pisać w ten sposób, jak to uczynił p. Tuchaczewski.

Rozumiem jeszcze, gdy idzie o wykład czy to strategii ogólnej, czy to tej lub innej jej części, a jako przykład, ilustrujący myśl wykładowcy, bierze się ogólnikowo takie lub inne fakty historyczne; metoda p. Tuchaczewskiego byłaby usprawiedliwiona. Lecz ani sama treść wydanej książeczki, ani sposób ujęcia

tematu nie dawały mi możliwości zaliczyć pracy p. Tuchaczewskiego do takiej właśnie kategorii. Treścią właściwą jest historia myśli przewodniej dowódcy wojsk sowieckich, stojących przeciw nam na froncie na północ od Prypeci w niezaprzeczenie pięknej operacji w r. 1920. I zaledwie jedna drobna część wykładów p. Tuchaczewskiego, mianowicie jego rozważania działań za pomocą mas taranowych, dałaby się zaliczyć do prac o charakterze teoretycznym, do czego potrzebną by była ilustracja historyczna. Z chwilą zaś, gdy w całej książeczce wymieniona część jest tylko krótkotrwałym epizodem, a reszta jest historią w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie mogłem wymusić na sobie wyrzeczenia się praw istotnego dowodzenia i praw historii, ciężącej zawsze nad wodzami wojny, gdybym się zdecydował iść w ślady p. Tuchaczewskiego.

Niewątpliwie dla historii każdej z wojen nieodzownym źródłem jest historia pracy duszy każdego z wodzów, dowodzących wojną. Wpływ bowiem, jaki ma ta praca na losy wojny, jest tak wielki, że historia wojny staje się bez tego niezrozumiałą, często dziwaczną mieszaniną faktów i facykłów nie ujętych w żaden system, tak że zjawisko zwycięstwa czy klęski nie daje się przyczynowo ująć i wisi w jakiejś abstrakcyjnej pustce, nie wiadomo dlaczego upiększając jednym głowę laurem, a oblewając żarem wstydu twarze innych.

Dlatego też książeczka p. Tuchaczewskiego jest niechybnie źródłem historycznym; spowiada się w niej p. Tuchaczewski ze swych myśli wodza i daje wyraz tej pracy dowodzenia.

Lecz wtedy ta niezwykła abstrakcyjność pracy daje nam obraz człowieka, który - jak mówiłem - miał tylko własny mózg czy własne serce, wyrzekając się lub nie umiając dowodzić codziennie wojskiem w jego pracy, która to praca nie tylko nie zawsze odpowiada myślom i zamierzeniom wodza, lecz nieraz mu zaprzecza lub zmuszona jest zaprzeczyć przez działanie i pracę wojsk nieprzyjacielskich.

Nie chcę przez to powiedzieć, że p. Tuchaczewski istotnie tak dowodził, nie chcę w całej pełni korzystać z przewagi, mnie w ten sposób danej, lecz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo wiele zjawisk w operacjach 1920 r. zawdzięczać należy nie czemu innemu, jak wielkiej skłonności p. Tuchaczewskiego do dowodzenia wojskiem w ten właśnie abstrakcyjny sposób.

Wobec zaś tego, że w swoim typie dowodzenia nie znajdowałem nigdy tej skłonności i o swojej pracy dowodzenia nie mógłbym, gdy idzie o historię, tak pisać i myśleć, gdy wreszcie zdecydowałem się podjąć proponowanej mi pracy, nie wyrzekam się tej naturalnej przewagi w naszej odnowionej walce na papierze, którą da analiza wiążąca moje myśli i moją pracę mózgową z pracą wojsk, z pracą dowódców, którzy mnie byli wówczas podwładni.

Jeżeli zatrzymałem czytelnika tak długo na wstępie, nie przechodząc do treści, to uczyniłem to dlatego, abym mógł być wolnym od wielu uwag, które musiałbym stawiać, idąc w rozważaniu operacji 1920 r. krok w krok za takimże rozważaniem p. Tuchaczewskiego.

Z chwilą zaś, gdy jestem przy usuwaniu przeszkód w pracy, usunąć chcę i parę innych. Po pierwsze, nie chcę iść także w ślady p. Tuchaczewskiego pod względem stylu, który nadał swojej pracy; niechybnie p. Tuchaczewski wydawał książeczkę nie dla nas, Polaków i żołnierzy polskich, lecz stylem swoim o charakterze, że się tak wyrażę, mocno publicystycznym nie upiększył wcale swojej pracy. W stylu jego jest jak gdyby chęć agitowania swoich słuchaczy czy czytelników z próbą ustawiczną ubliżania swoim przeciwnikom na wojnie. I pomimo że osobiście nie mam pretensji do p. Tuchaczewskiego za kolorystyczne określenia mas walczących z nim w 1920 r., z wyraźną chęcią podania nas wzgardzie publicznej, unikać będę w swej odpowiedzi nawet zwyczajnego u nas określenia "bolszewik", gdyż niewątpliwie określenie to nabrało u nas także cech pogardy i chęci ubliżenia. Nie wyklucza to wcale, że zająć będę musiał swe stanowisko do poglądów p. Tuchaczewskiego o charakterze polityczno-socjalnym; rozrzucone są one niekiedy epizodycznie w różnych częściach wykładów, a skoncentrowane w jednym specjalnym rozdziale, zatytułowanym Rewolucja z zewnątrz. Wydaje mi się to koniecznym, gdyż niewątpliwie czynniki polityczno-socjalne odgrywały bardzo poważną rolę w samej wojnie, a zatem i w rozważaniach jej wodzów.

Dodam we wstępie wreszcie, że nie mogąc w wykładach p. Tuchaczewskiego znaleźć, jak to powiedziałem wyżej, odpowiednika całości pracy jego dowodzenia, starałem się o inne źródła, które by

mi brak ten wyrównały i lukę zapełniły. Znalazłem je w niedostatecznej, wyznaję, mierze w szeregu prac historycznych, wydanych przez naszych byłych przeciwników na wojnie. Z prawdziwą przyjemnością konstatuje, że zarówno pod względem metody, jak i ujęcia, wytrzymać one mogą porównanie z wybitnymi pracami tego rodzaju na świecie. Istotną zaś perłą pod tym względem w tej literaturze jest książka p. Sergiejewa pod tytułem *Od Dźwiny do Wisły*, która daje historię działań 4 Armii sowieckiej oraz pracę jej dowódcy, autora książki. Korzystałem z niej obficie przy wszystkich próbach mojej analizy historycznej w poszczególnych sytuacjach kampanii 1920 r., a niestety daje ona możliwość ilustrowania tej prawdy o dowodzeniu p. Tuchaczewskiego, którą wypowiedziałem wyżej.

Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją, niestety, tak nisko, że ani dobrym źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często, robią wrażenie prac żaka szkolnego, który wiedząc, że zawinił, błagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela - historię.

Rozdział pierwszy

Analizę pracy p. Tuchaczewskiego rozpocząć muszę nie według jego układu, lecz od specjalnej pracy wojennej, której nie wyodrębnił w osobny rozdział, a dał ją w różnych uwagach w tekście czy też w osobnych tablicach. Mówię tu o rachunku, który podczas wojny czynić muszą wszyscy wodzowie i wszystkie sztaby - o rachunku sił liczebnych swoich i nieprzyjaciela. Praca ta nie jest tak prostą, jak to się nieraz ludziom wydaje. W każdym sztabie istnieją specjalnie do tego wyznaczeni oficerowie, którzy niczym innym się nie zajmują, jak tylko ciągłym zestawianiem rachunku sił, będących w stanie rozporządzalności dla pracy wojennej. Na dowód zaś, jak zawiłymi są te rachunki, przytoczę fakt, że historycy wojny, przystępujący do swej pracy z całą obfitością materiałów, jaką nie rozporządzał na pewno nikt podczas wojny, bardzo często różnią się pomiędzy sobą w obliczeniach przy badaniu jednej i tej samej bitwy czy operacji.

P. Tuchaczewski, robiąc rachunek sił naszych i prawdopodobnie wie--tlząc, że z łatwością można mu zarzucić nieścisłość, usprawiedliwia się od razu, twierdząc, że system naszego rachunku był zawiły, gdyż brał za podstawę liczbę bagnatów i szabel. Dziwnym zbiegiem okoliczności w literaturze historycznej, dotyczącej się działań wojsk, którymi dowodził p. Tuchaczewski, spotkałem obliczenia prowadzone akurat w ten sam sposób, na bagnety i szable. Pan Sergiejew, o którym wspomniałem, tak właśnie liczy swe siły. Jedną z sowieckich- dywizji (2), opisując wzięcie przez siebie podczas tej kampanii Brześcia, daje obrachunek swych sił tą samą metodą. I jeśli w rachunku armii sowieckiej zwykłym był dodatek obliczenia nie tylko na bagnety i szable, lecz i na "bojów", to u nas próbowano inaczej rachować to, co stanowi istotę nowoczesnych bojów - siłą ognia. W każdym jednak razie dziwnym wydał mi się fakt, że p. Tuchaczewski nie chciał rozumieć naszego rachunku na bagnety i szable, gdy dowodzone przezeń wojsko nie różniło się w tej sprawie od nas. Gdy zaś dokładniej starałem się zanalizować tablice, podane przez p. Tuchaczewskiego, mimo woli nasunęło mi się przypuszczenie, że kłopoty, jakie wynajdował p. Tuchaczewski dla rachunku sił naszych, były co najmniej przesadzone, prawdopodobnie rozmyślnie, by w ostatecznej sumie, co mimowolnie rzuca się w oczy, dojść do cyfr wyrównujących siły liczebne swoje z naszymi albo też nawet dających przewagę liczebną nam, a nie sobie. Wyznaję, że ten publicystyczny sposób rachowania zniechęcił mnie prawie zupełnie do poważnego zastanawiania się nad każdą z cyfr, przytoczonych przez p. Tuchaczewskiego.

Dla przykładu jednak chcę przytoczyć kilka wybranych na chybił trafił cyfr z rachunku p.

Tuchaczewskiego, aby dowieść, jak on, że tak powiem, igra składowymi częściami swoich obliczeń. W pierwszej tablicy, w rachunku sił jego pomieszczona jest 15 Dywizja Kawalerii, w tablicy drugiej ta dywizja znika, by znowu w tablicy trzeciej wypłynąć. W tablicy pierwszej, stanowiącej jak gdyby aneks do operacji prowadzonej w połowie maja 1920 r., po naszej stronie zaliczona jest 2 Białorusko-Litewska Dywizja z 4800 bagnatów, gdy nie brała ona wcale udziału w tej operacji. Najzabawniejszym jednak jest obliczenie i wyrównanie rachunku wyraźnie celowo na tablicy trzeciej, dającej rachunek sił przed rozpoczęciem 4 lipca głównej operacji sowieckiej, zakończonej pod Warszawą. Na samym dole tablicy

dodana jest rubryka pod tytułem: "zapasowe bataliony i szwadrony pułków czynnych". Dla nas liczone one są cyfrą 27000 bagnatów i 1200 szabel, "gotowych do wiania do szeregów". Natomiast po stronie rosyjskiej znajdziemy w tej rubryce dla bagnatów i szabel tylko trzy gwiazdki, nie oznaczające żadnej cyfry, lecz dające wyjaśnienie, że bataliony i szwadrony są już liczone w składzie dywizji. Wyrównuje to znakomicie rachunek sił naszych i sowieckich, dając nawet od razu przewagę prawie 30 000 bagnatów dla naszej strony.

Komiczne też wrażenie czynią drobne błędy przy zestawieniu tablic pomiędzy sobą; tak więc: w pierwszej tablicy, nie wiadomo dlaczego, jedne z naszych dywizji pieszych są obdarzone konnicą w stale powtarzającej się liczbie 400 szabel, gdy inne tego dobrodziejstwa nie posiadają. W drugiej zaś tablicy, która przedstawia stan naszych wojsk po 15 dniach, spędzonych przeważnie w bojach, 'liczba konnicy nagle wzrasta i zamiast 400 figuruje liczba 500 szabel, tak, jak gdyby podczas bojów liczba bagnatów i szabel nie zmniejszała się, lecz odwrotnie - zwiększała. Gdy poprzednio wspomniałem o zniknięciu z drugiej tablicy całej dywizji kawalerii, to ten sam sposób dla tych samych tablic został użyty najzupełniej spokojnie dla wyrównania rachunku i w stosunku do najpoważniejszej cyfry, mianowicie - 29 Dywizji Piechoty, która ze swymi prawie 10000 bagnatów i 600 szabłami zniknęła bezpowrotnie dla wszystkich innych rachunków.

Ten dziwny i upstrzony rażącymi błędami rachunek sił naszych i sowieckich mógłby być bardzo smutnym świadectwem pracy sztabów sowieckich, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego, gdyby nie wyraźna tendencja w rachunkach, tendencja o charakterze publicystyczno-agitacyjnym, nie podnosząca wcale wartości dzieła p. Tuchaczewskiego. Tendencja ta wyraża się w tym, aby w końcowym rachunku, w sumie wyprowadzonej u dołu kolumny, zwiększyć tendencyjnie siły nasze i, odwrotnie, zmniejszyć siły swoje. P. Tuchaczewski nie krępuje się w tej pracy faktem, że w tekście przy opisie działań swoich, jako wodza, raz po raz przeczy cyfrom w tablicach. Na stronicy 169 przy opisie prac przygotowawczych do głównej operacji, p. Tuchaczewski stwierdza, że "dzięki intensywnej energii działaczy pracujących nad armią czerwoną... uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizji". Dzięki temu został wykonany plan zdwojenia stanu bojowego, lecz w rachunku w tablicach tego zdwojenia nie spostrzeżemy. Jeszcze raz na stronicy 180 p. Tuchaczewski stwierdza, że więcej niż 30 000 całkiem pewnych ludzi zostało zmobilizowanych i wtłoczonych w szeregi dowodzonych przezeń armii podczas marszu od Berezyny i Dźwiny ku Warszawie. Znowu też w rachunkach i obliczeniach stanów armii nie dostrzeżemy wcale śladów nowego uzupełnienia. Naturalnym więc jest pytanie, gdzie właściwie kryje się przesada p. Tuchaczewskiego - czy w agitacyjnym cyfrowym rachunku, umieszczonym w tablicach, czy też w publicystycznej pochwie Pan Tuchaczewski dodaje, że "jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego" dla energii "krasnoarmiejskich" robotników i dla systemu klasowego kompletowania wojska?

Wobec tego wszystkiego niepodobna brać cyfr p. Tuchaczewskiego oraz zestawionych przezeń tablic za materiał historyczny i dlatego zdecydowałem się we wszystkich swoich wywodach i analizach przejść nad nimi do porządku dziennego. Nie chcę jednak pominąć milczeniem ogólnikowych rachunków, które podczas kampanii 1920 r. zestawiałem dla siebie.

Siły własne obliczać się dają na podstawie periodycznych raportów o stanie liczebnym, składanych przez dowódców poszczególnych jednostek. Ostrzegałbym jednak każdego, kto by chciał oprzeć się jedynie na tych danych. Przede wszystkim, jako człowiek zamiłowany w studiach historycznych, stwierdzić muszę, że każdy raport, bez względu na to, o czym by traktował, może historyk brać jako źródło pewne jedynie po krytycznej analizie, każdy raport bowiem jest pisany dla przełożonego i zawsze ma na celu nie tylko sprawozdanie, lecz i chęć skłonienia przełożonego do tych czy innych myśli w stosunku do piszącego raport. Jeżeli tak jest w armiach o długiej tradycji i długotrwałym szkoleniu, to coś dopiero w armii naszej, zupełnie świeżo zbudowanej i zestawionej pod względem dowódców z ludzi prawie przypadkowo zebranych z najrozmaitszych armii i szkół. Dla tych właśnie powodów nigdy nie odnosiłem się zbyt serio do ścisłości raportów naszych o stanach liczebnych. Wprowadzałem zaś do nich zawsze jedną

sumaryczną poprawkę, mianowicie - w wojsku naszym rozwielił się bardzo system odkomenderowywania mnóstwa ludzi z szeregów czynnych bojowo na bliższe lub dalsze tyły dla wygody wojsk i dowódców i dla różnych gospodarczych czynności. W raportach zaś nigdy albo prawie nigdy nie uwzględniano tych odkomenderowanych i liczono ich dla przełożonych jako stale będących w pułkach. Względność pod tym względem w naszej armii była niezmiernie daleko posunięta i prawie nie znam wypadku, aby którykolwiek z dowódców chciał stosować w tych sprawach surowsze środki dyscyplinarne. Zawsze więc przy otrzymywaniu raportów periodycznych o stanie liczebnym armii w ogólnym rachunku, zestawionym dla mnie, wprowadzałem summaryczną poprawkę, polegającą na tym, że co najmniej trzecia część ludzi liczonych jako bagnety i szable nie powinna być przeze mnie rachowana jako siła rozporządzalna dla boju. Dla niektórych dywizji tę poprawkę czyniłem znacznie wyższą, przyjmując połowę cyfry podanej w raporcie.

Nie chcę twierdzić, że armia sowiecka nie знаła, podobnie jak my, systemu gospodarczych odkomenderowań bagnetów i szabel. Jestem nawet przekonany, że tak było. Muszę jednak zwrócić uwagę, że dyscyplina nieraz bywała u przeciwnika bezwzględna, a środki przedsiębrane ku jej utrzymaniu tak nadzwyczajne, że wątpię, aby wódz naszego przeciwnika ówczesnego miał potrzebę czynić takie smutne rachunki jak ja. Z prawdziwą też zazdrością spotkałem, np. w opisie działań 27 Dywizji pod Warszawą, że jej dowódca 10 sierpnia na Liwcu zwiększył stan bojowy swej dywizji przez wciągnięcie do jej składu komend tyłowych i części żołnierzy z taboru. Mogę zapewnić czytelników, że nie znam w naszej armii podobnego wypadku.

Chciałbym również usunąć z myśli czytelników rozmyślny, jak pisałem, błąd w rachunku p. Tuchaczewskiego w stosunku do zapasowych batalionów i szwadronów. Według organizacji, która u nas istniała, zapasowe bataliony i szwadrony nie tylko służyły dla kompletowania składu armii, lecz również miały za zadanie pieczę nad całym dobrem i majątkiem pułków, które były w polu. Dlatego też przy cofaniu się, a to było naszym udziałem aż do Wisły, wszystkie zapasowe bataliony i szwadrony nie spełniły pierwszego swego zadania - kompletowania pułków w polu, lecz zajęte były pracą ewakuacji całego swego dobra i urzędzenia. Mowa więc być może jedynie o pracy organizacyjnej na głębszych tyłach.

Przy gwałtownym zaś odwrócie naszym, który zanalizuję potem, zabroniłem formalnie dawać uzupełnienia, nim wojska nie nadejdą do Bugu, gdyż, jak wskażę później, po cofnięciu się z linii Baranowicze-Wilno, nie spodziewałem się wcale, aby gen. Szeptycki, dowodzący na tym froncie, zatrzymał gdziekolwiek atak nieprzyjacielski. Na Bug też i Narew zostało wysłanych kilkanaście batalionów uzupełnienia, które były pierwszą udzieloną w ten sposób pomocą wojskom cofającym się od Dźwiny i Berezyny.

Nie mając w obecnej chwili przed sobą wszystkich materiałów nawet dla wojsk przeze mnie dowodzonych, nie chcę iść w ślady p. Tuchaczewskiego i przeciw tablicom, danym przez niego, zestawiać swoje, które by nie dały dostatecznej gwarancji historycznej. W stosunku zaś do sił nieprzyjacielskich nie chciałbym także podawać naszego ówczesnego rachunku, z natury rzeczy jeszcze bardziej zawodnego. Za najpewniejszy w tej pracy uważany był u nas system rachowania następujący: na podstawie danych od jeńców zestawiano stan liczebny kompanii czy szwadronów i starano się stąd zrekonstruować stany liczebne batalionów, pułków i dywizji. System ten wydawał się najodpowiedniejszym, gdyż armia sowiecka odznaczała się według naszych obserwacji nadzwyczajną pstrokacizną pod względem stanu liczebnego nie tylko przy porównywaniu wyższych jednostek, jak dywizje i brygady, lecz nawet przy porównywaniu pułków wewnątrz brygad i batalionów wewnątrz pułków.

Podam jeszcze jeden summaryczny sposób, którego nieraz używałem, gdy chciałem się zorientować w tym, czym właściwie rozporządzam dla operacji bojowych. System ten polegał na wzięciu jako podstawy wszystkiego, co pod broń w kraju było postawione. Z tej ogólnej cyfry, jeszcze może najbardziej pewnej ze wszystkich, starałem się summarycznie, na podstawie znajomości pracy wojskowej, określić odsetek tych, którzy byli w stanie rozporządzalnym dla boju. Odsetek ten w różnych okresach był różny i zależał

od chwili przesyłania uzupełnień ku frontowi. Zgodnie z moimi obliczeniami odsetek ten u nas nie przewyższał nigdy 12-15 procent. Ten smutny stan naszej organizacji wojennej wynikał z nadzwyczaj pośpiesznej, a zatem niedokładnej, pracy budowy armii, którą przecież w roku 1918 zaczęliśmy nieomal od kompletnego zera. Zarazem jednak niezwykle wpływ wywierał fakt, że olbrzymia większość naszej administracji wojskowej po prostu unikała jak jakiegoś grzechu stosowania surowszych środków dyscyplinarnych zarówno wewnątrz samej administracji, jak i na zewnątrz. Taka nadzwyczajna względność w stosunku do pracy tylowej dawała w rezultacie fakt, który charakteryzowałem zawsze słowami, że olbrzymia część materiału ludzkiego przepływa stale pomiędzy palcami administracji. Śmiałem się zawsze, że nie możemy zatracić charakteru armii ochotniczej, gdyż bije się u nas ten tylko, kto chce lub wreszcie ten, kto jest głupi.

Sądząc z własnych słów p. Tuchaczewskiego i znając system dyscyplinarny u naszego przeciwnika, doprowadzony do nadzwyczajnej bezwzględności, nie przypuszczam, ażeby nasz nieprzyjaciół stał w tej ważnej sprawie tak źle, jak to było z nami. Dlatego też pozwoliłbym sobie wyżej przytoczony odsetek dla nas podwyższyć dla p. Tuchaczewskiego co najmniej o 10 procent, doprowadzając w ten sposób odsetek sił bojowych w stosunku do stanu żywnościowego armii do 25 procent. Sądzę, że liczę za mało, gdyż cyfra nasza dotyczy odsetka ludzi będących pod bronią w całym państwie, gdy dla p. Tuchaczewskiego biorę cyfrę związaną tylko z jego frontową siłą.

Na szczęście przy studiach nad naszym przeciwnikiem znalazłem cyfrę określającą stan żywnościowy ludzi i koni na miesiąc sierpień 1920 r. Cyfra ta dla wojsk dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego jest: "ludzi 794 645 i koni 150 572". Jeżeli więc zastosujemy nasz sumaryczny rachunek, znajdziemy, że siła bojowa, którą rozporządzał p. Tuchaczewski w początku sierpnia, a zatem mniej więcej również i w lipcu, wynosiła do 200 000 ludzi.

Dla nas, śmiem to twierdzić stanowczo, w ciągu całej naszej wojny cyfra ta nigdy do 200 000 nie doszła i to na całym froncie, nie tylko na tej jego części, która była przeciwstawiona p. Tuchaczewskiemu. Sądzę więc, że od czasu rozwinęcia przeciwko nam w lipcu 1920 r. całej siły sowieckiej, na froncie walczącym mieliśmy stale przewagę liczebną nieprzyjaciela. Piszę to nie dlatego, bym się chciał specjalnie tym chwalić, przeciwnie, uważam te fakty za smutny objaw, świadczący źle o nas. A uwaga ta tym bardziej okaże się słuszną, gdy dodam, że ogólna charakterystyka wojny naszej 1918-20 r. nie polegała na krwawych bojach, wystawiających na próbę bohaterstwo w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż krwawe straty, które wojska nasze poniosły w tej wojnie, były znikomo małe w porównaniu z odsetkami takich strat w wojnie tzw. światowej.

Dla zakończenia rozdziału podam swój bardzo, niestety, sumaryczny rachunek, który w swoim czasie czyniłem i co do którego nie chcę się nawet upierać. Liczyłem nieprzyjaciela, dowodzonego przez p. Tuchaczewskiego z rozpoczęciem akcji 4 lipca na 200 000 - 220 000 siły bojowej - p. Tuchaczewski podaje ją w tablicy w sumie 160 188. Siły gen. Szeptyckiego, który dowodził w tej samej roli, co p. Tuchaczewski, rachuję najwyżej na 110 000 - 120 000 siły bojowej.

Przy końcowym epizodzie nad Wisłą liczyłem siły p. Tuchaczewskiego na 130 000 - 150 000 siły bojowej, siły zaś nasze, biorąc jedynie pod uwagę te siły, które mogły być użyte w tzw. bitwie pod Warszawą, na 120 000 do 180 000. Jeżeli ostatnia cyfra dana jest przeze mnie z takim wahaniem, to dlatego, że panował u nas wtedy tak wielki chaos organizacyjny i że w owe czasy niepodobna było nawet myśleć o wprowadzeniu w bój tego, co się miało uzbrojonego czy gotowego do wymarszu.

Rozdział drugi

Jak to zwykle bywa przed rozpoczęciem operacji o większym znaczeniu, p. Tuchaczewski, a zarazem jego przełożeni, zastanawiali się nad wartością terenu operacyjnego oraz nad ugrupowaniem sił swoich i przeciwnika. Zgodnie z tym i w samej książce p. Tuchaczewski poświęca rozdziały II i III obu tym tematom. Nie będę się zatrzymywał na części opisowej terenu, która jest zupełnie zgodna z prawdą i należy do dziedziny prawie czystej geografii. Zatrzymam się nieco dłużej na niektórych częściach rozważań geograficznych p. Tuchaczewskiego, gdyż, sądząc ze wszystkiego, co o swojej pracy

dowodzenia napisał, odegrały one wybitną rolę przy decyzjach wojennych. Będzie mi tym przyjemniej, że jedno z określeń, które z pewnym jak gdyby zamiłowaniem p. Tuchaczewski powtarza, jest określeniem polskim i z tego powodu mam niejako prawo do stosowania tego określenia w ten sposób, jak go stworzono, a nie w ten dość, wyznaję, dziwny sposób, jak go stosuje p. Tuchaczewski. Mianowicie - p. Tuchaczewski stwierdza, że przedsiębiorając operacje o daleko wytyczonym celu, miał do wyboru dwa główne kierunki dla swych głównych sił. Jeden z nich nazywa kierunkiem ihumeńskim, prowadzącym wprost do Mińska, drugi - jak sam określa - "Polacy nazywają smoleńskimi wrotami". P. Tuchaczewski dla swoich operacji wybrał ten drugi kierunek. Jak już zaznaczyłem, nasze określenie oznacza całkiem inny, bardziej zbliżony do samej nazwy szmat ziemi. Istotnie, dwie główne rzeki pogranicza, istniejącego niegdyś pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a państwem carów, Dźwina i Dniepr, formują swym górnym biegiem względnie wąski korytarz, zamknięty u swego wyjścia ku wschodowi największym miastem w tamtym kraju - Smoleńskiem. Toteż wszystkie najazdy i wyprawy, czy to ze strony polskiej czy rosyjskiej, z konieczności o Smoleńsk zaważały, robiąc zeń jak gdyby wrota, do których pukano przede wszystkim, gdy chodziło o operacje w większych rozmiarach. Smoleńsk był zdobywany przez tę czy przez inną stronę w przeciągu wieków za każdym razem, gdy szło o większe wojny, toczone w owych czasach. W nowszych czasach, podczas marszu Napoleona ku Moskwie, znowu jedna z większych bitew stoczona została o panowanie nad tymi istotnymi wrotami. Toteż Smoleńsk nosi dotąd ślady bardzo wyraźne swego znaczenia, posiadając zachowane, jak rzadko gdzie indziej, mury i wały. P. Tuchaczewski jednak przenosi tę nazwę do całkiem innego rejonu, nie mającego, zdaniem moim, żadnego związku ze Smoleńskiem ani też z jedną z rzek charakteryzujących owe wrota - z Dnieprem. Co więcej, jakby dla zmniejszenia wielkiej historycznej wartości Smoleńska przenosi całe jego znaczenie do drobnej miejscinki Orzechownej. Ta niespodzianie wpływająca nazwa, wyznaję, przeraziła mnie niezmiernie. Jako naczelny wódz armii polskiej, rozważałem podczas paru lat wiele najrozmaitszych możliwości, brałem pod uwagę wiele najrozmaitszych pociągnięć, jak ze swej strony, tak i ze strony przeciwnika, lecz ani razu przez myśl mi nie przeszło, że pewien czas byłem w posiadaniu tak ważnego punktu strategicznego, którego w dodatku za moją zgodą wyzbyliśmy się przy ostatecznym układaniu granicy podczas traktatu ryskiego. Gotów jestem podejrzewać nawet, że żydowska ludność tego drobnego miasteczka rozmyślnie starała się o należenie do państwa Sowietów, gdyż właśnie z powodu jej nalegania zrobiliśmy to niebezpieczne ustępstwo.

Z przedstawienia i rozważań p. Tuchaczewskiego, gdy już cały ten rejon nazywa się smoleńskimi wrotami, pozwoliłbym sobie zaproponować, by miasteczko Orzechowną, leżące obecnie tuż na naszej granicy, nazwać już nie wrotami, ale furtką, furteczką smoleńską. Lecz żart na stronę. Orzechowną odegrała jednak, sądząc z przedstawienia w pracy p. Tuchaczewskiego, wielką rolę. Dowódca sił sowieckich uważał, że właśnie w rejonie Orzechownej musi zmienić swoją linię operacyjną, zachodząc, jak pisze, prawym ramieniem o 90°, czyli zmieniając ją pod prostym kątem. Z tego też powodu, pomimo, że został rozbity w pierwszej swojej próbie, którą nazywa "majową ofensywą", pociesza się tym, że "wrota smoleńskie pozostały w naszych rękach, aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, dycydującą ofensywę". Jeśli we wstępie mówiłem o zbytnej abstrakcyjności traktowania przedmiotu przez p. Tuchaczewskiego, to doprawdy trudno o lepszy dowód, że ta abstrakcyjność umysłu p. Tuchaczewskiego istnieje realnie, gdy z taką łatwością może wiązać swoją pracę dowodzenia z tak nieznacznymi aż do komizmu punktami na mapie. Jeżeli mu szło o istotnie zawiły i zabierający dużo czasu manewr zachodzenia tym czy innym ramieniem większej ilości wojska pod kątem prostym, to niepodobna tego wiązać z jakimiś nieznacznymi punktami, chociażby leżącymi na głównych drogach. Równie dobrze można ten trudny manewr czynić poza takimi punktami, co do których nigdy upierać się nie wolno. Geografia i geometria! Ileż zasadzek kryje się w nich dla wodzów!

Historia wojenna zna niejednego taki przykład. Przy zatrzymaniu przeze mnie naszej kontrofensywy w

końcu maja ani podejrzewałem, że p. Tuchaczewski łamał poprzednio "smoleńskie wrota" i walczył w końcu boju o utrzymaniu przynajmniej ich surogatu - "furtki w Orzechownej". Przypomina mi to niezmiernie znany i studiowany nieraz przeze mnie wielki bój styczniowy w 1905 r. pomiędzy armiami Kuropatkina i Oyamy. Rosjanie, którzy atakowali, nazywają ten bój „bitwą pod San-de-pu”; nazywają go tak dlatego, że zarówno gen. Kuropatkin, jak i dowódca 2 Armii, Gnppenberga, czynili zależnym rozwój całej operacji od powodzenia przy braniu tej Orzechownej na tamtym teatrze wojny. Wiązało się to tak ściśle z ich myślami, z ich planami postępowania, z ich trwogami i nadziejami, że ten węzeł myślowy nadał dużej operacji swoje nazwisko. I trzeba wypadku, że Japończycy, którzy przeszli do kontrataku, bitwę tę chrzczą całkiem innym mianem, nazywają ją bowiem „bitwa pod Hei-kau-tai”, od innej Orzechownej, która ich bardziej przerażała i gdzie, mając do czynienia z wyborowym wojskiem, odczuli najwięcej kłopotów, najwięcej trwogi i dali największy wysiłek. W swoich wykładach lubiłem zawsze cytować ten przykład, nazywając go komedią pomyłek i przykładem komicznego nieporozumienia. Przestrzegałem też zawsze swych słuchaczy, by w operacjach wojennych, zarówno małych, jak wielkich, unikali starannie zasadzek ukrytych w geografii i geometrii. Niech mi wybaczy szanowny mój przeciwnik wojenny z 1920 r., gdy teraz do San-de-pu dodawać będę przykład i Orzechownej. Gdy przejdę do analizy działań wojennych, sądzę, iż uda mi się przekonać, że uparte deptanie myśli koło podobnych węzłów myślowych u wodzów prowadzi prawie zawsze nieuchronnie do deptania również, ale przez wojsko, ziemi nie udeptanej ze stratą czasu i wysiłków.

Zatrzymałem tak długo uwagę czytelnika na tej części rozważań p. Tuchaczewskiego dlatego, że właściwie sam p. Tuchaczewski nie dał mi innego przy rozpatrywaniu swych zasadniczych myśli, oprócz manewru zakręcenia "gros" swych sił pod prostym kątem z chwilą opanowania, jak on twierdzi, "smoleńskimi wrotami". Widocznym jest, że myśli p. Tuchaczewskiego były silnie z tym zamiarem związane. Manewr ten uczynił dwa razy: raz przy operacji majowej, drugi raz w lipcu przy głównej operacji, zakończonej pod Warszawą. Związanym to było z chęcią wykorzystania linii kolejowej od Połocka do Mołodeczna jako najdogodniejszej linii transportowej dla wszelkich potrzeb głównej masy sił p. Tuchaczewskiego.

Myśl prosta i zrozumiała, lecz opanowanie i osłona głównej linii operacyjnej nie wymaga wcale materialnego, że tak powiem, wydeptania jej przez "gros" zebranych sił i związania ich z geograficznymi punktami, leżącymi przy niej. Takie myślowe związanie się z nazwami geograficznymi i figurami geometrycznymi daje zawsze, powtarzam, w rezultacie zasadzkę, polegającą nie na czym innym, jak na usunięciu z rozważań na dalszy plan głównej przeszkody, jaką na wojnie są siły nieprzyjaciela i ich praca. Te zaś niekoniecznie wiążą swe działania właśnie z tymi samymi punktami geograficznymi i figurami geometrycznymi i najczęściej mają swoje Orzechowne, nie pokrywające się z Orzechownymi przeciwnika. Będę miał sposobność przypomnieć te wywody przy analizie działań p. Tuchaczewskiego. Gdy chodzi o rozważanie p. Tuchaczewskiego rozkładu strategicznego sił swoich i przeciwnika, to jest ono bardzo krótkie, gdy mówi on o sobie - znacznie dłuższe, gdy mówi o nas. O sobie mówi niewiele, jest pod tym względem, jako podwładny, związany decyzjami swego naczelnego wodza. Ten zaś wybrał miejsce głównej koncentracji wojsk dla niego i określił ilość tych sił, które mają iść pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do boju. Są to ciekawe pod względem historycznym szczegóły, nad którymi p. Tuchaczewski prawie się nie zastanawia. Stwierdza on tylko, że dany mu był obszar koncentracyjny ograniczony przez Witebsk, Orszę i Tołoczyn i określone zostało skoncentrowanie pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do 21 dywizji.

Istotnie, gdy się przeliczy ilość dywizji - wraz z dwiema konnymi - z którymi p. Tuchaczewski rozpoczął swą główną operację w lipcu, będziemy mieli tę właśnie określoną z góry ilość wojsk, przeznaczonych dla niego. Pierwsza jednak próba operacji, rozpoczęta w maju, czyniona była z 13 tylko dywizjami, zatem brakowało więcej niż trzeciej części sił, obliczonych dla operacji.

Zasadę ugrupowania sił swoich p. Tuchaczewski czerpał z rozpatrzenia i rozważenia ugrupowania sił naszych. W ogólnych zarysach zdanie jego o naszym ugrupowaniu jest następujące: Polacy rozciągnęli się w linii mniej więcej równomiernie, w kordonie. Żałuję mocno, że p. Tuchaczewski inną część swoich

rozważań strategicznych, rozważań stanowiących upiększenie całej książeczki, pomieścił w całkiem innym miejscu, mianowicie - przy rozważaniu operacji głównej, lipcowej. Być może, że powodem tu była niechęć zatrzymywania się dłużej nad nieudaną ofensywą majową, lecz wyznaję, że z pewnym trudem zgodziłem się na konstruowanie swej pracy i z mojej strony w ten nielogiczny sposób. Wątpię bowiem, by p. Tuchaczewski, który swą próbę majową koncyptował równie szeroko jak i w lipcu, nie miał na myśli tych samych zasad działania taranem, które elokwentnie rozwija dopiero później. Byłoby mi z tym wygodniej, gdyż wobec niesłusznej, zdaniem moim, krytyki naszego rozkładu strategicznego, a zatem moich osobistych w tej sprawie rozkazów, utrudnił mi znacznie wypowiedzenie paru słów pro domo mea.

P. Tuchaczewski, charakteryzując więc nasz kordon, stwierdza, że ta równomierność kordonu nie pozwala nam "bez względu na wysiłki skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczłą część armii polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie odwodów". Na tej podstawie p. Tuchaczewski przypuszczał, że zdoła sprawić, aby "oddziały masą swoją gniotły i, w całym tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linii polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne..."

Gdy czytałem i odczytywałem powtórnie to rozumowanie p. Tuchaczewskiego, przypominałem sobie moje rozumowanie w tej samej sprawie. Jeżeli określenia i różne motywy nie były podobnymi do tych, które daje p. Tuchaczewski, to wynik myślowy, do którego zawsze dochodziłem, był zupełnie analogiczny i streszczał się w ostatecznej konkluzji, zrobionej już w końcu 1919 r. Sądziłem, że w naszej wojnie, którą prowadzimy z Sowiecami, ten, kto naciera z energią, zawsze będzie miał powodzenie i przebiję kordon czy linię w wybranym przez siebie miejscu. Dlatego też szukałem zawsze wyjścia, jak mówiłem w owe czasy, w manewrze, chociażby to był manewr wstecz, złączony z cofaniem się wojska. Stąd też, przyznaję, ubodło mnie do pewnego stopnia mniemanie p. Tuchaczewskiego, że polskie "dowództwo" przeciwstawiło mu na wiosnę 1920 r. lichy kordon, z którym tak łatwo miał sobie dać radę. Przede wszystkim p. Tuchaczewski zapomina o zasadniczej różnicy ról, jakie były nakazane jemu i jego bezpośredniemu przeciwnikowi. Gdy jemu nakazano mieć inicjatywę i atakować przeciwnika, odwrotnie - wojska polskie na północnym froncie, przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu, miały nakaz defensywy. W defensywie zaś pierwszy jej człon, najbliższy do nieprzyjaciela, nie może mieć nigdy innego charakteru, jak właśnie kordonu, jak właśnie cienkiej, niegłębokiej linii. Nawet wojna czysto okopowa, dająca jako zasadę linię w najczystszej swojej postaci, przy swoim rozwoju doprowadziła do konieczności przedniego kordonu, słabego w sile, łatwo dającego się skruszyć i postawionego jedynie dla celów obserwacyjnych, jedynie dla celów osłony. Kordon czy linia w defensywie jest konieczna, inaczej niepodobna zbadać ani sił nacierającego nieprzyjaciela, ani jego istotnych zamiarów, ani kierunków jego uderzeń.

Jest to pierwsza uwaga, która musiałaby przyjść do głowy p. Tuchaczewskiemu, gdyby zechciał wejść głębiej w sytuację swego przeciwnika. Kordon więc był - i w kordonie, co stwierdzam, stało wówczas na całym froncie naprzeciw p. Tuchaczewskiego 6 dywizji piechoty i 2 brygady kawalerii (8 Dywizja Piechoty, 1 Litewsko-Białoruska Dywizja, większość 3 Dywizji Legionów, 2 Dywizja Legionowa, dywizje 14 i 9).

Można byłoby prowadzić spór o to, czy dobrym było danie aż 6 dywizji na tę niewdzięczną służbę, można byłoby, odwrotnie, tak jak to robili moi podwładni, stwierdzać, że przy tak wielkiej rozciągłości frontu siły te nawet dla ścisłej obserwacji są zupełnie niedostateczne, lecz fakt pozostaje faktem, że jeśli idzie o kordon, to ten był udziałem tej tylko części wojsk polskich. Wreszcie niech mi wolno będzie zauważyć, że we wrześniu tegoż roku, gdy przeszedłem do ofensywy w stosunku do tegoż p.

Tuchaczewskiego, znalazłem go kordonowe rozciągniętego za rzeczną zasłoną Niemna i Szczary. Był w defensywie, a ta, pomimo iż mógł być zapalonym krytykiem wszelkich kordonów i linii, zmuszała go do stania ugrupowanym tak nierozsądnie, jak to przypisuje nam w maju.

Przechodzę do kwestii odwodów i od razu zaznaczę, że te swoim ugrupowaniem zupełnie zaprzeczały jakiegokolwiek zasadzie kordonu. Rozpoczynając w kwietniu ofensywę na południowym froncie na Ukrainie, starannie obliczałem, jak będę mógł pomóc północnemu frontowi w razie, gdyby był zaatakowany. Nad tą kwestią - możliwościami kontrataku ze strony przeciwnika - zastanawiałem się nieraz, przy czym trzymałem się opinii rozbieżnej z najbliższym moim otoczeniem. Mianowicie gen. Haller, ówczesny mój szef sztabu, przypuszczał, że przeciwnatarcie nastąpić musi na tym samym terenie, na którym przechodziliśmy do ofensywy. Zdaniem bowiem jego, właśnie na południu skoncentrowane wtedy były największe siły przeciwnika, które zlikwidowały front przeciw Demkmowi, i tam narastało nowe niebezpieczeństwo w postaci krymskiej próby Wrangla. Wydało mu się więc logiczne, by oczekiwać stamtąd i kontruderzenia, którego w ogóle nie byliśmy pewni. Co do mnie, osobiście skłaniałem się do zdania, że oczekiwać należy przeciwnatarcia na tym froncie, gdzie mniej jesteście skoncentrowani. Gdybym więc wybrał dla wiosennej ofensywy front północny, oczekiwałbym kontrataku na południu;

wybrawszy zaś południe, liczyłem się bardziej z uderzeniem przeciwnika na północy. Tym bardziej więc musiałem sobie starannie przeliczyć, czym będę parował uderzenie przeciwnika. W odwodzie więc na północnym froncie zostawione zostały: w Osipowieżach i okolicy 6 Dywizja Piechoty, jako odwód 4 Armii; na Polesie, do tejże 4 Armii, jechała 16 Dywizja. Obie te dywizje dane były do pełnego rozporządzenia dowódcy 4 Armii, gen. Szeptyckiego. Daleko z tyłu, bo aż w Lidzie, rozłożona była 17 Dywizja, którą zatrzymałem w swoim rozporządzeniu. Obok tego na froncie obserwacyjnym przeciw Litwie, nie toczącym żadnego boju, w 7 naszej armii miałem 2 dywizje, z których trochę więcej niż pół dywizji zawsze stało w odwodzie, zawsze zdadne do użycia gdzie indziej. Na samym więc północnym froncie jako odwód liczyć mogłem trzy i pół dywizji. Jeżeli zaś odliczę 16 Dywizję, którą wciągnięto prawie natychmiast do rozwijających się bojów na Polesiu, to pozostanie dwie i pół dywizji.

Stanowiło to prawie połowę sił rozciągniętych w defensywnym kordonie przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu; stały więc te dywizje tak daleko, że nie mogły podlegać w pierwszych dniach uderzenia p. Tuchaczewskiego jego działaniom i zdadne były, wbrew jego zdaniu, do rzucenia w kierunku, najzupełniej swobodnie wybranym przez jego przeciwnika. Jeszcze bardziej tyczy się to dalszych, głębszych odwodów. Jeszcze głębiej na dalekich tyłach miałem dywizję 11, która była w stanie reorganizacji, oraz formującą się tzw. VII Brygadę Rezerwową, złożoną z trzech pułków. W ten sposób mamy dla głębokiego odwodu, niedostępnego dla p. Tuchaczewskiego, już około 5 dywizji, czyli siły prawie równe tym, które stały w kordonie.

Nie dość tego, przy rozplanowaniu ofensywy ukraińskiej nakazałem, zaczynając już od trzeciego dnia operacji, ściągnąć do odwodu rozporządzalnego dla mnie 4 Dywizję w Korosteniu, a od czwartego dnia operacji - 15 w Koziatynie i Berdyczowie. Co się zaś tyczy jeszcze jednej dywizji, którą chciałem mieć gotową do wyprawienia na miejsce spodziewanego przeciwduderzenia, mianowicie - 5, czyniłem to zależnym od stopnia reorganizacji 18 Dywizji, która w pierwszych dniach operacji była wycofana do odwodu, gdyż reorganizacja dla niej była konieczna. Mianowicie, zarówno 11 jak i 18 Dywizja były wypełnione starymi rocznikami, z których czy to we Francji, czy to we Włoszech z jeńców były sformowane. Odbijało się to tak fatalnie na stanie moralnym tych obu dywizji, że bez reorganizacji niezdadne były do boju. Zaznaczam, że istotnie dla odparowania majowej ofensywy p. Tuchaczewskiego dywizje 4, 15 i połowa 5 przybyły na czas.

Odwody więc, na które rachowałem oczekując przeciwnatarcia obliczałem przy wyjściu na ofensywę na Ukrainie w sumie na 8 dywizji. Z nich dwie mogły być użyte do wzmocnienia zagrożonego frontu i dla prób zatrzymania nieprzyjaciela, sześciu lub pięciu można było użyć dla sformowania grupy uderzeniowej w którymkolwiek miejscu lub kierunku.

Nie wydaje mi się więc słuszna ocena naszego strategicznego rozkładu przez p. Tuchaczewskiego. Skłonny jestem przypuszczać, że ta fałszywa ocena wypływała z względnie wąskiego pola obserwacji p. Tuchaczewskiego, który pozostawiał wnioski z całości frontu polsko-sowieckiego swemu przełożonemu, głównodowodzącemu. Usprawiedliwienie to w oczach moich jest jednak niedostateczne, gdyż sam p.

Tuchaczewski pisze, że główna rola w wojnie z Polską według planu głównodowodzącego była dana jemu i wojskom przez niego dowodzonym. A w tym wypadku obowiązkiem p. Tuchaczewskiego było szerzej ująć zarówno swoje zadanie, jak i obliczenia, które musiał robić. Majowa ofensywa p. Tuchaczewskiego nie udała się i została całkowicie sparowana nie przez co innego, jak przez skoncentrowanie wszystkich wymienionych przeze mnie sił z głębokich odwodów, wprost sprzeczne z rozważaniem p. Tuchaczewskiego.

Kwestia kordonu i liniowego rozkładu wojska zasługiwała, zdaniem moim, na dłuższe jej rozpatrzenie - będziemy mieli z nią do czynienia i przy dalszych analizach operacji 1920 r. Byłem w ciągu ubiegłej wojny równie zasadniczym jej przeciwnikiem, jak p. Tuchaczewski. Szukałem zawsze rozstrzygnięcia wszelkich sytuacji za pomocą manewru, jak niekiedy twierdzą, co i ja sam uznaję, bardzo śmiało skoncentrowanego i wymagającego zarówno ze strony dowódcy, jak i wojsk wielkiego natężenia sił moralnych i fizycznych. Zdaniem moim, tym właśnie dwuletnią naszą wojnę doprowadziłem do szczęśliwego dla nas rezultatu. Nie chcę jednak twierdzić, że p. Tuchaczewski w obserwacjach swoich w stosunku do nas nie ma pewnej dozy słuszności, gdy swoje plany i przypuszczenia nieledwie opierał na skłonności naszej do kordonów i linii. Sprawa polegała na tym, że wszyscy, nie wyłączając i mnie, dowódcy polscy przystępując do wojny z Sowietami byli pod wrażeniem i wpływem długotrwałej wojny okopowej, będącej stwierdzeniem zwycięstwa strategii liniowej nad przestarzałą, zdawało się, strategią żywego ruchu i manewru. Gdy się przejrzy mnóstwo rozkazów operacyjnych, wydanych przez naszych dowódców w przeciągu roku 1919, a zapewne i 1920, znajdziemy, że rozkazy te aż pstrzą się od linii rzek, rzeczułek, jezior i nawet strumieni, jako podstaw myślenia strategicznego.

Dziwnym zbiegiem okoliczności krytyka p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego zbiega się prawie zupełnie z wielu mało głębokimi, ale za to bardzo publicystycznymi wywodami krytycznymi w stosunku do mego dowodzenia polskich zoiłów strategicznych, którzy nigdy niczym nie dowodzili, albo tych, co dowodzili, ale marnie. Uwaga ta nieraz nasuwała mi się przy czytaniu dziełka p.

Tuchaczewskiego. Nieraz przy przeglądaniu raportów przedkładanych mi, przy odczytywaniu kopii różnych rozkazów, wreszcie przy rozmowach, które miewałem z moimi podwładnymi o sytuacji, przypominały mi się wesołe anegdoty z czasów, gdy dowodziłem Brygadą Legionową. Śmiało się bowiem często wówczas, przesiadując w okopach, z różnych strachów i trwóg naszych sąsiadów Austriaków z powodu stu czy dwustumetrowych luk, których leniwy legionista nie zechciał fortyfikować. Wiem też dobrze, że takie same strachy i trwogi opanowywały wielu z naszych dowódców, gdy nie byli pewni, że na jakimkolwiek kierunku, chociażby najmniej prawdopodobnym, nieprzyjaciół nie spotka jakiegokolwiek oporu, chociażby najmniejszego.

Z tego powodu mapy detalicznych rozkładów wojska były zawsze nadzwyczajnie upstrzone w różne „zastawy”, „wachy”, rozciągające niechybnie wojsko w liche kordony. Gdy się zaś weźmie olbrzymią przestrzeń tysiąca kilometrów frontu i zestawie z ilością wojska, które na tej przestrzeni postawić było można, łatwo zrozumieć, ile luk, już nie stu i dwustumetrowych, lecz znacznie większych, budzić musiało trwogę i przekonanie o bezsilności wśród dowódców, nie mogących od pojęć liniowych się oderwać. Stąd też w raportach najczęstszym słowem, zwróconym do mnie, jako do naczelnego wodza, było żądanie pomocy dla usunięcia trwóg i strachu. Stąd też ciągle namawianie, które miałem w ciągu wojny: fortel, jako wynik najbardziej technicznego i najbardziej doświadczonego konsyliarza wojny. Te przyzwyczajenia myślowe, te trwogi nie mogły się nie odbijać, jestem tego pewien, i na rozkładzie szczegółowym wojsk, które obserwował p. Tuchaczewski. Powtarzam jednak, że gdy zechciał w końcu kwietnia opierać swój plan postępowania na takiej właśnie kordonowej chorobie, popełnił błąd, który się zemścił na nim w tym wypadku niepowodzeniem szeroko pomyślanej ofensywy. Do analizy tej właśnie ofensywy przechodzę teraz.

Rozdział trzeci

Nad operacją ofensywną w maju, jak już powiedziałem, p. Tuchaczewski zatrzymuje się bardzo niedługo. Daje on tylko najogólniejszy jej zarys, usuwając się od wszelkich szczegółów, tak, jak gdyby nie miały

wielkiego znaczenia. Przeczy jednak temu sam, gdy mówi, że plan jej przewidywał przebicie się przez „wrota smoleńskie”, rozbicie lewego skrzydła armii polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w błota pińskie. Plan więc daleko wytknięty, oznaczający zupełne rozbicie i usunięcie z dalszej gry całego naszego frontu prawie do Prypeci. Operacja zatem niemałego znaczenia.

W historii naszej wojny istotnie operacja ta odegrała swą wybitną rolę. Przede wszystkim więc przeniosła ona dużą część naszych polskich sił (do czterech dywizji) na front północny, co z natury rzeczy odbiło się na całym dalszym przebiegu wojny. Następnie, będąc jak gdyby przygrywką do wielkiej lipcowej ofensywy Sowietów, dała ona dużo nauki i doświadczenia dla wojsk obu stron, a przykro mi zaznaczyć, że doświadczenia znacznie umiejętniej były wykorzystane przez naszych przeciwników, niż przez nas. Wreszcie miała ona w stosunku do naszego przeciwnika wpływ ten, iż zużyła zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym tak znaczną część jego sił, iż łatwo będzie nam dostrzec to przy analizie specjalnie pierwszego okresu lipcowej ofensywy. Dlatego też chciałbym się zatrzymać nieco nad naturalnym pytaniem, które sobie nieraz zadawałem podczas wojny, jak i po niej - z jakiej właściwie racji robiono tę pierwszą, jak gdyby próbną ofensywę? Pytanie to tym bardziej jest naturalne, gdy wiemy, że rozpoczęta ona została bez zakończenia nakazanej koncentracji, tak, iż zgodnie z wykazanym przeze mnie obliczeniem brakowało więcej niż trzeciej części sił, przeznaczonych dla głównej operacji wojennej.

Pamiętam dobrze tę chwilę, gdy otrzymałem pierwsze wiadomości o spodziewanym przeze mnie kontrataku na północy. Depesze o tym otrzymałem w Żytomierzu, na wyjeździe do Warszawy; była to rzecz dla mnie, jak już mówiłem, prawie że obliczona z góry. Więcej - na jakiś tydzień przedtem wezwałem do Kalenkowicz gen. Szeptyckiego i tam rozmówiłem się z nim co do planowanego przeze mnie rozszerzenia naszej pomyślnej na południu ofensywy i na północ. Myślałem wtedy o uderzeniu z Polesia z jednej strony ku Rzecyzcy (co w tym czasie istotnie było dokonywane) oraz w kierunku Żłobina i Mohylowa. Sądziłem, iż mając już na południu w odwodzie 4 Dywizję i znaczną przewagę sił na Polesiu (dywizje 9, 16 i 14), mogę spróbować zlikwidowania rozpoczynających się koncentracji w kierunku, który jest nazwany przez p. Tuchaczewskiego ihumeńskim, a na który zwracał mi uwagę gen. Szeptycki. Na południowym froncie miałem wtedy zacisze, gdyż obie armie sowieckie, które tam operowały, były silnie przez nas rozbite, a zbliżającą się ku nam konnicę Budionnego, wyznając otwarcie, neglizowałem.

Wobec tego, gdy na dworcu kolejowym żytomierskim szef mego sztabu, gen. Haller, przyniósł mi do wagonu świeżo nadesłane depesze, puściłem od razu w ruch to, co przygotowywałem w myśli zawczasu. Kazałem, mianowicie, zadepeszować zaraz do gen. Szeptyckiego, by objął na razie dowództwo i nad I Armią, oddałem w jego rozporządzenie stojącą w Lidzie 17 Dywizję i kazałem przystąpić natychmiast do transportowania naprzód 4 Dywizji z Korostenia, a potem 15 Dywizji z Chwastowa. Miałem zamiar, który mi się tylko kręcił po głowie, przystąpić od razu do kontrataku na obu skrzydłach: od Polesia i od najbardziej północnego skrzydła. Sam fakt natarcia p. Tuchaczewskiego nie wywołał we mnie ani przez jedną chwilę niepokoju. Cofanie się bowiem I Armii spod Głębokiego, co mi anonsowały przeczytane depesze, nie było dla mnie niczym wielkim, gdyż, z żalem to wyznaję, do Orzechownej nie przywiązywałem żadnej wagi, a wrót ani smoleńskich, ani żadnych innych tam nie dostrzegałem. Po przyjeździe do Warszawy znalazłem nowe depesze, brzmiące bardziej trwożnie, depesze gen. Szeptyckiego, który sądził, że sytuacja jest bardzo poważna i wołał o możliwie wydatną pomoc. Byłem już bardzo przyzwyczajony do tego rodzaju depesz, jednak, czego obecnie żałuję, skurczyłem znacznie rozmiar mego kontruderzenia. Mianowicie, wyrzekłem się głębszego kontrataku od Polesia i wobec trwóg gen. Szeptyckiego zdecydowałem obu przybywającymi z południa dywizjami wzmocnić przede wszystkim zagrożony Mińsk, który, zdaniem gen. Szeptyckiego, był przede wszystkim zagrożony od Ihumienia. Kontratak w takim razie mógł być prowadzony jedynie po zachodnim brzegu Berezyny, nie po wschodnim, jak to zamierzałem poprzednio.

Wyznaję otwarcie, że wtedy przy czytaniu depesz nie widziałem żadnego powodu, aby być niespokojnym i specjalnie natarcie głównych sił p. Tuchaczewskiego, prowadzone w kierunku Mołodeczna, najmniej mnie trwożyło. Wyczekiwałem nawet parę dni dla wyznaczenia miejsca koncentracji wojsk do kontruderzenia w kierunku wschodnim. Nie mogłem wtedy sobie określić, o co właściwie nieprzyjacielowi chodzi, i wobec tego nie byłem pewien, czy koncentracja koło Święcian jest dostatecznie bezpieczna i możliwa. Co prawda gen. Szeptycki nie ułatwił mi zadania, gdyż w jego depeszach, jak to już zaznaczyłem, bardzo dużo miejsca zajmowały drobne wypadki koło Ihumenia, które - wydawało się - trwożyły go znacznie więcej niż cokolwiek innego; lecz i te dane, które mi dawało wojsko walczące z głównymi siłami p. Tuchaczewskiego, brzmiały, jak dla mnie, bardzo uspokajająco. Wydawało mi się z tych danych, że po pierwszym względnie silnym uderzeniu siła natarcia znacznie zmalała i jak gdyby się rozproszyła w próbach, skierowanych w najrozmaitszych kierunkach. System pracy p. Tuchaczewskiego w owe czasy tłumaczyłem sobie w sposób następujący: albo - sądziłem - wszystkie te natarcia mają tylko lokalny charakter, bez głębszego znaczenia, albo też po pierwszym powodzeniu nieprzyjaciel się orientuje, wybierając drogi dalszego postępowania. Działania więc p. Tuchaczewskiego w tym czasie były tak nieokreślone, że właściwego ich celu nie byłem w stanie zrozumieć.

Z raportów zaś swoich podwładnych nie mogłem go wyjaśnić dostatecznie i, przyznaję się, że po przybyciu do Warszawy wahałem się parę dobrych dni przed decyzją.

Albowiem jeśli nieprzyjaciel, jak w jednej z hipotez swoich oceniałem, miał zamiar lokalnymi natarciami na Ihumeń i Głębokie zmusić mnie do zajęcia się bardziej północą niż południem, szedłbym mu zbyt na rękę, robiąc większymi siłami kontrofensywę o lokalnym jedynie znaczeniu. Uderzałbym w ten sposób jak gdyby w próżnię. Żałowałem więc wtedy, że się dałem - że tak powiem - sprowokować gen. Szeptyckiemu przez strachy ihumeńskie i zwięźle znanym wytkniętym sobie poprzednio cele kontruderzenia. Odwrotnie zaś, gdyby nieprzyjaciel zachowywał się, jak mi się zdawało według drugiej hipotezy, wyczekując, badając jedynie sytuację i szukając za pomocą wstępnych bojów dróg i środków dla dalszego rozwoju swych działań, bałem się wyrzucić przedwcześnie odwody dla działania z dwóch punktów wyjścia, gdyż przy trwodze i niepokoju, jakie odczuwałem w raportach mi składanych, nastąpić by musiało rozdrobnienie uderzenia po ich przybyciu. Gen. Szeptycki już w ten sposób zaczął postępować. Już 6 Dywizja, którą miał w odwodzie, zużyła się w części w bojach pod Ihumeniem, w części zaś odbywała podróże na skrajne lewe skrzydło całego rozkładu strategicznego.

Wreszcie zdecydowałem sformować osobną armię koło Święcian, tak, by mogła być użyta niezależnie od lokalnych trwóg i niepokoїв. Koncentracja odbywać się musiała pod pozorem działań 8 Dywizji, która się cofnęła spod Połocka. Do tej armii, tzw. rezerwowej, przeznaczyłem wszystkie części wojska, ściągnięte z głębokich odwodów. Od Mińska zaś kazałem uderzyć siłami przybywającymi z południa. Jako cel zaś wytknąłem jedynie lokalne zlikwidowanie natarcia, idącego w kierunku na Mołodeczno, tak abym po skończeniu tej lokalnej operacji mógł całą dotychczasową I Armię, minimalnie zaś trzy dywizje, wyciągnąć do odwodu i w ten sposób mieć zupełną swobodę dla dalszych działań w jakimkolwiek kierunku.

Z tego mojego wyjaśnienia widoczne jest, że w działaniach nieprzyjaciela było coś takiego, iż jasne zrozumienie jego pracy wojennej było dla nas dosyć trudne. Nieporozumienia takie w historii wojen są częste, gdyż wojna jest działaniem w niebezpieczeństwie i niepewności, jak mówi stary Clausewitz. Jednak w omawianej przeze mnie operacji były - jak mnie się zdawało - zawsze cechy, czyniące z niej ową komedię pomyłek, o której poprzednio mówiłem. Nawet po skończonej operacji, gdy zebrałem wszystkie wrażenia, pozostało mi w niej coś niewytłumaczonego, coś z tego, co mi wciąż mówiło, że nieprzyjaciel sam dobrze nie wiedział, co robi. I gdy po zakończonej wojnie rozważałem ten jej epizod i starałem się wytłumaczyć działanie p. Tuchaczewskiego, stawiałem zawsze hipotezę, że jedyną przyczyną tej - jak ją nazywałem - próbnej ofensywy była chęć wyrównania szans wojny przez usunięcie za wszelką cenę efektu moralnego, wywartego przez gwałtowną i z powodzeniem przeprowadzoną

ofensywę naszą na Ukrainie. Dlatego też z ogromną ciekawością szukałem u p. Tuchaczewskiego, jak również u p. Sergiejewa, wyjaśnienia tej zagadki.

Niestety, obaj panowie bardzo silnie się różnią w tej sprawie. P. Sergiejew jest bardzo bliskim mojej hipotezy i daje dosłownie następujące wytłumaczenie: „Inicjatywa była w rękach Polaków. Szeroko rozwinięty ruch armii polskiej na południowo-zachodnim froncie, wzięcie Kijowa i owładnięcie przeprawą przez Dniepr, zastały nasze wojska zachodniego frontu w stanie niegotowości do przejścia do natarcia - były one niedostatecznie jeszcze uzupełnione, źle wyekwipowane, prawie bez taborów i niedostatecznie liczne. Lecz konieczne było odpowiedzenie uderzeniem na uderzenie i odciągnięcie uwagi Polaków od południowo-zachodniego frontu. Kwestia więc natarcia z naszej strony na froncie zachodnim była stanowczo zdecydowana w sztabie «gławkoma». Kierunek uderzenia nie od razu został wyjaśniony. W centrum na razie zamierzano uderzyć wzdłuż północnej części Polesia od Mozyrza na Brześć Litewski.

P. Tuchaczewski zaś stwierdza, że główną przyczyną przejścia od defensywy do ofensywy było wrażenie, że Polacy sami są w przededniu przejścia do natarcia. Nie chcąc więc pozwolić nieprzyjacielowi wciągnąć (E. N. Sergiejew "Od Dźwiny do Wisły", str. 5) zasadnicze ugrupowanie do działań narzuconych, postanowiono przejść do natarcia w dniu 14 maja.

Wobec tych tak sprzecznie brzmiących motywów nie uważam dla siebie za możliwe rozstrzygnąć historycznie, jak w istocie rzecz się miała. Skłonny jednak jestem do przypuszczenia, że p. Sergiejew ma więcej słuszności niż p. Tuchaczewski.

Ale niechybnie p. Tuchaczewski, zgodnie ze swym temperamentem wodza, rozszerzył znacznie zadanie wyznaczonej mu operacji, gdy przechodząc do ofensywy wytknął sobie cel sięgający równie daleko, jak to uczynił potem przy głównej operacji, gdy był znacznie silniejszy pod względem wyekwipowania technicznego. Przyznaje się do tego otwarcie sam p. Tuchaczewski. Pomimo niedostatecznych sił nie chciał małych celów, sięgał po największe. Szukał decydujących uderzeń, chcąc widzieć w napływających podczas operacji wojskach - odwody. Czytelnik pewnie przypomina sobie śmiałe plany p. Tuchaczewskiego rozgromienia naszego lewego skrzydła i rzucenia reszty sił na pińskie błota.

Przy tak zakreślonej ofensywie dziwnym wydać się musi, że same działania wojsk sowieckich ani przez jedną chwilę nie były zrozumiane z naszej strony w ten właśnie sposób. W żadnym raporcie obu dowódców armii, którzy z naszej strony walczyli z p. Tuchaczewskim, nie ma ani śladu tłumaczenia działań wojsk sowieckich na modłę przedstawioną przez p. Tuchaczewskiego. O moich wahaniach i o moich hipotezach, opartych na obserwacji pracy wojennej mego przeciwnika, mówiłem wyżej. Skądżeż więc znowu to dziwaczne nieporozumienie, skądżeż znowu ta komedia pomyłek?

P. Tuchaczewski w swoim przedstawieniu rzeczy tak jest skąpy w podawaniu faktów i danych ze swojej operacji majowej, że z trudem daje się rekonstruować historię działań wojsk jemu podwładnych.

Znacznie bogatszym w szczegóły, znacznie bardziej ścisłym jest p. Sergiejew, który w swojej książce poświęca parę długich rozdziałów analizie wypadków podczas tej operacji i w aneksach przytacza in extenso swój referat z dnia 12 czerwca, streszczający doświadczenie, jakiego nabył podczas nieudanej ofensywy majowej.

Czytelnik przypomina sobie pewnie zasadnicze rysy manewru, którego chciał dokonać p. Tuchaczewski: przełamanie wrót smoleńskich w Orzechownej i zachodzenie główną masą wojsk prawym ramieniem o 90° dla zmiany kierunku z zachodniego na południowo-zachodni. Manewr ten z natury rzeczy zabiera dużo czasu, gdyż zachodzące dla zmiany kierunku prawe skrzydło ma do przejścia względnie duży łuk, gdy lewe musi stać lub poruszać się drobnym krokiem, czekając na równanie linii wojsk mających razem operować w nowym kierunku. Naturalnym też jest, że im więcej wojsk taki manewr czyni, tym więcej zabrać to musi czasu. Manewr ten ma i inne niedogodności. Dając czas w ręce przeciwnika, naraża on zarazem zachodzące swe skrzydło - tym razem prawe - na możliwości uderzenia go z flanki, przez chwycenie, że użyję tu zwykłego wyrażenia, in flagranti manewrującego jeszcze nie przyjaciela. Dlatego też koniecznym jest osłabienie tego manewru osobne wydzielonymi dla tego celu siłami. Oto, co pisze p. Sergiejew w tej sprawie: „wypadło nam na zabezpieczenie skrzydła wydać około

jednej trzeciej wszystkich sił, przeznaczonych do operacji. Ale siły okazały się daleko niewystarczające dla sparowania kontrataku Polaków.

Żeby dać czytelnikowi pojęcie o czasie wypełnienia przez wojska manewru p. Tuchaczewskiego, wskażę daty na podstawie pracy p. Sergiejewa. Natarcie rozpoczęło się 14 maja rano, a dopiero od rana 18 maja, więc w cztery długie dni potem, rozpoczęło się ugrupowanie odpowiadające zamiarowi p.

Tuchaczewskiego. Mianowicie, dopiero wtedy 6 Dywizja sowiecka będąca na skrajnym prawym skrzydle, została ściągnięta z dotychczasowego kierunku i postawiona, jako odwód, dla dalszych operacji za prawym skrzydłem tej części armii, która już miała operować w zmienionym o 90° kierunku. I dopiero od 19 rano 53 Dywizja otrzymuje rozkaz ochrony zagrożonej od zachodu flanki. Cztery więc, może pięć dni wygranych zostało przeze mnie nie z przyczyny działań naszych wojsk, lecz jedynie przez skomplikowany manewr, zarządzony przez p. Tuchaczewskiego, który nie mógł wyzyskiwać tego czasu dla pościgu cofającej się naszej I Armii. Był to akurat ten czas, gdy wróciwszy z Żytomierza do Warszawy, wahałem się, nie mogąc zrozumieć działań mego przeciwnika. A przez ten czas odwody moje, czy to z głębokich tyłów, czy to z Ukrainy, jechały w dziesiątkach pociągów, zbliżając się bardzo efektywnie do miejsc zbiórki dla decydującego się jeszcze kontrataku.

Przy analizie początków operacji w większym stylu - operacji lipcowej, będę miał sposobność powrócić raz jeszcze do tej upartej myśli p. Tuchaczewskiego i mam nadzieję udowodnić wtedy prawdziwość moich słów, że geografia i geometria zawierają dużo zasadzek dla wodzów. Tu ograniczę się tylko stwierdzeniem, że nasz kontratak wygrał na czasie i sile z powodu manewru, z którego p. Tuchaczewski wydaje się być dumny. Nie mogłem czytać bez pewnego uśmiechu ustępu, pomieszczonego na stronie 166. "E. N. Sergiejew, l. c., str. 14".

"Nasza ofensywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie. 15 Armią bez trudności wykonała zwrot we wrotach smoleńskich". Dziwna sprzeczność zawarta jest w tym frazesie: "szybkość", gdy się traci kilka dni czasu, oddając go przeciwnikowi, "gwałtowność", gdy duża część armii depcze drobnym kroczkiem nie udeptaną ziemię, czekając na wyrównanie zachodzącego skrzydła, które jedynie jest w ruchu, ale bez kontaktu z nieprzyjacielem, od którego w dodatku chronić się musi wydzieleniem coraz większych sił od głównej operacji. Ten węzeł myślowy smoleńskich wrót w Orzechownej, ten geometrycznie zarysowany manewr, jakże głęboko świadczy o abstrakcyjnej postawie myślenia strategicznego mego szanownego przeciwnika z 1920 r.! Nie chcę przez to powiedzieć, że dzięki temu operacja majowa p.

Tuchaczewskiego została względnie łatwo rozbita i zniweczona, lecz niechybnie zostały w ten sposób stworzone warunki, ułatwiające znakomicie sparowanie zamiarów p. Tuchaczewskiego, sięgających tak daleko. Głównym bowiem błędem, który prawie z góry skazywał p. Tuchaczewskiego na niepowodzenie w jego wielkich planach, był błąd w rachunku sił własnych i przeciwnika, rachunku zrobionym bez drugiego gospodarza wojny, którym zawsze jest wódz partii przeciwnej. Liczono na znalezienie u nas kordonu i liniowego rozkładu wojsk w czystej postaci, a cały zamiar i plan rozbił się i wniwecz został obrócony przez głębokie i przygotowane przeze mnie odwody, nie tknięte wcale przez wstępne działanie p. Tuchaczewskiego. Dlatego też z całą stanowczością zaprzeczam prawu do dumy p. Tuchaczewskiego, gdy mówi: "Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo-zachodniego frontu na zachodni" (strona 166). Z poprzedniego, ściśle historycznego mego przedstawienia rzeczy widoczne jest, że p. Tuchaczewski do tej kwaśnej zresztą pociechy po nieudanej operacji nie ma żadnego prawa.

Takie same mniej więcej nieporozumienie znajduję przy analizie zakończenia w początkach czerwca naszej kontrakcji przeciw wojskom sowieckim. P. Tuchaczewski, przerażony możliwością ponownej utraty ukochanych smoleńskich wrót, zmuszony do cofania się zewsząd, organizował w końcu obronę tej ziemi wybranej. I znowu podnosi wielkie zasługi swojej 18 Dywizji, która niedaleko od Hermanowicz broniła 7 czerwca dostępu do Orzechownej.

W boju tym dywizja straciła zgodnie ze świadectwem p. Sergiejewa do 70% swego stanu i zmuszona była do cofnięcia się. Lecz za to, pisze p. Tuchaczewski, przeciwnik stracił zdolność do dalszych decydujących działań i wypieszczona w marzeniach Orzechowna została w rękach p. Tuchaczewskiego. Było to, dodaje p. Tuchaczewski, momentem przełomowym w operacji. Tymczasem historycznie z naszej strony nic podobnego nie było. Więc przede wszystkim, nie potrzebuję chyba jeszcze raz stwierdzać, że w całej operacji ani razu przez myśl mi nie przeszło zazdrościć p. Tuchaczewskiemu posiadania w Orzechownej wielkich historycznych wrót, zwanych smoleńskimi. Nic o nie walczyłem. Głównym celem było jedynie zamknięcie wrót całkiem innych. Szło mi bowiem o zetknięcie dwóch skrzydeł mego kontrataku od południa i od zachodu u wielkiego obszaru błotnego przy źródłach Berezyny i Willi. W ten bowiem sposób odcinało się wszystkie drogi odwrotu dla zaawanturowanych aż pod Mołodeczno głównych sił p. Tuchaczewskiego, a w dodatku cała szarpnięta w swej sile nasza I Armia mechanicznie wychodziła do odwodu. Plan ten udał mi się tylko w części, gdyż szybkość uderzeń obu kontratakujących grup była w ciągu całej operacji zanadto nierównomierna. Gen. Sosnkowski ze swą Armią Rezerwową, idąc od Święcian i Postaw, uderzył szybko i decydująco. Odwrotnie - grupa południowa, idąca od Mińska równoległe z biegiem Berezyny, szła znacznie wolniej i metodyczniej. Przewidując to z góry, wyznaczyłem dla południowej grupy rozpoczęcie natarcia o cały dzień wcześniej, jednak I Armia, gdy nieprzyjaciel się zawahał, przeszła spod Mołodeczna do kontrataku frontowego i w pościgu frontowym doszła do błot Berezyny znacznie wcześniej, nim drogi te od południa zostały osiągnięte przez południową grupę. Z tego też powodu części tej armii zostały wciągnięte do ogólnej linii frontu, zmniejszając w ten sposób rozporządzalny dla mnie odwód.

Z chwilą dojścia do tych błot, kazałem zatrzymać operację, nie będąc wcale do tego zmuszony przez nieprzyjaciela. Przy wyborze zaś ogólnej linii frontu kierowałem się głównie dwoma motywami, które akurat były sprzeczne z jakąkolwiek chęcią konkurencji o smoleńskie wrota.

Po pierwsze, szukałem włączenia do frontu możliwie wielkiej ilości błotnych przestrzeni, oszczędzających mi żywą siłę wojska przy ochronie przedniej linii i ułatwiających zwiększenie odwodów. Po drugie zaś, chciałem mieć jak najmniej pracy przy ochronie lewego skrzydła, ochronie, która musiała być rozciągnięta wzdłuż Dźwiny. Ten ostatni wzgląd uznałem za ważniejszy niż również poważny wzgląd na bliską obserwację węzła kolejowego w Połocku. Toteż po wysłuchaniu w tej sprawie opinii obu dowodzących, p. gen. Sosnkowskiego i p. gen. Szeptyckiego, opinii, jak zawsze w takich wypadkach rozbieżnych, bo kierowanych przez wrażenia i interesy lokalne, dałem swoją decyzję i zatrzymałem wszelki dalszy pościg.

Przytaczam tu fakt historyczny nie dlatego, bym ujmę miał czynić sądowi p. Tuchaczewskiego, że zatrzymanie naszego uderzenia przypisać należy działaniom jego i jego wojska. Sądy bowiem takie są naturalne i są zwykłym zjawiskiem w historiach wojen, a już specjalnie, prawie bez pudła, znaleźć je można w raportach dowódców, którzy po przegranej mogą się zatrzymać, nie mając na sobie dalszego nacisku nieprzyjaciela. Jest to jednak drobna, lecz charakterystyczna ilustracja tych trudności, jakie istnieją dla każdego dowódcy przy próbach określenia sytuacji i zamiarów przeciwnika.

Wnioski p. Tuchaczewskiego z majowej operacji streszczają się w trzech punktach: jeden tyczy się moralnej strony wojska, która jakoby znacznie się podniosła; drugi punkt mówi o zmniejszeniu się sił naszych na południowo-zachodnim froncie, co ulżyło tam sytuacji przeciwnika; wreszcie trzeci punkt, który p. Tuchaczewski uważa za najważniejszy, to zajęcie ukochanych smoleńskich wrót. Pomijając punkt ostatni, co do którego będę miał możność jeszcze wypowiedzieć się w analizie operacji lipcowej, zatrzymam się nieco na pierwszych dwóch punktach, przeciwstawiając ocenie sytuacji p. Tuchaczewskiego ówczesną ocenę moją.

Zadowolenie p. Tuchaczewskiego z poprawy moralnej podwładnych mu wojsk jest związane z jego oceną stanu moralnego tych dywizji, które walczyły z nami przed przybyciem p. Tuchaczewskiego, w ciągu 1919 r. Mówi on, że wojska te nie wywołały w nim wielkiego zaufania, gdyż z powodu niepowodzeń wojennych odznaczały się one pewnym strachem

i przekonaniem o swojej niższości w porównaniu z wojskiem polskim. Wyznaję, że nie bardzo rozumiałem, na jakiej podstawie wyraźne niepowodzenie operacji majowej wpłynąć mogło na rzekome podwyższenie stanu moralnego. Wątpię bowiem, aby w szeregach Czerwonej Armii rozmiłowanie wrót smoleńskich było tak powszechnie zrozumiałe, że nieszczęsna Orzechowna mogła zasłonić zarówno straty, które wojsko poniosło, jak i wrażenie z przegranej. Toteż p. Sergiejew, który jest bardziej ścisłym obserwatorem wojska, pisze o tym inaczej. Według niego w 53 Dywizji zostało po operacji 1500 bagnetów, w 12 - 1200, w 18 - 2000. Gdy dywizje te wchodziły do operacji, liczyły: 53 - 3157 bagnetów, dla 12 nie mam danych, 18 - 5000 bagnetów. Odpowiednio do tego p. Sergiejew stwierdza, że „dywizje 53 i 12 były o tyle wstrząśnięte ciężkimi bojami, że kilka razy odskakiwały wstecz prawie w panice pod najsłabszym naciskiem nieprzyjaciela... Obniżenie ducha bojowego dawało się spostrzegać także i w 18 Dywizji. Dodaje on potem, że przy organizacji wojska do nowej operacji p. Tuchaczewski nakazał najlepsze dywizje z tych, co brały udział w operacji majowej, zostawić w 15 Armii, „oddając słabe liczebnie i wstrząśnięte moralnie dywizje (53, 12, 6, 56) do sąsiednich nowo formujących się armii”. Świadectwo to oświecla moralną wygraną, o której pisze p. Tuchaczewski w całkiem innym świetle. Znajdujemy odbicie tego stanu w początkach operacji głównej w lipcu tegoż roku. Wyznaję, że pod tym względem wolę przełożyć aktywa na rachunek polski, twierdząc, że majowa ofensywa p. Tuchaczewskiego, przedsięwzięta przed zakończeniem koncentracji ze zbyt daleko wytkniętymi dla zebranych sił celami, dała w rezultacie zużycie sił fizycznych i moralnych wojsk, które w tej operacji brały udział. Co do drugiego punktu, to zdaniem moim p. Tuchaczewski w swoim wniosku postawił sprawę zbyt wąsko, gdy mówi o wpływie operacji majowej na ogólny rozkład strategiczny naszej armii. Operacja ta miała głębsze znaczenie. Co się tyczy zmniejszenia wojsk naszych na froncie na południe od Prypeci, to było ono nieznaczące, gdyż jeśli przyjechały stamtąd dwie i pół dywizji (4, 15 i połowa 5 - ta ostatnia przybyła na samo zakończenie naszej kontrofensywy), to prawie natychmiast odjechały na tamten front 30 Dywizja Legionowa i trzy pułki rezerwowe, świeżo sformowane, tak że zmniejszenie wyraziło się zaledwie w jednej niespełna dywizji. Znacznie większe znaczenie miało wprowadzenie wszystkich głębszych odwodów do linii i zatrzymanie przez gen. Szeptyckiego potem wszystkich wyciągniętych do odwodu części wojsk w odległości zaledwie od kilkunastu do trzydziestu kilometrów za frontem. Wojsko w ten sposób otrzymywało formę owego kordonu, na którym bazował i na którego słabe strony tak rachował w swoich obliczeniach p. Tuchaczewski. Nie chcę w ten sposób usuwać ze swoich barków odpowiedzialności na moich podwładnych i szukać historycznego usprawiedliwienia siebie za pomocą wytykania ich błędów. Staram się jedynie być możliwie ścisłym historycznie. Będąc zasadniczym przeciwnikiem rozkładu liniowego wojsk ze zdrewniałą, trudno zdatną do manewru formą ich użycia, byłbym niechybnie zmusił do innej metody pracy, gdybym nie miał na swym sumieniu zasadniczego błędu w ocenie sytuacji podczas pierwszej połowy kampanii naszej w 1920 r. Do tej mojej oceny ówczesnej przechodzę.

" E. N. Sergiejew, l. c., str. 25", "E. N. Sergiejew, l. c., str. 32"

Jeżeli, jak już pisałem poprzednio, przy wyjeździe z Żytomierza, gdy p. Tuchaczewski rozpoczynał swoją majową ofensywę, byłem zupełnie spokojny o stan rzeczy na południu, to przez czas mojej pracy na północy sytuacja zaczęła się tam zmieniać na naszą niekorzyść. Miałem podczas wyjazdu w połowie maja przed sobą na tamtym froncie dwie sowieckie armie: 12 i 14. Pierwsza z nich rozbita przeze mnie była podczas ofensywy do tego stopnia, że już do końca wojny nie mogła dojść do takiej moralnej wartości, aby stać się dla nas niebezpieczna. W każdym razie, co w owym czasie wciągałem sobie do rachunku, musiało przejść sporo czasu, by bez przyływu nowych i świeżych sił stałyby się zdatne do walki z nami, z widokami na jakiekolwiek powodzenie. Druga z nich, 14 Armia, mniej rozbita, była tak słaba liczebnie, że utrzymywała ją w szachu jedna tylko nasza dywizja (12). Zbliżała się, co prawda, do nas jazda Budionnego. O zbliżaniu się jej miałem względnie ściśle i dokładne wiadomości. Szła ona długim marszem, gdzieś spod Rostowa nad Donem, w składzie czterech dywizji, co do których stanu

liczebnego wszystkie dane zdawały mi się mocno przesadzone. Jak już zaznaczyłem, znaczenie tego nowego nieprzyjaciela w owe czasy negliżowałem.

Jazda, jak wiadomo, w pojęciach nawet sprzed 1914 r. spadała coraz niżej w swym znaczeniu wojennym. Przeznaczono jej role pomocnicze, jak wywiady lub ochrona skrzydeł, nie dając jej nigdy samodzielnych rozstrzygających zadań. Wraz z rozwojem siły ognia podczas olbrzymich zapasów wojennych w Europie, rola jazdy spadła po prostu do zera. Konie oddawano artylerii, a kawalerzystów przekształcano pośpiesznie na piechurów. Wydawało mi się wprost niemożliwe, aby jako tako uzbrojona piechota z dodatkiem karabinów maszynowych i artylerii nie dała sobie rady za pomocą ognia z jazdą. Miałem zresztą oryginalne wspomnienia, gdy w roku 1916 Brygada moja Legionów, stojąca prawie izolowana na froncie, już przełamywanym dokoła mnie, została zaatakowana przez liczną jazdę rosyjską na polach pod Kostiuchnowką i Wołczeckiem. Prawie bez artylerii, bo strzelała tylko jedna bateria, w kilkanaście minut ogień piechoty i karabinów maszynowych zmiotł po prostu szarżę jazdy, która chciała przeszkodzić nam w spokojnym odejściu. Nie mogłem sobie wyobrazić w owe czasy, aby wypadki, których byłem świadkiem potem, mogły mieć miejsce. Z niedowierzaniem również przyglądałem się metodzie użycia jazdy nieledwie na sposób nomadów, sposób, przypominający mocno starodawne czasy, tak znane naszym praojcom, czasy najazdów tatarskich. Jazda, idąca - że tak powiem - bez zorganizowanych tyłów na dalekie przestrzenie, żywiąca ludzi i konie jedynie wyjadaniem, jak szarańcza, tego, co znajdzie na miejscu, ciągnąca za sobą zapasy amunicyjne na czas dłuższy, czego nie potrzebował wozic za sobą Tatar, uzbrojony w spisy i łuki, jazda taka, sformowana w samodzielną armię, wydawała się i wydaje mi się dotąd pewnym nonsensem strategicznym. Nie przypisywałem jej więc, powtarzam, wielkiego znaczenia i sukcesy jej na innych frontach sowieckich, o czym ogólnikowe miałem dane, przypisywałem raczej wewnętrznemu rozkładowi wojsk z nią walczących niż istotnej wartości tego sposobu wojowania. Nie widziałem też powodu do zmiany swego zdania i po pierwszych sukcesach jazdy Budionnego, które się zbiegły z końcem naszej kontrofensywy przeciwko p. Tuchaczewskiemu. Nie widziałem bowiem nigdzie wojsk naszych rozbitych przez nią. Pierwsze próby przekroczenia naszych ogólnych linii na wschód od Koziatyna zostały odparte przez części naszej 13 Dywizji. Nie dziwiłem się też wcale, gdy jazda Budionnego przerwała, że użyję, niezupełnie odpowiadającego określenia, nasz front, co było rzeczą łatwą, i znalazła się, niegłęboko zresztą, na naszych tyłach. Przypuszczałem, że uda się nam względnie łatwo, za pomocą wspólnego użycia piechoty i jazdy, rozbić choćby częściami jazdę Budionnego i zmusić ją do odwrotu. A wobec tego, że nie szło mi wcale o uparte trzymanie tej czy innej części zajętego terytorium, byłem zdecydowany manewrować swobodnie, nie wiążąc się wcale trzymaniem jakiegoś punktu tego czy innego kawałka ziemi. Niepokoilem się nieco gwałtowną paniką na tyłach, lecz nie spostrzegłem jeszcze żadnego większego wpływu, wpływu moralnego, na frontowych wojskach.

Dlatego też, gdy przy końcu naszej kontrofensywy na północy oceniłem sytuację i wyciągnąłem z niej konkluzję dla swych decyzji, przechodząc zbyt lekko nad działaniem Budionnego, postanowiłem, nie szukając w tej chwili decyzji na froncie północnym, postarać się skończyć możliwie szybko z jazdą Budionnego i przerzucić potem więcej sił na północ, by przejść do ostatecznej ofensywy tam, gdzie się zbierały największe siły nieprzyjaciela. Nie licząc zaś na szybkie, w najbliższym miesiącu, zorganizowanie się nieprzyjaciela na północy, gdzie świeżo poniósł porażkę, sądziłem, że nie reorganizując swego frontu północnego zdążę na czas z dodaniem nowych sił, by rozpocząć decydującą operację. Rzuciłem więc na południe jedną z lepszych naszych dywizji - 3, która wyszła do odwodu, i pozostawiłem gen. Szeptyckiemu urządzenie na razie frontu, który mi się wydawał w owe czasy tylko tymczasowym.

Rozdział czwarty

Po zatrzymaniu przeze mnie kontrofensywy na północy p. Tuchaczewski przystąpił do przygotowań dla nowego, silniejszego uderzenia. Rozdział, traktujący o tym przygotowaniu, napisany jest przez p. Tuchaczewskiego z wielkim zamięłowaniem i - jak widać z treści - z gruntownym znawstwem pracy i jej

rezultatów. Istotnie trzeba przyznać, że robota prowadzona była z wielkim rozmachem i dużym nakładem wysiłków i energii. W książce p. Sergiejewa zauważyć też można, że p. Tuchaczewski umiał energią swoją i celową pracą zarazić i swoich podwładnych. Ten piękny wysiłek dowodzenia świadczyć zawsze będzie o zdolności p. Tuchaczewskiego jako wodza zdatego do śmiałych pomysłów i energicznego ich wykonania.

Zatrzymam się nieco na pewnej części decyzji p. Tuchaczewskiego w sprawach organizacyjnych, miało to bowiem duży wpływ na jego pracę wojenną. Opieram się w tym wypadku głównie na danych wziętych od p. Sergiejewa. Mianowicie, idzie mi o podział sił i środków pomiędzy poszczególne armie, który został dokonany przez p. Tuchaczewskiego w przygotowaniach do decydującej operacji, zakończonych pod Warszawą. P. Tuchaczewski pod wszelkimi względami bardzo wyraźnie uprzywilejował jedną z armii, mianowicie 15.

Już poprzednio zaznaczyłem, że p. Tuchaczewski nie miał dobrej opinii o tych dywizjach, które rok cały walczyły poprzednio na naszym froncie i nabrały w przeciągu tego roku pewnego, że tak powiem, respektu dla nieprzyjaciela. Przejawiały one pewną w stosunku do nas trwogę (robość). Żadna z tych dywizji nie została wyznaczona do 15 Armii, a większość z nich została ugrupowana w składzie 16 Armii, stojącej naprzeciw naszej 4 Armii na Berezynie. Już przez to samo skazywał p. Tuchaczewski kierunek Iłumeń-Mińsk na odegranie podrzędnej, dodatkowej roli. To samo zrobił on z frontem poleskim, gdzie zostawił minimalne siły, zużyte już poprzednio w długich walkach prowadzonych bez powodzenia. Teraz, po niepowodzeniu majowej operacji, wyrzucił on najbardziej wstrząśnięte moralnie dywizje do 4 Armii, mającej operować na północ od 15 Armii, i do 3 Armii, sąsiadki południowej tejże wybranej Armii 15.

Według p. Sergiejewa uprzywilejowanie to dotyczyło się także wyekwipowania 15 Armii w znacznie wyższej mierze w środki pomocnicze. Czy to będą środki łączności, czy to środki przewozowe w postaci zebranych furmanek, czy to wreszcie wyposażenie poszczególnych dywizji w środki techniczne - zawsze 15 Armia otrzymywała najwięcej w porównaniu z innymi. Nawet pomimo że p. Tuchaczewski zbierał na skrajnym północnym skrzydle duży oddział jazdy, zwany 3 Korpusem Konnym, nie wzmocnił go osobną brygadą kawalerii, którą jednak pozostawił przy 15 Armii.

Takie postawienie sprawy z góry - że tak powiem - przesądzało, że w projektach p. Tuchaczewskiego największą rolę przeznaczano armii tak wyraźnie uprzywilejowanej. Czyniąc tę uwagę, nie szukam wcale słów krytyki, gdyż, rzecz prosta, dowódca koncypujący swoje plany i projekty musi mieć pełne prawo do doboru oddziałów wojsk odpowiednio do zadań mu stawianych oraz do wyposażenia ich w środki zgodnie z tymi zadaniami. Rzucił mi się jednak w oczy ten fakt, gdyż z przebiegu operacji, tak, jak ją widziałem ze strony przeciwnej, przypisywałem zawsze największą rolę najbardziej północnej 4 Armii. Dlatego też z pewną ciekawością śledziłem bieg pracy strony przeciwnej, szukając wszędzie udziału w niej uprzywilejowanej 15 Armii oraz powodów, dla których mogłem podczas operacji nabrać wrażenia nie odpowiadającego - jak widzę - zamiarom i celom dowódcy strony przeciwnej.

Poza tą uwagę, chciałbym jedynie zaznaczyć staranne i energiczne przeprowadzenie przygotowań dla możliwie szybkiego puszczania w ruch kolei za poruszającym się naprzód wojskiem. Energia, pod tym względem wykazana przez p. Tuchaczewskiego, zdumiewała mnie podczas operacji w lipcu i sierpniu 1920 r. Dość powiedzieć, że po zwycięstwie moim pod Warszawą znalazłem w Małkini - stacji o 80 km oddalanej od Warszawy - wagony szerokotorowe, zostawione przy pospiesznym cofaniu się nieprzyjaciela. To szybkie postępowanie naprzód z naprawą kolei i puszczaniem jej w ruch po dokonanych na niej przez nas ciężkich zniszczeniach, stanowić musi jedną z wielkich zalet naszego nieprzyjaciela.

A niechybnie zawdzięcza on to w znacznej mierze energii i przewidywaniu p. Tuchaczewskiego.

W ocenie sytuacji po stronie nieprzyjacielskiej przed główną swoją ofensywą jest p. Tuchaczewski tak skąpy w słowach i określeniach, że wydaje mi się nieprawdopodobne, aby w końcu czerwca miał z tą konieczną pracą tak mało kłopotu. Wydaje mi się, że ta lakoniczność jest wynikiem dwóch rzeczy. Po pierwsze - p. Tuchaczewski nie pisze historii i nie próbuje nawet starać się o historyczną ścisłość, po

wtóre - co mnie znowu wydaje się ściśle historyczne - p. Tuchaczewski patrzył przed rozpoczęciem nowej ofensywy w lipcu tymi samymi oczami, jakie sobie urobił w początkach maja. Stawiał sobie ten sam cel, chciał pracować tymi samymi metodami, ba - chciał nawet iść tymi samymi drogami. Różnicę widział tylko w tym, że tym razem był silniejszy i miał więcej środków do przeprowadzenia swego zamiaru. Sprawia on na mnie wrażenie wodza skłonnego do myślenia abstrakcyjnego, lecz obdarzonego wolą, energią i rzadko spotykaną u ludzi uporczywością w pracy według zakreślonych przez siebie metod. Wodzowie tacy rzadko są zdolni do szerszej analizy, gdyż związują się - że tak powiem - całym swoim jestestwem wyłącznie ze swoim jedynie zadaniem, lecz to daje gwarancję, że wziętą na siebie pracę będą wykonywać bez wahania.

I jeżeli p. Tuchaczewski dla tego wyłącznego zajęcia się sobą może znaleźć usprawiedliwienie w tym, że w wojnie z Polską wyznaczono mu główną rolę, to jednak - a powtarzam to po raz drugi - ta niechęć czy nieumiejętność analizy sytuacji na całym froncie niechybnie zwęziła znacznie horyzont jego myślenia w ciągu całej kampanii, dowodzonej przez niego.

Już przy analizie operacji majowej wskazywałem, że p. Tuchaczewski, opierając swe działania na rzekomo istniejącym w naszym rozkładzie strategicznym kordonie, omylił się i został rozbity przez przygotowane przeze mnie odwody. Przypuszczam nawet, że to zapatrzenie się w siebie wpłynęło i na końcowe niepowodzenie całej operacji, które spotkało p. Tuchaczewskiego pod Warszawą.

Siłami swoimi p. Tuchaczewski rozporządził bardzo zręcznie i każdy dostrzeże łatwo cechy wodza większej miary w śmiałym i konsekwentnym rozkładzie sił. Gdy raz zdecydował, zgodnie ze swoją koncepcją związaną z umiłowaniem "smoleńskich wrót", prowadzić przez nie główne uderzenie, nie zaniedbał niczego, by kosztem innych części swego frontu wzmocnić się w decydującym kierunku. Ze słuszną więc dumą stwierdza, że uzyskał w wybranym przez siebie miejscu, na północnym swym skrzydle, wielką przewagę nad nieprzyjacielem. Skupił tam trzy armie, z których jedną, właśnie w "smoleńskich wrotach", wyposażył najsilniej, dobierając do niej najlepsze swe wojska. Dalej, ku południowi, osłabiał swe siły czy to liczbowo, czy też dając tam słabsze duchem jednostki wojskowe. Wreszcie na skrajnym swym skrzydle nad Prypecią zostawił bardzo słabe siły, którym, pomimo ich słabości, nakazał dodatkowo okazać pomoc sąsiedniej ku północy 16 Armii w kierunku, jak on pisze, Głuska. Kierunek ten oznacza działanie wzdłuż szosy Bobrujsk-Słuck, a więc na północ od właściwego Polesia.

Co do nas, p. Tuchaczewski streszcza swoje zdanie krótko, mówiąc, iż jakkolwiek wzmocniliśmy w porównaniu z poprzednią operacją siły stojące na linii głównego jego uderzenia, to nie miało to charakteru określonego i zachowywało wszystkie cechy kordonu i pasywności. Przewagę, jak zupełnie słuszenie twierdzi p. Tuchaczewski, mieliśmy jedynie na "mało ważnym lewym (nieprzyjacielskim) skrzydle" kierunek Mozydzie według obliczenia postawił dwa razy mniejsze siły w stosunku do wojsk polskich tam zebranych. Ten rozkład sił p. Tuchaczewskiego, prawie odwrotny do rozkładu sił u nas, jest zgodny z główną zasadą wojny, głoszącą, że być silnym, to znaczy być silnym tam, gdzie walka się decyduje. Zasada, powtarzana tak często przez wszystkich, tak rzadko jednak jest urzeczywistniana w pracy wodzów, gdyż pomimo swej prostoty ma swe duże trudności przeważnie natury psychicznej. Na wojnie, jak słuszenie mówi jej wielki znawca, Napoleon, *le simple est le plus difficile*. Komplikuje tę prostotę zwykle słabość duszy wodzów, dająca w rezultacie chęć, by być silnym wszędzie, co będąc ideałem nieziszczalnym, w skutkach daje odwrotną rzecz - wszędzie słabość. Nie mogę zaprzeczyć, że tej częstej wady wodzów p. Tuchaczewski nie miał.

Nie mogę też zaprzeczyć słusznej w tym wypadku ocenie p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego wojsk, jemu przeciwstawionych. Był to w istocie kordon w najczystszej prawie postaci. Odwody były, lecz z wyjątkiem jakiegoś jednego lub drugiego pułku, wszystkie stały zgodnie z żądaniem p. Tuchaczewskiego o kilkanaście kilometrów za przednimi elementami wojsk polskich. Głębszych odwodów, zdolnych do kontrmanewrów, front północny nie posiadał wcale. Jak już powiedziałem, w takim czy innym urządzeniu frontu północnego, po zakończeniu kontrofensywy w początku czerwca, nie brałem wcale udziału. I chociaż jako naczelny wódz niechybnie ponoszę dużą dozę odpowiedzialności

i w tym wypadku, dla ścisłości historycznej stwierdzam, że północnym frontem zacząłem się zajmować w większym stopniu dopiero na krótko przed rozpoczęciem ofensywy przez p. Tuchaczewskiego, gdy wszystkie moje próby doprowadzenia do zwycięstwa nad jazdą Budionnego na południu kilkakrotnie spełzły na niczym. Mniej więcej pod koniec czerwca stało się dla mnie oczywistym, że szybkie uspokojenie na froncie południowym nie da się osiągnąć i że zatem poprzedni mój projekt, oparty na zneglizowaniu wartości jazdy, musi być zmieniony. Nie mogłem bowiem liczyć na bezzwłoczne wyciągnięcie wojsk z południa dla utworzenia manewrowej siły i próby decydującego uderzenia na północy.

Wobec tej zmiany w ocenie mojej, chcę w krótkich słowach streścić motywy, które mnie do tego doprowadziły, i dać konkluzję, do której doszedłem przed 4 lipca, to jest - dniem rozpoczęcia przez p. Tuchaczewskiego decydującej operacji. Jak już zaznaczyłem, nie nadawałem zbyt wielkiego znaczenia faktowi znalezienia się jazdy Budionnego na bliskich tyłach jednej części naszych wojsk na Ukrainie. Jazda Budionnego nie wykazała zbyt wielkiej aktywności w tej sytuacji, tak że pomimo iż już się znalazła na flance i nawet bezpośrednio w tyle, za lewym skrzydłem najbardziej południowej naszej 6 Armii, Koziatyn, gdzie to skrzydło było, stał przez dłuższy czas, nie odczuwając nacisku stojącej bardzo niedaleko armii konnej. Najbardziej izolowaną i na pół odciętą wydawała się 3 Armia stojąca w Kijowie i okolicach, gdzie dowodzący nią gen. Rydz-Smigły neglizując, tak jak prawie wszyscy w owym czasie, działanie jazdy nieprzyjacielskiej, upierał się wciąż przy żądaniu, aby łatwe, jak mu się zdawało, zadanie zlikwidowania jazdy będącej na jego tyłach zostało dokonane bez potrzeby wycofywania go znad Dniepru. Najciężej było dotknięte, słabe zresztą liczebnie, centrum frontu, do którego jednak wnet wysłano posiłki w postaci 3 Dywizji i trzech pułków rezerwowych, świeżo sformowanych.

Pierwsza więc moja próba polegała na zespoleniu oddziałów dla uderzenia na jazdę Budionnego, gdy stał jeszcze pomiędzy nimi w Żytomierzu i okolicach. Projekt ten spełził na niczym. Dałem wyraźny rozkaz gen. Śmigłemu, by porzuciwszy niepotrzebne w tej sytuacji stanie w Kijowie, odwrót swój skierował głównymi siłami wzdłuż szosy Kijów-Żytomierz, uderzając w ten sposób na główne siły Budionnego koło Żytomierza. Mógł być wtedy poparty w boju przez lewe skrzydło 6 Armii i zgrupowaną koło Koziatyna naszą jazdę. Nawet słabe poparcie od zachodu nadjeżdżających oddziałów mogło, zdaniem moim, być zaaranżowane. W niewytłumaczony dotąd dla mnie sposób depesza moja do gen. Śmigłego nie doszła i wycofał on swe wojsko w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż kolei Kijów-Korosteń-Sarny, to jest wzdłuż Polesia południowego, jak gdyby omijając starannie możliwości zetknięcia się z jazdą Budionnego. Zaznaczam, że przy tym manewrze jedna z dywizji, a mianowicie 21, wyszła na południowe Polesie pod Mozyrz, zwiększając w ten sposób siły nasze na - że powtórzę określenie p. Tuchaczewskiego - "mało ważnym" skrzydle armii będącej pod rozkazami gen. Szeptyckiego.

Po tym wypadku kilka prób zarządzonych przeze mnie, by zgrupować uderzenie na jazdę Budionnego z paru stron, tak by móc korzystnie wprowadzić w grę naszą słabszą znacznie w porównaniu z przeciwnikiem jazdę, zawsze spełzły na niczym z powodu jakiejś fatalnej niemożliwości zgrania kilku jednostek wojskowych do wspólnie czynionego manewru.

Ostatnią taką przed 4 lipca próbą były prawie komiczne wypadki pod Kownem, gdy raz 18 Dywizja z 6 Armii szła do ataku od południa, a 2 Armia w tym samym czasie wykonywała odwrót ku północy; odwrotnie zaś, gdy 2 Armia przeszła do natarcia i jej 1 Dywizja nocnym atakiem zdobyła Równe, 18 Dywizja już się znajdowała we wstecznym ruchu ku Dubnemu.

Nie mogę twierdzić, ażeby te śmieszne teraz kontredanse wpływały zanadto demoralizująco na samo walczące wojsko, gdyż poza niektórymi jednostkami większość wojsk walczących na południu zachowała w zupełności swą moralną siłę i wartość, i, nie zrażona niepowodzeniami, stawiała do walki raz po raz. Lecz niechybnie stałe niepowodzenie nie mogło się nie odbić i rzeczywiście się odbijało na ogólnym nastroju, wyrażającym się w myśli o konieczności wprowadzenia jakiejś nowej metody dla zatrzymania i zwyciężenia nieuchwytnego dotąd przeciwnika. Za taką metodę powszechnie uważano, z czym i ja się zgadzam, wprowadzenie w grę większej ilości jazdy i z naszej strony. Do zorganizowania

tego instrumentu walki przystąpiono też natychmiast z energią. Z góry jednak można było przypuszczać, że tak trudna rzecz łatwo i szybko zaimprovizować się nie da i że upłynie sporo czasu, nim efekt pracy będzie widoczny.

Najgorszy jednak wpływ tych wypadków dawał się spostrzec nie na samym froncie, lecz poza nim, na tyłach. Panika w miejscowościach nawet o setki kilometrów w tyle położonych wybuchała raz po raz, nieraz nawet w sztabach wyższych jednostek, rozszerzając się coraz głębiej i głębiej. Zaczynała pękać nawet praca państwowa, odczuwać w niej można było jakieś niepewne, chwiejne tętą. Obok nie uzasadnionych oskarżeń następowały chwile nieopanowanej trwogi z nerwowymi odruchami. Obserwowałem to stale naokoło siebie. Ten nowy instrument walki, jakim się okazała dla naszych nie przygotowanych do tego wojsk jazda Budionnego, stawał się jakąś legendarną, nieprzeczwycięzoną siłą. I rzec można, że im dalej od frontu, tym wpływ tej sugestii, nie poddającej się rozumowaniu, był silniejszy i bardziej nieodparty. Zaczynał się formować w ten sposób dla mnie najniebezpieczniejszy front, front wewnętrzny.

W takiej właśnie sytuacji pożegnałem się z poprzednio ułożonym projektem i, wiedząc meldunków i wywiadów o koncentracjach nieprzyjacielskich na północy, wykoncypowałem dla siebie bardzo ogólnikowy plan postępowania na froncie przeciwko p. Tuchaczewskiemu. Mianowicie, wobec stałego odsłaniania przez cofanie się południowego frontu prawego skrzydła wojsk, stojących na północ od Prypeci, zgodziłem się w myśli na dobrowolne, bez nacisku nieprzyjaciela, cofnięcie całego frontu północnego wstecz, mniej więcej do linii niemieckich okopów w centrum, wraz ze sformowaniem silniejszych grup manewrowych na obu skrzydłach. Nie chcę w tym miejscu poruszać kwestii, dla czego tego na czas nie uczyniłem, gdyż uczynię to później; stwierdziwszy jednak moją zasadniczą myśl, przechodzę do próby analizy szczegółowej otwarcia głównej kampanii roku 1920 przez natarcie wojsk sowieckich 4 lipca.

Rozdział piąty

Analiza pierwszych dni decydującej operacji p. Tuchaczewskiego, sprawiła mi bardzo dużo kłopotów. Natykałem się wciąż na coraz nowe sprzeczności, których wyjaśnienie zajęło mi sporo czasu. Jedne z tych sprzeczności wynikały z niedostatecznie uporządkowanych u nas dat i danych o działaniu wojsk w tym okresie, co pozwoliło się ustalić fałszywym i błędnym przedstawieniom rzeczy. Inne zaś sprzeczności wyrastały natychmiast, gdy porównywałem wszystko to, co pisze p. Tuchaczewski, z datami i danymi ustalonymi powoli przeze mnie co do naszych wojsk, a również z datami i danymi, które znajdowałem u p. Sergiejewa co do wojsk dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie te sprzeczności są tak rażące, a realna historyczna sytuacja była tak dziwaczna, że długo nie mogłem się pogodzić z faktami, szukając ustawicznie sprawdzianów swych poglądów w nowych szczegółach, dobywanych od poszczególnych uczestników walk z tego okresu. Dodam, że jeszcze i teraz, podając swoją analizę, nie mogę się pozbyć pewnych wątpliwości, gdyż znanadto jaskrawo przeczą one wszystkiemu temu, co mówi p. Tuchaczewski, którego nadzwyczajna abstrakcyjność pracy pomieszana jest z publicystyczną przesadą określić, jak: „rozgromiony”, „zmiażdżony” itd.

Gdy, przerzucając po kilka razy dziełko p. Tuchaczewskiego, chciałem nabrać pewnego poglądu na jego myśl przewodnią, przychodziłem zawsze do przekonania, że p. Tuchaczewski wytknął sobie daleko sięgający plan, oczekując od siebie i od dowodzonych przez siebie wojsk znalezienia ostatecznej decyzji daleko od miejsca, gdzie operacje rozpoczynał, usuwając przy tym starannie naturalne zresztą chęci szukania natychmiast lokalnych, częściowych powodzeń. Wszystko, co mówi p. Tuchaczewski przy przedstawieniu operacji zarówno majowej, o czym mówiłem wyżej, jak i lipcowej, zdawałoby się stwierdzać, że należy on do umysłów chociaż abstrakcyjnych, to jednak umięających szerzej i ogólniej patrzeć zarówno na teatr wojny, jak i na działania większych mas wojska. Widzieliśmy to już poprzednio, jeszcze bardziej cecha ta przejawia się w szerokim ujęciu jego rozważań, wciśniętym w części jego dzieła, mówiącym o operacji lipcowej. Tutaj właśnie, jak zaznaczyłem wyżej, pomieszcza on

najpiękniejszą może część swojej pracy, gdy szuka rozstrzygnięcia problemu prowadzenia większej ilości wojska na wielkich przestrzeniach w ofensywnej operacji.

Odkładając rozpatrzenie ze swojej strony tych poglądów p. Tuchaczewskiego zaznaczę, że widzi on wyjście w nagromadzeniu, jak się wyraża, mas taranowych, które muszą nieraz zmieniać kierunek swego ruchu, zależnie od działań przeciwnika, stawiającego próby oporu atakowi w tym czy innym miejscu, chociażby nawet połączone to było czy ze stratą czasu, czy z przedwczesnym wykryciem przez nieprzyjaciela zasadniczej myśli operacyjnej. Jest to, jak on mówi, jedyny sposób dla porównania przeciwuderzeń przeciwnika, który może wycofać swoje wojsko dla zorganizowania kontrataku. Przy przedstawieniu tej rzeczy widać na p. Tuchaczewskim wpływ początków kampanii 1914 r. we Francji, a p. Tuchaczewski zachęca, by na przykładzie naszej (sowieckiej) kampanii przeciw Białopolakom w 1920 roku z wielką korzyścią prześledzić kwestię wykorzystania mas taranowych. Opiera się on w tym wypadku na pewniku, że w tegoczesnych operacjach niepodobna zniszczyć siły nieprzyjaciela jednym szybkim uderzeniem i ruchem.

Jakżeż byłem zdumiony, gdy u p. Sergiejewa przeczytałem (str. 31 l.c.), że w ostatnich dniach czerwca p. Tuchaczewski osobiście odwiedził wszystkich dowódców armii i nakazał przepracować w szczegółach plan, który miał doprowadzić w razie powodzenia do okrążenia części naszych sił, zgrupowanych w okolicy Hermanowicze-Łużki-Głębokie. Więc plan dla działań 4 lipca sprowadzał się do lokalnego czysto powodzenia, mającego na celu zrobienie małego Sedanu dla kilku naszych dywizji. P. Sergiejew, zastanawiając się nad tym planem, podaje nawet graficzne szkice, przedstawiające jasno, na czym on polegał. Mianowicie, 15 Armia, jak wiemy złożona z najlepszych sił i najlepiej uposażona, miała atakować ten mały Sedan w Hermanowiczach i Głębokiem z frontu, natomiast sąsiednie dwie armie, 4 i 3 miały być jak gdyby prawym i lewym ramieniem, wyrzucającym ręce od północy i południa na tyły Głębokiego i Hermanowicz dla odcięcia wszystkich dróg odwrotu. P. Sergiejew stwierdza, że dla tego planu centrum (15 Armia) było za silne, a skrzydła za słabe, i temu rozkładowi sił, który zresztą usprawiedliwia brakiem czasu, słusznie przypisuje nieudanie się planu (str. 32, 33 l.c.). Lecz gdzież tu jest taran, gdzie wreszcie operacja o szerokich i wielkich celach? Jak zobaczymy przy analizie, skrzydła nie wypełniły swego zadania, lecz p. Sergiejew stwierdza, że jeszcze w nocy z 5 na 6 lipca otrzymał on od p. Tuchaczewskiego dyrektywę, wskazującą na konieczność natężenia wszystkich sił, by do nocy z 6 na 7 lipca odciąć drogę cofającemu się nieprzyjacielowi w rejonie Osinogródek-Kuryłowicze (20-30 kilometrów na zachód od Głębokiego) (str. 50 l.c.). Więc jeszcze na trzeci dzień operacji armia północna (4) ma to samo sedańskie zadanie.

Zdumienie moje jeszcze bardziej się powiększyło, gdy przechodząc dzień po dniu działania głównej siły p. Tuchaczewskiego - 15 Armii - dostrzegłem, że już od trzeciego dnia operacji, a może nawet w drugim dniu, zaczęła się ona grupować nie do trwania w pracy o stylu Sedanu, lecz do robienia tarami dla dalszych operacji. Ten dziwny rozdźwięk podczas pierwszych paru dni operacji nie był wywołany przez działania naszych wojsk, gdyż jedyną aktywną grupą, działającą jeszcze w przeciągu 5 i 6 lipca, była najbardziej północna grupa gen. Żeligowskiego, złożona z dwóch dywizji (10 i 8), która, me otrzymawszy rozkazu o odwołaniu, z małymi zresztą bojami straży tylnych miała do czynienia i była w kontakcie jedynie z 4 północną Armią sowiecką, więc nie oddziaływała wcale na akcje 15 Armii. Reszta zaś sił - grupa gen. Jędrzejowskiego - odchodziła spokojnie, prawie bez zetknięcia z przeciwnikiem w kierunku południowo-zachodnim na Mołodeczno. Oryginalny Sedan!

W ogóle pierwsze dni operacji lipcowej p. Tuchaczewskiego zasługują na szczegółową analizę.

Wpłynęły one bardzo silnie na zasadnicze ugrupowanie naszych polskich sił, na przebieg całej operacji z naszej strony prawie aż do Warszawy, a obok tego, wobec wyżej wyłuszczonego rozdźwięku w ideach operacyjnych p. Tuchaczewskiego, mającego inicjatywę w tym wypadku, dają one charakterystyczny obraz tego, co zwykle nazywam komedią pomyłek i niezrozumienia się wzajemnego przeciwników. Jak zwykle w takich wypadkach bywa, nawet nazwy takich bitew są sprzeczne. Dowódca naszych sił na tym froncie, gen. Szeptycki, w swoim usprawiedliwieniu się nazwał ją, zgodnie ze swym ciężeniem do liniowych rozkładów, bitwą na Aucie, maleńkiej rzeczce, którą z trudem znaleźć można na mapie i której

to nazwy nie spotkałem wcale ani razu u p. Tuchaczewskiego ani u p. Sergiejewa. Widocznie nie przypuszczali wcale, że ta Orzechowna, tym razem rzeczna, gra dla ich przeciwnika wielką rolę. P. Sergiejew uważa tę bitwę za nieudany Sedan pod Głębokiem, czego znowu nikt z naszej strony nie rozumiał, a najczynniejszy aktor w tej bitwie, gen. Żeligowski, jak mi niedawno jeszcze mówił, zastanawiał się, czy czasami źle nie zrobił, nie uderzwszy na ów Sedan-Głębokie, gdy to zostało już zajęte przez nieprzyjaciela; nie mając bowiem na sobie nacisku, czuł się zupełnie swobodnym w decyzjach. Sam zaś p. Tuchaczewski, zadowolony z posiadania, już teraz zupełnie pewnego, „smoleńskich wrót” przeszedł łatwo do porządku dziennego nad ochrzczeniem ze swej strony tego dziwactwa wojennego, gdyż już 7 lipca wyjaśnił z zupełną pewnością, że „oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione” (str. 173). Taką bitwę warto zanalizować szczegółowiej.

Zaczynam od północnej 4 Armii, dowodzonej przez p. Sergiejewa. Zgodnie z sedańskimi zamiarami p. Tuchaczewskiego, zostawia on na lewym swoim skrzydle 18 Dywizję, dając jej rozkaz za pomocą natarcia zatrzymać odwody przeciwnika w tym rejonie. Resztę zaś swoich sił, tj. 12 i 53 Dywizję oraz 164 Brygadę, ściąga na wąski przesmyk pomiędzy Dźwiną a błotnistym jeziorem Jelnia, przesmyk nie przewyższający 10 km (według p. Sergiejewa 4 wiorsty), z zadaniem przerwania tutaj frontu przeciwnika i skrócenia natychmiast całą piechotą wyraźnie na południe na Hermanowicze i Szarkowszczyznę oraz rzucenia kawalerii na razie ku zachodowi na głębokie tyły przeciwnika. Wobec tego, że p. Sergiejew pisze o rozpoczęciu bitwy huraganowym ogniem artylerii, zaznaczam, że skupił on na tym odcinku 70 dział lekkich i 8 ciężkich. P. Sergiejew streszcza pogląd na swoje zadanie w sposób następujący: „Wobec tego, że powodzenie manewru 4 Armii wymagało szybkości wykonania, a dane o przeciwniku wskazywały, że między Dźwiną a jeziorem Jelnia znajduje się tylko jeden pułk piechoty i kilkuset ułanów, postawiono jednostkom grupy aktywnej zadania, wymagające po przzerwaniu nieprzyjaciela przejścia:

dla jazdy 40 wiorst pierwszego dnia i 24 wiorsty drugiego;

dla 164 Brygady 27 wiorst pierwszego dnia, 24 wiorsty drugiego;

dla 53 Dywizji 29 wiorst pierwszego dnia, 30 wiorst drugiego;

dla 12 Dywizji 22 wiorsty pierwszego dnia, 18 wiorst drugiego. Takie przestrzenie można było przewidzieć po przzerwaniu przeciwnika jako ruch kolumnami, gdyż słaby przeciwnik powinien był być rozpylony od naszego uderzenia, a odwodów widocznie tu nie miał”

(str. 43 l.c.).

W istocie stał tutaj niecały 33 pułk, który jeden batalion miał w dalekim względnie odwodzie. Natarcie rozpoczęło z powodu mgły dopiero o 8 godzinie (Patrz szkice nr 1, 2, szkice na końcu książki) rano, po przygotowaniu go huraganowym ogniem, trwającym pół godziny. Pierwsze, słabo widocznie obsadzone, linie zostały zajęte już o godzinie 9. Odtąd posuwanie się p. Sergiejewa poszło tak powoli i z takim oporem, że po całym szeregu kontrataków z naszej strony, dopiero koło godziny 4 po południu zmęczone bojem nasze 2 bataliony rozpoczęły szybki odwrót. Dopiero koło szóstej wieczorem dywizje i jazda p. Sergiejewa mogły się ściągnąć w kolumny i rozpocząć nakazany marsz. Nic dziwnego, że ani jedna z jednostek nie mogła wypełnić swego zadania, co ze smutkiem konstatuje p. Sergiejew (str. 46 l.c.). Ta bohaterska obrona dwóch batalionów naszego 33 pułku przeciwko dwóm i pół dywizjom przeciwnika podtrzymywaną była, zgodnie z naszymi danymi, zaledwie przez 10 dział 8 Dywizji, do której pułk należał. Zniweczyła ona prawie, albo co najmniej zrobiła wątpliwą, zamierzoną operację o sedańskim stylu, zatrzymując główne siły 4 Armii w ich zamiarze szybkiego wyjścia na tyły i skrzydła naszych wojsk, walczących dalej na południu.

Z przyjemnością zaznaczam ten fakt ze źródeł naszego przeciwnika, gdyż nieraz u nas przy doraźnych analizach ówczesnych bojów zarzucano zarówno temu pułkowi, jak i całej 8 Dywizji, że dopuściły do przejścia jazdy nieprzyjacielskiej, która nam w przeciągu całej operacji do Warszawy jak najwięcej zaszkodziła. P. Sergiejew wyraźnie konstatuje, że uporczywy opór silnie zatrzymywał rozwój ich

powodzenia i dopiero koło 16 godziny opór polski został złamany. Dodam, że ani jedno nasze działo nie zostało w rękach nieprzyjaciela.

Na sąsiednim odcinku 18 Dywizja - a p. Sergiejew uważał ją za najlepszą - spędziła cały dzień w bezskutecznych zupełnie atakach na jedną z brygad naszej 10 Dywizji. P. Sergiejew spokojnie stwierdza, że pomimo ciężkich strat dywizji i względnie wielkiego wydatku amunicji (300 naboju na lekkie i 50-80 na ciężkie działo) natarcie 18 Dywizji zostało odparte (str. 47 l.c.). Pierwszy więc dzień dla 4 Armii skończył się względnym niepowodzeniem, gdyż oddalił możliwość wykonania sudańskich zamiarów i nie zużył żadnej części naszych odwodów, które w tym miejscu stanowiły trzy pułki 8 Dywizji. Te, zgodnie z naszymi danymi, bez rozkazu większością swych sił ruszyły ku północy w stronę Pohostu i jeszcze dalej na północ dla osłony zagrożonego skrzydła.

Dalej na południe atakowała 15 Armia mając rozciągnięte w linii cztery dywizje. Natarcie prowadzone było na rozciągłości mniej więcej 50 km i spotkało również rozciągnięte w długiej linii: naszą 11 Dywizję na południowym odcinku, brygadę 5 Dywizji i VII Rezerwową Brygadę na północnej części atakowanej przestrzeni. W odwodzie za nimi stała zgrupowana 17 Dywizja, której bez pozwolenia dowódcy frontu w Mińsku nie wolno było użyć. Perypetie tego boju z trudem dają się wyjaśnić w jego szczegółach. Faktem jest, że na południowym odcinku wojska sowieckie poszły szybciej naprzód niż na północnym. Mianowicie na południe od kolei Połock-Mołodeczno wojska p. Tuchaczewskiego doszły w walce do rzeczki Mniuty, zrobiwszy mniej więcej 8 km od spotkania z pierwszymi naszymi liniami. Na północ zaś od tej kolei, gdzie walczyła większość 15 Armii, pomimo pierwszych powodzeń wojska sowieckie zostały zatrzymane przez kontrataki zarówno naszej 17 Dywizji od południa, jak i 10 Dywizji od północy, które zatrzymały ruch atakujących sił tak, że w końcu dnia przestrzeń, przebyta przez natarcie, nigdzie nie przewyższała 3-4 km. To względne powodzenie głównych sił p. Tuchaczewskiego nie odgrywało zresztą tak wielkiej roli dla sudańskiego planu, gdyż centrum w tym wypadku mogło postępować wolniej, a miało za sobą to powodzenie, że ściągnęło ku sobie nasze odwody. Z wojsk naszych duża część po tym dniu boju została prawie zupełnie zużyta, tak że na długo stała się niezdolna do dalszej walki. Tyczy się to brygady 5 Dywizji i VII Brygady Rezerwowej. Oprócz tego pozostawiono w rękę nieprzyjaciela niewielką zresztą ilość materiału artyleryjskiego.

Sowiecka 3 Armia atakowała dalej na południe aż do Berezyny, uderzając częścią swoich sił na część naszej 11 Dywizji, a trzema dywizjami prowadząc silne natarcie na brygadę I Dywizji Litewsko-Białoruskiej, z rozkazem zajęcia już 5 lipca Dokszyce, oddalonych od frontu w linii powietrznej o 25 km, z tym, że już 6 lipca zarówno kolej Połock-Mołodeczno, jak i drogi odwrotu w kierunku południowo-zachodnim miały być dla nas odcięte. Rezultatem dnia tego było, że po nadzwyczajnie ciężkich, całodziennych bojach, siły sowieckie nigdzie nie przebyły więcej niż 7 do 8 km drogi i bodaj największym rezultatem walki tego dnia, prawdopodobnie nie zauważonym przez przeciwnika, była przerwa kontaktu i łączności pomiędzy 11 Dywizją na północy i I Dywizją Litewsko-Białoruską na południu. Natomiast rzeka Berezyna, która stała w oddaleniu 4-6 km od frontu jako przegroda na drodze do Dokszyce prawie nigdzie przez nieprzyjaciela nie była przekroczona. Znowu więc, jak na północy, skrzydło mające szybkim ruchem przeciąć drogi odwrotu nieprzyjaciela ku południowemu zachodowi, zostaje w ruchu zatrzymane pomimo wielkiej przewagi sił, jaką w stosunku do dywizji litewsko-białoruskiej posiada. Sudański manewr i tu, jak na lewym skrzydle, zawisł w powietrzu. Tu jest nawet gorzej, gdyż p. Sergiejew na północy zdążył jednak po uporaniu się z pierwszą przeszkodą ku wieczorowi zaznaczyć swój ruch na flanki i tyły nieprzyjaciela, podczas gdy cała 3 Armia stała właściwie wieczorem 4 lipca w jednej długiej linii z centrum frontu - 15 Armia.

Jeśli, jak widzieliśmy, celem wojsk p. Tuchaczewskiego było szybkie okrążenie naszej I Armii w okolicy Hermanowicze-Głębokie, to znowu celem walki prowadzonej przez nas było po prostu odparcie ataku nieprzyjacielskiego i restytucja sytuacji sprzed 4 lipca. Wszystkie rozkazy, czy to dowódcy frontu w Mińsku, czy ro dowódcy I Armii w Wilejce, czy wreszcie dowódców grup na odcinkach, nie pozostawiają pod tym względem żadnych złudzeń. Stąd cały dzień 4 lipca schodzi na próbach różnego rodzaju drobnych i większych kontrataków, mających na celu wyrzucenie przeciwnika poza linie

zajmowane rano tegoż dnia. Bitwa prowadzona była z naszej strony mniej więcej tak, jak się ją prowadziło w czasach wojny okopowej. Wszystkim zaś próbom przeciwnatarć, w rozmaitym czasie i w różnych miejscach czynionym, przyświeca nie co innego, jak „osiągnięcie poprzedniej sytuacji”. Słowo to i określenie powtarza się dziesiątki razy jako charakterystyka celu, dla którego nasza I Armia dnia 4 lipca walczyła na rozległym stukilometrowym froncie. Cel ten na całej tej przestrzeni osiągnęła właściwie tylko nasza 10 Dywizja, która nie dała się zepchnąć ze swej pozycji i dzień zakończyła w stosunku do zadań sobie postawionych zwycięsko. Natomiast wszędzie gdzie indziej wojska nasze musiały odczuwać wrażenie przegranej, gdy w ciągu całego dnia ciężkich bojów, w których poza 8 Dywizją na skrajnej północy brały już udział wszystkie nasze siły, cel postawiony bojowi - osiągnięcie poprzedniej sytuacji - okazał się niemożliwy do osiągnięcia.

Pierwszy więc dzień boju 4 lipca zakończył się dla obu stron brakiem satysfakcji w osiągnięciu zamierzonych celów. P. Tuchaczewski dla zamierzonego Sedanu nie postąpił daleko naprzód, natomiast nasza I Armia, wobec wielkiej przewagi nieprzyjaciela i nieposiadania już odwodów, zważyć musiała w możliwość spełnienia postawionych sobie zadań. Lecz świt dnia 5 znalazł obu przeciwników z nie zmienionymi dotąd celami pracy i zadaniami boju.

Na północy 4 Armia p. Sergiejewa posuwa się dalej w zamierzonym kierunku prawie w próżni, gdyż dwa bataliony 33 pułku, straciwszy w walce poprzedniego dnia bardzo dużo, szybko wycofały się bez zetknięcia się z nieprzyjacielem nie w kierunku swojej dywizji na południe, lecz wprost na zachód, tak że w dalszych perypetiach boju swojej dywizji nie brały zupełnie udziału. Pierwsze zetknięcie z nieprzyjacielem nastąpiło dopiero po południu 5 lipca, gdy, jak oświadcza relacja naszej 8 Dywizji, pod Pohostem i dalej ku północy miała ona w tym czasie walki ze strażami przednimi nieprzyjaciela.

Potyczki te, pomimo swojej nieznacznosci, zatrzymały większość sił sowieckich w dalszym marszu. P. Sergiejew skarży się specjalnie na swoją 53 Dywizję, która w dniu tym nie tylko nie doszła do Szarkowszczyzny, jak to jej było nakazane, lecz nawet pod wpływem tych nieznacznych walk zmieniła zupełnie front z południowego na zachodni. To samo okazało się i dla sąsiedniej 12 Dywizji, której silne prawe skrzydło i odwodowa brygada zatrzymały swój front z południowego na zachodni. Sedan stanowczo nie uśmiechał się wojskom p. Sergiejewa.

P. Tuchaczewski o dniu tym w 4 Armii pisze z pewną nonszalancją - mianowicie twierdzi, że części 8 Dywizji "zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i straciły wszelką zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły osiągnąć w tych okolicznościach" (str. 173). P. Sergiejew jest skromniejszy i twierdzi tylko, że bez względu na wyraźną słabość przeciwnika, którego należało dobić i rozpędzić, wojska rozwijały się kilka razy w kierunku prawego swego skrzydła i wreszcie zupełnie nie wypełniły swego zadania na 5 lipca (str. 49 l.c.). Dodam, że w pojęciu p. Sergiejewa, a więc prawdopodobnie i p. Tuchaczewskiego, większa część 8 Dywizji, która wcale w dniu 5 lipca nie brała udziału w bojach, była już rozbita. Tak silnym był opór dwóch batalionów 33 pułku, że nieprzyjaciel w swoich relacjach i obliczeniach zwiększał nasze siły, czyniąc z boju dwóch batalionów bój większej części 8 Dywizji. P. Sergiejew dodaje, że „sytuacja obchodzącej grupy zaniepokoiła sztab frontu i dyrektywa, dana w nocy z 5 na 6, wskazywała na konieczność zrobienia wszystkich wysiłków, by do nocy z 6 na 7 lipca odciąć drogę cofającemu się przeciwnikowi w rejonie Osinogródek - Kuryłowicze. Ostatni wysiłek sudański!

Tymczasem dnia tego gen. Zeligowski nakazał od świtu wycofać 10 Dywizję na rzekę Mniutę dla wyrównania swego frontu z sąsiadami z prawa. Zgodnie z relacją tej dywizji od świtu 5 lipca dywizja bez żadnego trudu i bez nacisku wycofała się na Mniutę, zajmując w okolicach Łużek oba brzegi rzeczki, zaś 8 Dywizja koncentrowała się w okolicach Pohostu. W tym cofnięciu 10 Dywizji ze stanowisk, utrzymanych zwycięsko dnia poprzedniego, jest już element niewiary, by dzień 5 lipca dał to, czego nie osiągnięto dnia poprzedniego. Przejdźmy do centrum, do działań 15 Armii sowieckiej.

Armia ta w ciągu 5 lipca idzie naprzód niezwykle powoli, znacznie (Patrz szkic nr 3) wolniej, niż to było dnia poprzedniego, a już dzień 4 lipca nie był, jak widzieliśmy, rekordowym dniem pod względem przestrzeni, którą armia przeszła. Na szkicu p. Sergiejewa przedstawiona jest ona w ten sposób, że

południowe dywizje (11 i 33) minęły rzekę Mniutę, do której doszły dnia poprzedniego, zaledwie o parę kilometrów. Północna zaś grupa (dywizje 54 i 16) doszła dnia tego do tej rzeczki, nie mijając jej wcale. W relacjach wojsk naszych, walczących przeciwko 15 Armii, nie znalazłem żadnego zrozumiałego dla mnie powodu, którym bym mógł wyjaśnić to zjawisko. Pomimo iż ostatni rozkaz naszej 1 Armii z dnia 4 lipca nakazywał dalszy kontratak dla osiągnięcia poprzedniego celu, wojska nasze właśnie od świtu prowadzą tylko boje o charakterze straży tylnych, grupując się właściwie do odwrotu. Niektóre grupy wspominają jedynie o boju artylerii, przykrywającej odwrót, i tylko najbardziej północna grupa, część 10 Dywizji w Łużkach, na którą wyjść musiała 54, najbardziej północna dywizja 15 Armii, wspomina o ciężkich bojach, które miała po południu 5 lipca na wschodnim brzegu rzeczki Mniuty.

To samo dzieje się w sąsiedniej 3 Armii sowieckiej, która, po gwałtownych natarciach dnia poprzedniego, zaczyna poruszać się wolno, nie spiesząc wcale do sedańskiego celu, nakazanego uprzednio. W dniu tym wisi nad całym długim placem boju jak gdyby jakiś kryzys bojowy oraz brak decyzji i obustronnej energii.

Inicjatywę w decyzji wzięła w swe ręce wreszcie nasza strona. Koło południa dowódca 1 Armii, po porozumieniu się z dowódcą frontu, nakazał odwrót. Pierwszy punkt jego rozkazu głosi: "Sytuacja na froncie 1 Armii wymaga cofnięcia jej, odłączenia od nieprzyjaciela i przeprowadzenia ugrupowania na nowej linii celem przejścia do kontrakcji".

Rozkaz wobec sytuacji ówczesnej nie dochodzi jednocześnie do wszystkich wojsk, a najbardziej północna grupa pod dowództwem gen. Żeligowskiego nie otrzymuje go wcale. Pierwszy otrzymuje go gen. Rządkowski w Dokszytach o godzinie 13 minut 45 i nakazuje podwładnym mu dywizjom, 1 Litewsko-Białoruskiej, odmarsz z oderwaniem się od nieprzyjaciela w kierunku południowo-zachodnim, ogólnie na Mołodeczno. Wykonanie tego rozkazu przez grupę gen. Rządowskiego otwiera zupełnie od południa dnia 5 lipca wszystkie drogi marszu w kierunku zachodnim dla oddziałów sowieckich w całej 3 Armii i dużej części 15 Armii na jej odcinku południowym, dotąd najdalej w kierunku zachodnim zaawansowanym. Następna ku północy grupa gen. Jędrzejewskiego rozkaz o cofaniu się i oderwaniu od nieprzyjaciela otrzymała, że tak powiem, częściami w różnych porach dnia. Sam gen. Jędrzejowski świadczy, że rozkaz otrzymał dopiero późnym wieczorem 5 lipca. Grupa ta, złożona z 17 Dywizji oraz z VII Rezerwowej Brygady Wielkopolskiej i brygady 5 Dywizji, znajdowała się właściwie już od rana w odwrocie, krytym przez słabe straże tylne i artylerię, w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu - wyraźnie ku zachodowi wzdłuż głównej drogi Głębokie - Dumłowicze i dalej w kierunku Wilna: czy przez Postawy i Świeciany, czy też przez Świr i Michałiszki. Gen. Jędrzejowski zajęty był zorganizowaniem tego odwrotu i ułożeniem ruchu wielkiej ilości taborów i bagażów na Dumłowicze. Tam właśnie wieczorem zastał go rozkaz. Odwrót w tym naturalnym i już organizującym się kierunku byłby dla całej grupy bardzo łatwy i nie zostawiłby najbardziej północnej części naszej armii pod dowództwem gen. Żeligowskiego, stojącego jeszcze w boju pod Łużkami i Hermanowiczami, w sytuacji zupełnie izolowanej. Rozkaz jednak gen. Szeptyckiego chciał inaczej. Łamał on naturę rzeczy i nakazywał całej grupie gen. Jędrzejewskiego ściągać się ku południowi na osłonę skrzydła naszej 4 Armii, która już miała zaczynać swój nie wymuszony odwrót. W ten sposób grupa gen. Jędrzejewskiego, najbardziej zużyta w poprzednich bojach, miała dokonać w biały boży dzień nadzwyczaj trudnej operacji wojennej, flankowej defilady wzdłuż frontu nieprzyjaciela, dotąd zwycięskiego. Zamiast zaś zerwać, zgodnie z pisemnym punktem rozkazu, kontakt z wrogiem, co nastąpić może jedynie przez szybki ruch wstecz, musiała dokonać złożonego manewru zmiany naturalnego kierunku i iść na nowy kontakt z nieprzyjacielem, zbliżając się doń z każdą godziną swego marszu. Większość bowiem sił gen. Jędrzejewskiego dla dokonania żądanego odwrotu musiała iść w kierunku południowo-wschodnim, tzn. w kierunku nieprzyjaciela. Jeżeli kiedykolwiek w ciągu tych dwu dni boju ta część armii naszej była narażona na tak pożądane dla p. Tuchaczewskiego "zmiażdżenie", "rozpylenie" i "doszczętne rozbicie", to właśnie w popołudniowych i wieczornych godzinach 5 lipca, gdy wykonywała ten dziwaczny manewr, osłabiający w dodatku i resztę naszej armii, zwycięskiego dotąd gen. Żeligowskiego. Oto, np. krótki opis manewrującego w ten sposób I batalionu 69 pułku piechoty z 17 Dywizji, który ostatni opuszczał

Głębokie. Odmarsz nastąpił po południu dnia 5 lipca. Batalion maszerował traktem Głębokie-Porpliszcz, gdzie na przestrzeni prawie 20 km szedł pod ogniem dalekim artylerii, który go bił ze wschodu. Toteż batalion rwał nieledwie galopem. Wyszedłszy z Głębokiego po południu, już pod wieczór był w Porpliszczach, mając w swoich kościach dwudziestoparokilometrowy marsz, by jeszcze dalej w nocy przejść kilkanaście kilometrów do Parafianowa. Gen. Jędrzejowski wskutek swego nienaturalnego odwrotu znalazł się w niezwykle kłopotliwej sytuacji, gdy skierowawszy już tabory i bagaże w kierunku zachodnim, musiał wojsko przerzucać w kierunku prawie południowo-wschodnim. Twierdzi on w swojej relacji, że skutkiem tego oddziały w wielkiej swej części pozostały w ciężkich warunkach bojowych bez taborów, a nieraz nawet bez kuchni polowych.

Jeżeli ten nieszcześliwy rozkaz nie wzmocnił sytuacji naszej na północy, to niechybnie cała grupa gen. Jędrzejowskiego uratowana została nie przez co innego, jak przez zaznaczoną wyżej beczynność u nieprzyjaciela. Ani południowa część 15 Armii, ani cała 3 Armia nie próbują nawet wyzyskać sytuacji i dopuszczają do defilady nieostrożnej grupy gen. Jędrzejowskiego wzdłuż swego frontu, czynionej w biały boży dzień po południu dnia 5 lipca. Karcą go niekiedy za ten nierozsądny manewr jedynie dalekim ogniem artylerii. Bankructwo zamierzonego Sedanu święci tu swój jaskrawy tryumf.

Jeszcze oryginalniejszy jest sposób wyjścia z Sedanu grupy gen. Żeligowskiego, najbardziej północnej i najbardziej na los sedański narażonej. Do końca dnia 5 lipca bije się ona najlepiej ze wszystkich grup 1 Armii i, jak zwykle to się dzieje przy porażkach, dzieli los najtęższych, bo znajduje się w najgorszym położeniu. W dodatku rozkaz o odwrocie nie dochodzi do niej wcale. Czuje ona tylko już od południa 5 lipca, że dokoła niej dzieje się coś niesamowitego. Za prawym jej, południowym skrzydłem, atakowanym na wschodnim brzegu Mniuty pod Łużkami, znika wszelki nasz opór. Oddziały 10 Dywizji, które tu zwycięsko odpierają nieprzyjaciela, już pod wieczór mają na swych tyłach patrole i drobne oddziały nieprzyjacielskie. Na całym zaś froncie 10 Dywizji na Mniucie i 8 Dywizji w okolicach Pohostu odczuwa się nacisk zbliżających się większych sił nieprzyjacielskiej 4 Armii p. Sergiejewa. Gen. Żeligowski w tej sytuacji zdecydował wykonać odwrót jeszcze nocą na 6 lipca i wyjść zbliżając się do grupy gen.

Jędrzejowskiego, którą spodziewał się znaleźć w odwrocie w okolicach Duniłowicz. Marsz nocny był szybki, chociaż uciążliwy. Nie ścigany i nie napierany przez nieprzyjaciela, gen. Żeligowski rano dnia 6 lipca ściągnął całą 10 Dywizję w okolicy Mosarza, gdy 8 Dywizja ciągnęła jeszcze po długim marszu od Szarkowszczyzny ku południowi. Gen. Żeligowski zastał tutaj zupełną pustkę - ani swoich, ani nieprzyjaciela. Zaniepokojony prawdopodobnie tą pustką, po krótkim wypoczynku ruszył gen. Żeligowski do Duniłowicz, gdzie przyszedł pod wieczór, nie spotykając nigdzie nieprzyjaciela, nie mając również żadnego z jego strony (Patrz szkic nr 4) nacisku skądkolwiek. 8 Dywizja poruszała się w ten sam sposób nieco bliżej ku zachodowi, kierując się bezpośrednio na Postawy. Dwie dywizje dzień cały maszerowały w próżni - ani swoich, ani nieprzyjaciela. Gdziekolwiek prawdopodobnie spotykano spóźnionego taborytę, popędzającego strudzone konie, z kierunkiem na zachód. Gdziekolwiek w przydrożnych rowach leżał złamany wóz lub zdychający koń, zwykle świadectwo minionej burzy wojennej przy spieszonych odwrotach. Ludność miejscowa prawdopodobnie twierdziła, że nasi już dawno przeszli, a nieprzyjaciela dotąd nie ma. Gen. Żeligowski w dniu tym musiał sobie setki razy zadawać pytanie, gdzie są swoi, a gdzie nieprzyjaciel? Nacisku od północy, od armii p. Sergiejewa nie odczuł wcale w ciągu dwóch dni boju. Bił się dwa dni z frontem na wschód, z takim samym frontem biła się również cała 1 Armia. Wiedział, że tam się działo coś niedobrego, że wtedy, gdy jeszcze wieczorem dnia poprzedniego pod Łużkami i niedaleko od Hermanowicz toczył boje, na południu bój umilkł, i że miał z tego powodu zagrożone prawe swe skrzydło. Teraz więc, idąc ku południowi, defilowałby przed frontem nieprzyjaciela, gdyby ten szedł tak, jak atakował - na zachód. Tymczasem z tej właśnie strony nic w przeciągu dnia całego mu nie groziło. Nic więc dziwnego, że gdy wieczorem i wśród niespokojnej nocy w Duniłowiczach namyślał się nad swą sytuacją, przyszedł do przekonania, że jest właściwie na tyłach nieprzyjaciela, który całą swą masą ruszył na południowy wschód w kierunku Mołodeczna. Miał za sobą przecież cały dzień 6 lipca, a może i nawet dużą część poprzedniego dnia.

Do takich oryginalnych sytuacji doprowadziła nieudana sedańska operacja. Oddział silny, bo stanowiący trzecią część naszej armii, dla której przygotowywano Sedan, oddział w dodatku najbardziej na skutki tego zamysłu narażony, oddział najbardziej w ruchu opóźniony, znajduje się nagle w przeciągu dnia całego wolny jak ptak niebieski, wolny w wyborze swych decyzji i kierunku swych poruszeń. Jeżeli defilada gen. Jędrzejowskiego jest bankructwem wyraźnym idei sedańskiej, to gen. Żeligowski ze swymi dwiema dywizjami w dniu 6 lipca jest tak jaskrawym jej zaprzeczeniem, że niekiedy trudno przypuścić, by ten plan i zamiar kiedykolwiek u p. Tuchaczewskiego istniał.

Gen. Żeligowski parokrotnie mnie zapytywał potem o stosunek mój do jego decyzji cofania się dalej ku zachodowi, gdyż wahał się długo przed jej powzięciem. Sądził bowiem, że może należało wykorzystać tak niezwykłą sytuację na tyłach przeciwnika i, mając pod ręką spokojnego i dobrego żołnierza, uderzyć na te tyły, robiąc w nich zamieszanie. Jako centrum tych tyłów suponował wtedy największy punkt tej okolicy, Głębokie. Myśl ta uparcie prześladowała gen. Żeligowskiego w dniu 6 lipca. Pomimo, iż wszystkie próby wyjaśnienia kwestii "co by było, gdyby było" są bezpłodne historycznie, prawa analizy sytuacji wojennej są inne, gdyż takie próby pogłębiają i uwypuklają znaczenie poszczególnych poruszeń wojsk i wpływ rozkazów dowódców. Dlatego też zatrzymam się nieco na tej oryginalnej sytuacji, w której się znalazł gen. Żeligowski, i na możliwej w tych warunkach decyzji wykorzystania zupełnej swobody jej wyboru, którą w dniu 6 lipca posiadał.

Korzystając z prawa analizy, przeniosę zapadnięcie decyzji nie do Duniłowicz, lecz do Mosarza, gdy gen. Żeligowski stał na odpoczynku i po wyjściu z lasów nad rzeką Dżisną po raz pierwszy odczuł próżnię, która go otaczała. Przypuszczenie moje nie jest niemożliwe; gen. Żeligowski równie dobrze mógł się wahać w Mosarzu czy jego okolicach, jak i w Duniłowiczach. Był i tu, i tam w zupełnie analogicznej sytuacji, a marsz do Duniłowicz mógł go tylko utwierdzić w przypuszczeniu, że się znalazł na tyłach nieprzyjaciela.

Dla analizy sytuacji chcę przede wszystkim oswobodzić gen. Żeligowskiego od jakiegokolwiek nacisku 4 Armii p. Sergiejewa. W dniu bowiem 6 lipca dywizje p. Sergiejewa osiągnęły dopiero wieczorem, i to prawdopodobnie tylko straż przednią, linię Mosarz-Szarkowszczyzna. Dzień więc 6 lipca stanowczo był wolny z tej strony dla gen. Żeligowskiego. Gdyby więc po dłuższym odpoczynku koło Mosarza, którego niechybnie wymagała jego dywizja, więc mniej więcej koło południa gen. Żeligowski zdecydował uderzyć na jakoby tyły w kierunku Głębokiego, co by zastał? Od Mosarza do Głębokiego miał mniej więcej do 20 km. Marsz więc z ostrożnościami względnie niewielkimi trwałby jakich 5 godzin. Koło więc godziny 5 byłby w okolicach Głębokiego. Znalazłby tam niewielką grupę jazdy - brygadę kubańską, która sądząc z opisu p. Sergiejewa, nie odznaczała się wtedy bitnością i niechętnie wdawała się w boje. Obok tego podchodziłaby swymi strażami przednimi lub może większą kolumną, gdyż szła marszem podróznym, 54 Dywizja sowiecka od północy, od strony Łużek. Byłaby to akurat ta sama dywizja, która jeszcze dnia wczorajszego bezskutecznie atakowała gen. Żeligowskiego na jego prawym skrzydle koło Łużek. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że gen. Żeligowski miałby w tym wypadku duże szanse zaskoczenia tej dywizji w marszu i pomieszczenia w ten sposób dużego manewru, dokonywanego w tym dniu przez 15 Armie. Dywizja ta była prawoskrzydłową dla 15 Armii i zgodnie z rozkazami i zasadniczą ideą p. Tuchaczewskiego zachodziła w dniu tym, jak prawe ramię armii, długim, bo trzydziestokilometrowym marszem, zmieniając od Łużek kierunek z zachodniego prawie na południowy. Na szkicu p. Sergiejewa narysowana ona jest jako zajmująca 6 lipca wieczorem Głębokie, na prawym skrzydle całej 15 Armii. Na podstawie notatki p. Sergiejewa na stronie 59 jego dzieła mam prawo przypuszczać, że właśnie w tym dniu 15 Armia przyjmowała szlak nowy, który nie dopuszczał, aby w dniu 6 lipca w okolicach Głębokiego gen. Żeligowski pod wieczór znalazł co innego, oprócz 54 Dywizji. Mówi on bowiem, że 15 Armia po bitwie zmasowała się silnie dla dalszego manewru i dodaje: "Jeszcze od Głębokiego miała armia w pierwszej linii dywizje 54, 33 i 11. W drugiej zaś linii 4 i 16. Gdy więc 54 była skrzydłową w Głębokiem, musiała 33 i 11 masować się gdzieś dalej na wschodzie w okolicach kolei Połock-Mołodeczno i nie miałyby możliwości w ciągu 6 lipca do nocy w czymkolwiek 54 Dywizji dopomóc. 16 zaś musiała być znacznie w tyle i także do nocy wpłynąć na sytuację nie mogła.

Nie chcę twierdzić, że w ten sposób gen. Zeligowski zmieniłby zasadniczo sytuację na naszą korzyść, lecz niechybnie wpłynąć by to musiało na stratę co najmniej połowy następnego dnia, a może i więcej, w manewrach przeciwnika.

Gen. Zeligowski zaś mógłby zupełnie spokojnie po tym krótkim uderzeniu, przekonawszy się, że nie jest wcale na tyłach nieprzyjaciela, cofać się w kierunku jeziora Miadzioł, do którego i tak następnego dnia, tj. 7 lipca, bez żadnego nacisku ze strony nieprzyjaciela dochodził. U p. Sergiejewa jego 18 Dywizja dochodzi do jeziora Miadzioł dopiero 10 lipca wieczorem. Miał więc gen. Zeligowski dla swego odwrotu dosyć czasu.

Zatrzymałem uwagę czytelnika na tym charakterystycznym epizodzie dlatego, iż uwypukla on w nadzwyczaj wydatny sposób sytuację obu stron walczących w dniu 6 lipca, gdy boje wszędzie ustają. Jest to dzień, w którym po nieudanym Sedanie nieprzyjaciel bez kontaktu z nami robił manewry dla nowego ugrupowania swoich sił. Dzień ten był - że tak powiem - nam darowany, jako czas dla naszego manewru również.

Pierwszy więc bój 4, 5 i 6 lipca został zakończony. Stworzył on początek nowych niepowodzeń na froncie północnym, które się zakończyły dopiero w półtora miesiąca potem, naszym zwycięstwem aż pod Warszawą. A skutki jego ciążyły nad wojskami strony naszej tak długo, i tak silnie, żeśmy od wpływu tego boju oswobodzić się mogli tylko nadzwyczajnym wysiłkiem. Dziwnym musi się to wydać, gdyż - jak to wykazałem - nie był ten bój właściwie rozstrzygającym zwycięstwem nieprzyjaciela. Przeciwnie, zamiar jego okrążenia naszej I Armii i możliwie doszczętnego jej zniszczenia nie powiódł się wcale, gdyż oba skrzydła (armie 3 i 4) zostały względnie łatwo zatrzymane w biegu. A jednak fakt pozostaje faktem, po tym półzwycęstwie wojska nasze prawie bez próby boju cofają się ustawicznie i to coraz szybciej, tak że w miesiąc znalazły się u wrót stolicy, leżącej prawie 600 kilometrów w tyle. Sam opis boju oraz dotychczasowa moja tej bitwy analiza nie dają dostatecznego wyjaśnienia tego zjawiska. Zbyt mało ważną wydaje się przyczyna wobec ogromu jej skutków i umysł bezwiednie zmuszony jest szukać głębiej i dalej. Szukajmy najpierw u przeciwnika.

P. Tuchaczewski nad bitwą tą zastanawiał się mało. Traktuje ją jako jeden z epizodów i, jak już wskazałem, nie wspomina wcale o swoim zasadniczym planie, który znalazłem wyświełtłony u p. Sergiejewa. Wydaje się być zupełnie zadowolony z siebie i swoich wojsk i stwierdza spokojnie, wbrew faktom, że wszystkie zadania jego armii zostały, spełnione w nakazanych terminach. P. Sergiejew temu zupełnie przeczy. O działaniach swej 4 Armii nie pisze tak chwalebnie, a w końcu swojej książki помеща w aneksie swój rozkaz z 7 lipca, w którym daje swym podwładnym ostrą naganę.

Charakterystycznymi są niektóre jej ustępy: „Dowództwo brygady 164 wykazało brak inicjatywy i zdecydowania. Cały dzień 5 lipca drepcze ona na tym samym miejscu pod pozorem nieotrzymania rozkazów i tym zatrzymuje ruch 53 Dywizji. Ta ostatnia wyszła z okolic Szarkowszczyzny ze spóźnieniem o całą dobę i także dreptała 5 lipca w jednym i tym samym miejscu, mając w odwodzie całych pięć pułków. Po zajęciu Szarkowszczyzny 53 Dywizja nie wiadomo po co ruszyła w kierunku Stukany, tzn. na tyły 12 Dywizji”. A nieco dalej dodaje p. Sergiejew ostro: „Żądam, aby przerwano stały strach z powodu skrzydeł i przestano brać w rachubę (uczytywat) moralny stan przeciwnika. Nie dopuszczam nadal, aby poszczególne kompanie rozbitego przeciwnika, które nie zdążyły jeszcze uciec, były brane za świeże pułki, które groźbą uderzenia zatrzymują ruch całych naszych dywizji”. Tak mówi prawdopodobny p. Sergiejew o dn. 5 lipca, gdy nasza 8 Dywizja, jakoby „rozpylona”, „rozgromiona” i „zmiażdżona”, zniweczyła wszystkie sudańskie zamiary od północy.

Co do drugiego, południowego skrzydła, 3 Armia według p. Tuchaczewskiego zajęła, jak jej kazano, 5 lipca Dokszyce, a 6 Parafianowo. Tymczasem w istocie opór I Litewsko-Białoruskiej Dywizji zatrzymał 3 Armię o tyle, że jak p. Sergiejew na str. 52 stwierdza, „rejon Parafianowo został osiągnięty przez nią dopiero 8 lipca, tzn. wtedy, gdy mogły tam być z naszej strony jedynie ostatnie patrole straży tylnych”. Dla p. Tuchaczewskiego fakty te nie istnieją, jest on pewien, że rozgromił i zmiażdżył przeciwnika, co mu prawdopodobnie zastępuje nieudany Sedan. Jak dalece nie orientuje się p. Tuchaczewski, co uczynił on i jego wojska, można przypuszczać z jego rozkazu danego ze Smoleńska 7 lipca o godzinie 9 minut 40

rano. Dane o swym przeciwniku streszcza on krótko w pierwszych słowach tego rozkazu: „Główne siły rozgromionego przeciwnika odeszły w popłochu (odóhfnult) w kierunku Postaw (aneks nr 10, str. 122, Sergiejew l.c.). Tymczasem wiemy, że, niestety, na ten naturalny kierunek główne siły I Armii nie odeszły wcale, gdyż zostały 5 lipca po południu ściągnięte rozkazem gen. Szeptyckiego w całkiem innym kierunku, w kierunku Parafianowa i Mołodeczna. Na postawski zaś, że się wyrażę stylem mego przeciwnika, kierunek wyszły tylko, i to przypadkowo, dwie dywizje - 10 i 8, których dowódca, gen. Zeligowski, zupełnie swobodny od jakiegokolwiek nacisku nieprzyjaciela, zamierzał przez pewien czas przejść do ofensywy przeciwko jego wojsku.

Na podstawie tych błędnych danych o nas, p. Tuchaczewski nakazuje najsłabszej swojej armii, wzmocnionej zresztą kawalerią, pościg za rozgromionym i doszczętnie rozbitym przeciwnikiem w kierunku na Postawy i Wilno. Natomiast zbiera główne swe siły, armie 15 i 3, w silnie zaciśnięty kułak, z którym, oddalając się ku południowi od ścigającej 4 Armii, rusza na dokończenie zwycięstwa, by „zmiażdżyć” i „rozgromić” resztę sił naszych na tym froncie, naszą 4 Armię, stojącą na Berezynie. Ma ona teraz być atakowana z frontu przez 16 Armię i większą część grupy mozyrskiej, nacierającej na Bobrujsk i mającej kierunek na Słuck; na jej lewe skrzydło już 6 lipca skierowana jest 3 Armia. Najbardziej zaś uposażona i najsilniejsza 15 Armia idzie w kierunku Mołodeczna, jako główny odwód, jakby stara gwardia Napoleona, by złamać ostatni opór, gdyby taki był jeszcze stawiany.

Gdy myślę o tych wszystkich działaniach i pracach naszego przeciwnika w przeciągu tych pierwszych dni operacji, prowadzących ku Warszawie, nie mogę znaleźć w nich nic takiego, co by usprawiedliwiała wielkie znaczenie tego boju i brak poważnego oporu aż do Warszawy. Gdy myślę o tych bojach, gdy je analizuję, nie mogę nie widzieć dziwnej obawy i braku silnej decyzji w wojskach sowieckich. Pomimo olbrzymiej przewagi, jaką mają specjalnie na skrzydłach, dywizje nieprzyjacielskie istotnie zbyt często „drepczą na miejscu”, nie wyzyskując ani swej przewagi, ani niezaprzeczonych taktycznych zwycięstw. Nie sądzę, bym się omylił, przypuszczając, że owa obawa (robość), którą p. Tuchaczewski przypisywał jedynie swej 16 Armii, a p. Sergiejew, jak widzieliśmy, rozszerzał ją po majowej przegranej i na inne dywizje, specjalnie w skrzydłowej 3 i 4 Armii - że obawa ta przed wartością przeciwnika działać jeszcze musiała silnie podczas bojów na początku lipca. Zobaczymy, jak wkrótce nauczą się sowieccy żołnierze neglizżować nas jak niezdarni do boju tłum;

lecz jeszcze w pierwszych dniach lipca obawa ta istnieje. Nawet wybrana 15 Armia, złożona z dywizji najlepszych, które dotąd z nami szpady nie krzyżowały, po niechybnych sukcesach w dn. 4 i początku 5 lipca staje w beczynności, gdy nasze wojska się cofają. Czyżby wietrzyła ona jakąś zasadzkę, jak gdyby oczekując niespodziewanego, a zwykłego dotąd u nas, Polaków, manewru? Czuć jeszcze we wszystkim naszą dotychczasową przewagę moralną nad przeciwnikiem. Na drodze drepczącym na miejscu dywizjom stoją jeszcze dotąd fantomy poprzednich porażek i niepowodzeń, tak że wojska zdają się nie wierzyć przesadnym, zaczerpniętym z publicystyki agitacyjnej, określeniom swych dowódców.

U przeciwnika więc nie znajdziemy wytłumaczenia głębokiego strategicznego znaczenia taktycznej przegranej, którą ponieśliśmy w dn. 4 i 5 lipca. Poszukajmy więc tego u siebie. Już poprzednio mówiłem, że dowódcy z naszej strony bojem 4 i 5 lipca postawili jako cel swym podwładnym utrzymanie swego stanu posiadania, a gdzie ten został przez nieprzyjaciela naruszony, „osiągnięcie poprzedniej sytuacji”. Ostatnie słowa postawiłem w cudzysłowie, gdyż powtarzają się one tak często w depeszach, raportach i rozkazach, że stanowią jakby myślowy refren w muzyce bojowej z tych dni. Słowa charakterystyczne! Wydaje się, że ten marny skrawek ziemi jest jakimś utraconym skarbem, dla którego wytężyć trzeba wszystkie wysiłki. Czyżby tak istotnie było w pojęciach dowodzących? Gdy odczytuję raz po raz oceny wartości wojennej tego skrawka terenu, znajduję akurat sąd odwrotny. Każdy z dowodzących w swoich relacjach skarży się na różne jego braki. Więc jeden twierdzi, że z powodu błot na linii frontu były trudności komunikacji wzdłuż niego, gdy - odwrotnie - dla nieprzyjaciela z powodu suszy błota te nie stanowiły dostatecznej przeszkody. Inny stwierdza, że z powodu wielkiej ilości krzaków przed frontem pole obstrzału było bardzo małe i nieprzyjaciel miał wielką łatwość podejścia. Nawet nieszczęśliwa Auta,

której mianem chrzczą główni dowódcy samą bitwę, doczekała się zjadliwej oceny w relacji jednego z nich. Gen. Jędrzejowski, dowodzący grupą w centrum, pisze: „0 ile mogła na oko (z mapy) rzeczka Auta budzić zaufanie jako przeszkoda, to w rzeczywistości wąły ten strumyk nie przedstawiał żadnej wartości obronnej”. Jedynie może gen. Ledóchowski, dowodzący 11 Dywizją, nie mówi ujemnie o tym skarbie utraconym. Stwierdza on bowiem w relacji krótko, że pozycja była dobra i zdalna do utrzymania. Wszyscy zaś w jeden głos, nie wyłączając i wyższych dowódców, jak gen. Zygałłowicza, dowodzącego 1 Armią, i gen. Szeptyckiego, dowodzącego frontem, stwierdzają, że pozycja, na której przyjęto bitwę, była zbyt rozciągnięta dla naszych sił oraz za mało uposażona przy tej rozciągłości w artylerię. Powstaje więc naturalne pytanie, po co właściwie jako cel prawie dwudniowych bojów stawiano "osiągnięcie poprzedniej sytuacji"? Jeżeli ta pozycja nie była tak dobra, to względnie łatwo znaleźć by można było inną, chociażby nie najlepszą, lecz mającą te same lub inne nieco wady, na której równie dobrze, a może i lepiej, bić się można było. Po co tak się upierać przy pozycji niedogodnej, a uporczywie przez nieprzyjaciela w przewadze atakowanej?

Gdy się mówi o pozycji, o którą bitwy się toczą, prowadzi to każdego znającego historię wojen do tzw. wojny pozycyjnej. Pozycją nazywamy taki czy inny szmat gruntu, który ze względu na swą budowę daje możliwie dużo przewagi obrońcom nad atakującym. Przez pewien czas w historii wojen sztuka wojenna wysilała się na wyszukanie w terenie takich pozycji, na których wojsko bezpieczniej boje przyjąć by mogło. Lecz doświadczenia wojenne zaprzeczyły podobnej podstawie myślowej, gdyż nieprzyjaciół zwykle takie pozycje obchodził, nie kusząc się o ich zdobywanie. A zresztą, gdy okop wzmacniać począł prawie każdy skrawek ziemi, pozycje w ogóle straciły dużo na wartości. Nie dla pustego więc słowa "pozycje" stawiali nasi dowódcy jako cel naszym wojskom osiągnięcie straconych, a złych, według nich, pozycji. Szło tu o co innego, i gdyby w rozkazie zamiast abstrakcyjnego określenia "osiągnąć poprzednią sytuację", użyto bardziej materialnego określenia "odebrać straconą linię okopów", byłibyśmy w domu, gdyż właściwie o to jedynie toczono bój. Nie pozycja, uznana zresztą za marną, a łatwa do odnalezienia w innym miejscu, grała tu rolę, lecz długa linia w ten czy inny sposób wybudowanych umocnień, przeprowadzonych okopów. Tylko wtedy zresztą, gdy tak pojmujemy cel bitwy, nabiera ona strategicznego znaczenia, zamiast być szeregiem nieskoordynowanych niczym walk bez większego celu. Umyślnie podkreślam tę różnicę, jaka istnieć musi, zdaniem moim, pomiędzy pozycją a okopem, pomiędzy wojną pozycyjną a okopową. Gdy wojna pozycyjna, tak, jak ją określiłem wyżej, należy już dość dawno do przeszłości, wojna okopowa, trwając długich kilka lat na wielkich przestrzeniach podczas wojny europejskiej, nie tylko stała się powszechnie znana, gdyż brały w niej udział dziesiątki milionów ludzi, lecz swymi wymogami zdążyła urobić głowy i dusze ludzkie i stworzyć nawet specjalny język wojskowy. W początkach wojny europejskiej w 1914 r. okop należał wyłącznie do taktyki, do metody, jaką boje prowadzono. Obok karabinu każdy żołnierz niósł w boje łopatkę jako część nieodłączną swego uzbrojenia. I czy się miał bronić przeciwko nieprzyjacielowi, czy miał iść na niego w natarciu, musiał swej łopatki używać jako środka walki. Więc w gwałtownych ruchach i manewrach, którymi otwarto czteroletnią olbrzymią wojnę, okop używany był wszędzie, czy w natarciu czy w obronie, lecz nigdzie jako cel wielkich bojów nie był wyznaczany i do dziedziny strategii, wyznaczającej te cele, nigdy się nie wdzierał. Niekiedy dzięki swej sile, sile obronnej, nabierał on znaczenia pozycji, którą to nazwą ochrzczono ongiś specjalne skrawki terenu, od natury mające wartość obronną; lecz i wtedy był on tylko epizodem olbrzymich zapasów milionowych armii, które aż do końca r. 1914 wyrzec się nie chciały głównego czynnika zwycięstwa - ruchu.

Dopiero w następnym roku na polach Francji i Belgii obaj przeciwnicy stanęli w bezruchu i bezwładni, zatrzymani naprzeciw siebie długą, nieprzerwaną linią okopów. Okop wtedy, jako nieprzezwyciężona zagroda, niszcząc główny czynnik dotychczasowy - manewr i ruch, wdarł się zwycięsko z dziedziny taktyki do strategii.

Jako dumny zwycięzca zaczął tyć, zaczął opływać w rozkosze i żądać od prowadzących wojnę, jak moloch, coraz to nowych ofiar. Wyrastały więc linie okopów jedna za drugą, tworzyły się całe labirynty, tak że człowiek świeży, gdy w nie trafiał, był jak w nowym nie znanym mieście, gdzie bez planu,

drogowskazów, nazw ulic i ciągłych rozpytywań zabłądzić trzeba. Okop zażądał ofiary z codziennego życia ludzkiego. Żołnierze uczynili z niego swe mieszkanie a ogromne wysiłki ludzkie próbowały z tego niezwykłego miejsca uczynić mieszkanie dogodne, zdatne do pracy i odpoczynku. Dla żądań nowego fetysza wojny w jego rydwan zwycięski wprzęgnięto wszystko, co kraj wojujący miał do swego rozporządzenia. Więc inżynier, nie marny piechur, stosował tam swą wiedzę techniczną, a liczne fabryki dostarczały ogromnej ilości materiału budowlanego, które okop w siebie wchłaniał. Jak w wielkim mieście, biegły we wszystkich kierunkach druty, łączące sztaby i dowódców, składy i magazyny, szpitale i stajnie. Okop tył, wzmacniał z każdym miesiącem swą potęgę i coraz dokładniej, coraz gruntowniej burzył i niweczył siłę dotychczasowego zwycięzcy wojennego - ruchu i manewru. W tej kilkuletniej wojnie o okopy wyrobiła się specjalna psychologia u żołnierzy i u dowódców. Psychologia, związana po pierwsze z budownictwem wojskowym o specjalnym charakterze, budownictwem zużywającym masy materiału budowlanego, a następnie ze zmechanizowaniem ogromnej części działań bojowych, jak to jest zawsze przy skupieniu wielkich ilości ludzi w ciasnym współżyciu i współdziałaniu dla jednego celu. Walczono wtedy z największym wysiłkiem o cząsteczki labiryntu okopowego, zwycięstwem zwano przejście pół kilometra tej nowej, me znanej dotąd przeszkody. Okupywano te zwycięstwa wielkimi stratami ludzi i jeszcze większą stratą drogocennego materiału wojennego. I wtedy, w takiej właśnie wojnie okopowej, która ruch i manewr tak dalece ograniczała, strategia wyznaczać poczęła dla boju skromniejsze niż dawniej cele, i wtedy „osiągnięcie poprzedniej sytuacji” oznaczało odebranie zdobytych przez nieprzyjaciela okopów, jako straconego skarbu.

Wojna w dawnym tego słowa znaczeniu zdawała się znikać i długo wszystkie próby i wysiłki najświetniejszych umysłów, by do strategii z triumfem dawnego zwycięzcę wprowadzić z powrotem, zdawały się być bezpłodnymi. Wielki wódz świata wojny, który olbrzymim swym geniuszem przełamał ongiś strategię linii i niezdobytych pozycji, wielki Napoleon, musiał nieraz w grobie się przewracać, myśląc o zaniku jego nauk i zgubie w bezpamięci jego świetnych czynów. Gdy on dumnie mówił, że wiele wojen wygrał nogami żołnierza, ich ruchem i błyskawicznym manewrem, tu wojna najwidoczniej się wyradzała, degenerując się w bezpłodne usiłowania wszelkiego rzemiosła i przemysłu, wysiłających swe ręce dla podaży olbrzymiego materiału, potrzebnego dla prowadzenia tego rodzaju zapasów. Złamania woli przeciwnika oczekiwano od zmęczenia przez ustawiczny mord ludzi i przez wypompowanie sił przemysłu i rękodziela.

Główną więc zasadą wojny okopowej jest postawienie tak silnej przeszkody ruchowi nieprzyjaciela, że tylko za pomocą olbrzymiej straty sił i istnień ludzkich oraz materiału wojennego ruch jest dozwolony, każda więc próba tego ruchu karana być musi takimi właśnie stratami i bój przybiera charakter przekonania przeciwnika, który ośmielił się atakować, że wszelkie jego próby są daremne. W ten sposób dopiero okop z całą jego komplikacją techniczną i ze zmianą, wywołaną przezeń w duszach żołnierzy i ich dowódców, staje się częścią strategii wojennej, opuściwszy niziny taktyczne.

Gdy z tego punktu widzenia wojny okopowej staram się zanalizować naszą wojnę polsko-sowiecką, znajduję zawsze zarówno w swoich wspomnieniach, jak i w dokumentach wewnętrzne tarcie w naszym wojsku w tej właśnie sprawie. Wtedy, gdy ja, jako naczelny wódz, wyrzekłem się od razu próby prowadzenia wojny okopowej, nie widząc możliwości nawet zastosowania jej metody pracy u nas, spotykałem zawsze, zarówno u swych podwładnych, jak i w społeczeństwie, hołdowanie zasadzie „faites uneligne forte”. Będąc pod silnym wrażeniem świeżo minionej wojny w Europie, ludzie w moich próbach wprowadzenia w naszą wojnę metod ruchu i manewru zbyt często, niestety, chcieli widzieć niedorozwój myśli strategicznej, uciekającej od całej krasy i potęgi niedawnego pana strategii - tłustego i opasłego okopu. Okop zaś u nas właśnie mógł być bardzo chudy i bardzo mizerny. Nie mógł być żywiony, by набrać potrzebnej strategicznej tuszy ani przez przemysł, którego nie było, ani przez wysiłek ludzki dla dostatecznego zaludnienia okopu i utrzymania go w należytej tuszy i znaczeniu. Do r. 1920 wpływ mój przeważał o tyle, że okop wracał do należytej mu dziedziny, dziedziny taktyki i metody boju, a stałe zwycięstwa, które odnosiliśmy, zdawały się potwierdzać słuszność mego zapatrywania. Okop

jednak niechętnie ustępował ze swego tronu. Mścił się, szukał rewanżu, pozostawiając na swoim miejscu nieodłączną swą siostrzycę - linię, kłócącą się w stałej sprzeczności z wprowadzonymi przeze mnie ruchem i manewrem. Mścił się - zostawiał naokoło mnie i specjalnie za plecami wzruszenie ramion, niezadowolone szepty i ciche, bolesne skargi na przestarzałe dziecinno-romantyczne pomysły strategiczne naczelnego wodza. "Faites une ligne forte!" To jest wojna współczesna, to jest zbawienie Polski! Ileż wstydliwych zakątków historii mógłbym wyświetlić, związanych z tą kontrowersją!

Wracając do analizy lipcowych bojów, zaznaczam, że cel, stawiany bojowi 4 i 5 lipca przez naszych dowódców, zaczerpnięty był nie skądinąd, jak z psychologii i strategii okopowej. Szukał on, zgodnie z tą strategią, dowiedzenia przeciwnikowi, który nas atakował, że okop wybudowany przez nas jest nie do przebycia i że, gdy stąpił na nim nogą, ukaranym być musi za to świętokradztwo. Gdy zaś przeglądam dokumenty, rozkazy, raporty i relacje, znajduję w nich jasne dla mnie dowody, że okres poprzedzający bitwę był okresem rewanżu pana strategu - okopu w stosunku do naczelnego wodza.

Oto jeden z takich dokumentów, pełnych określeń i pojęć zrozumiałych jedynie przy prowadzeniu wojny okopowej w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Mówię o planie obrony odcinka I Armii. Gen.

Zygadłowicz otrzymał rozkaz od dowódcy frontu głoszący, że "obecnie zajęta linia I Armii stanowi zasadniczą linię obronną, umocnienie której należy wszelkimi środkami przyspieszyć". Plan obrony, nakazany przez generała Zygałłowicza, polegał na następującym działaniu:

"Każda grupa operacyjna w swoim odcinku miała przeprowadzić umocnienie linii obronnej i odcinek swój we współdziale z artylerią i przy pomocy własnych rezerw, przygotowanych przeciw wszelkim atakom nieprzyjacielskim, utrzymać. Automatyczne współdziałanie artylerii i rezerw z obsadą pierwszej linii obronnej według zasad znanych i rozkazem 2226/III z dn. 1 lipca do ogólnej wiadomości przypomnianych". Dalej czytamy: "W razie przerwania frontu miała wkroczyć odnośna, dla odcinka z góry przeznaczona rezerwa, zasadniczo" jednak na rozkaz dowództwa armii. Na dobitkę zaś w końcu planu dodaje: "Rezerwy operacyjne stały tak blisko, że mogły w przeciągu 5-6 godzin na każdym punkcie przynależnego im frontu do boju wkroczyć".

Gdy czytam teraz me znany mi w owe czasy dokument o "zasadniczej linii obronnej i automatycznym działaniu piechoty z artylerią", z podziwem myślę, czyżby to było istotnie? Czyżby nie było jakichś wahań i jakiejs samokrytyki w stosunku do takich rozkazów? Owszem, były. Oto inny dokument tegoż gen. Zygałłowicza, oceniający jego sytuację 3 lipca przed samym bojem. Pisze on tak jak profesor: "Jak z doświadczeń wojny światowej wynika, obsada powyższa linii bojowej przez piechotę była w ogólności dosyć gęsta, o ile linia bojowa tak linearnie, jak i w głąb jest wybudowana i posiada odpowiednie przeszkody druciane". Jednak generał nadmienia, że "szerokość odcinka dywizyjnego w wojnie światowej na frontach atakiem zagrożonych nie przekracza 3000-4000 metrów", gdy u nas "szerokość odcinków dywizyjnych I Armii ponad kilkanaście kilometrów uniemożliwiała pożądane liczne wydzielenie rezerw i dostateczne ich ugrupowanie w głąb".

Gorzej jest z artylerią, albowiem "do podparcia frontu zagrożonego należy według doświadczeń wojny światowej na 150 metrów frontu najmniej liczyć 2 lekkie i 1 średnie działo". Według rachunku generała dla jego armii wypada, jako minimalne zapotrzebowanie, 880 dział połowych lekkich i 440 dział 15-centymetrowych. "Tymczasem - skarży się boleśnie generał - stało na froncie bojowym około 100 dział lekkich i około 45 dział średnich". A dalej, po wzmiankowanym wyżej rozkazie o automatycznym współdziałaniu artylerii z piechotą, generał przy ocenie, po przedstawieniu cyfrowych danych, dodaje: "Chociaż sytuacja nasza materialna nie pozwalała wymogom powyższym zadośćuczynić, to jednak dane te ilustrują, jak słabo zaopatrzony artylerią był front i że na skuteczne poparcie piechoty przez ogień artyleryjski w krytycznych chwilach, tak w formie automatycznego ognia zaporowego, jak skoncentrowanego ognia odpierającego, można było liczyć jedynie w razie lokalnych, tylko części frontu obejmujących ataków".

Najgorzej jednak jest z ukochanym dzieckiem okopów, nieodłącznym jego opiekunem, drutem kolczastym. Tak więc generał skarży się na "opłakane stosunki przewozowe". Z trudem dano 5 wagonów drutu kolczastego dla I Dywizji Litewsko-Białoruskiej z Mołodeczna do Parafianowa, a 13 załedwie

wagonów przepchano do stacji Podświliu, a przecież - płacze generał - ilość tego drutu nie wystarczała, aby jeden rząd przeszkody wzdłuż frontu wykonać! I w biednej, skłopotanej głowie generała powstawały pewnie złote sny, gdy ku frontowi zagrożonych odcinków, w których stał ongiś, biegły specjalnie w tym celu wybudowane koleje i kolejki, wiozące ofiary jego panu - okopowi: setki wagonów drutu, setki wagonów napełnionych kłocami, setki z materiałem budulcowym drzewnym i żelaznym i gdy na ogromnej przestrzeni, pokrytej drutami telefonicznymi, kłócono się zawzięcie o dostarczenie czym prędzej rolek papy dla pokrycia dachów nad mieszkaniem żołnierzy. Wobec tego wszystkiego generał sądzi, że w lipcu 1920 r. armia znalazła się "przed zadaniem, którego przewyciężenie wymagało nadludzkich sił", a "elementarnej fali" nie można było postawić zapory.

Nie przeszkadza to jednak wydawaniu rozkazów i ich wykonywaniu, sprzecznym najzupełniej z tak słusznie ocenianą sytuacją. Więcej, czytam oto rozkaz gen. Rządkowskiego, dowodzącego grupą. Rozkaz z dn. 30 czerwca. Punkt pierwszy głosi: "W załączeniu przesyła się: a) szkic systemu linii obronnej na obszarze I i 4 Armii, nakazanej przez dowództwo frontu gen. Szeptyckiego; b) szkic systemu linii obronnej na obszarze I Armii, rozwinięty z poprzedniego przez dowództwo tejże armii. Nadmieniam, że projektowana przez dowództwo 11 Dywizji pierwsza linia drugiej pozycji zgadza się z pierwszą linią dowództwa frontu i I Armii i za taką ma być uważaną". Mają tam być "place, względnie węzły obronne, tzn. większe lub mniejsze kompleksy punktów oporu w taktycznie najważniejszych punktach oraz poszczególne punkty oporu między tymi węzłami na taktycznie mniej ważnych punktach. Odległość węzłów, uwzględniając konieczność taktyczną, powinna być tak obliczona, ażeby pomiędzy dwoma sąsiednimi węzłami był związek ogniowy, a rezerwy, rozlokowane z tyłu, mogły na czas zdążyć (zapewnię automatycznie - uwaga moja) w przerwy między węzłami i paraliżować wtargnięcie nieprzyjaciela. Odległość punktów oporu taka, by mogły się wzajemnie popierać ogniem karabinów (flankowym). W myśl powyższego odpowiednio do lokalnych warunków należy uzupełnić liczbę punktów oporu". Szkic, przysłany do wykonania, który teraz po raz pierwszy widzę, przedstawia głębokość tego ufortyfikowanego obszaru na mniej więcej 50 kilometrów! Mnóstwo mniejszych i większych gwiazd i gwiazdeczek, mających reprezentować "place i węzły obronne", upiększa plan gen. Szeptyckiego, a wszystkie połączone są nieprzerwanym okopem. I to ma być wykonane! Tym mają sobie zaprzętać umysły i dowódcy, i żołnierze, gdy - jak widzieliśmy - obsada linii przez piechotę jest niedostateczna, przez artylerię zupełnie niewystarczająca, a konieczny materiał dla umocnień, jak widzieliśmy, nie wystarcza dla przeprowadzenia jednego rzędu drutów na pierwszej linii. Ten projekt jednak istniał historycznie i, zdaje się, tylko dzięki niewykonaniu tego projektu dowódca frontu uznał siebie za pobitego i nie zatrzymał dalej „elementarnej fali” innymi metodami.

Nie będę cytował wielu innych dokumentów, świadczących o rozpanoszeniu się systemu wojny okopowej w owym czasie na północnym froncie. Zatrzymam się na jednym z nich, który tyczy się działania artylerii, według rozkazu - zautomatyzowanej dla współdziałania z piechotą. Leży przede mną szkic dla takiej pracy 3 dywizjonu I pułku artylerii polowej litewsko-białoruskiej dywizji. Ileż wspomnień obudził we mnie ten szkic! Jest to r. 1916 w całej swej krasie! Ileż takich szkiców przeglądać musiał w owe czasy każdy z dowódców, ilu oficerów było zajętych w sztabach dowództw wykończeniem, skontrolowaniem i poprawieniem takich właśnie szkiców! Na leżącym przede mną szkicu jest prawie wszystko, co raj okopowej wojny żąda mieć. Cyfry, litery, różne kolory ołówków, długie strzałki, oznaczające kierunek ognia, i wreszcie tak charakterystyczny plan zmechanizowanego ognia zaporowego z notatką o z góry określonym wydatku amunicji. Wymienione jest wszystko: i minuty, w ciągu których ogień ma trwać, i szybkość tego ognia. Nadmienię, że oszczędność amunicji jest bardzo widoczna, albowiem VII bateria ma tylko przez dwie minuty strzelać po 3 strzały na działo i na minutę, a zatem w sumie dla ognia mającego zatrzymać dywizję nieprzyjacielską VII bateria ma oddać aż 24 strzały! Ależ koń by się śmiał z takiej zapory!

A gdy dodam, że tych nieszczęsnych 12 dział dywizjonu ma pokryć ogniem zaporowym 9 km przedpola frontowego, gdzie według "doświadczeń wojny światowej" minimalnie stać by musiało 120 dział lekkich z odpowiednią ilością średnich dział, z których ani jednego na odcinku nie było, a o ciężkich nawet

mowy być nie mogło - to chyba czytelnik wybaczy moje żołnierskie zakłęcie! Gdy pomyślę o żołnierzu, co pod huraganem żelaziwa, miotanego nań z setek paszcz działowych, szedł w obawie przedśmiertnej na okop nieprzyjacielski w istotnej wojnie okopowej i gdy przypominę szare, ziemiste twarze swych żołnierzy po jednodniowym, nie dwuminutowym trwaniu w okopach w piekle istotnego ognia, nie mogę bez goryczy myśleć o tych kpinach z żołnierza i z oficera, mającego czas marnować na głupie naśladownictwo żabki wyciągającej łapkę do podkucia jej olbrzymią podkową. Okopie, okopie, wielki fetyszu, coś największe umysły i najtęższe charaktery zwyciężał, strzeż się swych małych przyjaciół, bo ci, według przysłowia, zgubią cię i ośmieszą!

Dlatego też ze wszystkich dokumentów, w których się rozejrzałem, najbardziej mi się podobała relacja gen. Jędrzejowskiego, który, skarżąc się na „wąty strumyk” - Autę, na słabość ufortyfikowania pozycji i na brak drutów, stwierdza, że „zawczasu należało opracować dokładny plan odwrotu, nie narażając oddziałów na niepotrzebne straty, dając możność zmierzenia się z siłami nieprzyjacielskimi na dogodnych dla nas pozycjach, a nie zmuszać nasze oddziały bić się na pierwszej linii, niepotrzebnie niszcząc materiał ludzki bez nadziei powodzenia”. A raj okopów przecie istniał! Gdzieś w tyle świeciła „niemiecka linia obronna z czasów wojny światowej; linia ta, stanowiąca doskonałą pozycję o niezliczonych odrutowaniach”, z których we dnie nawet trudno było się wydobyć. No, czyż nie raj! Nawet przy jasnym słończku zabłądzić w drutach można!

Ta dziwna, niezrozumiała dla mnie tęsknota do wojny okopowej u naszych dowódców mieć musiała inne groźne następstwa. Okop, wdzierając się zwycięsko do strategii, stać się musiał własnością, że się tak wyrażę, tych dowódców, których przywilejem służbowym była praca strategiczna, praca wyższego dowodzenia. A taktyka teatru wojny, jak niektórzy nazywają strategię, zazdrośnie swych przywilejów strzeże, ograniczając w swobodnym użyciu obiektów swojej uwagi taktykę niższą, taktykę placu boju. Stąd zawsze oczekiwać można, że użycie okopu, określenie jego siły, kierunku, ilości pracy nań wydanej, więcej zależeć będzie od wyższych dowódców niż od niższych i żołnierza. Im bardziej więc łopata staje się bronią strategiczną, tym mniej bez rozkazu użyje jej żołnierz i młodszy oficer. W naszych więc warunkach, gdzie niepodobna było myśleć o rozwoju okopowej wojny jako taktyce teatru wojny, wszelkie próby w tym kierunku czynić musiały naszego żołnierza i oficera słabszym i gorzej uzbrojonym, gdy wyższy dowódca brał na siebie rozporządzanie się jego łopatką.

Dla psychologii okopowej dowódców nadzwyczajnie charakterystycznym jest fakt z naszą 17 Dywizją, która, jak wiemy, stała w odwodzie i będąc zachowaną do rozporządzenia dowódcy frontu nie wchodziła do automatycznego współdziałania ani z artylerią, ani z piechotą.

Od pierwszej chwili boju, gdy do Wilejki, a zatem i do Mińska, miejsca pobytu dowódcy frontu, przyszły wiadomości o cofaniu się naszej 11 Dywizji, zaczęto pertraktacje pomiędzy dwoma wyższymi dowództwami o użycie do boju tej dywizji.

Pertraktacje trwały przez pewien czas, gdyż zwykle są różnice zdań, które trzeba wyrównać, lecz szło nie o zasadę samą ani o czas, lecz o metodę i sposób użycia siły 17 Dywizji. Tymczasem sytuacja bojowa zmieniała się, powoli dochodziła do świadomości dowódców. Gen. Jędrzejowski znalazł się w sytuacji znacznie cięższej, niż 11 Dywizja nasza, która utrzymała się po pierwszym cofnięciu. Musiały być więc nowe narady i znowu o metodę pracy odwodu. Wreszcie dowódca frontu oddaje dywizję, lecz z tym, że użyta będzie w całości, zbierze się w Mazowie i Kolanie i atakować będzie ku północy. Naturalnie obraz ten, który został uwieczniony w rozmowach pomiędzy Mińskiem a Wilejką za pomocą aparatu Hughesa, nawet przez przeciętną sztukę wojenną jest dawno osądzony. Nie można zwykle dowodzić szczegółami boju będąc o kilkaset kilometrów oddalonym od placu, gdzie szpady wojenne się krzyżują. Lecz jest to zupełnie dozwolone i naturalne przy wojnie okopowej. Tam daleko sięgająca rozbudowa sieci telefonów i komunikacji, rozbudowa, w którą włożono masę materiału i wysiłków ludzkich, daje warunki, przy których istnieje ciągła styczność dowódcy z najdrobniejszymi szczegółami boju. Tam często takie dyrygowanie jest nawet konieczne, gdyż zawsze istnieje obawa, że zmechanizowana

i z konieczności automatycznie działająca część funkcji bojowej wojsk może uciepć i być nieraz powodem niepowodzeń nie dających się naprawić. Lecz tutaj, gdzie dowodzący z trudem przepychają kilka wagonów drutu kolczastego, tutaj, gdzie wiadomości z pola bitwy dochodzą tylko w ogólnikowej, często zagadkowej, a trudno sprawdzalnej formie, dowodzenie batalionami o kilkaset kilometrów jest nadużywaniem taktyki teatru wojny kosztem taktyki placu boju bardzo jaskrawym. Dywizja 17 jak stwierdza gen. Jędrzejewski, przysłała do pracy dopiero po południu z opóźnieniem, jak pisze ten generał, o 5-8 godzin. Lecz za to miejsce koncentracji 17 Dywizji, Mazniewo-Kolano, daje akurat front 4 km, co zgodnie z „doświadczeniem wojny światowej” stanowi należyty odcinek dywizji na „zagrożonym” froncie!

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na rozważaniach związanych z wojną okopową i jej systemem, to dlatego, iż jest to jedyna bodaj próba nasza w ubiegłej wojnie, by wbrew moim - naczelnego wodza - poglądom, zakosztować istotnej jakoby wojny, wojny europejskiej. Próba me udała się. W pierwszych dniach lipca została ona skompromitowana. Lecz dzięki niej taktyczna, łatwa do zniesienia porażka stała się przegraną strategiczną, której skutki sięgały bardzo daleko. Nie są to próżne słowa. Ta sama I Armia niedawno jeszcze, bo w maju, swobodnie się cofnęła przed przewagą nieprzyjacielską, a gdy przybyły dalekie, nie o pięć czy sześć kilometrów, jak z dumą mówił gen. Zygałłowicz, stojące odwody, równie swobodnie przeszła z nimi do kontrataku, nie mając na sobie wrażenia klęski, wrażenia swej bezsilności; teraz dla fantomów wojny okopowej, bez żadnych środków do prowadzenia walki tą metodą, wszystkie siły wciągnięto do prowadzenia walki tą metodą, wszystkie siły wciągnięto do boju z iście okopowym celem osiągnięcia „poprzedniej sytuacji”, jako jedyne go celu godnego wysiłku żołnierza. Żołnierz pod takim dowództwem miał zasłużyć na ostrogę rycerza europejskiej miary, me oberwusa polskiego, nie wiedzącego dobrze, co czyni. Kopał przecie okopy według szkiców najwyższych dowódców i niechybnie o uszy jego obijały się spory o to, gdzie właściwie jest pierwsza linia drugiej pozycji, a gdzie druga pierwszej? Gdzie są rygle, a gdzie zasadnicze linie? Biednemu żołnierzowi tym trudniej było zgadnąć tę wielką sztukę okopów, że wszystkie te place, węzły obronne, rygle i numerowane linie i pozycje były najczęściej bliźniaczo podobne do siebie - istniały tylko na papierze lub na terenie oznaczone były jakimś marnym, zasypującym się rowem. Gdy więc wszystkie te cudactwa trzeba było opuścić i wysiłek żołnierza dla osiągnięcia poprzedniej sytuacji, tak widocznie ważny dla wyższych dowódców, poszedł na marne, żołnierz - jak zwykle w takich wypadkach - stanął przed alternatywą: albo on wraz ze swymi wysiłkami jest niezdatny i bezsilny i ostrogi europejskie nie są dla niego, albo jego dowódcy nie wiedzą, co czynią. Było to więc wstrząśnięcie moralne żołnierza, które niełatwo było naprawić i stąd płynie ten niezaprzeczony, wielki wpływ boju nad „wątlym strumieniem” - Auta, który, będąc wobec wielkich zamiarów nieprzyjaciela zaledwie półzwycięstwem jego, stał się dla nas me porażką taktyczną, lecz wielką przegraną strategiczną.

Rozdział szósty

Boje naszej I Armii z trzema armiami p. Tuchaczewskiego zakończyły się właściwie 5 lipca. Zwycięskie dywizje nie ruszyły do natychmiastowego pościgu. Jazda, która w tych wypadkach jest bardzo czynna i skuteczna, idąc na skrajnym, północnym skrzydle szła właściwie w próżnię, nie mając przed sobą żadnego nieprzyjaciela, a połowa jej, bo cała jedna dywizja, została zatrzymana do obserwacji naszych sąsiadów i niedawnych sojuszników - Łotyszów. Jak gdyby dla pościgu w centrum rzucona była osobna Brygada Jazdy Kaukaskiej, która, minawszy Głębokie 6 lipca, szła bardzo wolno ku zachodowi. O działaniach tej jazdy relacje nasze nic nie mówią. Dużo zaś o niej opowiada p. Sergiejew. Działania jej w żadnym wypadku pościgiem nazwać nie można; natomiast, sądząc z opowiadań p. Sergiejewa, brygada ta dość starannie unikała jakiegokolwiek łączności ze swymi wojskami. Rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7 lipca brygada oddana została dla prowadzenia pościgu w kierunku zachodnim, nakazanym tym razem dla całej 4 Armii pod dowództwem p. Sergiejewa. Dużo kłopotu miał ten dowódca z odszukaniem właściwego miejsca pobytu tej brygady;

stwierdza on z całą stanowczością, że 15 Armia, której ta brygada podlegała, nie mogła mu wskazać ani miejsca, gdzie ona się znajduje, ani też sposobów, jak ją odszukać. Nic dziwnego więc, że p. Tuchaczewski tak się mylił, gdy twierdził w swoim rozkazie z 7 lipca, że główne siły polskie odeszły w kierunku zachodnim, w kierunku Postaw. Brak pościgu i brak jasnego obrazu sytuacji po niezaprzeczonego zwycięstwie, które w dodatku wyolbrzymia p. Tuchaczewski publicystyczną przesadą określić, jest bardzo charakterystycznym zjawiskiem wojennym. Nie chcę być złośliwym, lecz przypomina mi to niezmiernie sytuację armii niemieckiej w 1870 roku, gdy po bezładnej, wypadkowej, przez nikogo nie dowodzonej i wbrew naczelnemu dowodzeniu zrobionej, a także zwycięskiej bitwie pod Spichenen, armia ta zaczęła działać w próżni, natykając się raz po raz na niespodzianki, które ją drogo kosztowały, jak np. następna bitwa pod Vionville. Bitwa 4 i 5 lipca nie była Spichenenem, gdyż niewątpliwie była jak z jednej, tak z drugiej strony dowodzona i tej złośliwości w stosunku do p. Tuchaczewskiego nie chcę czynić; lecz niechybnie już 5 lipca armie p. Tuchaczewskiego, zaniechawszy pościgu, utraciły kontakt z nieprzyjacielem i mogły być narażone na niespodzianki.

Skądżeż jednak płynie ten brak ruchu, tak naturalnego i tak koniecznego na wojnie? Jedną z przyczyn już spróbowałem zanalizować - to charakterystyczne dreptanie na miejscu różnych dywizji. Widzimy je i w pościgowej brygadzie jazdy. Udaremniło to pomysły sudańskie, dając p. Tuchaczewskiemu tylko półzwycięstwo; świadczyło ono również o pewnej obawie przed nieprzyjacielem. Lecz niechybnie poza tym był pewien brak i w dowodzeniu. Nie chcę zaś, bo nie mogę bez żadnych danych i materiałów, analizować, gdzie właściwie ten brak miał miejsce. Bez posiadania raportów, które dn. 5 lipca wpływały do rąk p. Tuchaczewskiego, trudno to stwierdzić. Faktem jest jednak, że gdy jeszcze w nocy z 5 lipca na 6 lipca popycha p. Tuchaczewski swą 4 Armię w kierunku sudańskim ściśle na południe, to już jak sam to pisze, wyrzekając się sudańskich zamiarów zaprzestał pchać 3 Armię - południowe skrzydło - w kierunku sudańskim na zachód i na północ. 3 Armia bowiem już 6 lipca otrzymuje zadanie poparcia jeszcze bardziej południowej 16 Armii ruchem na Mińsk, prawie ściśle południowym. Nasze relacje stwierdzają, że tego właśnie dnia lewoskrzydłowa dywizja naszej 4 Armii (15), przygotowując się do odwrotu osłaniała się niewielkimi posterunkami wzdłuż rzeczki Ponii, gdy 1 Dywizja Litewsko-Białoruska już była odeszła na południe od Dokszy. Tam też notują nasze relacje słaby kontakt z patrolami nieprzyjacielskimi.

Cóż jednak robiła wybrana, najbardziej uposażona 15 Armia? Skierowana była wyraźnie ku zachodowi, przeszła w ataku dn. 4 lipca od 4 do 10 kilometrów i - jak wiemy - stanęła, nie czyniąc wcale wielkich postępów w dn. 5 lipca. Zrzekła się jakiegokolwiek pościgu, oddając go w ręce słabej brygadzie jazdy. Dnia zaś 6 lipca widzimy ruch najbardziej północnej prawoskrzydłowej 54 Dywizji, zmieniającej gwałtownie kierunek z zachodniego na południowo-zachodni, takim bowiem jest kierunek marszu z Łużek na Głębokie. Czy i 15 Armia otrzymała 6 lipca rozkaz zaniechania Sedanu i zmiany dotychczasowego kierunku swego marszu, p. Tuchaczewski nie pisze. Jest to uwidocznione dopiero w rozkazie z 7 lipca, danym w Smoleńsku o godzinie 9 minut 40 rano. U p. Sergiejewa przytoczony on jest w całości. Zmienia p. Tuchaczewski kierunek 4 Armii z południowego na zachodni, 15 z zachodniego na południowo-zachodni, na Mołodeczno; co do 3 Armii, rozkaz nakazuje dalsze wypełnianie postawionego już zadania, to znaczy marszu w kierunku na Mińsk.

Z tych wszystkich danych niezwykle trudno jest określić, kiedy właściwie p. Tuchaczewski wyrzekł się idei Sedanu i jaki nań wywarło wpływ to dreptanie na miejscu wszystkich jego armii dn. 5 lipca. Skłonny jestem przypuszczać, że w dalekim Smoleńsku raporty, przechodzące przez alembik dowództwa armii, musiały być bardzo sprzeczne w przeciągu tych dwu dni boju, i p. Tuchaczewski musiał mieć te rozdzwęki w duszy, które się uwidoczniły w braku nacisku na swych podwładnych i w stopniowym rozchwyaniu się i wreszcie zaniku idei sudańskiej. W tym rozdzwisku wracały mu echem idee niedawnej przeszłości, węzeł myślowy geograficzno-geometryczny, związany ze smoleńskimi wrotami i skrętem wojska o 90° w nowym kierunku. Wskutek tego rozdzwisku i wskutek pracy koło węzła myślowego widzimy zaniechanie pościgu, widzimy utratę kontaktu z nieprzyjacielem i powolne

(szkic nr 4) dreptanie na miejscu ogromnej większości wojsk p. Tuchaczewskiego, obracających się półsennie koło jakiejś wyobraźalnej osi. Dzięki temu tańcowi chocholemu koło węzła myślowego p. Tuchaczewskiego nasze wojska wyszły zupełnie cało z opresji, pomimo iż rozkaz gen. Szeptyckiego zmuszał je do odchodzenia w nienaturalnym i - dodajmy - niepotrzebnym kierunku. Dzięki temu też jedynie gen. Zeligowski - nie "gros" nasze, jak chce p. Tuchaczewski - najzupełniej nie dotknięty rozbiem i porażką, reprezentował dla p. Tuchaczewskiego „zmiażdżone”, „rozgromione” resztki armii, zmykającej ku zachodowi w „postawskim kierunku”. Siły dowodzenia w tej pierwszej bitwie „pochodu za Wisłę” nie mogę dostrzec. Wojska p. Tuchaczewskiego dreptały za często na miejscu w obawie przed „rozgromionym” nieprzyjacielem, a ich dowódca kiwał się pomiędzy Sedanem, którego wojska nie czyniły, a pomiędzy „taranem”, którego znowu p. Tuchaczewski nie zrobił.

W środku zaś boju, gdy przerwał się Sedan, przerywa bój i pościg sam wódz, przerzucając się do taranu i zwrotów geometrycznych, zostawiając swobodę działania przeciwnikowi.

Przeciwnik już 5 lipca szuka swobody działania. Rozkaz gen. Szeptyckiego dnia tego przed południem nakazuje całej armii, dotąd walczącej, oderwać się od nieprzyjaciela, by właśnie tę swobodę działań uzyskać. Celem tego, jak głosi pierwszy punkt rozkazu, jest „przeprowadzenie ugrupowania nowej linii celem przejścia do kontrakcji”. Nie wiem, czy dowódca frontu wyjaśnił dostatecznie dowódcy armii myśl swoją, lecz rozkaz naszej I Armii, powtarzając zresztą w pierwszym punkcie polecenie dowódcy frontu o przejściu do kontrakcji, w punkcie piątym zarządza zajęcie „nowej linii obronnej”. Kontrakcją więc ma być linia obronna;

a w jednym z ostatnich punktów wyraźnie nakazano „linię obronną wzmocnić technicznie”. Niewątpliwie samo sformułowanie tych rozkazów wywołać musi w umyśle podwładnych wrażenie sprzeczności.

Sprzeczność tym bardziej wyrasta i tym bardziej dziwną się staje, gdy się na mapie wytknie nową linię kontrakcyjno-obronną. Zaczyna się ona w Niebyszynie na rzece Ponii, a kończy się daleko na północy, na trasie od Szarkowszczyzny ku Święcianom, w Kozianach. Rozciągłość tej kontrakcji, czy linii obronnej, technicznie wzmocnionej, wynosi mniej więcej 100 kilometrów, to znaczy akurat tyle, co jeszcze przed paru dniami zajmowała nasza I Armia na linii obronnej nad „wątlwym strumieniem - Auta”. A gdy sobie przypomnimy, jak techniczne wzmocnienie owej linii wyglądało i ile skarg z powodu niedostateczności wzmocnień ona wywoływała, gdy przypomnimy, jak smutnie skończyła się próba linii obronnej w boju 4 i 5 lipca, zrozumiemy, jak gorzką ironią dla wojsk, czytających ten rozkaz, brzmieć musiała chęć dowódcy armii, wyrażona w tymże piątym punkcie słowami: „utrzymanie tej linii jest konieczne”. Wobec tego odcinki „linii obronnej” całkiem już nie odpowiadają „doświadczeniu wojny światowej”.

Odcinki te jednak mają jeszcze jedną charakterystyczną własność. Gdy dwie północne dywizje, 8 i 10, mają zająć odcinki nowej linii obronnej na 55 kilometrów (8-30 km, 10-25 km), to trzy dywizje na południu (17, 11 i I Litewsko-Białoruska) mają odcinki znacznie mniejsze, przeciętnie nie przenoszące 15 kilometrów, to jest tej gęstości obsady, którą miały i w boju 4 i 5 lipca. Nie jest to chyba bezcelowe i chociaż wątpliwym mi się wydaje, aby względne zmasowanie na południu miało zadośćuczynić żądaniom dowódcy frontu prowadzenia jakiejś kontrakcji, jednak zanalizować trzeba, po co właściwie zrobione jest to zgęszczenie na południu, a rozrzedzenie na północy? Muszę to uczynić tym bardziej, że taki właśnie rozkład strategiczny I Armii jest wynikiem wspomnianej już defilady całego naszego centrum w boju 4 i 5 lipca, defilady, która istotnie narażała wojska na „rozgromienie” i „rozpylenie”. Sądząc z rozkazu gen. Szeptyckiego, przypuszczać by można było, że ma ona za swoim lewym skrzydłem gdzieś beczynnienie stojącą 7 Armię. Przynajmniej punkty drugi i trzeci rozkazu zajmują się względnie dużo tą sąsiednią „armią”. Przytaczam oba dotyczące punkty in extenso. Punkt drugi głosi: „7 Armia otrzyma od Naczelnego Dowództwa rozkaz cofnięcia oddziałów stojących na północy do rejonu Święcian”; w punkcie trzecim czytamy: „Trakty Duniłowicze-Postawy-Hoduciszki oraz Szarkowszczyzna-Rozłany-Twerez (oba trakty, prowadzące do Wilna - uwaga moja) zajmie dowództwo I Armii odpowiednimi oddziałami grupy gen. Zeligowskiego, względnie 8 Dywizji Piechoty, by dać

możność dowódcy 7 Armii przesunięcia jeszcze do dyspozycji stojące oddziały, względnie przeprowadzenia ewakuacji Wilna".

Dla wyjaśnienia tej zagadkowej 7 Armii muszę zaznaczyć, że pomimo tak szumnej nazwy składała się ona z jednej formującej się jeszcze dywizji, tzn. 2 Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Dywizja ta liczyła w swoim stanie 2700 bagnetów i użyta była do pilnowania i obserwacji naszej ówczesnej linii demarkacyjnej między nami a Litwą na przestrzeni nie mniejszej niż sto kilkadziesiąt kilometrów, tzn. że samo zebranie rozszaniowanych po tej dużej przestrzeni posterunków zająć by musiało dobrych kilka dni. Szumna zaś nazwa była przeżytkiem, utrzymanym po likwidacji tego jej stanu, gdy liczba wojsk, które posiadała, była znacznie większa. Niejasne więc sformułowanie rozkazu gen. Szeptyckiego, nieledwie podsuwające już z góry ewakuację najważniejszego centrum politycznego - Wilna, upoważniało, zdaniem moim, dowódcę 1 Armii do rozrzedzenia siły swojej na północnym odcinku, gdy jego bezpośredni przełożony widocznie o ten północny odcinek dbać nie chciał. Nie mógł bowiem dowódca 1 Armii ani chwili przypuszczać, że gen. Szeptycki wartość bojową „7 Armii” wyżej ocenia, niż ona była realnie. Nie chcę analizować wpływów tej decyzji, gdyż w ogóle unikam w tej swojej pracy tzw. przeze mnie "wstydliwych zakątków historii". Zaznaczam tylko fakt, potrzebny do zrozumienia operacji z naszej strony, że rozkaz 5 lipca gen. Szeptyckiego, po naszej przegranej taktycznej dn. 4 i 5 lipca, ugrupował cofającą się po bitwie naszą 1 Armię w sposób nienaturalny i nie odpowiadający sytuacji. Miała ona posiadać w ten sposób silniejsze prawe skrzydło, ściśle związane z lewym skrzydłem naszej 4 Armii, do której spieszył już rozkaz o jej odwrócie, tak jak gdyby 4 Armia, dotąd niezagrożona, musiała mieć oparcie na dotkniętej już porażką sąsiadce.

Oparcie zaś zostało uczynione kosztem północnego skrzydła, osłaniającego kierunek zachodni, prowadzący do głównego centrum politycznego kraju - Wilna. Rozkaz ciężko zaważył na szali nie tylko dla Wilna, ale, jak to zobaczymy przy dalszej analizie, i dla całego frontu dowodzonego przez gen. Szeptyckiego. Nieszczęsny ten rozkaz gen. Szeptyckiego, ściągający na lewe skrzydło naszej 4 Armii ogromną większość sił naszej 1 Armii, mógłby być jeszcze związany z pierwszym punktem rozkazu, który mówi o przegrupowaniu dla kontrakcji. Lecz w tym wypadku rozkaz byłby ogromnie spóźniony. Na kontrakcję 4 Armii był czas w dn. 4 i 5 lipca, gdy jej aktywna pomoc sąsiedniej armii, będącej w ciężkim boju z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, mogłaby niechybnie wpłynąć silnie na stan rzeczy. Wtedy jednak 4 Armia, zgodnie z systemem myśli okopowej, stała biernie, przyglądając się zapasom na północy i bodaj jedyny ruch, który wykonała, było zrobienie, mówiąc językiem okopowym, ryglowej pozycji nad nowym wątlwym strumieniem, rzeczką Ponią. Ta bierność w pracy wojennej daje się zauważyć również w zupełnie niepotrzebnej stracie czasu, gdy 4 Armia rozpoczęła swój odwrót dopiero 7 lipca. Nie chcę analizować powodów i przyczyn tego opóźnienia, gdyż w historii ten dzień czy dwa dni nie odegrały, zdaniem moim, roli strategicznej wobec ogromu zjawisk wojennych, które nastąpiły potem. Zaznaczam ten fakt tylko dlatego, że jeżeli, jak wykazałem wyżej, p. Tuchaczewski dzień 6 i prawdopodobnie 7 lipca darował nam, czyniąc w próżni swoje manewry, to my, mówiąc o kontrakcji, a trzymając się w istocie zasady pasywnego zupełnego oporu, nie tylko nie wykorzystaliśmy tych dni, lecz zwróciliśmy je w całej pełni p. Tuchaczewskiemu. Dodam, że z Warszawy rozkaz o odwrócie 4 Armii został wysłany 6 lipca.

Tak czy inaczej, odwrót zarówno 4 Armii, jak i 1 Armii od dnia 7 lipca był w pełnym roku, zmierzając ku zachodowi. Odwrót 1 Armii odbywał się w większości wypadków bez żadnego kontaktu z nieprzyjacielem albo z bardzo małymi, nieznacznymi potyczkami nieledwie patroli. Armia 4 zaś miała pewne trudności w pierwszych paru dniach odwrotu, później jednak cofała się bez wielkich przeszkód, odrywając się stopniowo od nieprzyjaciela. Dla olbrzymiej większości wojska postawił gen. Szeptycki, jako cel strategiczny odwrotu, długą linię okopów niemieckich. W nich aż do południowego krańca jeziora Swirskiego miały stanąć dywizje obok dywizji, i tylko dwie dywizje, 8 i 2 Dywizja Litewsko-Białoruska, zostały poza tymi okopami.

Co do samej metody odwrotu jako strategicznej operacji, mam do zaznaczenia, że zarówno

w 1, jak i w 4 naszych armiach trzymano się, niestety, systemu linii tak uporczywie i tak bezwzględnie, przynajmniej w rozkazach, że wojska nasze musiały dokonać tego odwrotu z wielkim trudem i ciężarem. System w 1 Armii nieco się różnił od systemu armii 4. Przede wszystkim w 1 Armii odwrot był w rozkazie zupełnie schematyczny, gdy w 4, będącej teraz pod rozkazami gen. Skierskiego, są próby uniknięcia schematu i jakiegoś indywidualizowania sytuacji w poszczególnych jednostkach. Wyznaję, że ten suchy schemat rozkazów jest po prostu przerażający. Wydaje się czytającemu rozkazy, jak gdyby dowódca działał w jakiejś próżni i przesuwiał bezdusznie pionki na mapie. Dla względnie łatwo układającego się odwrotu 1 Armii zarządzono w drodze do „ostatecznej linii obronnej” aż trzy pośrednie także „linie obronne”. Co właściwie te „obronne linie” oznaczały, nie wiedział chyba sam piszący, lecz że wojsko musiało gorzko odczuwać ten system, niemożliwy do wykonania jeżeli go brać serio, to pewne. Przecież istotnie to są kpiny z żołnierza, gdy on może przypuszczać, że dowódca żąda od niego urządzenia linii obronnej na rozciągłości z górą 100 kilometrów po to tylko, ażeby natychmiast prawie ją opuścić i dążyć do nowej, równie bezpłodnej pracy. Oprócz tego, samo pojęcie linii obronnej zmusza, o ile rozkaz jest słuchany, do cofania się nieledwie patrolami, rozciągniętymi na ogromnej przestrzeni, czyniąc ten dziwny manewr pod groźbą nadejścia nieprzyjaciela, któremu przed kilku dniami nie sprostano w otwartym polu. Jestem przekonany, że olbrzymia część wojska tego rozkazu nie wypełniała i zaledwie może jacyś nieszczęśliwcy padali ofiarą „molocha linii obronnych”, tego surogatu wielkiego pana strategu - okopu. Przy (Patrz szkic nr 5) czytaniu późniejszych meldunków, które o stanie 1 Armii mówiły ujemnie, należy stanowczo brać pod uwagę, że armia ta po półzwycięstwie przeciwnika w dn. 4 i 5 lipca, dobita być mogła do reszty przez tę beznadziejność pracy, na którą skazywały ją rozkazy operacyjne.

W 4 Armii mamy również przekleństwo linii obronnych, z dodatkiem podziału ich pomiędzy fazy. W pierwszej fazie jest ich aż trzy. To samo rozumowanie, które zrobiłem w stosunku do pojęcia „linii obronnej” dla 1 Armii, stosuje się w całej rozciągłości i do 4 Armii. Te same, prawie niewykonalne rozkazy, te same prawie słowa z dodatkami koniecznymi, związanymi z kontaktem z nieprzyjacielem. I dopiero dn. 11 lipca nowy rozkaz daje jakąś zmianę. Punkt drugi tego rozkazu wreszcie mówi: „Dalszy odwrot dywizji ma odbywać się w zwartych kolumnach na głównych liniach komunikacyjnych, z pozostawieniem tylnych straży tylko w celach wywiadowczych”. Wyobrażam sobie, jak głęboko i serdecznie były wdzięczne wojska, że wreszcie zrozumiały jedynie dlatego, że odwrot obu naszych armii jest właściwie dalszym ciągiem systemu, który panował przy prowadzeniu boju 4 i 5 lipca. Jak tam dzięki hołdowaniu zasadzie strategicznej okopowej wojny widzieliśmy bierny opór, dany nieprzyjacielowi bez żadnej próby zmiany w czasie boju strategicznego rozkładu, tak teraz w odwrocie widzimy tę samą bierność w cofaniu się wszystkich dywizji równoległymi liniami, nie dotykając w żadnym wypadku idei manewru, nie czyniąc najmniejszej próby zmienienia w czymkolwiek tego, co nieprzyjaciel zastał w dn. 4 lipca. Rozkład strategiczny zostaje ten sam, co poprzednio, lecz za to błędy jego wyrastają niepomniernie.

Dnia 4 lipca nasza 1 Armia, dotknięta bojem, miała frontu 100 kilometrów. Sąsiednia 4 Armia, biernie czekająca na wyniki bitwy na północy, miała tegoż frontu prawie 200 kilometrów. Przy nakazanym przez gen. Szeptyckiego odwrocie stosunek ten zmienia się gwałtownie. Gdy 4 Armia dojdzie do linii niemieckich okopów, front jej zwęża się i dojdzie do owych 100 kilometrów, które poprzednio miała 1 Armia. Odwrotnie, 1 Armia odchodząc zgodnie z rozkazem ku zachodowi front swój szybko rozszerza, tak że „linia obronna”, nakazana do zajęcia przez dowódcę, wynosi 200 kilometrów. Sytuacja więc strategiczna dla 4 Armii, porażką nie dotkniętej, znakomicie się poprawia, gdy odwrotnie, dla 1 Armii z niesłychaną szybkością się pogarsza. Skutki fatalnego błędu gen. Szeptyckiego z dn. 5 lipca dają swoje gorzkie owoce. Gdy „gros” sił 1 Armii, zmuszone rozkazem do niebezpiecznej defilady przed frontem nieprzyjaciela, zeszło z naturalnych dróg odwrotu, odchodząc w kierunku Mołodeczna, zbliżało się ono, jak wiemy, ku 4 Armii, zostawiając dalej na północy nieznaczną tylko część sił swoich. Przy analizie rozkazu wykazałem, że skutkiem jego było zagęszczenie sił naszych ku południowi, a rozszerzenie ku północy.

Działo to się wewnątrz I Armii. Teraz widzimy to samo zjawisko wewnątrz całego frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego, gdy odcinek południowej armii w dwójnasób zwęził, a odcinek północny w dwójnasób rozszerzył. Dzieje się zaś to wtedy, gdy właśnie na północy I Armia uległa przeważającej przemocy silnie skoncentrowanego nieprzyjaciela, a południe miało przed sobą nieprzyjaciela w niektórych miejscach równego sobie, a na większości swego frontu posiadało niezaprzeczoną nad nim przewagę.

W ten sposób nasza armia coraz bardziej rozrzedza północne swoje skrzydło - rozrzedza do tego stopnia, że wreszcie najbardziej północna część naszej armii, złożona z dwóch dywizji (8 i 2 Litewsko-Białoruskiej), dywizji może najsłabszych liczebnie w całej armii, zajęła - bez przesady - 100 kilometrów frontu. Z góry przesądzamy więc tam o swojej przegranej, gdyby nieprzyjaciel w tę właśnie stronę uderzył. Ten jednak, wiedziony rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7 lipca, zmienił swój dotychczasowy nacisk na północ i zachód i większość swoich sił skierował w innym kierunku. W kierunku najbardziej zagrożonym, a najmniej przez nas obstawionym, ruszyła jedna tylko 4 Armia p. Sergiejewa, armia, której piechota lubiła dreptać na miejscu, a jazda dotąd nie przejawiała swoich właściwości. Reszta wojsk, które się biły 4 i 5 lipca, w zawiłym manewrze czynionym w próżni skręcała się w kułak, odwracając się bokiem i prawie plecami od 4 Armii. Rozkład strategiczny wewnątrz każdej z tych armii jest także zasadniczo inny. 4 Armia idzie szerokim bardzo frontem, może się więc poruszać szybko, a szybkość jej jeszcze bardziej może być zwiększona przez to, że ogromną część jej sił stanowi jazda; odwrotnie - reszta wojsk jest, jak my mówimy, zaciśnięta w kułak, czy, jak chce p. Tuchaczewski, w taran. Raz jeszcze zacytuję charakterystyczne określenie w tej sprawie p. Sergiejewa: „Wąskie korytarze dla 15 i 3 Armii pozwalały prowadzić dywizje w dwóch, a nawet w trzech liniach, zmasowane na głębokość i zatem mając zawsze gotowe w zaciśniętym kułaku dywizje dla jakiegokolwiek manewru. 15 Armia przyjęła taki system marszu jeszcze od Głębokiego, mając w pierwszej linii dywizje 54, 33 i 11, a w drugiej, za skrzydłami, 4 i 16. Po dwóch, trzech marszach dywizje maszerujące na czele były zmieniane przez tylne odwodowe i w ten sposób osiągnęto znaczną oszczędność sił piechoty". Ten system marszu nie mógł być szybkim; armia z pięciu dywizji piechoty z przynależną do nich artylerią i taborami, maszerująca jak gdyby była pułkiem!

Ma ona w dodatku zmieniać co pewien czas straż przednią. Połączone to być musi z "oszczędnością sił piechoty", lecz za to z ogromną stratą czasu - za każdym razem najmniej pół dnia, a może i całej doby. Taka armia jak żółw pełznąć musi w porównaniu z chartem, puszczonego ze smyczy dla pościgu, jak to było przeznaczone północnej 4 Armii. Żółw i chart, oddalający się w dodatku wzajemnie, nie są kolegami w ruchu i niechybnie do celu jednocześnie lub mniej więcej jednocześnie dojść nie są w stanie. Z błędu strategicznego gen. Szeptyckiego i z dziwnej rozbieżności celów i ruchów dwóch sowieckich armii wynika niezwykle oryginalna bitwa o posiadanie Wilna. Bitwa ta znowu, jak boje 4 i 5 lipca, nie miała przejściowego, taktycznego znaczenia, lecz osiągnęła wyżyny strategii. Jest zaś dziwaczna i oryginalna, gdyż pomimo jej wielkiego znaczenia dla całej kampanii nie należy wcale do dziedziny sztuki wojennej, gdyż nie związana jest w niczym z myślami i zamiarami obu dowodzących frontami: gen. Szeptyckiego i p. Tuchaczewskiego. Pierwszy z nich celowo odcinek ten, tzw. linii obronnych, wszelkimi sposobami osłabia, rozrzedzając obsadę, więc nie ma zamiaru i chęci dawać tam lub przyjmować bitwy o większym znaczeniu. P. Tuchaczewski zaś - jak wiemy - po zupełnie nieudanym Sedanie, uwierzywszy w "rozgromienie", "rozpylenie" i "zmiażdżenie" uciekającego jakoby w popłochu przeciwnika, rzuca w tym kierunku także rozrzedzoną i rozsyaną na wielkiej przestrzeni najsłabszą swą armię. Siłą zaś istotną, "gros" swoim, w decydujący kułak je zgiąwszy, nie spieszy, bo pewny jest swego, festinat lente krokiem żółwia, by decyzję znaleźć gdzie indziej. Wielka strategia święcić ma swój dzień uroczysty gdzie indziej: gdzie indziej zasłumi Nike, z ramienia Marsa i Minerwy darząc zwycięstwem i karząc klęską - tak chcą obaj dowódcy. Po cóż dla nich ta niespodzianka, że nie tam, gdzie oni wyznaczają, szale losów nie bitew, lecz wojny się chwieją? Czyżby dla pociechy strapionego poprzednim bojem p. Sergiejewa? Bo w tej bitwie wileńskiej Nike szumiąca skrzydłami jemu na głowę zwycięskie laury włożyła.

Nim jednak laur ten otrzymał, spieszy upiększyć w swej książce nie samą bitwę, lecz swój marsz do bitwy. A wobec tego, że marsz ten wcale nie należy do ładnych, a jest jakiś dość przypadkowy, upiększa go - jak zwykle w takich wypadkach - słowami i określeniami dającymi piękno wielkości, gdy treści brakuje. Istotnie piękna skądinąd książka p. Sergiejewa upstrzona jest, niestety, wielkim określeniem *place d'armes*. W tym marszu pod Wilno przecina on powiat, którym się szczyć jako kolebką mego życia - powiat święciański. Nigdy nie przypuszczałem, że tak bogaty jest on w strategiczne rozkosze, w *places d'armes*. *Place d'armes* jest w naszej stolicy w Święcianach, *place d'armes* jest również pod Świrem. A że miasto Święciany ma marną jedynie kolejkę wąskotorową, a piękne miasteczko Świr i jego stare zamczysko od czasu, gdy stoi nigdy świstu parowozu nie słyszało, więc by w wieku dwudziestym jako strategiczne *places d'armes* służyć komukolwiek mogły, trzeba wielkiej, olbrzymiej wartości ziemi i piękna jej tworów, by tak wysokim obiektem strategii służyć miały. Dumnymi być mogą miejscowi *incolae*, mówiąc stylem makaronicznym. Widzieliśmy Orzechownę, zastępującą dumny Smoleńsk w bujnej wyobraźni p. Tuchaczewskiego, widzieliśmy marny rząd drutów i parę lichych rowków, zmuszające naszych dowódców do nakazu, by VII bateria I Dywizji Litewsko-Białoruskiej 24 pociskami huragan ognia zaporowego czyniła; więc nic dziwnego, że i wojska p. Sergiejewa, pomimo iż za „rozpylonym” wrogiem idą, są ostrożne w stosunku do sławnego powiatu święciańskiego, gdy tyle *places d'armes* im grozi. Pomimo, że być miała chartem, spuszczone ze smyczy, zanadto nie spieszy. Oto określenia samego dowódcy armii, p. Sergiejewa: „Rozkaz był przesłany konnemu korpusowi telegramem bez drutu, lecz wypełniony przez jazdę nie był” (str. 53 l. c.). „Brygada 164 cały dzień 8 lipca przestała na miejscu w okolicy Zamosza”. Następnie ruszyła, zdaniem p. Sergiejewa, w niepotrzebnym zupełnie kierunku. Ruch jazdy p. Sergiejew charakteryzuje słowami: „Ruszyła się ona bardzo wolno szerokim frontem” (str. 54), tłumaczy zaś ją następującymi słowami: „Nieznaczące potyczki z jazdą przeciwnika (nasz 13 Wileński Pułk Ułanów) i z jego odchodzącymi małymi pieszymi grupami (nasz tzw. pułk słucki) silnie zatrzymywały ruch konnej masy” (str. 54). Oto dalej opis p. Sergiejewa działania jego piechoty i jazdy kaukaskiej: „Pomimo paniki, rozpowszechniającej się na tyłach przeciwnika z powodu zjawienia się naszej jazdy w okolicach Widz i Dukszty, udało się jednak Polakom zorganizować jako tako opór na niemieckich pozycjach, przy czym w okolicy na południe od Postaw do jeziora Miadzioł opór ten okazał się dostateczny (była to «rozpylona» 8 Dywizja nasza), aby zatrzymać jazdę kubańską do wieczora 9 lipca, to jest do podejścia 18 Dywizji”. Ruchy więc 4 Armii teraz bardzo przypominają dreptanie na miejscu podczas manewru sudańskiego 4 i 5 lipca. Znowu straty dni całych, powolne ruchy żółwia, gdy trzeba być chartem. Jeszcze w tym czasie działają naprzeciw armii p. Sergiejewa trzy nasze dywizje. Na prawym skrzydle 10 Dywizja gen. Zeligowskiego, w środku 8 Dywizja pułk. Burhardt-Bukackiego i na północnym skrzydle powoli się ściągająca i zbierająca 2 Dywizja Litewsko-Białoruska gen. Boruszcza wraz z niecałym Pułkiem Ułanów Wileńskich. Lecz przy cofaniu się ku Wilnu już 10 Dywizja odchodzi - odchodzi do ważniejszych zadań - na południe, by stanąć na południe od jeziora Swirskiego w raju drutów - okopach niemieckich. Naprzeciw 4 Armii sowieckiej pozostają więc dwie nasze dywizje poza okopami, więc w gorszej sytuacji taktycznej, lecz za to strategicznie obdarowane czy obciążone rozciągłością niezwykłą, bo aż prawie 100 kilometrową od Swirskiego jeziora po miasteczko Dubinki. A jednak! E pur si muove! Są groźne „*places d'armes*!”. I wojska p. Sergiejewa zaczynają znowu dreptać na miejscu. Dn. 11 lipca rozpoczyna się na północy naszego frontu pod Wilnem „trzydniowy bój na Wilii”, jak pisze p. Sergiejew. Więc - zgodnie z jego słowami - koło Podbrodzia jazda spotkała 11 lipca „silny opór przeciwnika i prowadziła wyczekujący bój”, czekając na podejście reszty jazdy i piechoty. Dywizje 53 i 12, rozciągnięte na długim froncie, przekonały się tegoż 11 lipca, że „na całej linii rzeki Wilii przeciwnik trzymał się mocno i odpierał wszystkie próby naszych (sowieckich) strzelców opanowania przeprawami”. Dalej na południu nie było lepiej. Jazda kubańska znalazła piechotę przeciwnika już w rejonie miasteczka Świr i, szukając jego skrzydła, wyjaśniła, że cała linia rzeki Straczy od Swiru do Michaliszek silnie zajęta jest przez przeciwnika, który trzymał się także i za rzeką Wilią na zachód od Michaliszek. Jeździe się nie udało! „Lecz - pisze p. Sergiejew - po nadejściu 18 Dywizji nie

poszło lepiej. Kilka ataków na miasteczko Świr zostało odpartych i dowódca dywizji zdecydował podciągnąć ciężką artylerię". Pościg się zatrzymał. Ogólne wrażenie p. Sergiejewa było, że my zdecydowaliśmy się bronić Wilna i to przypuszczenie opierał - o, ironio losów i dowódców! - "na dosyć gęstym ugrupowaniu sił przeciwnika" na linii rzeki Wilii i na świrskim place d'armes. Walka o Wilno trwała według p. Sergiejewa trzy dni i w wielu miejscach miała charakter "długotrwałego i uporczywego boju"; zaczęła się 11 lipca, zakończyła wzięciem Wilna 14 lipca.

Faktem zaś jest, że trzy dni spędziły w boju dwie najsłabsze w całym wojsku dywizje. Faktem jest, że jedna z nich, 2 Dywizja Litewsko-Białoruska, szła w tych dniach do natarcia i Pułk Białostocki zdobył stację Podbrodzie już o 10 kilometrów poza linią Wilii. Faktem jest, że nie w gęstym ugrupowaniu sił stały owe dywizje, lecz w najrzadszym, w najsłabszym strategicznie na całym długim froncie gen. Szeptyckiego. Gdy wróg nie "rozpylił" poprzednimi bojami tych dywizji, pomimo że w to wierzył, "rozpylić" je musiał rozkład strategiczny, dający im za okopami i rajem drutów prowadzenie trzydniowego boju na rozciągłości prawie 100 kilometrów!

Cóż robią w tym czasie, w dn. 11 lipca, inne szczęśliwsze dywizje, co mają stanąć w bardziej zgęszczonej formacji, osłonięte rajem okopów, olbrzymią ilością drutów, w których i przy jasnym słończku zabłądzić można? Idziemy po kolei ku południowi. Sąsiednia 10 Dywizja, targnięta na bok z naturalnej drogi odwrotu na Świr i Michaliszki, po bezdrożach niekiedy, jeszcze 10 lipca po południu lub wieczorem osiąga linię okopów bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem. Dzień 11 lipca przechodzi tam spokojnie. Dalej ku południowi ma stać 17 Dywizja. Znowu 11 lipca kontaktu z nieprzyjacielem nie ma. Jeszcze dalej 11 Dywizja ma 11 lipca, jak piszą jej relacje, forsowny marsz odwrotowy bez kontaktu z nieprzyjacielem do istotnego rajy drutów pod Bogdanowem. Wyślane przed front 12 lipca patrole powróciły nad ranem dnia następnego, nie napotykając nigdzie nieprzyjaciela. Wreszcie najbardziej południowa dywizja 1 Armii, 1 Dywizja Litewsko-Białoruska, 11 lipca osiąga okopy na południe od Bogdanowa, także nie widząc wroga. W dniu więc 11 lipca, gdy p. Sergiejew z całą swoją armią skonstatował "zgęszczoną" obsadę nie drutów i okopów, lecz właściwie świeżego powietrza, pełnego zresztą "places d'armes", a wojska jego starym zwyczajem zaczęły dreptać na miejscu, cała reszta naszej 1 Armii w błogim spokoju używa lub spieszy używać rajy drutów i okopów na dawnych pozycjach niemieckich, wybudowanych ongiś ze zniszczeniem lasów litewskich i ogromnym nakładem pracy, przemysłu i rękodzieła najbardziej przemysłowego kraju Europy - Niemiec. Jeszcze szczęśliwsza pod względem sytuacji strategicznej nasza 4 Armia, oddawszy 11 lipca Mińsk, zgodnie z cytowanym już rozkazem wydanym tegoż dnia, zwija się w kolumny marszowe i jest w pełnym odwrocie bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem ku zachodowi do swojej części okopów niemieckich. A część to niemała! Dla najliczniejszej naszej armii i najmniej bojami dotkniętej wynosi akurat tyle, co rozciągłość frontu dwóch dywizji na północy, w dniu tym rozpoczynających trzydniowy, przeciągły i uporczywy bój o Wilno.

Im dalej ku południowi, tym we froncie gen. Szeptyckiego dzieje się lepiej wojsku. Ciężar taktyki jest mniejszy, a prezenty strategii większe. Najbardziej południowa grupa poleska nie jest wyjątkiem z tego prawa. Złożona z trzech dywizji naszych, ma przeciwko sobie niewielki oddział nieprzyjacielski, gdyż tzw. w armiach Sowietów Grupa Mozyrska ma dwa wręcz rozbieżne kierunki natarcia. Dobra jej połowa atakuje naszą 14 Dywizję, idąc za nią od Bobrujska ku Śluckowi, na północ od właściwego Polesia. Nasza więc poleska grupa ma przeciwko sobie najsłabszego nieprzyjaciela. Mamy tak olbrzymią przewagę, jakiej w ciągu całej długiej wojny nie mieliśmy nigdzie i nigdy. Toteż raporty stamtąd brzmiały zawsze triumfalnie, upiękzone zresztą wielkim huraganowym ogniem artylerii, którym błota poleskie w raportach pokrywano z jednej i z drugiej strony.

Mniej więcej to samo dzieje się w armiach, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. 11 lipca, gdy wojska północnej 4 Armii sowieckiej zaczęły dreptać na miejscu place d'armes święciańskiego powiatu, oczekując w jednym miejscu ciężkiej artylerii, w innym nadejścia piechoty czy jazdy, ściśnięte w kułak dwie armie - 15 i 3 - idą prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, daleko od zaangażowanego w boju p. Sergiejewa. W dniu tym wieczorem 15 Armia zajmuje dopiero Mołodeczno, będąc w ten sposób

najmniej o dwa dni marszu od okopów niemieckich. I tylko najbardziej północna jej 54 Dywizja wejdzie nazajutrz, 12 lipca, najbardziej przednimi swymi strażami w kontakt z naszymi dywizjami 10 i 17. Obok kroczy również "taranowa" 3 Armia. 6 lipca - jak wiemy - ruszyła w kierunku prawie południowym, z okolic Dokszyć w stronę Mińska. Idzie zapewne równie powoli, jak 15 Armia, gdyż jest zmasowanym taranem. Gdy jednak nieprzyjaciół, to znaczy Polacy, nie czekając na uderzenie ani mu przeciwdziałając, dobrowolnie odeszli wstecz i oddali Mińsk, taran 3 Armii nie zrobiwszy nic, zawraca, prawdopodobnie znowu ze stratą czasu, ku północnemu zachodowi, zbliżając się tym razem ku 15 Armii. Jest ona także 11 lipca, jak i w dniach następnych, bez kontaktu z nieprzyjacielem. 16 Armia zajmuje w dniu tym Mińsk, mając wszędzie do czynienia jedynie z patrolami straży tylnych, zostawionych, zgodnie z rozkazem, nie dla celów bojowych, lecz wywiadowczych.

Jasnym jest więc chyba, że trzydniowy bój pod Wilnem jest dziełem przypadku, nie celowego kierownictwa wojną ze stron obu. A jednak znaczenie tej bitwy i jej wynik zaciążyły na dziejach wojny w znacznie większym stopniu, niż poprzednie cięższe znacznie boje 4 i 5 lipca. Po pierwsze, od tej chwili my, Polacy, mieliśmy dwie wojny zamiast jednej. Zgodnie ze stwierdzeniem i p. Tuchaczewskiego, i p. Sergiejewa Litwa wyszła z dotychczasowej neutralności i wzięła udział po stronie Sowietów. Na szali wypadków wojennych późniejszych, aż do zakończenia orężnego starcia, fakt ten był dodatkowym ciężarem, nieraz wielkim, cisnącym naszą polską szalę ku dołowi na wagach dziejowych. Ciśnię ją nieraz może i dotąd. Sam bój nie był ciekawy, chociaż p. Sergiejew charakteryzuje go jako uporczywy, gdyż z chwilą, gdy osobisty jego wpływ skupił w paru miejscach większe siły dla ataku, iluzja place d'armes prysnąć musiała i rozrzedzone do stopnia pyłu szeregi obrońców Wilna utrzymać linii nie były w stanie. Natomiast próby natarcia z polskiej strony, które były jednak robione i doprowadzały, jak wiemy, nawet do zajęcia Podbrodzia, nie mogły przy takim uszykowaniu wojsk, będących w mniejszości, dać jakiegokolwiek rezultatu. Gdy więc 14 lipca Wilno padło, znajdziemy natychmiast wpływ tego wypadku na cały rozkład strategiczny jednej i drugiej strony. W rozkazach polskich odtąd aż do samej Warszawy powtarzać się będzie raz po raz w punkcie pierwszym sakramentalne jakby określenie:

"Z powodu obejścia naszego lewego, północnego skrzydła przez nieprzyjaciela" - cofa się reszta wojska ku zachodowi. Zaraz po wzięciu Wilna 14 lipca cofają się wstecz ku Lidzie najbliżsi sąsiedzi, dywizje 10 i 17 osłonięte rajem drutów na okopach, a jeszcze dalej to samo się dzieje z 4 Armią, która porzuca okopy dla nowej linii, już bez rajów drutów, za rzeką Szczarą. Wszystkie więc myśli i plany strategiczne pękły w jednej chwili z powodu przypadkowej bitwy pod Wilnem. Prezenty strategii dla południa, ciężary taktyki dla północy, których początkiem był rozkaz gen. Szeptyckiego z 5 lipca, zemściły się srodze na stronie polskiej.

Obok zaś nowej wojny i przewrócenia zasady rozkładu strategicznego mieliśmy w dodatku olbrzymi upadek moralny wojska, dowódców i całego narodu. Czego nie zrobił jeszcze „wąty strumień” Auta, to dokończyła Wilna, „naszych strumieni rodzica”. Prawie zabawnym, a charakterystycznym tego objawem były wypadki następnych dni pod Lidą; po raz pierwszy od 4 lipca formuje się tutaj coś w rodzaju silniejszego ugrupowania wojsk polskich. Zbiera się tu, jak gdyby dla jakiejś większej pracy, kilka dywizji, spieszących w tym kierunku z różnych stron. Robi się to, co jeszcze przed kilku dniami rozstrzygać by mogło boje pod Wilnem na naszą korzyść. Lecz robi się to pod batem nieprzyjaciela, w ujemnym dla zwycięstwa celu - odwrotu, ucieczki, utraty artylerii, cofania się prawie w bezładzie. Od tej bitwy wraz z jej skutkami kończy się też tak częste dotąd dreptanie na miejscu wojsk sowieckich, które w obawie przed dotąd zwycięskim nieprzyjacielem nie miały pewności siebie, pewności zwycięzców. Nieznaczące więc starcie, gdy weźmiemy ilość wojska zaangażowanego w tej bitwie, stało się ogromnym wypadkiem, zmieniającym głęboko taktykę teatru wojny.

Przy całej powyższej analizie sytuacji wojennej, zakończonej naszą przegraną pod Wilnem, ani razu nie wspominałem o roli w tym naczelnego wodza z naszej strony. Zostawiłem go z gotową prawie decyzją, powziętą jeszcze przed bojem 4 lipca, gdy doszedł do przekonania, że musi zmienić swój poprzedni pogląd na sytuację strategiczną, którą wytworzyły sukcesy jazdy Budionnego na południu. Szukając dalszych wysiłków dla zwiększenia ilości jazdy po naszej stronie, dla północnego frontu miałem w owe

czasu wyrobione zdanie, że najlepiej jest cofnąć dobrowolnie, bez nacisku nieprzyjaciela cały front ku zachodowi i, oparłszy centrum o linię niemieckich okopów sformować gdziekolwiek w okolicy istotnego place d'armes, Wilna, silniejszą grupę manewrową, zdatną do operacji nie w rozciąglej i słabej linii. Na Polesiu wtedy większe siły mogłyby się stać odwodem, gdyż front tamtejszy po cofnięciu się za rzekę Ptycz zwężał się tak niepomrotnie, że dla rozwoju większych sił nie było właściwie miejsca. Nie przyszło jednak do tego.

Gdy dla omówienia wszystkich tych spraw w końcu czerwca wezwałem do Warszawy gen. Szeptyckiego, znalazłem w nim ogromny upadek ducha. Na zebraniu kilku generałów, u mnie w Belwederze, oświadczył mi, że właściwie wojna jest przegrana i że sądzi, iż należy zawierać pokój za wszelką cenę. Motywy, które przytaczał, polegały na następującym: na południu sukcesy konnej armii Budionnego tak dalece demoralizują wojska na całym teatrze wojny, a demoralizację czuć już silnie w kraju, że nie wydaje mu się możliwe, by wysiłki nasze zatrzymać te sukcesy mogły. I dlatego oczekuje on, że na najgłębszych jego tyłach, w Brześciu, zjawi się wkrótce Budionny ze swoją jazdą, co uniemożliwi mu stanie dalej na froncie, a odwrót zamienić może w bezład i nieporządek. Na północy, mając pod swym dowództwem najlepsze części naszej armii, front swój utrzymać może, chociaż naprzeciw niego grupuje się coraz większa siła nieprzyjacielska, z głównym celem wzięcia Mińska. Najbardziej zaś niebezpieczny wydaje mu się silny wzrost narodowego uczucia w armii przeciwnika, wywołany przez zajęcie przez nas Kijowa. Spowodowało to dobrowolne wstąpienie do armii sowieckiej wielkiej ilości oficerów świeżo rozbitej przez Sowiety armii Denikina, którzy, jako fachowcy, zdolali w bezład sowiecki wprowadzić ład i należytą dyscyplinę. W^ęc wtedy, gdy u nas zwiększa się bezład, jest odwrotnie u nieprzyjaciela i nie jest wykluczone, że wobec niepowodzeń na południu, mogą wybuchnąć u nas rewolucyjne zamieszki, które będą potrzebowały interwencji armii; ta zaś może być dana jedynie przez zupełnie pewne wojska, będące pod jego, gen. Szeptyckiego, dowództwem.

Motywy te nie trafiały mi wcale do przekonania, projekt zaś zawierania za wszelką cenę pokoju odrzuciłem. Natomiast wypowiedziałem swoje zdanie o sytuacji, nadzieję zatrzymania postępów Budionnego na południu i chęć dla wygrania czasu cofnięcia całego frontu północnego wstecz, w powyżej wyłuszczone ugrupowaniu. Gen. Szeptycki uważał jednak za lepsze przyjęcie boju na przygotowanych jakoby pozycjach, na których stały wojska. Czuł się na nich - dodał - pewniejszy niż przy wykonywaniu żadanego przeze mnie manewru.

Miałem więc wtedy do wyboru: albo zmienić gen. Szeptyckiego na dowództwie frontu, albo też w przeciwnym wypadku zatrzymać się na rozstrzygnięciu gen. Szeptyckiego, gdyż wolę zawsze mieć gorsze rozstrzygnięcie, lecz pewniejszego siebie dowódcę. Po pewnym wahaniu wybrałem decyzję drugą, wskazując jednak na konieczność w razie cofnięcia się armii urządzenia rozkładu strategicznego zgodnego z moim pojęciem. Gdy minął 4 lipca z niekorzystnym dla nas wynikiem, już 6 lipca szedł mój rozkaz z Warszawy, przypominający gen. Szeptyckiemu urządzenie frontu zgodnie z moim poglądem. Pogląd ten wynikał nie tylko z poczucia wielkiego strategiczno-politycznego znaczenia Wilna, jako centrum życia wielkiego obszaru ziemi, a zatem głównego węzła dróg w tych okolicach, lecz i z prostego obliczenia niemożliwości rozciągnięcia frontu wzdłuż linii okopów niemieckich, sięgających aż pod Dyneburg. Gdzieś więc w okolicach Wilna musiała być na północnej flance naszych armii wolna od okopów grupa, dla której osłony z drutów znaleźć nie można. Grupa ta w tym czy w innym miejscu natarcia osłaniałaby jednocześnie i samo Wilno. W rozkazach i rozmowach z owych czasów zwykłym przymiotnikiem stosowanym z Warszawy dla tej grupy, był przymiotnik silna. Dlatego też niespodzianką i to bardzo przykrą, był rozkaz gen. Szeptyckiego z 5 lipca, wręcz przeciwny tej zasadniczej myśli. Wszystkie próby do dnia 11 lipca wywołania zmiany pod tym względem okazały się w stosunku do gen. Szeptyckiego daremnymi. Zaznaczam i tutaj, jak zawsze dotąd, że jako naczelny wódz niosę zawsze swoją dozę odpowiedzialności. Jak się wyraziłem w jednym z dokumentów, pisanych pod moje osobiste dyktando, a będących w biurze historyczno-wojennym, właśnie w sprawie gen. Szeptyckiego, rozumiem, iż ta doza odpowiedzialności mojej leży w pozostawieniu przy dowodzeniu gen. Szeptyckiego,

niezdadnego do tego pod względem moralnym. Lecz doprawdy pomimo iż bardzo surowo się odnoszę do słusznie i niesłusznie ciążącej na naczelnych wodzach odpowiedzialności, nie mogę brać na barki wszystkich dziwadeł strategicznych gen. Szeptyckiego, wykazanych przy odwrocie po bitwie 4 i 5 lipca. Być zawsze silniejszym tam, gdzie bój się nie toczy, a słabszym, gdzie w bitwie decydują się losy wojny, nie starać się nigdy o zmiany widocznie złego rozkładu strategicznego, jest przeczyć temu - jak Napoleon mówi - zdrowemu sensowi wojny i ulegać biernie woli dowódcy nieprzyjacielskiego.

Jedynym pytaniem, jakie postawić można, jest: czy było choć cokolwiek możliwym, by zadośćuczynić woli naczelnego wodza, który palcem wyraźnie wskazywał na okolice Wilna, gdzie chce mieć zebraną silniejszą grupę?

Zadawałem sobie nieraz to pytanie zadawałem je i przy niniejszej analizie-dla odpowiedzi przytoczę in extenso ustęp z rozkazu wydanego dnia 7 lipca dla 4 Armii, która, jak wiemy, cofała się po liniach zbliżających się do siebie rak dalece, że z każdym dniem marszu stawiała się coraz bardziej zgęszczona i znajdowała się po każdym marszu w coraz lepszej sytuacji strategicznej. Jeden z punktów tego rozkazu głosi: „Dywizja 4 w związku z odwrotem 4 Armii koncentruje swoje oddziały w rejonie Mińska, zajmując linie fortyfikacji Mińska. Pułk 31 (nawiasem mówiąc, należy do 10 Dywizji), znajdujący się dwoma batalionami na linii fortyfikacyjnej, a jednym batalionem w Mińsku, oraz 37 pułk (należący do 6 Dywizji), zdążający z Bobrujska do Mińska, przechodzą pod rozkazy płk. Kaliszki, jako dowódcy grupy operacyjnej. Zadaniem grupy jest utrzymanie Mińska do chwili przejścia oddziałów tyłowych 2 Dywizji Legionowej, po czym krycie dalszego odwrotu". Mamy więc przykrycie Mińska właściwie dwiema i pół dywizjami. Mińska, który ma się z zamiarem opuścić bez boju. Mamy nawet luksus, że jedna dywizja drugą kryje przy odwrocie. Mamy także pułk stojący beczynnym w Mińsku, a należący do dywizji, będącej pod Wilnem. Mamy wreszcie jeden pułk odosobniony i zdążający także nie do Wilna, gdzie palec naczelnego wodza wskazuje konieczność dla niego silnej grupy, lecz do tegoż Mińska, który za parę dni ma być opuszczony. A w dodatku stoją w Mińsku gotowe pociągi i linia kolejowa, gotowa do usług w kierunku Wilna, nie zagrożona wcale przez nieprzyjaciela, skoro w najbliższym do niego punkcie, Mołodecznie, stoi jeszcze tegoż 7 lipca dowództwo 1 Armii.

Półowa tego luksusu, tzn. choćby dywizja, mogłaby spokojnie zastąpić beczynnym stojącą 10 Dywizję gen. Zeligowskiego, którą, jakby umyślnie dla osłabienia północnego skrzydła pod Wilnem, ściągnięto ciężkim marszem z Jeziora Miadzioł, gdzie stała w związku z 8 Dywizją; ściągnięto ją, jak wiemy, na południe, osłabiając grupę wileńską. A gdy sobie uprzytomnimy owe charakterystyczne dreptanie na miejscu 4 Armii p. Sergiejewa przed „rozpylonymi” przez nas samych na 100 km przestrzeni dwiema dywizjami; gdy uprzytomnimy sobie, że ani 11 lipca, ani 12, ani nawet może 13 lipca żadna z części innych armii sowieckich wmieszać się do boju nie mogła; gdy wreszcie weźmiemy pod uwagę, że pomimo oczywistej słabości obrońców Wilna była to jedyna na całym długim froncie gen. Szeptyckiego atakująca grupa, której atak nie był nawet bez powodzenia - to łatwo sobie wyobrazić można, że przy tej zupełnie możliwej do okazania pomocy, zgodnie ze wskazaniem i rozkazami naczelnego wodza, mogłoby być odniesione zwycięstwo nad drepnącą nieśmiało 4 Armią p. Sergiejewa; zwycięstwo nad tą właśnie armią, która w dalszym rozwoju operacji decydowała stale i zawsze, aż do Warszawy, o nieustannym, nieprzerwanym cofaniu się frontu gen. Szeptyckiego. Lecz na poddanie się jasne i wyraźne woli nieprzyjaciela jeszcze dotąd nigdzie na wojnie nie znaleziono lekarstwa!

Rozdział siódmy

Dwie bitwy, które zanalizowałem, rozstrzygnęły losy kampanii, dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego, aż do Warszawy. Pierwsza z nich, 4 i 5 lipca, stoczona została z całą naszą 1 Armią, gdy większość naszych wojsk, 4 Armia i Grupa Poleska, stały beczynnym, nie przeszkadzając nieprzyjacielowi w odniesieniu nad nami półzwycięstwa przeważającymi siłami. Druga, od 11 do 14 lipca, toczona była z małą zupełnie częścią naszych wojsk wtedy, gdy cała reszta frontu w żadnych bojach nie brała udziału. Obie te bitwy otworzyły drogę nie dla "gros" p. Tuchaczewskiego i nie dla jego taranu, lecz dla najbardziej północnej części jego wojsk, 4 Armii z grupą jazdy. Odtąd wszystkie próby zatrzymania

nieprzyjaciela rozstrzygane były z jego strony w ten sam sposób, jak rozstrzygnięta została bitwa pod Wilnem. P. Sergiejew ze swoją armią i jazdą, idąc od Wilna już względnie wąskim korytarzem, systematycznie obchodził północne skrzydło naszych wojsk, jakby jakaś boczna awangarda, ciągnąca za sobą resztę sił sowieckich. Każde takie obejście rozstrzygało, jak pod Wilnem, o próbach oporu wpraw w 1 Armii, która się cofała, za nią spieszyła również wycofać się południowa 4 Armia. Wobec istnienia na skrajnym skrzydle wojsk sowieckich jazdy, te rozstrzygnięcia przybierały niekiedy rozmiary właściwie klęsk, gdy szybkość w opanowaniu terenu uderzała w wyobraźnię. Próby oporu z naszej strony były właściwie epizodami, które pod względem strategicznym były bliźniaczo podobne do siebie. Pomimo, że p. Tuchaczewski poświęca najrozmaitszym swoim kombinacjom podczas swego pochodu ku Wpisie względnie dużo miejsca, pomimo także, że i po naszej stronie tworzone mnóstwo najrozmaitszych kalkulacji i kombinacji, nie chcę poświęcać ze swojej strony miejsca dla ich analizy. Wszystkie bowiem te próby miały charakter zupełnie jednakowy i zasadniczo naszego rozkładu strategicznego w niczym nie zmieniały. Były one stale jak gdyby rozpaczliwymi skutkami pierwszych niepowodzeń. Wobec zaś tego, że pierwszy bój był - jak próbowałem wykazać - półzwycięstwem, drugi zaś pod Wilnem był na pół przypadkiem, historyk wojen zawsze zastanawiać się będzie nad dziwną zagadką, ukrytą w znaczeniu takich bojów.

Ruch wojsk p. Tuchaczewskiego po otwarciu drogi dla 4 Armii i jazdy trwał nieustannie. Przeciętą przestrzeń na jeden dzień aż do Warszawy i jej okolic wypada około dwudziestu kilometrów, więc prawie jeden marsz dzienny. Takie długie marsze, przerywane jednak bojami, stanowić mogą zaszczyt zarówno dla armii, jak i dla dowódców.

Specjalnie zaś główny wódz, który ma dosyć sił i energii, woli i umiejętności, by podobnych prac wojennych dokonywać, nie należy do miernot i przeciętnych. I, doprawdy, szczerze wolałbym teraz, gdy o tym piszę, dostrzec w dziełku p. Tuchaczewskiego zamiast dziwnych przesadnych określeń i niesmacznych wymyślań metodę dowodzenia i organizację tego pięknego marszu. Powinszuję mu go każdy historyk i każdy analityk. Wpływ tego marszu był olbrzymi. P. Tuchaczewski chce go porównać w jednym ze swych strategicznych orzeczeń do marszu armii niemieckiej w kierunku na Paryż. Istotnie, ten nieustanny robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu jak gdyby skokami, ruch, trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się, jak jakaś ciężka potworna chmura, dla której przegrody się nie znajdzie. Jest w tym coś beznadziejnego, łamiącego wewnętrzne wartości człowieka i tłumu. Przypominam sobie rozmowy, które w owych czasach toczyłem. Jeden z generałów, z którym często mówić musiałem, prawie co dzień rozpoczynał swą rozmowę i raport słowami: "Ależ marsz! Ależ marsz!". Było w tym coś z podziwu i coś z goryczy bezsilności. Na wojskowych marsz taki robi wrażenie jakiegoś potwornego kalejdoskopu, w którym co dzień układa się jakaś nowa sytuacja, z nowymi nazwami punktów geograficznych, pomieszanych z numerami pułków i dywizji, nowym układem czasu, nowym obliczaniem przestrzeni. I chociaż ten poczwarny kalejdoskop przesuwają powoli, lecz swą nieodpartą jednostajnością ruchu po pewnym czasie czyni chaos nie zakończonych kontrkombinacji, nie wypełnionych rozkazów i raportów nie związanych z nową, już istniejącą realnie sytuacją.

Pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy. Wszędzie dookoła wpływ tego marszu widziałem. I gdy już poprzednio wspomniałem o takim samym wpływie jazdy Budionnego, to teraz marsz nieustanny p. Tuchaczewskiego przewyższył znacznie swym znaczeniem i wpływem poprzednie wypadki. Dla naszej polskiej strony pod wpływem wydarzeń wytwarzał się coraz wyraźniej i coraz jaśniej poza frontem zewnętrznym front wewnętrzny, który swą siłą we wszystkich historiach wojen był zwiastunem klęski i największym czynnikiem przegranej nie bitew, lecz wojen. P. Tuchaczewski chce porównywać swój marsz ku Warszawie z marszem Niemców ku Paryżowi. I tam niechybnie powstawać musiał front wewnętrzny, front nieodpieralnego rozumu bezsilności i mędrkowania tchórzów i słabych, lecz Paryż, który tyle prób w historii swojej zwycięsko przeżył, nie był Warszawą, ledwie wyłoniłą z błota wiekowej niewoli - niewoli, gdy wiek cały triumf święciły rozum bezsilności i mędrkowania tchórzów. Więc front

wewnętrzny był silniejszy niż w 1914 r. w Paryżu, a opór przeciwko podszeptom trwogi i natchnieniom bezsilności był mniejszy i słabszy. Państwo trzeszczało, wysiłki wojsk rozdrabniały się w odruchach, a praca dowodzenia z dniem każdym była trudniejsza i cięższa moralnie. Niechybnie, wśród powodzi trwogi, bezwładu i bezsilności były próby zorganizowania elementu walki i elementu siły, lecz nie trzeba ich historycznie przesadzać. Nie miały one wcale żywiołowej potęgi i mocy, a osłabione były krzykactwem i nadmiarem bezwładu organizacyjnego. Dla krzykactwa rzucono hasło nonsensowe nowej armii ochotniczej, armii, w której przede wszystkim wyrastały w nonsensie organizacyjnym liczne sztaby, przepełnione nowymi prowenistami. Zdołałem zatrzymać ten nonsens, nakazując podstawę organizacyjną tylko batalionową i pozwalając z najsilniejszych i najmniej krzykliwych elementów sformować jedną tylko dywizję ochotniczą, która zresztą, jako taka, do końca wojny dzieliła los razem z innymi dywizjami.

Ten proces rozkładu sił, ten proces łamania się woli u nas, zdaniem moim, był największym triumfem, który przypisać mogę p. Tuchaczewskiemu. Tym marszem ku Warszawie, żywionym niechybnie jego wolą i siłą pracy jako dowodzącego, złożył p. Tuchaczewski dowód, że musiał wyrosnąć nad przeciętność i pospolitość. Lecz gdy książeczkę jego przerzucam, znajduję raz po raz jakieś świadome czy nieświadome fałsze, którymi upiększa niepotrzebnie swój marsz. Dla charakterystyki tych niepięknych piękności wskażę na romans czy bajkę z tysiąca i jednej nocy, tyczącą się Grodna i Niemna. Czego tam nie ma! Jakaś dziwna, nie znana w naszej historii koncentracja z zachodu i wschodu prawie sześciu naszych dywizji na Grodno. Jakies dziwadlo ruchów, których nie było w istocie, i ogromne mnóstwo słów i jeszcze raz słów o "pieszych masach", o "zmiażdżeniach", o dziwnych manewrach i kontrmanewrach, które wreszcie są zakończone "ostatecznym rozbiciem i zdemoralizowaniem" białopolaków. Gdy się czyta ten romans, który się dzieje w wyobraźni p. Tuchaczewskiego - a tych romansów p. Tuchaczewski tworzy w swym dziełku dość dużo rzuca się z pewnym niesmakiem książkę. Po co tyle pajaca w wielkiej dziejowej pracy wojny!

Historia Grodna jest prosta. Gdy "wrota wileńskie" przed armią p. Sergiejewa i jego jazdą się otworzyły i gdy 2 Dywizja Litewsko-Białoruska w przeważającej swej części uległa podwójnej wojnie z Sowietami i Litwą, jazda prostym ruchem paru szwadronów straży przedniej zajęła Grodno. Grodno, dla upiększenia życia wojennego fortecą zwane - fortecą zresztą tylko w pojęciu literatury naszej i sowieckiej, gdzie łatwo o place d'armes bez kolei, o fortyfikacje bez drutów kolczastych, o huraganowy ogień z kilku podpsutych armat i o fortecę z "rozpylonymi" fortami, które i teraz oglądać każdy może. W ten sposób jazda p. Sergiejewa prześcigała znacznie lewe skrzydło naszej I Armii, która nie dla żadnych koncentracji koło Grodna, lecz dla zwyczajnego, niezmiennego obsadzenia linii Niemna i Szczary, równoległymi znowu drogami cofała się od modrej Wilii ku szaremu jej kochankowi - Niemnowi. Na skrajnym zaś skrzydle, gdy 2 Dywizji Litewsko-Białoruskiej zabrakło, cofały się dwie dywizje, 8 i 10, których ani "rozpylić", ani "zmiażdżyć", ani "doszczętnie rozbijać" raz jeszcze ani p. Tuchaczewski, ani p. Sergiejew nie potrzebował, gdyż przecie w swojej drodze od Sedanu w Hermanowiczach-Szarkowszczyźnie były w książkach obu autorów "miażdżone" i "rozpylane" co najmniej pięć razy. Wbrew temu nadmiarowi klęsk, które w książkach p. Sergiejewa i p. Tuchaczewskiego poniosły, spełniły i tym razem swój żołnierski obowiązek. A będąc pod rozkazami gen. Żeligowskiego, który dotąd tego ogromu publicystycznych klęsk nie odczuwał, musiały obie dywizje, gdy dojdzie nawet do Niemna było dla nich zamknięte, drogę sobie ku Niemnowi otworzyć. I jak ongiś 6 lipca w Duniłowiczach, tak po paru tygodniach pod Grodnem gen. Żeligowski wraz z płk. Burhardt-Bukackim, dowodzącym 8 Dywizją, wahali się, czy drogi tej ku Niemnowi nie otwierać w Grodnie, zajętym już przez jazdę sowiecką. Gdy zaś udało się przejście koło Łunnej Woli otworzyć, zaniechali boju o Grodno, przechodząc przez Niemen ku zachodowi.

Tak samo bajką, a nie historią jest koncentracja sił naszych ku Grodnu od zachodu. Poza kilku batalionami, na gwałt rzuconymi dla zasłonięcia najbardziej północnego skrzydła na nowej linii Niemna i Szczary, zdołano jeszcze na czas przywieźć z Polesia jedną brygadę 9 Dywizji, którą skierowano pod Grodno, jako na punkt najsłabszy długiej linii frontu gen. Szeptyckiego. Jest to zresztą jedyny wypadek wzmocnienia rozrzedzonej kosztem południa północnej części tego frontu.

Oprócz grodzieńskiej bajki jest niemało i innych bajek u p. Tuchaczewskiego. Jest ich tak dużo, że każdej z nich prostować nie sposób. Nie mogę jednak nie być względny jako analityk i historyk dla p. Tuchaczewskiego. Miał on na pewno w rękę różne daty i dane dotyczące się naszej strony czy w zeznaniach jeńców, czy to z takich, czy innych dokumentów, wziętych przez jego wojska w tej epoce. A wobec niechybnej ich sprzeczności pomiędzy sobą, daty te i dane reprezentowały może dość wiernie ten chaos w ocenach sytuacji i prób kontrmanewrów, jaki istniał u nas w owe czasy. Mógł zarazem czerpać z tego prawdopodobnie obfitego materiału wszystko, co zechciał. Sam ja, naczelny wódz wojsk polskich, z pewnym podziwem i poczuciem kraszy nowości odnajduję teraz przy mych pracach dokumenty i pisma, nie znane mi wcale z czasów pochodzenia p. Tuchaczewskiego ku Warszawie. Ba, nie uważam tego wcale sobie za ujmę, gdyż w owe czasy, nie poddając się wcale nastrojom trwogi bezwładności, zatrzymałem się w stosunku do frontu dowodzonego przez gen. Szeptyckiego na zupełnie określonej decyzji i szukałem dróg dla zatrzymania pochodzenia ku Wiśle czy Warszawie za pomocą jedynego sposobu - kontrataku. Dla charakterystyki mego stosunku w tych sprawach przytaczam dosłownie notatkę moją, uczynioną na jednym z dokumentów historycznych, zatytułowanych "Sprawa generała Szeptyckiego", notatkę, napisaną w r. 1921, więc przy świeższej znacznie pamięci, niż to jest obecnie.

"Co się tyczy - pisałem w tej notatce - wszelkich operacji na północy od przegranej na Aucie i Berezynie, muszę powiedzieć, że uważałem za względnie bezcelowe rozważanie szczegółowe tych czy innych decyzji. Zasadniczo wróciłem do idei niemieckich okopów i silnego lewego skrzydła poza okopami pod Wilnem. Lecz przy pierwszych atakach na 4 Armię przestałem wierzyć w wykonanie tego planu, a to dla przyczyn następujących. Wykonanie tego planu z jego konsekwencjami wymagało:

- a) bardzo szybkiego odwrotu z poświęceniem wielu rzeczy dla wygrania czasu,
- b) uporządkowania choć trochę oddziałów,
- c) co główne dla podniesienia «morale» i znaczenia nowej ery dla wojska, wyznaczenie nowych dowódców.

Rozmyślałem nad tym wszystkim parę dni i dałem święty spokój, a to dla przyczyn następujących:

- 1) panika na tyłach, nawet dalekich od frontu, zaczęła się od razu, usposabiając bardzo popłochowe wojska i nie wróżąc wielkiego powodzenia dla pracy tyłowej i kolejowej;
 - 2) stosunki personalne w armii i specjalnie pośród wyższych oficerów należały do najgorszych, jakie kiedykolwiek przy studiach historycznych znałem. Zmiany więc w większym stylu, przy złym moralnym stanie już wtedy w całym kraju - mogłyby doprowadzić do katastrofy organizacyjnej i tak zawsze wiszącej nad moją głową;
 - 3) odruch moralny, jaki miałem i nad którym zastanawiałem się najdłużej, było wyjechać samemu na front i objąć tam dowództwo bezpośrednio. Z przykrością niezmierną dla siebie odrzuciłem i ten projekt. Główną przyczyną tego było poczucie, że stan moralny kraju całego zaczynał być tak fatalny dla celów wojny, nastrój popłochowy i nerwowy tak napięty i wielki, że od tego czasu poza frontem zewnętrznym zacząłem mieć, jako poważny minus w moich kalkulacjach, front wewnętrzny. Nie chciałem usunąć się od odpowiedzialności, co byłoby rzeczą łatwą. Uznałem wtedy, że na razie miejsce moje jest w Warszawie dla zmiany «morale» wewnętrznej i trzymania frontu wewnętrznego, chociażby dobrą miną i zupełną pewnością siebie. Nie uważałem więc za możliwy odjazd swój na dłuższy czas. Wobec tego wszystkiego ogólną strategiczną myślą moją od tego czasu było - aż do sierpniowych dni pod Warszawą
- 1) front północny wygrywa tylko czas,
 - 2) w kraju energiczne przygotowanie rezerw - dyrygowałem je wtedy na Bug, bez płąwania ich w walki odwrotowe frontu północnego,
 - 3) skończenie z Budionnym i ściągnięcie z południa większych sił dla kontrataku, który planowałem z okolic Brześcia. Uparcie do końca trzymałem się tej zasadniczej myśli.

Pominąwszy notatkowy styl uwag na marginesie dokumentów, oddają one ściśle moje, naczelnego wodza strony polskiej, rozważania. Jeżeli tak myślałem zaraz po pierwszym boju 4 i 5 lipca, to tym

silniej utwierdzałem się w tym mniemaniu, gdy widziałem bezowocność wszelkich usiłowań zmiany nonsensownego strategicznego rozkładu wojsk naszych na północnym froncie. Już po utracie Wilna przyszedłem do przekonania, że momentem zmiany dowódców na północnym froncie będzie przejście przez nasze wojska Bugu i Narwi. Przypuszczałem, że większa ilość wojsk na Polesiu, prawie niezaangażowanych przy cofaniu się w bojach, utrzymać zdoła Brześć i okolice i w ten sposób osłonić zdoła koncentrację wojsk od południa dla silniejszego uderzenia. Koniecznym jednak warunkiem dla tej koncentracji było usunięcie z góry silnego atutu, który posiadał przeciwnik w jeździe Budionnego. Z piechotą nieprzyjacielską na południowym naszym froncie liczyłem się bardzo mało. Po klęsce, którą zadałem na polach Ukrainy 12 Armii sowieckiej, piechota nieprzyjacielska nie wykazywała wielkiej siły i była właściwie dodatkiem do pracy konnej armii Budionnego. Parę nowych dywizji, które na tym froncie się ukazały, pomimo że jedna z nich nosiła dumną nazwę "żelaznej", prędko wyszarpały swe "żelazo" w bojach z naszą 3 Armią (gen. Rydza-Śmigłego) i straciły energię i ochotę do walki. Kołem rozpędowym wojny na południu była jazda Budionnego i nie sądziłem, by mi było trudno, po usunięciu lub przynajmniej znacznym unieszkodliwieniu tej jazdy, wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzieś pomiędzy Kowlem a Brześciem i wraz z Grupą Poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym.

W tych swoich rozważaniach brałem również pod uwagę stan moralny wojska. Gdy na północy obserwowałem stale postępujący rozkład sił moralnych, to na południu, odwrotnie, spostrzegałem jak gdyby stężenie moralne i wzrastającą ufność w przewyciężeniu kryzysu. Tam długi front cofał się i łamał z przyczyn często drobnych, a wojska cofały się nieraz bez boju i często w nieładzie; na południu wojsko wykazywało zdolność stałą do manewru i powracało ustawicznie do walki i boju. Boje zaś, choć nie były nawet zwycięskimi, codziennie zmniejszały siły głównego przeciwnika, Budionnego, siły bardzo trudne dla niego do odnowienia. Duża i z każdym dniem wzrastająca różnica wartości militarnej naszego południa w porównaniu z północą z wielką wyrazistością uwidoczniła się w przestrzeniach, które w odwrocie oddawano przeciwnikowi. Istotnie, jeżeli za datę wyjściową dla porównania weźmiemy datę 4 lipca, gdy bój na północy się rozpoczął, i zatrzymamy się na dacie 20 lipca, gdy wojska północy osiągnęły mniej więcej linię Niemna i Szczary, to cyfry łatwo zilustrują słuszność mego poglądu. W 1 Armii, np. 10 Dywizja przeszła w tym czasie w odwrocie 395 km. W 4 Armii wzięta dla przykładu 2 Dywizja Legionów miała odwrotowy przemarsz 295 km. W tym samym czasie odpowiednie cyfry dla trzech armii na południu, 6, 2 i 3 wynoszą 100, 80 i 130 km. Cyfry te są wymowne, a z każdym dniem i z każdym kilometrem stawały się wymowniejsze. Dodam, że organizacja liczniejszego korpusu jazdy z naszej strony, co się odbywało w Zamościu i okolicach, szła wprawdzie powoli, lecz zbliżała się ku końcowi. Wyjeżdżałem tam, by pracą organizacyjną przyspieszać i nadażyć z użyciem jazdy w odpowiednim czasie. Liczyłem więc, iż mogę z pewnym prawdopodobieństwem rachować, że gdzieś w końcu lipca będę mógł przystąpić do decydującej operacji. Na Bug i Narew wysłane zostały poszczególne bataliony ochotnicze i uzupełnienia dla cofających się 1 i 4 Armii i około 25 lipca nakazałem koncentrację sił na południu dla uderzenia na jazdę Budionnego. To uderzenie podjąć miała z północy 2 Armia z okolic Beresteczka, dokąd skierowane zostały świeżo zorganizowane dywizje jazdy. Od zachodu części 6 Armii miały w tym ataku brać udział.

Niestety, koncentracja szła tak powoli, a początki boju, który się w okolicach Beresteczka rozwijał, były tak niewyraźne, że choć jazda Budionnego, silnie szarpnięta podwójnym atakiem, zmuszona była do cofania się, to bitwa nie wydawała mi się taka, abym mógł liczyć na szybkie i decydujące jej rezultaty. Nie mogłem osobiście, jak zamierzałem, dojechać do wojsk walczących. Na drogach rozmiękłych po parodniowych deszczach mój samochód odmówił posłuszeństwa. A gdy niecierpliwie śledziłem przebieg boju w Chełmie, w kwaterze dowodzącego frontem gen. Rydza-Śmigłego, nieprzyjaciół zdobywał już na północy Łomżę i w szybkim tempie zbliżał się do Bugu i Brześcia. Pamiętam - 30 lipca kazałem zapytać gen. Sikorskiego, dowodzącego w Brześciu, na jak długo liczyć mogę, że obroni Brześć i jego okolice? Było to dla mnie ważne, gdyż rozmyślnie zostawiłem na Stochodzie części 3 Armii dla osłony od wschodu całego rejonu Kowla, gdzie w tym czasie zamierzałem koncentrować siły do kontrataku, gdy

uda mi się skończyć z Budionnym. Odpowiedź brzmiała pocieszająco. Gen. Sikorski sądził, że uda mu się zatrzymać w Brześciu i okolicach do 10 dni, a zatem - jak sądziłem - pomimo powolnie rozwijającej się operacji przeciw jeździe nieprzyjacielskiej, uda mi się ją zakończyć. Niestety, obliczenia gen. Sikorskiego okazały się złudnymi. Brześć padł nazajutrz, 1 sierpnia. Brześć upadł, a z nim razem i cała moja kalkulacja. Jeżeli często przy analizach byłem złośliwy w stosunku do zbytniego związywania się w pracy dowodzenia z nazwami geograficznymi, figurami geometrycznymi i szumnie brzmiącymi słowami z terminologii strategu i taktyki, to nieraz już starałem się być złośliwy i w stosunku do siebie, szukając, czy nie wpadłem w taką zasadzkę w związku z Brześciem. Po upadku tej nibyfortecy, dobę całą przetrzymałem nie zmieniając rozkazów, pomimo iż dowódca 3 Armii, gen. Zieliński, znajdował się w Kowlu, miejscu mojej koncentracji, z otwartą zupełnie flanką ku północy. W dodatku zaś od wziętego przez nieprzyjaciela Brześcia prowadziła bita szosa do Kowla, droga dwa razy krótsza i dogodniejsza niż droga spod Brodów i Beresteczka, gdzie zgromadzone były znajdujące się w nie rozstrzygniętym jeszcze boju moje siły, których mógłbym użyć do planowego kontrataku. Szło o to, czy cofnąć osłonę od wschodu, rozciągniętą wzdłuż Stochodu i górnego Styru, i wyrzec się w ten sposób dawniej planowanego uderzenia ku północy wzdłuż wschodniego brzegu Bugu, czy upierać się dalej przy swoim zamiarze? Niechybnie upadek Brześcia, z którym tyle wiązałem, wywarł na mnie silne i głębokie wrażenie - tak był niespodziewany i nieoczekiwany. Lecz po dobie wahania się i rozmyślań pożegnałem się ze swoją ideą i dałem rozkaz ewakuacji Kowla i cofnięcia osłaniającej 3 Armii na Bug.

Rozdział ósmy

2 sierpnia wróciłem z Chełma do Warszawy. Znalazłem ją w znacznie trwoźniejszym nastroju, niż ją zostawiłem przy odjeździe. Istotnie, ostatnia rzeczna przegroda, osłaniająca Warszawę od północy i wschodu - Narew, była prawie w posiadaniu nieprzyjaciela. Już nazajutrz padła Łomża i cała nasza 1 Armia cofała się ku stolicy. Na Bugu stały jeszcze w gorącej walce wojska naszej 4 Armii i Grupy Poleskiej. Lewe skrzydło tej armii było już silniej zagięte wzdłuż Bugu ku zachodowi, wobec posuwania się naprzód 15 i dużej części 3 Armii sowieckiej. Dalej ku południowi, też na Bug, w stronę Chełma, Hrubieszowa i Sokala cofały się dobrowolnie z mego rozkazu 3 i części naszej 2 Armii. Bój z jazdą Budionnego zamilkł. Brody zostały przez nas na Budionnym zdobyte i pomimo że w ostatniej fazie boju jazda nasza pod Klekotowem nieco ucierpiała, konna armia Budionnego nie miała siły po tym boju rozpocząć natychmiast zaczepnych operacji. Ogólny więc rozkład strategiczny nie zmienił się zasadniczo w niczym. Jak dawniej, od 4 lipca, północ stała u nas gorzej niż południe i zgodnie z dotychczasową receptą działań wojennych oczekiwać można było, że z chwilą, gdy p. Sergiejew ze swoją 4 Armią gdziekolwiek odniesie zwycięstwo, zacznie się cofać najpierw nasza 1 Armia, za nią 4. Nasze zaś południe, które świeżo odniosło półzwycięstwo nad Budionnym, zostawione będzie swojemu losowi. Była jednak dla obu stron zasadnicza różnica w sytuacji strategicznej w porównaniu ze wszystkimi poprzednimi. Po pierwsze, wojska sowieckie zbliżały się ku stolicy polskiej, ku Warszawie, co niechybnie obciążało niezmiernie nasze położenie, dając strategiczną przewagę przeciwnikowi. Zrównoważyć tej przewagi nie mogła okoliczność, że po raz pierwszy od tak dawna mieliśmy konną armię Budionnego, na pół pobitą, przed swoim frontem, a nie tak jak zawsze, na tyłach. Lecz może więcej wpływał na zmianę sytuacji strategicznej stron obu fakt, że pomiędzy północą a południem przestawała już istnieć ogromna bariera strategiczna w postaci Prypeci, otoczonej błotami. My, Polacy, wszystkie wygody ominięcia tej bariery mieliśmy po swojej stronie, odwrotnie - wojska sowieckie miały jeszcze przed sobą Bug, który krępował swobodę manewrowania wszystkimi siłami.

Toteż, gdy przejrzymy dziełko p. Tuchaczewskiego, znajdziemy, że chce on przypisać swoje niepowodzenie pod Warszawą głównie tej okoliczności, iż nie mógł zjednoczyć w jednym wysiłku pracy północy i południa. Rozważaniom nad swoją sytuacją i naszą polską przy zbliżaniu się ku Wiśle poświęca p. Tuchaczewski całe dwa rozdziały. Trudno mi prostować wszystkie błędy w danych p. Tuchaczewskiego o nas. Błędów tych jest bardzo dużo i musiałbym, wbrew swemu zamiarowi, przedłużać zanadto moją pracę. Nie chcę zaś podjąć się prostowania wszystkich orzeczeń p.

Tuchaczewskiego również ze względu na to, iż oba rozdziały noszą na sobie zrozumiałe zresztą piętno szukania usprawiedliwienia sobie z powodu klęski, którą poniósł idąc ku Wiśle pod Warszawą. Zatrzymam się potem na niektórych bardziej rażących błędach i przejdę do oceny rzeczowej rozważań strategicznych p. Tuchaczewskiego.

Jak mówiłem, widzi on główną przyczynę swojej klęski w braku współdziałania pomiędzy nim a południową częścią wojsk sowieckich - 12 i I Konną Armią. Nie wydaje mi się słuszne to narzekanie. Istotnie, p. Tuchaczewski stwierdza, że już dawniej miał przyrzeczenie głównego dowódcy, iż po minięciu Brześcia, a więc linii Bugu, pod jego dowództwem złączone będą wszystkie siły działające przeciwko Polsce. Lecz Bug przez południe nie był ominięty i nieprzyjaciel wszędzie próby sforsowania Bugu na południu od Brześcia zwycięsko odparł. Więc p. Sergiejew, który także się nad tą kwestią zastanawia, jest nieco sprawiedliwszy, gdy mówi: „Niepowodzenia pod Chełmem i Hrubieszowem pokazały, że 12 Armia przejdzie tylko tam, gdzie ją puści przeciwnik”. To samo, gdy dalej zaznacza, że „niepowodzenie pod Brodami musiało już doprowadzić do wątpliwości w rozważaniach (nawieści na rozmyślenja)” - (str. 102, 103, Sergiejew l.c.). Narzekania p. Tuchaczewskiego istotnie są dziwne. Cóż by on powiedział, gdyby usłyszał narzekania, np. Budionnego, że w chwili, gdy on również swój pochód ku Wiśle czynił i dochodził do Zamościa, to p. Tuchaczewski, wówczas już rozbity pod Warszawą, nie pomagał mu w jego dumnych zamiarach. P. Budionny miałby zupełnie taką samą rację, narzekając na p. Tuchaczewskiego, jak p. Tuchaczewski, gdy narzeka na p. Budionnego. Jazda Budionnego w owym czasie była w części rozbита i odchodziła ku wschodowi, by zalizywać swe rany. W zdobytych na tej jeździe Brodach, my, Polacy, mogliśmy swobodnie bez przeszkód jakichkolwiek załadować naszą 18 Dywizję, która Brody zdobyła, i wywieźć ją najspokojniej do zagrożonej Warszawy. Zostawała tylko na razie 12 Armia, o której już nieraz wspominałem, że po klęsce, którą jej zadałem na polach Ukrainy w kwietniu, nie miała do końca wojny wielkiej wartości wojennej. I ciesząc się, że u p. Sergiejewa spotykam taką samą jej ocenę, stwierdzam, że podczas całego boju pod Warszawą nie mogła ona złamać oporu nie trzech dywizji, które wtedy jeszcze miała naprzeciw siebie, lecz i jednej tylko naszej dywizji (7), która do końca bitwy warszawskiej pod Chełmem osłaniała prawe skrzydło naszego kontrataku znad Wieprza. Jedno z dwojga - albo p. Tuchaczewski, licząc na współdziałanie południa, musiał nań poczekać, względnie mu pomóc, albo też nie narzekać potem, gdy zdecydował się rozpocząć ostateczny „pochód na Wisłę” bez możliwości posiadania efektywnej pomocy z południa.

Tymczasem p. Tuchaczewski, licząc na to współdziałanie, nie tylko decyduje ruch naprzód, lecz rozkazem swym z 8 sierpnia oddała swe wojska najwyraźniej ku północy, obchodząc głównymi siłami (dwoma armiami) nawet Warszawę, jak gdyby uciekając od tego współdziałania, na które liczy. Otrzymał on zresztą jako pomoc najbardziej północną dywizję 12 Armii (58), która podchodziła do Włodawy trochę na południe od Brześcia. Wyznaję, że zarówno podczas samej wojny, jak i teraz, gdy ją analizuję, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że p. Tuchaczewski wcale na współdziałanie nie liczył. Wyzначzył on bowiem sobie cele tak dalekie, jak forsowanie Wisły pomiędzy Płockiem a Modlinem, jak to widzę z jego rozkazu, który czytam teraz dopiero. Taki zaś cel niepodobna było wiązać z drepczącą nieśmiało przed Bugiem 12 Armią ani z nadszarpaną armią Budionnego, która dobrych kilka dni po niepowodzeniu pod Brodami nie dawała o sobie znaku życia. Jeżeli nawet skoncentrowanie wojsk sowieckich pod Warszawą, czego, nawiasem mówiąc, oczekiwałem, odsuwało p. Tuchaczewskiego ku zachodowi o 200 z górą kilometrów od 12 Armii nad Bugiem, to "pochód za Wisłę" w dolnym jej biegu poza Warszawą (czego wcale nie czekałem) dodawał do tej przestrzeni jeszcze jakąś dobrą setkę kilometrów, czyniąc już zupełnie iluzorycznym współdziałanie z pozostałą gdzieś daleko ku wschodowi 12 Armią.

W początkach swej pracy, charakteryzując p. Tuchaczewskiego, mówiłem, iż widzę w nim typ wodza zbyt jednostronnie zaabsorbowanego własnym jedynie zadaniem i własnymi myślami. Typ ten nazywam typem doktrynera, dla którego napoleońska *realite des choses* rzadko istnieje. Przypuszczam, że i w tym wypadku p. Tuchaczewski spokojnie znegliżował stan rzeczy na południu od swych armii i spokojnie nad niebezpieczeństwem mu grożącym przeszedł do porządku dziennego. Drugie zapomnienie o *realite des*

choses wyrażało się, jak mi się zdaje, w negliżowaniu przeciwnika, którego w wyobraźni swojej, jak i w książce, tak często "miażdżył", "rozgramiał" i "rozpylał". Miał co prawda, w tej sprawie niemałe usprawiedliwienie. Dotąd walcząc z gen. Szeptyckim, "pochód ku Wiśle" przeprowadzał względnie bardzo łatwo i wszystkie próby oporu właściwie łamał wysiłkami jednej 4 Armii. Umiał on zresztą skoncentrować często przeciw jednej naszej 1 Armii przeważające siły, a zostawiał przeciwko reszcie naszego wojska małą część swych wojsk, jak gdyby był zupełnie pewny, że z naszej strony żadnej niespodzianki spodziewać się nie może. Lecz gdy p. Tuchaczewski w dziełku swoim nad sytuacją się zastanawia, wpada zawsze w dziwną sprzeczność. Z jednej więc strony, wierząc w "zmiażdżenie", tak często powtarzane, stwierdza, że było to już nie wojsko, z którym wypadło mu się mierzyć w lipcu tegoż roku, gdyż było całkowicie zdemoralizowane. Poza "rozgromieniem" zaś wszystkie tyły były zavalone przez dezertorów. A obok tego w wyobraźni p. Tuchaczewskiego, dzięki zaostrozonym stosunkom klasowym, wszędzie wewnątrz Polski coś „głucho się burzyło" albo „klekotało i burlało", czyli wrzało. Mógł więc negliżować takiego przeciwnika! Jednak p. Tuchaczewski w sposób nawet przesadny i nie odpowiadający prawdzie przedstawia szybki niesłychany wzrost naszych sił wojennych w tym okresie. Dodaje przy tym, że nowe formacje "bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia miały dostateczne zalety bojowe". Nawet jako jedną z przyczyn klęski pod Warszawą podaje on tę zwiększoną wartość wojenną naszego wojska. Znowu powiem, że sprzeczności takie, jawnie niezgodne z realite des choses, godzić może jedynie głowa doktrynera.

Wynikiem rozumowań i rozważań p. Tuchaczewskiego był rozkaz, dany przez niego 8 sierpnia. Rozkaz ten jest powtórzony i u p. Sergiejewa. Czytelnik znajdzie jego streszczenie na str. 206-208 dziełka p. Tuchaczewskiego (w tym wydaniu 192-193) wraz ze szkicem, przedstawiającym, jak on wypełnienie tego rozkazu sobie wyobraża. Dodam, że rozkaz ten nam, stronie polskiej, był nie znany i skazani byliśmy na domysły oparte na obserwacji ruchów nieprzyjaciela. Negliżowanie przeciwnika występuje w tym rozkazie nadzwyczajnie jaskrawo. P. Tuchaczewski wiedział, gdyż mówi o tym bardzo wyraźnie przy swoich rozważaniach, że właśnie w Warszawie i jej okolicach, a włączam do nich i Modlin, koncentrowaliśmy możliwie wielkie siły dla obrony stolicy. Pomimo to p. Tuchaczewski skierowuje na Warszawę wraz z Modlinem dwie swoje najbardziej południowe armie. Dwie zaś północne, w tym najsilniejszą 15 Armię rzuca na obejście Warszawy, nakazując forsować Wisłę pomiędzy Płockiem a Modlinem. Robi więc manewr, przy którym siły jego, już oddzielone znaczną przestrzenią od 12 Armii, pozostałej nad Bugiem, mają być jeszcze przepołowione szeroką i silną przegrodą Wisły. Trzeba mieć bardzo złe pojęcie o przeciwniku oraz o jego wartości wojennej, gdy się na tak niebezpieczny manewr zdobywa. Za osłonę od południa tego manewru mogła być uważana tzw. Grupa Mozyrska, którą p. Sergiejew liczy na dwie dywizje. Dodana do nich jest zbliżająca się, lecz znacznie jeszcze w tyle będąca, 58 Dywizja, oddana p. Tuchaczewskiemu z 12 Armii. Lecz w rozkazie grupa ta nie otrzymuje wyraźnego zadania osłaniania manewru, przeciwnie - p. Tuchaczewski nakazuje jej także „pochód za Wisłę" ze sforsowaniem jej w okolicach Dębina.

Powtarzam - o wyjściu tego rozkazu ani jego treści nie wiedziałem wcale. Obserwowałem tylko ruch wojsk sowieckich, zbliżający je zewsząd ku Warszawie. Znając zaś wielkie znaczenie dla wojny każdej stolicy przypuszczałem, że p. Tuchaczewski starać się będzie skoncentrować wszystkie swe siły do złamania naszego oporu i zajęcia Warszawy. Obserwowałem, co prawda, pewne ruchy jazdy p. Sergiejewa, nie zbliżające jej do Warszawy, lecz skierowujące jak gdyby północną 4 Armię, albo przynajmniej jej jazdę, w kierunku wyraźnie zachodnim. Lecz przypisywałem ten ruch zamiarowi p. Tuchaczewskiego odcięcia nas od morza, tzn. od Gdańska, za pomocą jakiegoś zagonu jazdy, popartego jakąś częścią piechoty. W analizie p. Tuchaczewskiego znajduję również ten motyw jako brany w rozważaniach w rachubę. Widocznie jednak p. Tuchaczewski przy wydaniu rozkazu Gdańsk zarzucił, gdyż 8 sierpnia nakazuje on północnej 4 Armii wystawić jedynie w kierunku Torunia słabą osłonę. Jest jeszcze jedno dziwne nieporozumienie w rozważaniach p. Tuchaczewskiego o naszym postępowaniu. Twierdzi on mianowicie, że wywieźliśmy prawie wszystkie wojska z Galicji Wschodniej, zostawiając tam tylko formacje ukraińskie Petlury i gen. Pawlenko wraz z jedną dywizją jazdy. Chociaż

p. Tuchaczewski sam nieco wątpi i dodaje, że coś z pieszych dywizji, jako resztki naszej armii, także mogło zostać; jednak, chwając nas w innym miejscu za taką śmiałość, szuka w tym twierdzeniu, jak mi się zdaje, zwiększenia sił naszych, zebranych przeciwko niemu, a zarazem cięższego oskarżenia swoich południowych kolegów, że mu nie pomogli podczas klęski pod Warszawą. Tymczasem rzecz się wcale inaczej miała. Z naszej 6 Armii odjechała tylko 18 Dywizja i niewielka część jazdy. Natomiast dywizje 12, 13 i połowa 6 zostały na miejscu, przybyła zaś 5 Dywizja, mocno poturbowana na północy, którą kazałem odesłać do Lwowa dla uzupełnienia i reorganizacji, gdyż sformowaną była przeważnie z Iwówian i Polaków - mieszkańców Galicji Wschodniej. Wtedy zaś, gdy p. Tuchaczewski przygotowywał się do dania swego rozkazu, tzn. 6 i 7 sierpnia, naprzeciw 12 Armii stały jeszcze najlepsze moje dywizje, 1 i 3 Legionowe. Rozkład ten nie mógł być zupełnie nie znany p. Tuchaczewskiemu i jeśli przybycie do Warszawy 18 Dywizji mogło ujść jego obserwacji, to cała reszta przesunąć, które nastąpiły dopiero potem, nie mogła stanowczo być brana w rachubę podczas tej decyzji 8 sierpnia. Zatrzymuję czytelnika tak długo na tych wstępnych rozważaniach, gdyż w obu rozdziałach p. Tuchaczewskiego, poświęconych przygotowaniom do bitwy warszawskiej, trudno jest często doszukać się prawdy historycznej. Domieszał on bowiem w swym dziełku ogromną ilość żalu z powodu nieudanej operacji i mnóstwo argumentów i motywów nie związanych z jego myślami przed wydaniem rozkazu 8 sierpnia, lecz wynikających z wahań i analiz późniejszych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności daty rozkazów zasadniczych dla bitwy warszawskiej są dla obu stron jednakowe, różnicę stanowią zaledwie dwie doby, gdyż nasz rozkaz został wydany 6 sierpnia. Przede wszystkim sprostować chcę dziwaczne twierdzenie, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu wojny podejmowałem sam, nie zwołując nigdy żadnej rady. Gdy 2 sierpnia wróciłem z południa, z Chełma, do Warszawy, zastałem - jak już wspomniałem - stan bardzo trwożny. Odczułem natychmiastowy nacisk na mnie całego wojennego otoczenia, abym przystąpił do dania nowych decyzji, gdyż nasza stolica, Warszawa, była zagrożona. Nie było bowiem w owym czasie wyjątków w sądzie, że Warszawa, a nie co innego, jest celem operacji p. Tuchaczewskiego. Stan wszystkich odpowiedzialnych czynników, zarówno wojskowych, jak i cywilnych, był bardzo nerwowy. Stale od miesiąca trwające niepowodzenia, ze wszystkimi moralnymi i materialnymi skutkami klęsk, ciążyły niezmiernie silnie, jak zwykle w takich wypadkach, na wszystkich wojskowych. Co do mnie osobiście, będąc zdecydowanym walczyć do ostatka, byłem jednak także pod wrażeniem świeżo nieudanej kombinacji, związanej z planem kontrataku spod Brześcia, i w pierwszej chwili nie widziałem po prostu żadnego rozsądnego rozstrzygnięcia. Dlatego też odrzuciłem od razu wszelki nacisk na siebie i zapowiedziałem swą decyzję na dzień 6 sierpnia. Już w tym wyborze daty, uważanej przeze mnie za szczęśliwą, bo związaną z moją niedawną przeszłością - dniem wymarszu w 1914 r. z Krakowa na wojnę - każdy analityk łatwo dostrzeże poczucie niepewności siebie, jak gdyby rozchybotania moralnego. Minęły bowiem dawno te czasy, gdy wodzowie mieli koło siebie wróżbitów, określających dni szczęśliwe i feralne. Śmiem więc twierdzić, że data rozkazu niezależna była od słusznej czy niesłusznej oceny sytuacji przez kogokolwiek. Wobec tego jednak, że wokół tej decyzji zaplątany został u nas nadzwyczajnie śmieszny węzeł plotek, domysłów i legend, nawet broszur i wydawnictw, których odbicie znajduję zarówno u p. Tuchaczewskiego, jak i u p. Sergiejewa, zatrzymam się nieco, po prostu dla ścisłości historycznej, na tej wcale zresztą nieważnej dla analizy sprawie.

Najbliżej mnie z urzędu stali w owe czasy trzej panowie: gen. Rozwadowski, jako szef sztabu, gen. Sosnkowski, jako minister wojny, i świeżo przybyły gen. Weygand, jako doradca techniczny misji francusko-angielskiej, przysłanej w tym groźnym dla nas czasie. Opinie tych panów o sytuacji były, jak zwykle, nadzwyczajnie rozbieżne. A że sytuacja była niezwykle gorąca, prawdopodobnie i debaty w mojej nieobecności niezbyt były przyjemne. Zastałem bowiem sytuację taką, że dwaj z tych panów, generał Rozwadowski i gen. Weygand, jak się śmiałem wówczas, rozmawiali pomiędzy sobą tylko notami dyplomatycznymi, przesyłanymi z jednego pokoju do drugiego na placu Saskim. Godzącym zaś sprzeczności i dobrym duchem opiekuńczym tej pary, wiecznie będącej w sporze, był gen. Sosnkowski, minister wojny.

P. Tuchaczewski widocznie coś słyszał o tych sporach, gdy mówi, że francuscy i polscy pisarze lubią porównywać bitwę na Wiśle z operacją na Marnie. Istotnie, Marna we wszystkich rozmowach była wspominana bardzo często, przy czym dwaj panowie, gen. Weygand i gen. Sosnkowski, mieli specjalną do Marny predylekcję. Jak niegdyś marszałek Joffre chciał mieć rzeczną zasłonę Marny czy Sekwany, poza którą mógłby przeprowadzić przegrupowania cofających się dotąd wojsk ku lewemu swemu skrzydłu, gdzie się znajdowała stolica, Paryż, tak i tutaj za rzeczną zasłoną Sanu i Wisły szukano manewru silnego lewego skrzydła w stolicy, Warszawie, i jej okolicy, Modlinie. Jak tu, tak i tam, szukano kontrataku lewym skrzydłem, wychodzącym ze stolicy. Gen. Rozwadowski był tej Marny przeciwnikiem, gdyż w ogóle był przeciwnikiem wszystkiego, co mówiono z innego pokoju w gmachu na placu Saskim. Zresztą, jako zupełnie swoisty patriota Galicji Wschodniej, nie mógł wewnątrz siebie się zgodzić ze znanym a wrogim mu hasłem "za San". Natomiast gen. Rozwadowski, jak zwykle zresztą, sypał koncepcjami jak z rękawa, nie zatrzymując się na żadnej i zmieniając je nieledwie co godzinę. Jeżeli to piszę w stosunku do gen. Rozwadowskiego, to nie dlatego, aby mu ujmę zrobić, lecz czynię to wobec chęci spotykanej u nas nieraz ośmieszenia tego generała, który właśnie w tym ciężkim dla nas okresie niemałe położył zasługi. Wybrałem go jako swego szefa sztabu nie dlatego, by był do tej funkcji najlepszym, lecz dlatego, że stanowił szczęśliwy i zaszczytny wyjątek pomiędzy większością ówczesnych starszych generałów. Nie tracił nigdy sprężystości ducha, energii i siły moralnej; chciał wierzyć w nasze zwycięstwo, gdy wielu, bardzo wielu traciło już ufność i jeśli pracowało, to ze złamanym charakterem. Godziło mnie to z wielkimi brakami generała jako szefa sztabu, gdyż nie wiem, czy istniała w ogóle jakakolwiek sprawa, której potrafiłby się trzymać w ciągu jednej chociażby godziny. Nie dziwiłem się też wcale, że gen. Weygand, przyzwyczajony do systematycznej pracy w sztabach, doszedł aż do dyplomatycznej metody dla stosunków wzajemnych.

Osobiście mały brałem udział w dyskusjach i sporach, lecz na równi z innymi, nawet z p.

Tuchaczewskim, spłodziłem historyczne porównanie, które i teraz wydaje mi się może najbardziej trafne, o ile w ogóle porównania historyczne trafnymi być mogą.

P. Tuchaczewski, chcąc uczynić żal swój do południa bardziej jaskrawym, porównuje bitwę pod Warszawą do klęski Samsonowa we wschodnich Prusach 1914 r. Tam bowiem gen. Rennenkampf, tak jak tutaj Budionny i dowódca 12 Armii, stawiając sobie inne cele nie pomógł na czas Samsonowowi, gdy marszałek Hindenburg skoncentrował swe siły przeciwko niemu i klęskę mu zadał. Co do mnie, porównywałem „pochód za Wisłę” p. Tuchaczewskiego do pochodu również "za Wisłę" gen.

Paskiewicza w r. 1830. Twierdziłem nawet, że koncepcja i budowa marszu prawdopodobnie wzięta jest z archiwum wojny polsko-rosyjskiej z 1830 r. Z pewną dozą triumfu przy przeczytaniu

p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa spostrzegłem, że niektóre motywy, znane mi w stosunku do feldmarszałka Paskiewicza, walczącego z rewolucyjną Warszawą i na pamiątkę swych czynów mającego tytuł księcia warszawskiego, są bliźniaczo podobne do motywów p. Tuchaczewskiego, gdy sięgał prawie w sto lat potem po naszą stolicę. P. Tuchaczewski, jak i Paskiewicz, opierał prawe skrzydło - "gros" swoich sił - o państwa jakoby neutralne, lecz nam wyraźnie wrogie. Już w samym początku miał p.

Tuchaczewski z tego dużą korzyść, gdy Litwa zaczęła mu czynnie pomagać. Z pewnym niepokojem śledziłem też wypadki, gdy prawe jego skrzydło zaczęło się w ten sam sposób opierać o Wschodnie Prusy. Jakiś bubek w świeżo wydanej broszurce Kampania w r. 1920 w świetle prawdy ośmiesza gen. Rozwadowskiego, przypisując mu niestworzone rzeczy, jakoby dla pognębienia mnie, jako naczelnego wodza. Broszura ta wywołała już ostrą odprawę oficera, z którym więcej w rzeczach operacyjnych pracowałem, niż z gen. Rozwadowskim, gen. Piskora. Nie sądzę, aby było warto zajmować się tego rodzaju literaturą, gdyż jeśli jej autor jest admiratorem gen. Rozwadowskiego, to zaiste powtórzyć można przysłowie rosyjskie, że „wysługujący się kiep jest niebezpieczniejszy od wroga”.

Kazałem nawet szukać danych, czy nie miał on tych korzyści, jakie ongiś miał Paskiewicz. Ten mianowicie, mając jak i p. Tuchaczewski, tyły i komunikacje bardzo uciążliwe i trudne, szukał pomocy pruskiej, opartej na wspólnym interesie zaborców Polski, pomocy w dostawach dla wojska wszystkiego,

co potrzebne było dla życia. Specjalnie obawiałem się o dostawę amunicji, której p. Tuchaczewskiemu mogło brakować po długim marszu od Dźwiny i Berezyny do Warszawy.

Wszystkie porównania historyczne szwankują, pozostają jednak potrzebą każdego wykształconego umysłu. Wojskowi zaś specjalnie cechę taką mieć muszą, gdyż umysł i charakter kształcą najczęściej na historii pracy wojennej, nawet dawno minionej. Historyczne więc przykłady są, jak ja je nazywam, częstymi węzłami myślowymi w rozważaniach dowódców. Nie stają się one nigdy tak silnymi i potężnymi, jak inne węzły myślowe z różnych doktryn i doktrynek i przy przykładach historycznych, branych w dyskusjach, najmniej zwykle potrzeba potężnego okrzyku spod kopuły Inwalidów w Paryżu: *Mais c'est la realite des choses qm commande, messieurs!*, gdyż rzadko przykłady historyczne są motorycznym czynnikiem ludzi, a zatem i wodzów. Lecz gdy jestem przy tym temacie, przy książkowym, literackim skrzyżowaniu szpady z p. Tuchaczewskim, nie chciałbym ominąć sposobności, by mu powiedzieć, że przykład Marny dla niego nie jest też bez podstaw.

Naturalnie, nie idzie tu o rozkład strategiczny i założenia bitwy, gdyż te istotnie nie mają z sobą nic wspólnego z prostego powodu. Gdy gen. von Kluck podstawił swe prawe skrzydło Paryżowi, zbliżając się ku sąsiedniej armii gen. Buelowa, p. Tuchaczewski oddalał się od sąsiadów na południu, czyniąc raczej zagrożonym swe lewe skrzydło, a prawe, zgodnie ze swym zamiarem, mając oparte o neutralne, lecz wrogie Polakom Prusy Wschodnie. Podobieństwo znajduję raczej w psychicznym podkładzie rozkazów i czynności Niemców w 1914 r. i p. Tuchaczewskie-go w 1920. W swych triumfalnych raportach o "Siegu" p. Tuchaczewski przeciwnika "rozpyłał", "miażdżył" i "gromił". Generałowie von Kluck, von Buelow i von Hausen, nie mając tych określeń rosyjskich w raportach, wysyłali do głównej kwatery co dzień triumfalne raporty o "Siegu", gdzie przeciwnik *fluchtartig* unikał spotkania z groźnymi kohortami Niemców. A gdy w głównej kwaterze niemieckiej wreszcie w rozbicie armii francuskiej na podstawie tych raportów uwierzono, wycofano od nich dwa korpusy dla innych potrzeb państwa, dwa korpusy, których właśnie dla „Siegu” na Marnie brakowało. U nas, gdy p. Tuchaczewskie-go i Sergiejewa czytałem, najczęściej „rozpylanymi”, najbardziej „miażdżonymi”, zawsze ostatecznie zdemoralizowanymi i niezdarnymi do boju, okazywały się przy cofaniu się od Dźwiny i Berezyny ku Wiśle trzy nasze dywizje: 8, 10 i I Litewsko-Białoruska. Właśnie te dywizje najlepiej moralnie cały odwrót wytrzymały i w ich kontrataku załamały się pierwsze powodzenia przy uderzeniu bezpośrednim na Warszawę.

Przechodząc do decyzji, powziętej przeze mnie 6 sierpnia, zaznaczyć od razu muszę, że przy tych dyskusjach, którym nieraz niechętnie się przysłuchiwałem, nie brano nigdy pod uwagę dwóch nadzwyczaj ważnych dla mnie, jako naczelnego wodza, motywów. Jednym z nich był fakt, że mieliśmy prowadzić pertraktacje pokojowe. Właśnie pod naciskiem tego, co p. Tuchaczewski nazywa kompletem międzynarodowego kapitału czy międzynarodowej burżuazji, która jakby nami dowodziła, mieliśmy wysłać delegację nie gdzie indziej, jak do Mińska, gdzie się znajdował p. Tuchaczewski, by zebrać o pokój. Inaczej jak zebranią tego nazwać nie mogę, gdyż wszczynać miano rozmowę o pokoju w chwili, kiedy zwycięski nieprzyjaciół do stolicy naszej pukał i groził zniszczeniem organizacji państwa przedtem, nim słowo o pokoju wyrzeczę. Nie wiem, jak się stosowali uczuciowo i myślowo do tego kroku szanowni uczestnicy dyskusji historycznej na placu Saskim, nie wiem i nie badałem tego nigdy. Wiem zaś, że mnie, człowiekowi, którego pokory uczono, a nie nauczono nigdy, moment ten ciążył więcej niż cokolwiek, a jako Naczelnny Wódz i Naczelnik Państwa mocno w rachubę brać musiałem, by nasza delegacja nie wyjeżdżała ze stolicy bez pewności jej utrzymania. Zaciążyło to, jak zobaczymy, silnie na mojej decyzji.

Drugą okolicznością, o której nie dyskutowano, a która stanowi zawsze jeden z wielkich ciężarów wodzów, była rzucająca się w oczy konieczność reorganizacji całego dowodzenia w razie, gdybyśmy inicjatywę mieli brać w swoje ręce. Zgodnie ze swoją poprzednią decyzją, o której wspomniałem, zmieniłem już dowódców na północy, zarówno gen. Szeptyckiego, jak i gen. Zygałłowicza. Gen. Szeptycki został usunięty od dowodzenia tak, jak zamierzałem, po wyjściu wojsk na Bug. Gen. Zygałłowicz, dowódca I Armii, został już wcześniej, bo po upadku Grodna, zastąpiony przez gen.

Romera. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczam, że z chwilą, gdy ten energiczny generał wziął dowodzenie w swoje ręce, nasza I Armia, pomimo iż znowu miała na sobie ciężar skoncentrowanych północnych trzech armii przeciwnika, umiała zrobić to, czego w ogóle od północy żądałem - wygrać na czasie.

Pamiętam dobrze i zawsze z przyjemnością wspominam ten moment, gdy pewnego dnia, przeglądając szkic sytuacji dziennej według raportów otrzymanych, spostrzegłem niespodziewany i nie znany dotąd fakt, że prawoskrzydłowa dywizja I Armii (I Dywizja Litewsko-Białoruska) została prześcignięta w odwrocie ku zachodowi przez sąsiednią 4 Armię, tak że musiała głęboko zagiąć swoje prawe, odsłonięte skrzydło. Zresztą sam

p. Tuchaczewski uznaje, że opór naszej I Armii na linii Narwi był pierwszą poważniejszą przeszkodą, jaką napotkał w swoim pochodzie ku Wiśle. Lecz przy decyzji, którą miałem powziąć, gdy nie szło już o zmianę personalną, musiało się zmienić dużo w organizacji dowodzenia i rozgraniczeniu zadań. Inaczej sama myśl o wzięciu inicjatywy w nasze ręce zawczasu była chybiona.

Te dwa ciężary, o których nie dyskutowano, leżały bezpośrednio na mnie, a pierwszy z nich był ciężarem wprost przygniatającym, na dnie bowiem jego leżał jak gdyby mus nonsensu strategii, nonsensu rozumu. Z ciężarem tym najwięcej miałem do czynienia, gdy wieczorem 5 sierpnia i w nocy na 6 sierpnia nie na jakiejś naradzie, lecz w samotnym pokoju w Belwederze, przepracowywałem siebie samego dla wydobycia decyzji. Istnieje cudowne określenie największego znawcy duszy ludzkiej na wojnie - Napoleona, który mówi o sobie, że gdy przystępuje do dania ważniejszej decyzji na wojnie, jest comme une filie qui accouche - jak dziewczyna, która rodzi. Nieraz po tej nocy myślałem o wielkiej finezji myśli Napoleona, który gardząc słabością płci pięknej siebie, olbrzyma woli i geniuszu, przyrównuje do słabej dziewczyny, męczącej się w położu. Mówi o sobie, że jest wtedy pusillanime - trwożliwy. W tej męce trwożliwej nie mogłem sobie najwięcej dać rady z nonsensami założenia dla bitwy, nonsensem pasywności dla "gros" moich sił, zebranych w Warszawie. Kontratak, zdaniem moim, z Warszawy i Modlina prowadzony być nie mógł. Wszędzie uderza on frontalnie na przeciwnika, na jego główne siły, w całości, jak mi się zdawało, ściągane ku Warszawie, a dotąd ani wojsko, ani dowódcy nasi rady ze zwycięskim nieprzyjacielem dać sobie nie mogli. A oprócz tego nad całą Warszawą wisiała zhora mędrkowania bezsilności i rozumkowania tchórzów. Jaskrawym tego dowodem była wysłana delegacja z błaganiami o pokój. Warszawę skazywałem z góry na pasywną rolę, na wytrzymanie nacisku, który szedł na nią. Lecz wtedy z pasywną rolą wiązać nie chciałem ogromnej większości sił swoich. Gdy znowu myślałem o zmniejszeniu obsady pasywnej, to bać się zaczynałem o to, czy Warszawa wytrzyma i czy sam fakt wymarszu jakiejś części wojska, już do niej wciągniętej, nie wywoła zmniejszenia słabych sił moralnych i braku zaufania do możliwości obrony. Znałem dobrze z historii obserwacji Lwowa, co znaczy wielkie miasto, gdy na peryferiach jego bój się toczy i gdy na jego ulicach, jak było wówczas w Warszawie, włączają się we wszystkich kierunkach elementy bezpośrednich tyłów będących w boju jednostek. Żołnierz wtedy wspólnym żyć musi życiem z miastem i każde drgnięcie w tę czy inną stronę duszy miasta łamie lub podtrzymuje siły żołnierza. Pamiętam dobrze, że większość sił moich, zebranych w Warszawie, przychodziła do stolicy po długim szeregu porażek, po długich i nieustannych niepowodzeniach. Zmniejszenie ich sił liczbowo, wyrzucenie z niej jednostek, które już tam były, wydawało mi się niebezpieczeństwem. Czy więc dziesięć dywizji, prawie połowę sił polskich, skazywać na pasywność? Oto pytanie, które sobie stawiałem. Przerzucałem bez końca zamierzoną obsadę Warszawy i Modlina. Dzięki nadzwyczajnej energii, którą dla Warszawy rozwinął gen. Sosnkowski, od razu rzuciła się w oczy ogromna, dotąd nie znana u nas na wojnie, obsada artylerii. Zbliżała się ona znacznie do tego ideału, który wykreśliło "doświadczenie wojny światowej". Artyleria więc rozwinąć mogła i rozpętać istny huragan ognia, nie ten, którym mnie tak często karmiono w raportach. Więc znowu wydawało mi się możliwe, zgodnie z sensem wojny, sensem taktyki, zastąpić choć część żywych sił piechoty, zdanej do ruchu, wzmożoną potęgą ognia artylerii. Ile razy robiłem próby przekonania siebie o konieczności nienakazywania tak oczywistego dla mnie nonsensu, tyle razy cofałem się przed decyzją, zgnieciony odpowiedzialnością za państwo i jego stolicę. Nie mogłem się zdobyć ani na

zaufanie do sił moralnych wojska i mieszkańców stolicy, ani na pewno dowódców jednych i drugich. Ten nonsens założenia męczył mnie tak niezmiennie, że doprawdy niekiedy wydawało mi się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji.

Wszystkie kombinacje, które przy tym założeniu czyniłem dla zorganizowania czynnika ruchu i ataku, musiały być z konieczności słabymi i znacznie mniej uposażonymi niż pasywna, skazana jedynie na obronę część sił moich. Bo skąd ją było brać, tę siłę, jak ją dla ruchu organizować? Bezsilność, gdy przemyślałem o konieczności inicjatywy, pluła mi wprost w twarz, gdy zaczynałem przerabiać rachunek. Rachunek ten nigdy mi się nie kleił. Pierwsze, co rzucało się od razu w oczy, to była 4 Armia, cofająca się powoli od Bugu. Prosty kierunek, w którym pchał nieprzyjaciół, wprowadzał ją na Wisłę pomiędzy Warszawą a Dęblinem. Tam nie było ani mostów, ani szybkich przepraw. Przy silniejszym nacisku nieprzyjaciela rzucona być mogła na Wisłę i znaleźć się w sytuacji zupełnie krytycznej. Trzeba było ją targnąć albo ku Warszawie, albo ku Dęblinowi, albo też ją rozpołować, rzucając część jedną ku północy, część drugą na południe. Stąd więc, gdyby wszystko lub większą część odchylić na południe, można byłoby mieć trochę siły wolnej, nie związanej Warszawą. Wymagało to jednak natychmiast choć jakiej takiej obsady zachodniego brzegu Wisły pomiędzy Warszawą a Dęblinem. I znowu pasywna część wojsk wyrastała kosztem sił zdalnych do uderzenia. Stan moralny 4 Armii także budził pewne obawy. Cofała się ona równie długo, jak I, mając za sobą może mniejsze boje, ale nagła i niespodziewana utrata Brześcia, tak świeża w mojej pamięci, nie skłaniała mnie wcale do ufności pod tym względem.

Drugim źródłem sił dla mnie mogło być południe, z którego już wyciągnięta była 18 Dywizja. Południe w szczęśliwszym znajdowało się położeniu niż północ, a usilna praca bojowa i niezmordowana czynność dowódców dawały większą gwarancję siły moralnej wojsk wziętych stamtąd. Ułatwieniem, i to bardzo znacznym był fakt, że Budionny z całą swą jazdą był wypchnięty przed front naszych wojsk i z tego powodu ruch kolei i pieszych marszów nie mógł być zaburzony przez ruchliwą jazdę. Kiedy jednak próbowałem rachować, co mogę mieć stamtąd, zawsze i ciągle dochodziłem do wniosku, że nie jestem w stanie osłabić swoich sił na południu w jakimś większym rozmiarze. Zwycięstwo nad Budionnym było bardzo połowiczne i chociaż zdawało się, że nie jest on w stanie natychmiastowo przedsięwziąć nowej ofensywy, to jednak przy próbie znacznego osłabienia naszych sił nie było wykluczone, zdaniem moim, że Konna Armia, która nam dotąd tyle szkodziła, nie zacznie na nowo swego pochodu naprzód. A naturalnym ruchem i najbardziej dla nas groźnym byłoby zbliżanie się do głównych sił sowieckich do armii dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie więc kombinacje, które w tej właśnie dziedzinie w nocy z 5 na 6 sierpnia robiłem, dawały mi tylko możliwość wyciągnięcia z południa, jeżeli nie chciałem zanadto ryzykować, jakichś dwóch pułków piechoty i może jakiej brygady kawalerii. Grupa taka niewiele dla siły kontrataku znaczyć mogła i niewiele wpłynąć na stan moralny innych wojsk była w stanie. Przy zestawieniu więc wszystkich danych nigdy nie mogłem dojść podczas mojej pracy do innych wyników, jak że do kontrataku użyć można było trzech do czterech dywizji piechoty z niewielką ilością jazdy. A cóż to znaczyć mogło wobec nieprzyjaciela, który dotąd rozbijał bez ustanku opór większości sił naszej armii?

Wszelkie próby dawały nicość siły - nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała. Wszystko wyglądało mi w czarnych kolorach i beznadziejne. Jedynymi zaś najjaśniejszymi plamami na moim horyzoncie był brak jazdy Budionnego na tyłach i bezsilność 12 Armii, która po klęsce na Ukrainie podnieść się nie była w stanie. Reorganizacja dowodzenia była względnie jasna. Z chwilą, gdy większość wojska zebrana być musiała w ciasnym rozkładzie w Warszawie i okolicach, musiało tam być postawione jednolite dowodzenie, a ilość wojska już zebranego dawała konieczność podziału na dwie armie. Kontratak, bez względu z jakich ilości sił by się składał, musiałby być dowodzony przez jednego dowódcę. Południe, które od niebezpieczeństwa północ osłaniało, musiało także być oddane w jedne ręce. Łamało to w zupełności dotychczasowy rozkład dowodzenia. Najtrudniejsze zadanie wypadło na tego, kto mając słabość, musiał dać siłę i kto wbrew sensowi musiał mieć rozstrzygającą rolę. Z góry zdecydowałem, że nie mogę żądać od nikogo ze swych

podwładnych, by ten nonsens brał na swoje plecy, i z chwilą, gdy jako naczelny wódz nonsens w założeniu biorę, brać muszę też i wykonanie części najbardziej nonsensownej. Dlatego też z góry zatrzymałem się na myśli, że grupą kontratakującą, bez względu, czy silniejszą czy słabszą, dowodzić będę osobiście. Uśmiechała mi się zresztą ta myśl skądinąd, by w czasie decydującej operacji nie być stałym obiektem nacisku mędrkującej trwogi i rozumkującej bezsilności.

Zestawiwszy po kilka razy wszystkie próby rachunku, zdecydowałem dwie rzeczy: wycofać ku południowi większą część naszej 4 Armii i zaryzykować osłonę południową, wyciągając z niej dwie dywizje, które uważałem za najlepsze - I i 3 Legionowe. Następnie ostatecznie postanowiłem, że kontratak poprowadzę sam, chociaż z góry w ten sposób przesądzałem, że wprowadzam wskutek tego bezład w dowodzeniu, gdy biorę może na czas dłuższy dowodzenie bezpośrednie małej zaledwie części wojsk, których byłem naczelnym wodzem.

Gdy 6 sierpnia rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją czy kombinacją. Szkic właściwie przedstawiał próbę rozstrzygnięcia, co z 4 Armią robić, gdy cofać się ona musi widocznie na odcinek Wisły bez mostów i bez szybkiej możliwości przekroczenia tej szerokiej przegrody.

W tym szkicu próbował gen. Rozwadowski wykorzystać wsteczny ruch 4 Armii, by ją, jak sobie przypominam, w okolicach Garwolina w liczbie paru dywizji skoncentrować, a przypuszczając, że nieprzyjaciół zgromadza swoje siły wyraźnie na Warszawę, uderzyć tą skoncentrowaną grupą ku północy, tzn. ku Warszawie. Odrzuciłem od razu ten projekt i tę myśl, mówiąc, że wątpię, by w tych warunkach nawet koncentracja udać się mogła. Nieprzyjaciół, który dotąd ma przewagę, z łatwością nie dopuści do zmiany frontu i wtedy koncentrująca się grupa musi albo zmykać do Warszawy, albo - co gorsze - rzucona będzie ku Wiśle, co może skończyć się dla niej katastrofą. Wskazałem mu też od razu, że 4 Armia w swojej większości odejść musi dalej na południe, by tam się skoncentrować i przejść do kontrataku. Natomiast nakazałem, jako konieczność, wyciągnięcie z frontu południowego dwóch dywizji, I i 3, dla wzmocnienia sił kontratakującej grupy. Rozumiejąc zaś, że południe w ten sposób osłabione nie potrafi prawdopodobnie nieprzyjaciela, którego ma przed sobą, efektywnie zatrzymać, poleciłem nakazać naszej 6 Armii przy nacisku nieprzyjaciela cofać się z wolna ku Lwowu. Natomiast w razie marszu Budionnego ku północy kazałem, by cała nasza jazda z najlepszą tam dywizją piechoty natychmiast za konną armią Budionnego ruszyły, starając się za wszelką cenę w pochodzie ją zatrzymać. Po krótkiej dyskusji wybraliśmy jako miejsce koncentracji okolice przykryte względnie szeroką rzeką Wieprzem z oparciem lewego skrzydła o Dęblin i przykryciem w ten sposób mostów zarówno przez Wisłę jak i przez Wieprz. Na tej podstawie wypracowany został rozkaz 6 sierpnia, regulujący rozkład strategiczny dla wojsk do bitwy pod Warszawą.

Zasadniczy mój rozkaz, przygotowujący bitwę, spotkał się prawie natychmiast z rozkazem p. Tuchaczewskiego. Gdy teraz zestawiam te dwa rozkazy, żałuję niezmiernie, że nie mogłem w owe czasy zajrzeć w Mińsku do tajemnic rozkazowych p. Tuchaczewskiego. Z iluż ciężarów duszy byłbym zwolniony! Ile innych, efektywniejszych koncepcji można by było wytworzyć, gdybym wiedział albo przypuszczał z pewną dozą prawdopodobieństwa, że p. Tuchaczewski nie stawia sobie jako celu natarcia wszystkimi siłami na Warszawę! To przepełnienie wojska ze skierowaniem dwóch armii nie dla ataku bezpośredniego, lecz dla długiego marszu i jeszcze dłuższej być może przeprawy przez szeroką Wisłę, oswobodziłoby mnie od połowy ciężaru trwogi o Warszawę. I prawie przekonany jestem, że nie potrzebowałbym się męczyć nad zasadniczym nonsensem, który wziąłem za podstawę do decyzji. Dwie armie sowieckie miały tracić czas, idąc w próżnię, a czas w tej chwili był bardzo drogi. Czas ten więc tracił nieprzyjaciół, ja go bez żadnej pracy wygrywałem. Nie przeszkadzając wcale w tym tak korzystnym dla mnie przegrywaniu czasu przez p. Tuchaczewskiego, próbowałbym wykorzystać zebrane i skoncentrowane siły dla działania po wewnętrznych liniach i rozbicia nieprzyjaciela częściami. (Patrz szkic nr 6.) Wtedy, kto wie, czy bym nie zmusił naszej 4 Armii do odwrotu nie gdzie indziej, jak do Warszawy.

Obciążeniem dodatkowym nonsensu zasadniczego mego rozkazu z 6 sierpnia była okoliczność, że wszystkie grupy pasywne albo były już zebrane, albo wycofać się miały w kierunkach prostych i naturalnych. Wyjątkiem, mogącym budzić wątpliwość, czy się zamiar uda, była właśnie grupa aktywna, grupa uderzeniowa. Wszystkie bowiem wojska, które w skład tej grupy wchodzić miały, były w bezpośrednim kontakcie i boju z nieprzyjacielem, a kierunek ruchu, który ich na miejsce koncentracji prowadził, wymagał skomplikowanego manewru, a nie prostej, zwyczajnej czynności wojskowej. Tak więc dywizje 4 Armii, 14, 16 i 21, będąc jeszcze 6, a nawet 7 sierpnia w gorących bojach nad Bugiem, musiały nie tylko oderwać się od nieprzyjaciela, lecz robić ryzykowny, prawie flankowy marsz dla osiągnięcia rejonu poza Wieprzem. Specjalnie tyczyło się to 14 Dywizji, jako będącej najdalej na północy, pod Janowem, i mającej najdalszy, ukośny marsz aż pod Dęblin. Pierwszy lepszy wypadek, silniejszy nacisk nieprzyjaciela w tym czy innym miejscu, rozchwianie się moralne, tak częste dotąd w takiej czy innej dywizji czy pułku, stawiało cały manewr pod znakiem zapytania, nie dając żadnej pewności, że grupa uderzeniowa, którą zdecydowałem się dowodzić sam, zbierze się na czas i w tej sile, jaką jej przypisywałem. Jeszcze gorzej i jeszcze trudniej składała się sytuacja dla dwóch dywizji, które wybrałem z południa dla pracy kontrataku: 1 i 3 Legionowej. Kazałem dodać do nich i część jazdy, dla której, naturalnie, odmarsz był najłatwiejszy, lecz dla obu dywizji piechoty, stojących od 150 do 250 km od miejsca koncentracji i będących w kontakcie z nieprzyjacielem, zadanie przerastało, zdaniem moim teraźniejszym i ówczesnym, przeciętne siły ludzkie. W duszy rachowałem, pomimo że rozkaz brzmiał inaczej, że gen. Rydz-Śmigły, na którego zadanie to spadło, potrafi ściągnąć na miejsce koncentracji najwyżej jedną dywizję i jedną brygadę jazdy. O drugiej dywizji, której nakazałem również marsz ku północy, zabroniłem sobie nawet marzyć.

Nic więc dziwnego, że od 6 do 12 sierpnia gorączkowo śledziłem, jak się ten manewr, tak ryzykowny i niepewny udaje. W dniach tych obserwacje nieprzyjaciela i jego działań nie naprowadziły mnie wcale na żadne podejrzenie, aby wojska p. Tuchaczewskiego działały zgodnie z jego rozkazem 8 sierpnia i omijały Warszawę. Dały się, co prawda, spostrzegać ruchy skierowane ku zachodowi, tzn. ku Wiśle w dół od Modlina. Atakowany więc był Ciechanów, atakowana Mława i były, słabe zresztą, ruchy w kierunku Płocka i Włocławka. Lecz były to ruchy jazdy, która, jak sądziłem, ma na celu przerwanie komunikacji Warszawy z morzem - z Gdańskiem. Co się tyczy wycofywania się dywizji naszej 4 Armii, szło ono prawie bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela, gdyż ten swoją 16 Armią wyraźnie się ściągał ku północy, mając południowe skrzydło tej armii na szosie Brześć-Warszawa. Gdy więc dywizje 4 Armii szosę tę minęły, zdążając na południe do Wieprza, nacisk nieprzyjaciela prawie że ustał. Mogłem więc być pewien, że wszystkie trzy dywizje na czas zdążą się przykryć Wieprzem i staną do mojej dyspozycji. Gen. Rydz-Śmigły rozwiązał swoje zadanie w sposób nadzwyczaj zręczny. Operacje jego i działania dwóch dywizji, 1 i 3, stanowią jedną z najchlubniejszych kart, jaką armia polska posiada. Gen. Śmigły i obie dywizje znalazły rozstrzygnięcie zawilego zadania w sposób aktywny. Zgodnie z moralną siłą, którą posiadały, szukały naprzód obie dywizje zwycięstwa nad nieprzyjacielem, z którym były w kontakcie, by w ten sposób, wygrawszy na czasie, odejść spokojnie ku północy, dokąd je wzywałem. 1 Dywizja Legionowa 8 sierpnia rozbiła 24 Dywizję sowiecką, zdobywszy na niej 8 dział niedaleko od Horochowa i szybkim marszem podążała ku Sokalowi, gdzie na nią czekały przygotowane pociągi. Odjazd 1 Dywizji odbył się bez przeszkód. To samo zrobiła 3 Dywizja pod Hrubieszowem, niestety jednak, nie mając pociągów przygotowanych, musiała odbywać swój ruch ku północy marszem pieszym. Opóźnienie tej dywizji wywołane również było przez trudności doręczenia jej na czas odpowiedniego rozkazu. Przed odejściem jednak zdążyła 3 Dywizja rozbić nieprzyjaciela, który już Bug przechodził, wyrzucając go za rzekę i zdobywając na nim obfity materiał wojenny. Boje 1 i 3 Dywizji miały jeszcze jeden ciekawy i charakterystyczny skutek. Oto u jednego z naszych zabitych oficerów, gdzieś koło Chełma, nieprzyjaciel znalazł rozkaz nasz z 6 sierpnia, zarządzający nowe ugrupowanie sił. Nieostrożność ta, tak często powtarzająca się w historii wojen i tak ciągle surowo zakazywana przez wszystkie regulaminy wszystkich armii, dawała w ręce Sowietów sekret naszych poruszeń. U p. Tuchaczewskiego

i p. Sergiejewa znajduję, że w głównym dowództwie sowieckim nie dano najzupełniej wiary temu dokumentowi, gdyż z tejże 12 Armii przyszły doniesienia, że pod Hrubieszowem dywizje wyznaczone do ataku na północy, 1 i 3, biją się i zwyciężają na południu, nie gdzieś w okolicach Lubartowa, dokąd ich rozkaz z 6 sierpnia wołał. P. Tuchaczewski, który na stronie 190 stwierdza, iż miał spór z tego powodu ze swym przełożonym, nie uczynił jednak nic, ażeby zabezpieczyć samemu zagrożone lewe skrzydło i tyły. Przed wyjazdem swoim 12 sierpnia wieczorem z Warszawy miałem na placu Saskim ostateczną rozmowę z trzema wyżej wymienionymi panami. W rozmowie tej stwierdziłem w następujących punktach swój pogląd na sytuację:

po pierwsze, z 20 dywizji, które miały wziąć udział w decydujących walkach o naszą stolicę, Warszawę, prawie 15, więc 3/4 ma rolę pasywną, i zaledwie 1/4, czyli pięć i pół dywizji, z których jedna jest opóźniona w ruchu, ma rolę aktywną. Warszawa, w której zebrane jest dziesięć i pół dywizji, posiada jeszcze ogromną artylerię i sędzę, że nawet jednym ogniem artylerii w połączeniu z lotnikami, także zebranymi w Warszawie, daje się zatrzymać nieprzyjaciela względnie łatwo. Nie sędzę więc, aby czas miał większe dla Warszawy znaczenie. Przeciwnie, przypuszczam, że w interesie całości jest, aby nieprzyjaciel poniósł wielkie straty przy ataku i zmuszony był silnie się związać bojowo z obsadą warszawską, tak aby nie był w stanie przeciwstawiać nadchodzącym wojskom, dowodzonym przeze mnie, tzn. pięciu dywizjom, większej siły.

Po drugie, wskazałem, że wojska skoncentrowane do kontrataku, tzn. pięć i pół dywizji, muszą mieć pewien czas dla odpoczynku i należytego ugrupowania się oraz wchłonięcia uzupełnień, które tam zostały zadyrygowane. Muszę mieć czas także sam do obejrzenia wojsk, gdyż obawiam się, że ich stan moralny nie jest tak wysoki, jakby to było pożądane dla tak trudnej i ryzykownej operacji. Dlatego też nie sędzę, abym mógł wcześniej rozpocząć operację niż 15 sierpnia; przypuszczam zaś, że zdołam w przeciągu dwóch dni od rozpoczęcia operacji być tak blisko od atakowanej Warszawy, że wspólna praca wojenna z "gros" sił skupionych w Warszawie i okolicy, byłaby już możliwa. Wskazałem przy tym, że byłoby wtedy pożądane, aby południowy odcinek obsady warszawskiej z dodatkiem wszystkich czołgów, które na tym odcinku należy zebrać, rozpoczęły natarcie wzdłuż szosy prowadzącej w stronę Mińska i Brześcia. Zamierzałem bowiem atakować szerokim bardzo frontem i wówczas lewoskrzydłowa 14 Dywizja, która pójdzie wzdłuż szosy lubelskiej, może się znaleźć w bardzo ciężkiej sytuacji, gdy izolowana wpadnie na większe siły nieprzyjacielskie. Po trzecie, wskazałem na groźne niebezpieczeństwo, które czyni z ruchu dowodzonego przeze mnie przedsięwzięcie nadzwyczaj ryzykowne. Wyciągnąwszy bowiem z południa dwie dywizje Legionowe, 1 i 3, otworzyłem niejako bramę wpadową pomiędzy innymi i dla Konnej Armii Budionnego. Pomimo zaś, że istnieje tam nasza jazda z nakazem zatrzymywania Konnej Armii Budionnego w pochodzie ku nam, doświadczenie jednak dotychczasowe nie pozwala mi być pewnym. Oczekiwać mogę, że w krótkim przeciągu czasu mogę mieć na swoich bezpośrednio tyłach od Sokala i Hrubieszowa maszerującą Konną Armię Budionnego lub jej część, co może w wielkim stopniu udaremnić moje usiłowania. Zaznaczyłem przy tym, że na Bugu przeciwko sowieckiej 12 Armii zostawiam bardzo słabe siły - 7 Dywizję w okolicach Chełma i bardzo słabą 6 Dywizję ukraińską na południe od niej.

Wreszcie przy pożegnaniu z gen. Sosnkowskim wskazałem mu na bezład, jaki panuje zarówno w dowodzeniu, jak w zorganizowaniu wojska i żądałem od niego, by stale i ustawicznie wpływał na usunięcie wszystkich grup, grup, podgrup i nadgrup, przedgrup i zagrup, których pomimo moich starań zostawało jeszcze tak dużo, że byli dowódcy ze sztabami bez wojsk, a w niektórych miejscach stu żołnierzy dzieliło się na trzy grupy, dowodzone przez generałów. Dalej zaś, ażeby stale starał się być dalej tym duchem opiekuńczym w stosunku do wiecznie kłócących się i prowadzących spór generałów, zmniejszając we wszelki możliwy sposób tę anarchię dowodzenia, której się obawiałem. Przy braku bowiem mego autorytetu mogła się załamać obrona stolicy nawet wtedy, gdy przewagę nad wrogiem mieć możemy.

Po załatwieniu tych spraw 12 sierpnia wieczorem wyjechałem z Warszawy. Wyjeżdżałem pełen poczucia nonsensu i nawet pewnego wstrętu do siebie, że dla tchórzostwa i niemocy polskiej musiałem zaprzeczyć wszelkiej logice i wszelkim zdrowym prawom wojny. Natomiast - wyznaję - odczuwałem bardzo silną ulgę, gdy opuszczałem środowisko, gdzie minuta znaczy więcej niż godzina, godzina więcej niż doba, a doba więcej niż tydzień.

Po przybyciu do Puław, jako do swojej kwatery, i rozejrzeniu się w sytuacji skonstatowałem od razu kilka rzeczy. Przede wszystkim, że stan moralny wszystkich dywizji, a było ich zebranych cztery, nie był tak zły, jak poprzednio przypuszczałem. I chociaż właśnie przed moim przyjazdem jedna z dywizji, mianowicie 21, starym, nabytym już przez miesiąc zwyczajem, ni stąd ni zowąd pod naciskiem niewielkiej grupki nieprzyjaciela ustąpiła z przedmościa na Wieprzu - z Kocka, który nakazano jej trzymać - to nie sądziłem, by ten trudny przełom moralny, którego po długim odwróceniu wymaga kontratak, był niemożliwy do wykonania. Natomiast znalazłem uzupełnienia zadyrygowane akurat odwrotnie niż to było potrzebne z powodu uzbrojenia. Tak więc bataliony z bronią francuską trafiły do dywizji uzbrojonych w mauzery niemieckie lub maniichery austriackie. Rozplatanie tego chaosu wymagało więc czasu. Oprócz tego zaobserwowałem niesłychane wprost braki w wyekwipowaniu i umundurowaniu żołnierzy. Takich dziadów, jak ich nazywałem, dotąd w ciągu całej wojny nie widziałem. W 21 Dywizji prawie połowa ludzi defilowała przede mną w Firleju - boso. Przypominałem sobie, ile to razy i ilu z moich podwładnych w ciągu wojny przypisywało porażki, które ponieśli, nie czemu innemu, jak złemu wyekwipowaniu żołnierza. Natomiast z pewną przykrością myślałem także, że wszystkie zapasy, a przynajmniej ich większość, zostały wydane na wojska, którym nie przeznaczałem rozstrzygającej na wojnie roli. Wreszcie wszystkie dane, które zebrałem o nieprzyjacielu, były nieco enigmatyczne. Zgodnie z rozkładem strategicznym nieprzyjaciela, musiałem mieć przeciwko sobie Grupę Mozyrską. Skład jej i siła nigdy u nas nie były dostatecznie skonstatowane. Wiedzieliśmy, że w skład jej wchodzi 57 Dywizja, lecz oprócz tego wchodziły także jakieś oddziały (otriady), tworzące coś osobnego od grupy, tak że dotąd ścisłości w danych nigdy nie miałem. Dotychczasowa jej praca wojenna kazałaby mówić, że jest to jakaś bardzo silna grupa wojskowa. Atakowała ona od 4 lipca w dwóch rozbieżnych kierunkach i to tam, gdzie byliśmy najsilniejsi - wzdłuż właściwego Polesia i na północ od niego, wzdłuż szosy Bobrujsk-Brześć. I nieraz w raportach czytywałem w przeciągu ubiegłego miesiąca o znacznych siłach nieprzyjaciela, atakujących nas nie bez powodzenia to w jednym, to w drugim kierunku.

Tymczasem teraz, 13 sierpnia, obserwowałem właściwie przed sobą pustkę. Były to jak gdyby tylko patrole z nieznacznym zgęszczeniem ich u Kocka i u Maciejowie nad Wisłą, gdzie jakoby te małe grupy przygotowały się do przeprawy przez rzekę. Przyznaję, że brałem wszystko to za oddziały partyzanckie, rozesłane po kraju dla rekwizycji, grabieży i furażowania. Największe skupienie przedstawiała 5 Dywizja z 12 Armii, która od Włodawy szła w kierunku albo Lubartowa, albo Chełma.

Raporty z Warszawy brzmiały uspokajająco, nieprzyjaciel widocznie przygotowywał się do ataku i czynił odpowiednie przegrupowania sił. Z południa też niepokojących wiadomości nie miałem. Utwierdziłem się więc w tym przekonaniu, z którym zresztą wyjeżdżałem z Warszawy. Miałem trochę czasu przed sobą i postanowiłem zaczynać nie wcześniej, jak 17 sierpnia rano, gdy natarcia na Warszawę już się dostatecznie rozwiną i zwiążą "gros" sił sowieckich z naszym polskim "gros", będącym w Warszawie. Przez ten czas mogłem silniej zlać w jedną nieliczną grupę, mającą przed sobą atak, i doczekać, by 3 Dywizja Legionowa, opóźniona w swym pochodzie na północ, doszła do należytego wyrównania z resztą dywizji.

Lecz następnego dnia, 14, sytuacja dla mnie zmieniła się na gorsze. Z Warszawy nadeszły trwożne depesze. W pierwszym ataku Sowietów został złamany nasz opór i Radzymin wraz z okolicą został szturmem zdobyty. Depesze brzmiały trwożliwie, oddając nastrój, który musiał w stolicy panować. Pewne zdziwienie wywołały we mnie wiadomości o zwiększającym się nacisku wojsk p.

Tuchaczewskiego w kierunku zachodnim, w kierunku Płocka, a nawet Włocławka i Brodnicy. Depesze, zawiadamiające o tym, mówiły nie tylko o jeździe, jak poprzednio przypuszczałem, Była w tym jakaś zagadka, której rozwiązać nie mogłem, gdyż przewracało to w pewnej mierze moje dotychczasowe

pojęcie, że p. Tuchaczewski koncentrował wszystkie swoje siły na Warszawę. Lecz w trwożnych depeszach, idących z Warszawy, próbowano robić wyraźny nacisk na mnie, abym spieszył z pomocą i zgodził się, chociaż nie przygotowany, iść natychmiast naprzód. Pomimo, iż cały ten nacisk i trwoga wydawały się absolutnym nonsensem, to jednak gdy, jak wykazałem wyżej, zrobiłem ustępstwo dla trwogi z sensu i rozumu wojennego, po pewnym wahaniu przesunąłem datę wymarszu o jeden dzień i zawiadomiłem Warszawę, że zaczynam uderzenie 16 sierpnia o świcie. Rozkaz, który wydałem, narażał najbardziej dwie skrzydłowe dywizje, 14 na lewym i I Legionową na prawym skrzydle. Zdecydowałem bowiem, o czym wszystkim wojska zawiadomiłem, uderzać szybko, nakazując przechodzić przestrzenie, do których oprócz I Legionowej inne wojska nie były przyzwyczajone. Zakazałem najzupełniej dbać o skrzydła, gdyż każda dywizja iść musiała naprzód tak szybko, jak mogła, nie myśląc wcale o tym, czy sąsiad z tej czy innej strony za nią nadąży. Spodzielając się zaś generalnego boju nie gdzie indziej, jak pod Warszawą, nakazałem jak najszybszy marsz I Dywizji Legionowej, która musiała być zachodzącym prawym ramieniem skrzydłowym może już drugiego dnia, gdyby lewoskrzydłowa 14 Dywizja napotkała gdzieś w okolicach Kołbieli zorganizowany już opór przeciwko odsieczy dążącej ku Warszawie. Niepokoiła mnie tzw. Grupa Mozyrska; nie widziałem jej sił przed sobą, a wiadomości lotnicze stwierdzały jakiś wielki ruch furmanek, zdążających ze wschodu i północnego wschodu do Łukowa i Żelechowa. Mogła więc to być jakaś spieszenie wysyłana grupa, może nawet ta mozyrska, tak że moja I Dywizja Legionowa, nie kryta niczym od wschodu, mogła wpaść w sytuację względnie niebezpieczną. Jako ogólną zasadę postawiłem wszystkim wojskom, tzn. czterem dywizjom, osiągnięcie na drugi dzień szosy Brześć-Warszawa. Wyjątek stanowiła 3 Dywizja Legionowa, która weszła w kontakt z 58 Dywizją sowiecką i, staczając z nią boje, nie mogła wchodzić w mój rachunek dla obliczeń bitewnych, zbliżonych ku Warszawie. Prędzej rachować chciałem na całą lub część 2 Dywizji Legionowej, która stała na pasywnym odcinku na zachodnim brzegu Wisły od Dębina ku północy. Posuwanie się bowiem sił moich ku północy przez sam ten ruch oswobadzało od zadania tę dywizję.

15 sierpnia wiadomości z Warszawy brzmiały nieco bardziej uspokajająco, lecz wszystkie walki świadczyły, że nacisk nieprzyjaciela coraz bardziej się zwiększa zarówno w okolicach Radzymina, jak i na północ od Warszawy, w okolicach Modlina. Natomiast na południu zaczęła się rozwijać praca Konnej Armii Budionnego, pod którego naciskiem nasza 6 Armia zaczęła się wycofywać w kierunku Lwowa.

16 rozpocząłem atak, o ile w ogóle atakiem nazwać to można. Lekki i bardzo łatwy bój prowadziła przy wyjściu tylko 21 Dywizja, która nie wiadomo po co parę dni temu, uszkodziwszy most, cofnęła się z Kocka, a teraz musiała w bród forsować Wieprz, by Kock znowu odbierać. Inne dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, gdyż nieznacznych potyczek w tym czy innym miejscu z jakimiś małymi grupkami, które natychmiast po zetknięciu się z nami rozpraszały się i uciekały, kontaktem nazwać bym się nie ośmielił. Cały dzień spędziłem w samochodzie głównie przy lewoskrzydłowej 14 Dywizji, zbierając ciągle dane i wrażenia swoje oraz mych podwładnych. Nie mogę nie powiedzieć, że tego dnia wieczorem, gdy wszystkie już dywizje przebiegły po dobrych trzydziści kilka kilometrów ku północy, główną zagadką, którą chciałem sobie rozstrzygnąć, była tajemnica tak zwanej Grupy Mozyrskiej. Właściwie nie było jej wcale, oprócz 57 Dywizji; lecz taki wynik rozumowań przeczył najzupełniej dotychczasowym przez miesiąc całym wykuwanym z dnia na dzień wrażeniom, jakie posiadałem.

Przecież była to jakaś apokaliptyczna bestia, przed którą cofały się przez miesiąc liczne dywizje. Wydawało mi się, że śnię. Jako wynik, do którego doszedłem, był pogląd, że czeka mnie gdzieś jakaś zasadzka. Lewoskrzydłowa 14 Dywizja, minąwszy swobodnie Garwolin, już od południa właściwie weszła w sferę działania lewego skrzydła 16 Armii sowieckiej, atakującej Warszawę. Miałem bowiem wiadomość, że pod Górą Kalwarią miała ta armia forsować Wisłę, a od Karczewa i Wiązownej, o których pisały depesze, że są atakowane, strażę przednie 14 Dywizji stanęły 16 sierpnia niecałe 20 czy 25 kilometrów. A nieprzyjaciela nie było! Kazałem wieczorem całej 2 Dywizji Legionowej, oswobodzonej od zadania, skupić się natychmiast w Dęblinie i być jakąś rezerwą przy tylu tajemnicach, grożących zewsząd jakimiś zasadzkami. Gdzieś jednak musiała być mozyrska, dotąd zwycięska grupa, gdzieś także 16 Armia, atakująca Warszawę.

Dzień 17 sierpnia nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek. Szukałem go teraz na prawym skrzydle. Spędziłem znowu dzień cały w samochodzie, szukając śladów tajemnicy i choć pozoru zasadzek. Dobrze po południu zastałem w Łukowie dowódcę 21 Dywizji wraz z jego sztabem, festynującego wesoło po tak wspaniałym marszu. Gdy dowódcy brygad i niektórych pułków mnie otoczyli przy stole, wszyscy w jeden głos twierdzili, że właściwie nieprzyjaciela nie ma i z zapalem mi opowiadali, jak cała ludność spieszy im z pomocą. Tak więc, gdy jakaś grupka nieznaczna nieprzyjaciela chce stawiać opór, to nieledwie baby z cepami i chłopci z widzami spieszą sekundować naszym góralom, gdy ci boso w tyralierze idą do ataku. Straż przednia górskiej dywizji zatrzymała się na pół drogi pomiędzy Łukowem a Siedlcami. Kazałem zaraz prowadzić dalej atak na Siedlce, licząc, że może w tym centralnym punkcie znajdę jakieś rozwiązanie tajemnicy Grupy Mozyrskiej. Dalej ze wschodu wiedziałem, że 1 Dywizja Legionowa, wyprzedzając wszystkich, strażami przednimi osiągnęła już Białą i Międzyrzec, jeszcze dalej zatrzymana w biegu 3 Dywizja Legionowa rozbiła 58 Dywizję sowiecką i szła, prąc ją przed sobą, ku Włodawie i Brześciowi. Gdy pod wieczór wracałem ku zachodowi po pięknej szosie od Łukowa w stronę Garwolina i minąłem okolice Żelechowa, gdzie spotkałem tyły 16 Dywizji, idącej na Kałuszyn, wydawało mi się, że jestem gdzieś we śnie, w świecie zaczarowanej bajki. Nie rozumiałem właściwie, gdzie jest sen, a gdzie prawda. Czy śniłem wtedy, gdy jakaś zmora dusiła mnie jeszcze tak niedawno swą nieprzepartą siłą ustawicznego ruchu, zbliżającego potworne łapy do śmiertelnego uścisku gardła, czy śnię teraz, gdy pięć dywizji swobodnie i bez oporu przebiega śmiało te same przestrzenie, które jeszcze tak niedawno w śmiertelnej trwodze odwrotu oddawały nieprzyjacielowi? Pomimo, iż sen mógł być radosny, nie mógł się wydawać wtedy realnym. Miesiąc cały sugestii, sugestii przemocy, nie chciał mijać. Sen radości nie mógł być realnym! Pod tymi wrażeniami przyjechałem wieczorem do Garwolina. Pamiętam, jak dziś, tę chwilę, gdy pijąc herbatę obok przygotowanego do snu łóżka, zerwałem się na równe nogi, gdy wreszcie usłyszałem odgłos życia, odgłos realności, głuchy grzmot armat, dolatujący gdzieś z północy. Więc nieprzyjaciół jest! Więc nie jest on jakąś ułudą! Wstyd mi za lęk i strach, który miałem ongiś przed potworną zморą, co zaczęła mi się wydawać jakąś dziką tylko fantasmagorią, nie był nieracjonalnym i bez powodów! Nieprzyjaciół był i świadczyła o nim muzyka boju na północy. (Patrz szkic nr 7.)

Jeszcze ułożywszy się do snu, raz po raz głowę z poduszki unosiłem, by sprawdzić swoje wrażenie. Głuchy odgłos armat miarowo, z wolna wstrząsał powietrze, mówiąc mi o boju prowadzonym bez nerwów, spokojnie, ze spokojnie odbijanym taktem. Gdzieś koło Kołbieli, czy trochę dalej, biła się w nocy moja 14 Dywizja. Obliczyłem sobie szybko, że nawet jeśli bój nie będzie miał chwilowego powodzenia i może 14 Dywizja się cofnie, odciąży jednak swym bojem zagrożoną Warszawę, a ja nazajutrz zdążę podciągnąć do miejsca boju 2 Dywizję Legionową z Dębłina i sąsiednią 16 Dywizję od wschodu.

18 sierpnia, gdy rano zerwałem się ze snu, armaty już nie grały; była zupełna cisza. Zdecydowałem się zaraz pojechać sprawdzić sytuację. Nigdy nie zapomnę dziwnego wrażenia, gdy bez żadnych przeszkód przyjechałem do Kołbieli i zastałem w dworku przy szosie tylko tyły 14 Dywizji i wiadomość o tym, że dywizja ta bój w nocy toczyła i ruszyła pospiesznym marszem już do Mińska, by zgodnie z moim rozkazem być o świcie trzeciego dnia na szosie brzeskiej. Gdzież więc jest 16 Armia? Gdy jechałem do Mińska, świadczyły o niej armaty, zostawione bez zaprzęgów i bez obsługi w polu, świadczyły o niej dość liczne trupy ludzi i koni obok szosy, świadczyła wreszcie ludność, która z zachwytem opowiadała mi, zatrzymując auto gdy mnie poznawano, że „bolszewiki” uciekały w bezładzie i w popłochu w różne strony. Wielu z opowiadających uważało moją podróż za mało bezpieczną, gdy w okolicy tak dużo rozsypanych i rozproszonych „czerwonych kozaków”.

W Mińsku zastałem 14 Dywizję, skoncentrowaną wraz z 15 pułkiem ułanów. Wszystkie dane, które zaraz ściągnąłem o ubiegłym boju, mówiły, że 14 Dywizja spotkała się z przeciwdziałaniem najbardziej południowych dywizji sowieckiej 16 Armii (8 i 10). Dywizja nasza, poniosłszy względnie niewielkie straty, bo nie przekraczające 200 ludzi, opór złamała i była świadkiem jakiejś popłochowej ucieczki.

Dowiedziałem się też, że zgodnie z moim poprzednim rozkazem część załogi warszawskiej, mianowicie 15 Dywizja, uderzyła wzdłuż szosy Warszawa-Mińsk i że obecnie stoi w niedalekich Dębach Wielkich. W Dębach Wielkich zastałem 15 Dywizję skoncentrowaną i mającą najzabawniejszy w świecie rozkład bojowy. Po obu stronach szosy stały baterie, jedne zwrócone ku północy, inne ku południowi. W dowództwie dywizji wyjaśniono mi, że jest to konieczne, gdyż właściwie nieprzyjaciół, wycofujący się pośpiesznie spod Warszawy, jest wszędzie - i na północy, i na południu. Zapowiedziałem dywizji przyłączenie jej do naszej 4 Armii i kazałem przygotować się do wymarszu na północ, by forsować Bug, za którym spodziewałem się znaleźć opór. Było dla mnie oczywiste, że uderzenie prowadzone w tak szybkim tempie dało już swe wyniki pod Warszawą. Ze wszystkich danych wnosilem, że jeśli nie mogłem nigdzie spotkać oporu ze strony tzw. Grupy Mozyrskiej, to oczekiwany przeze mnie opór sowieckiej 16 Armii jest właściwie zakończony. Trzy jej dywizje (8, 10 i 17) po krótkim i wcale niekrwawym boju były prawie w rozsypce. Nie sądziłem, by dwie następne dywizje tej armii (2 i 27) mogły stawiać opór skoncentrowanym wysiłkom z południa dywizji 14 i 15 i z zachodu skupionym dla łatania przerwy pod Radzyminem dywizjom naszym z obsady Warszawy. Wobec tego jakikolwiek opór spotkać mogłem tylko na Bugu, gdzie z konieczności nieprzyjaciół ściągać by musiał siły swojej 3 Armii, które walczyły pod Zegrzem i dalej na zachód za Narwią.

W przeciwnym bowiem wypadku 3 Armia znalazłaby się w sytuacji nadzwyczajnie ciężkiej, mając wszystkie drogi odwrotu przegrodzone podwójnie - i przez nieprzyjaciela, i przez rzekę Narew. Stąd wyprowadziłem wnioski, że większość armii sowieckiej musi się cofnąć od Warszawy ku wschodowi i że zatem z naszej strony należy jak najszybciej zarządzić zupełną jednolitość działań wszystkich wojsk zebranych pod Warszawą, aby po rozbiciu jednej z sowieckich armii energicznym pościgiem i naciskiem zewsząd rozbić i porazić resztę sił nieprzyjaciela.

W tym celu zdecydowałem udać się zaraz do Warszawy, by i pościg, i ogólne uderzenie zorganizować i nakazać. W Warszawie znalazłem nastrój nieco inny niż ten, którego się spodziewałem. Jeżeli była radość i pewne uczucie ulgi z powodu oswobodzenia Warszawy od bezpośredniego nacisku, to znowu istniał duży niepokój z powodu licznych ataków na miasta na dolnej Wiśle, jak Płock i Włocławek i posuwania się oddziałów nieprzyjacielskich coraz dalej w tzw. korytarz gdański. Obok tego wszystkim tym, z którymi mówiłem, sytuacja strategiczna nasza nie wydawała się tak korzystna i tak radykalnie zmieniona, jak ja o tym sądziłem. Gdy ja oswobodzony byłem już od sugestii naszych miesięcznych niepowodzeń w niedawnej przeszłości i widziałem jedyną możliwość dla nieprzyjaciela uchylenia się od grożącej mu klęski przez obronę Bugu, do którego zbliżały się dywizje 4 Armii i wojska gen. Rydza-Smigłego, to w Warszawie czułem wyraźnie trwający jeszcze nacisk moralny dotychczasowych sukcesów p. Tuchaczewskiego.

Próby odciążenia wschodniego frontu Warszawy przez uderzenie mniej naciskanego przez nieprzyjaciela frontu północnego pod Modlinem (nasza 5 Armia) dały pewien rezultat. Posunięto się do Nasielska i wzdłuż Narwi ku północy. Lecz za to tym bardziej wydawała się panom w Warszawie zagrożona lewa flanką dalszego poruszenia się ku północy 5 Armii i tej części 1 Armii, która szła w natarciu po zachodnim brzegu Narwi. Gdy osobiście nie widziałem w tym niebezpieczeństwa i byłem przekonany, że - wszystko jedno - nieprzyjaciół będzie musiał się cofać, nie widziałem tegoż przekonania i tej pewności w Warszawie. Dreszcz i trwoga o stolicę były tam jeszcze tak silne, a dalsze postępy nieprzyjaciela ku zachodowi tak znaczące, że jedynie z pewnym trudem ustępowano pod moim naciskiem.

Rozkaz mój z 18 sierpnia stawiał cele operacyjne dla armii naszych następująco:

3 Armia - przesłanianie Lubelszczyzny i Chełmszczyzny, obsadzenie Bugu, wywiad na Zabuzu oraz pomoc lewemu skrzydłu frontu południowego przez działanie od północy na oddziały 12 Armii bolszewickiej, nie krępując się granicą południową swego odcinka.

2 Armia - wyteżony pościg w kierunku północnym dla zajęcia Białegostoku i zaatakowania cofających się kolumn nieprzyjaciela od wschodu, jednocześnie zaś zabezpieczenie się od wschodu przez obsadzenie Brześcia Litewskiego (3 Dywizja Legionów; kierowane do 2 Armii i 19 Dywizja Piechoty i 41 pułk piechoty przeznaczone są do działania w rejonie Augustów-Wołkowysk).

4 Armia - wyteżony pościg w kierunku północnym celem szybkiego sforsowania Bugu na odcinku Brok (włącznie) - Granne (wyłącznie), zajęcie Mazowiecka i przypieranie nieprzyjaciela ku granicy niemieckiej razem z tendencją działania szybciej prawym skrzydłem dla oskrzydlenia.

1 Armia - pościg frontowy, a więc w kierunku północno-wschodnim. Oś pościgu: Warszawa-Wyszków-Ostrów-Łomża. Kawalerię skierować na lewe skrzydło dla zamknięcia luki między piechotą armii a granicą.

5 Armia - likwidowanie całkowite 3 Konnego Korpusu 4 Armii i tych części 15 Armii bolszewickiej, które przez ruch 5 Armii ku północy na Przasnysz-Mławę zostaną odcięte. Uzupełniłem rozkaz ten listem, pisany z Siedlec już następnego dnia, 19 sierpnia późno w nocy, gdy wiedziałem, że na Bugu ani 4 Armia, ani wojska gen. Śmigłego nie znajdą większego oporu. Z tego też powodu uznawałem już za zupełnie możliwe zmniejszenie ilości wojska, użytego do bezpośredniego pościgu. Sądziłem, że można już dużą część Mazowieck - Wysokie Mazowieckie (przyp. red.) skupionych dotąd w okolicach Warszawy wojsk wywieźć w części na południe, w części zaś wyraźnie na wschód dla sformowania nowego naturalnego frontu, obróconego nie na północ, jak dotychczas, lecz ku wschodowi. Początki tej reorganizacji frontu znajdują się już w rozkazie z 18 sierpnia. W punkcie trzecim tego rozkazu dałem rozporządzenie, by z 5 i 1 Armii jak najspieszniej wyciągnąć 41 Suwalski Pułk Piechoty i 19 Dywizję, zwaną dawniej 1 Dywizją Litewsko-Białoruską. Stało to w związku z moim zamiarem, już wtedy powstałym, by pułk 41, jako sformowany z ochotników-suwalczan, wysłać do rodzinnego zakątka dla oswobodzenia go od najazdu sowiecko-litewskiego. Natomiast 19 Dywizja, również sformowana z ochotników z naszych kresów, miała odejść, jak mówi rozkaz, „pospiesznymi transportami” przez Warszawę-Siedlce w kierunku na Czeremchę, by stanąć od razu jako straż przednia do oczyszczenia swej ściślejszej ojczyzny od nieprzyjaciela. W liście do szefa sztabu w punkcie drugim zamiary moje są już zupełnie skryształizowane. Nieprzyjaciela uważałem za rozbitego i streszczałem wobec tego swój nakaz w sposób następujący: „5 Armia obejmuje pościg. 4 Armia nacisk w kierunku północnym i coraz większe zwięzanie wszystkich dróg odwrotowych. 2 Armia zaskakuje od wschodu. Jeżeli nie wspominam o 1 Armii będącej w środku pomiędzy armiami 5 a 4, to dlatego, iż przypuszczam, że dla niej nie znajdzie się miejsca i że ona będzie musiała być rozparcelowana pomiędzy armie 2 i 3, która to ostatnia prawdopodobnie będzie musiała objąć nie tylko osłonę Bugu i Lublina, ale i uderzenie na południe dla degażowania Galicji”. Chciałem więc już 20 sierpnia skończyć z tym nonsensem strategicznym, z którego ongiś wyszedłem jako z podstawy dla bitwy pod Warszawą.

Rozkaz mój z 18 sierpnia, zmieniony nieco w następnym dniu, spotkał się z rozkazem

p. Tuchaczewskiego, wydanym prawie jednocześnie. P. Tuchaczewski chce ustanowić dla niego datę tę samą, to jest dzień 18 sierpnia. Niestety, przy rozejrzeniu się w całym materiale, znajduję tyle sprzeczności z tym twierdzeniem p. Tuchaczewskiego, że muszę zatrzymać się nieco dla wyjaśnienia kontrowersji. P. Sergiejew na stronie 92 wyraźnie pisze, że rozkaz był wydany 17 sierpnia o 18 godzinie (6 wieczorem). Twierdzi przy tym, że w sztabie frontu w Mińsku 17 sierpnia rano otrzymano wiadomości o „zaczynającym się ataku jakichś polskich sił z okolic Lublina, skierowanym wprost na północ, i o rozbiciu Grupy Mozyrskiej jednocześnie na szerokim froncie od Dębłina do Włodawy”. P. Tuchaczewski zaś twierdzi na stronie 197, że „Niestety, o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18 sierpnia z rozmowy hughesowej z dowódcą 16 Armii. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17 sierpnia. Grupa Mozyrska nic nie dała znać o tym, co się stało. Dowódca 16 Armii, meldując w rozmowie hughesowej o wynikłym położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, lecz nie uważał ofensywy białych polskich oddziałów za poważną i przewidywał możliwość zlikwidowania jej”. Stanowczo stwierdzam, że jakakolwiek rozmowa dowódcy 16 Armii z Siedlec z p. Tuchaczewskim w Mińsku Litewskim nie była możliwa w dniu 18 sierpnia, gdyż Siedlce w większej swojej części były zajęte przez naszą 21 Dywizję już 17 sierpnia późnym wieczorem. I jest rzeczą zupełnie niepodobną do wiary, aby dowódca 16 Armii, zmuszony prawdopodobnie do szybkiej zmiany miejsca swego pobytu, mógł 18 sierpnia rozmawiać w ten dziwny sposób. 17 sierpnia wieczorem i w nocy większość jego armii (dywizje 8, 10 i 17) znajdowała się w zupełnie popłochowym odwrocie

i wszelka komunikacja pomiędzy "komandarmom 16" a jego dywizjami już tej nocy była przecięta. We wspomnieniach p. W. Pumpy, zatytułowanych Pod Warszawą, a opisujących działania 27 Dywizji sowieckiej, dywizji należącej do 16 Armii, która to dywizja atakowała i wzięła Radzymin, znajdujące następujące dane w tej sprawie: "Według zapowiedzi rozkazu dowódcy armii, otrzymanego w 27 Dywizji około 16 godziny 17 sierpnia, dywizje armii miały odejść na rzekę Liwiec". Przy czym p. Putną przypisuje to faktowi, że dywizje 8 i 10, będące dalej na południe od 27 Dywizji, zostały przez nas, Polaków, rozbite, a polskie straże przednie weszły już do Mińska. Stwierdza przy tym, że zgodnie z rozkazem 27 Dywizja o północy 17 sierpnia bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela odeszła spod Radzimina, mając jednak już przed sobą odchodzące i cofające się w bezładzie części sąsiadujących ku południowi dywizji. Po zestawieniu tych wszystkich faktów nie mogę przypuścić, aby data rozkazu p. Tuchaczewskiego była 18 sierpnia, lecz sądzę, że jest to albo omyłka druku, albo też data została przez p. Tuchaczewskiego przesunięta rozmyślnie przy pisaniu dziełka. Dlatego też i szkic, dołączony przeze mnie do moich rozważań o bitwie warszawskiej, zestawia sytuację obu stron walczących na 17 sierpnia wieczorem, gdy rozkaz p. Tuchaczewskiego zaczynał już działać, a gdy nazajutrz zaczął działać mój rozkaz.

Od razu powiedzieć muszę, że mieliśmy z p. Tuchaczewskim pod względem wydanych prawie jednocześnie rozkazów losy prawie jednakowe. Rozkazy zostały wykonane w obu walczących armiach tylko przez część wojska, nie przez całość. Rozkaz p. Tuchaczewskiego, jak sam on mówi, był dany już za późno. P. Tuchaczewski stwierdza, że przyczyną wydania rozkazu o cofaniu się był fakt, że na lewym jego skrzydle sytuacja układała się krytycznie. Dodaję, że dzięki rozproszeniu działań 4 Armii p. Sergiejewa p. Tuchaczewski nie miał przy wydawaniu rozkazu pewności, że może na swym prawym skrzydle osiągnąć szybko większy sukces, którego właśnie tam tym prawym skrzydłem szukał. Rozkaz więc o cofnięciu się spod Warszawy wydany został przez sowieckiego wodza pod wpływem niespodziewanego dla niego natarcia pięciu dywizji polskich. Jeżeli zaś twierdzi, że rozkaz był już spóźniony, to dlatego, że skierowując swoją lewoskrzydłową 16 Armię na Liwiec i uchylając ją w ten sposób, jak mu się zdawało, od uderzenia owych pięciu polskich dywizji, nie wiedział, że ta armia już nie była zdolna do stawiania jakiegokolwiek oporu.

Prawoskrzydłową, więc najbardziej północną dywizją tej armii była wspomniana 27 Dywizja sowiecka, która jeszcze kilka dni temu przyprawiała o trwogę Warszawę, zdobywając Radzymin. Z opisu działania tej dywizji, który już cytowałem, biorę dosłownie stan 16 Armii dnia 18 sierpnia po południu. Oto opis: "Jeszcze 18 sierpnia rano wyjaśniło się, że inne dywizje armii już usunęły się ze swych operacyjnych linii odwrotowych i ich jednostki, poza nieznacznymi wyjątkami, poruszały się w kierunku północno-wschodnim, jako najmniej niebezpiecznym. Sztaby połowe dywizji 2 i 10 w południe 18 sierpnia znajdowały się: pierwszy w Paplinie, drugi w Sudninowie, obydwa na odcinku 27 Dywizji. Po szosie Węgrów-Sokołów-Drohiczyn szły jednostki 21 Dywizji (ta należała już do 3 Armii i brała udział w walkach pod Radziminem) i tyłowe instytucje i tabory dywizji 27, 2, 17, 10 i 8 (są to wszystkie dywizje 16 Armii, nie brak ani jednej!). Droga ta zalana była nieprzerwaną kolumną, posuwającą się wolno w dwóch, trzech rzędach. Sztab połowy 27 Dywizji przybył do Sokołowa o 21 godzinie 30 minut 18 sierpnia, gdzie wyjaśniło się, że nieprzyjaciel o świcie 18 sierpnia zajął już Siedlce i posuwał się w kierunku na Sokołów i Drohiczyn; około 21 godziny Polacy zajęli już okolice Rozbitego Kamienia, skąd odrzucili 50 Brygadę (17 Dywizja). Pociąg pancerny przeciwnika podszedł do Sokołowa i ostrzeliwał artylerią szosę, po której wciąż jeszcze szły kilku rzędami tabory wszystkich dywizji 16 Armii. Niektóre rozluźnione jednostki dywizji 8, 10, 17 i 57 (z Grupy Mozyrskiej) i tabory odchodziły przez Sokołów w północno-wschodnim kierunku (więc już nie na Drohiczyn!). Wobec takiej sytuacji i wobec przerwania technicznej łączności z dowództwem armii w dywizjach postanowiono odejść za Bug, o czym posłano zawiadomienie do dowództw dywizji 2, 10 i 21.

Liwiec więc, wyznaczony przez p. Tuchaczewskiego jako miejsce zatrzymania się 16 Armii, był już opuszczony przez całą tę armię 18 sierpnia wieczorem pod naciskiem straży przedniej naszej 21 Dywizji

i pociągu pancernego, do tej straży przedniej należącego. W dodatku zaś poza 16 Armią w tym opuszczeniu Liwca brała już udział i jedna dywizja 3 Armii sowieckiej. Ten obrazek, zapożyczony nie z relacji bojowych naszych, lecz z opisu własnego przeciwnika, świadczy o stanie 16 Armii, która zwycięsko przebiegła olbrzymią przestrzeń od Berezyny do Warszawy, mając za sobą sukces za sukcesem. Teraz armia ta, stoczywszy 17 sierpnia bitwę z dwiema tylko naszymi dywizjami (14 i 15), wyrzekała się wszystkich zadań, jej przeznaczonych, pod naciskiem straży przedniej jednej dywizji (21). Dodam, że wszystkie trzy dywizje nasze: 14, 15 i 21, które teraz 17 i 18 sierpnia odnosiły nad 16 Armią zwycięstwo, były starymi jej znajomymi, gdyż zaczynając od Berezyny aż do samej Warszawy stale i ciągle miały z nią do czynienia. Armia więc 16 rozkazu p. Tuchaczewskiego wypełnić nie mogła. Spójrzmy na dalszą, 3 Armię. Ma ona według rozkazu zatrzymywać przeciwnika. Widzieliśmy już, że lewoskrzydłową jej 21 Dywizja wciągnięta została do katastrofy 16 Armii i dzieliła z nią smutne jej losy. Reszta, z trzech dywizji złożona, atakowała jeszcze niedawno Warszawę i okolice Zegrza, teraz odchodziła za Bug. P. Sergiejew konstatuje, że sytuacja dalszej ku północy 15 Armii 19 sierpnia stała się ciężka, gdy straciła ona łączność na lewym skrzydle ze spiesźnie odchodzącą na wschód 3 Armią. Ze swej strony cytuję ustęp z listu mego, już przytaczanego, do gen. Rozwadowskiego, pisanego w nocy z 19 na 20 sierpnia. W końcu listu piszę:

„Zagadką dotąd dla mnie nie rozwiązana jest, gdzie się znajduje 3 Armia nieprzyjacielska oraz ta część 15 Armii, która nie bierze udziału w operacjach na północ od Modlina”. Zagadkę tę starałem się rozwiązać i znacznie później po wojnie. Wiedziałem bowiem, że 3 Armia odchodziła pośpiesznie przez Ostrów, bardzo słabo broniąc przedtem Bugu, lecz w pościgu, bardzo gwałtownym i pośpiesznym, jaki od 19 sierpnia rano został przeze mnie naszej 4 Armii zarządzony, 3 Armia sowiecka nie odegrała tej roli, jaką jej chciał przypisać p. Tuchaczewski, to znaczy nie zatrzymywała wcale nieprzyjaciela. Były, co prawda, od czasu do czasu w przeciągu dni 20 i 21 sierpnia nieznaczne potyczki z łatwo rozpraszalnymi oddziałkami, lecz oporu właściwego i zorganizowanego nikt nie stawiał. Na kopii ostatniego szkicu p. Sergiejewa znajduję ją 19 sierpnia koło Wyszkowa, 20 za Ostrowiem, a już 22 sierpnia omijając starannie Białystok i Łomżę i zdążając już w kierunku Ossowca. Znowu więc skonstatować muszę, że i druga z rzędu armia sowiecka - 3 rozkazu p. Tuchaczewskiego nie słuchała i zwycięsko przeszedłszy olbrzymią przestrzeń od "wątlęgo strumienia Auty" ku potężnej Wiśle, cofała się szybko i to bardzo szybko, nie chcąc prowadzić boju jej nakazanego z paru dywizjami polskimi, idącymi na nią od południa. Rozkaz p. Tuchaczewskiego został usłuchany jedynie przez jego 15 Armię. Ta stanęła dla uratowania sytuacji. Miała zabezpieczyć odejście zaawanturowanej daleko na zachód 4 Armii i w przeciągu dni 18 i 19 sierpnia starała się to uczynić. Jak zwykle przy porażkach bywa, cierpi najbardziej ten, co jest najdzielniejszy. 15 Armia została zaatakowana wtedy, gdy inne armie albo - jak to robiły armie 16 i 3 - odchodziły pośpiesznie ku północnemu wschodowi, albo - jak to robiła 4 Armia, która zresztą na czas nie otrzymała rozkazu - starały się dopiero skoncentrować do odwrotu swoje zanadto rozsypane dywizje. Niepodobna dokładnie zrozumieć sytuacji sowieckich armii 15 i 4 bez zestawienia jej z działaniami naszych wojsk na zachód od Narwi. Rozkaz mój z 18 sierpnia, jak już powiedziałem, nie był w zupełności wypełniony przez wszystkie nasze wojska. Rozkaz wyraźnie skierowywał wszystkie armie, z wyjątkiem najbardziej zachodniej 5, ku północnemu wschodowi, a więc 4 Armia iść miała w ogólnym kierunku na Mazowieck, tak aby się bardziej zbliżyć do zanadto izolowanej 2 Armii gen. Śmigłego, dążącej w kierunku Białegostoku. Bowiem 2 Armia miała podwójne zadanie - osłaniała nas od wschodu, na co zużyć musiała dużą część sił, i próbowała zarazem zaskoczyć na drogi odwrotowe cofającego się ku wschodowi nieprzyjaciela na linii Bielsk-Białystok. Siły po temu miała wydzielone bardzo niewielkie, jako naturalny skutek nonsensu założenia, z którego wyszedłem dla rozkładu strategicznego bitwy pod Warszawą.

Natomiast 1 Armia, oswobodzona przez sukcesy mego kontrataku znad Wieprza od jakiegokolwiek nacisku, otrzymała przez rozkaz 18 sierpnia kierunek dla dalszych działań na Łomżę-Ostrołękę. Ruch ten jednak przez 1 Armię nie został wykonany ani 19, ani 20 sierpnia. Już w rozkazie na 19 sierpnia działania 1 Armii naszej zostały jakby przepołowione. Dla zastosowania się do rozkazu mego z 18 sierpnia dywizje

8, 10 i VII Brygada Rezerwowa rozpoczęły swój marsz pościgowy na Bug, utrzymując nakazany kierunek na Łomżę i Ostrołękę, lecz reszta I Armii została właściwie złączona w działaniach z działaniami 5 Armii. W ten sposób, gdy nieprzyjaciel właściwie zabierał się do odwrotu lub ten odwrót spieszenie już wykonywał, nasza I Armia swoim rozkazem starała się być wciąż silną na zachód od Narwi, nie na wschód od niej. Już 20 sierpnia ten zachodni kierunek myśli i działań dowodzenia nad I Armią zostaje zaznaczony tak jaskrawo i wyraźnie, że cała I Armia, nie wyłączając i tych dywizji, które działały na wschód od Narwi, otrzymuje rozkaz przekraczania Narwi z powrotem, z dążeniem ku zachodowi. Rozkaz ten, w rażącej stojący sprzeczności z rozkazem moim z 18 sierpnia, spowodowany był przypuszczeniem, że nieprzyjaciel koncentruje się dwiema swymi armiami, tzn. 4 i 15 na północ od Ciechanowa koło Mławy.

Kiedy wspomniałem, że jedyną armią, która rozkaz p. Tuchaczewskiego wykonała, była 15 Armia, to przyznać muszę, że dzielna musiała być postawa tej armii w ciągu 18 i 19 sierpnia, jeśli wywołała ze strony polskiej koncentrację wojsk w tak nieużytecznym dla całości operacji kierunku jak zachodnim, odciągając w ten sposób od zadań pościgowych całą naszą I Armię. Kierunek ten tym bardziej był nieużyteczny w dniu 20 sierpnia, że 15 Armia sowiecka 19 sierpnia wieczorem zdecydowała się odejść przez Ostrołękę właśnie w kierunku Łomży, która przez fatalny rozkaz, powtarzam, sprzeczny zupełnie z moim nakazem, została oswobodzona od nacisku z naszej, polskiej strony. P. Sergiejew na stronie 92 swego dzieła nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Oto co pisze on w tej sprawie: otrzymał on w Sierpcu dopiero 19 sierpnia zasadniczy rozkaz p. Tuchaczewskiego o odwrócie. Mógł się jeszcze przez Mławę i Przasnysz rozmówić osobiście o sytuacji z p. Tuchaczewskim, będącym w Mińsku. Jak pisze p. Sergiejew "dopiero w tej osobistej rozmowie z dowódcą frontu przekonał się o konieczności odprowadzenia swoich wojsk już nie do okolic Ciechanowa, a znacznie dalej na wschód. Dopiero 19 sierpnia rozpoczęła swój odwrót 4 Armia". Co do 15 Armii, p. Sergiejew pisze, że stała ona 17, 18 i 19 sierpnia w bojach, "lecz nie otrzymując pomocy dla swego prawego skrzydła od 4 Armii i straciwszy na lewym skrzydle łączność z odchodzącą pośpiesznie na wschód 3 Armia, 15 Armia decyduje się, zgodnie zresztą z dyrektywą frontu, na odejście i przez Ostrołękę idzie do okolic Łomży". Na stronie 94 p. Sergiejew opowiada, że tegoż dnia 19 sierpnia, gdy już znowu stracił łączność z dowództwem frontu, próbował ją nawiązać przez 15 Armie i w okolicach Ciechanowa trafił właśnie na moment, gdy 15 Armia już swymi strażami tylnymi odchodziła ku Ostrołęce. Osądzwszy zaś, że w ten sposób jest odcięty już od swej 15 Armii i nie chcąc trafić do niewoli, szybko odjechał na wschód do Augustowa i Grodna. Kiedy więc 19 sierpnia wieczorem 15 Armia pośpiesznie odchodziła ku wschodowi, nasza I Armia przedsiębrała zabawny manewr przechodzenia z trudem Narwi w akurata odwrotnym kierunku - ku zachodowi.

Dziwaczny ten i nonsensowny rozkaz, który niemało się przyczynił do zmniejszenia klęski armii sowieckiej pod Warszawą, wywołał z mojej strony silny sprzeciw, lecz, niestety, zbyt małe poprawki. Specjalnym rozkazem, wysłanym do 8 Dywizji, stojącej już pod Ostrowiem, zabroniłem tej dywizji słuchać rozkazu swej armii i przyłączyłem ją do 4 Armii, rozkazując jej dzielić dalsze losy nie z I Armia, a z 4. Tę ostatnią skierowałem znowu na opuszczony kierunek - na Łomżę. W ten sposób zwolniłem nareszcie nacisk na odchodzącą 3 Armie sowiecką, która też zgodnie z określeniem p. Sergiejewa wyszła najlepiej z klęski warszawskiej. Naraziłem również w ten sposób armie gen. Śmigłego, a specjalnie biegnącą bez zatrzymania prawoskrzydłową jej dywizję, I Legionową, na zupełną izolację i działanie bez jakiegokolwiek poparcia sąsiednich armii".

Nieraz po ukończonej wojnie zastanawiałem się i próbowałem analizować działania własne i innych podczas bitwy warszawskiej. Wydawało mi się bowiem zawsze, że nie wyzyskałem dostatecznie sytuacji wytworzonej przez atak pięciu naszych dywizji znad Wieprza. Osiągnąłem, jak to czytelnik już wie, tym atakiem wydanie 17 sierpnia rozkazu o cofnięciu wszystkich wojsk sowieckich spod Warszawy ku wschodowi. Przy analizie jednak dochodziłem do przypuszczenia, że były z mej strony niedociągnięcia, które z klęski, poniesionej przez wojska sowieckie pod Warszawą, nie uczyniły klęski ostatecznej, z

której walczące z nami państwo wyjścia by nie znalazło. Pierwsze niedociągnięcie, jakie widziałem zawsze, jest to niewyzyskanie dostatecznie dnia 18 sierpnia, który spędziłem w Warszawie. Dzień ten dla naszej 4 Armii, a właściwie dla jej dalszego pościgu, był prawie stracony. Bez mego bezpośredniego nacisku armia ta bardzo niewiele uczyniła nawet dla wyjaśnienia sytuacji. A mogła, zdaniem moim, gdyby była przeze mnie dalej pchana, dojść swobodnie do Bugu i swymi strażami przednimi już 18 sierpnia wyjaśnić rozmiar klęski, którą poniosła 16 Armia sowiecka, oraz wejść w kontakt z cofającą się już 3 Armią sowiecką.

Możliwość ta istniała, gdy się uwzględni, że do ruchu rozpędowego 4 Armii dołączone być mogły usiłowania całej 1 Armii, gdyby ta tegoż dnia ruszyła w kierunku nakazanym jej dopiero rozkazem, wydanym po południu 18 sierpnia. Nie mogłem znaleźć w archiwach naszych ostrej depeszy, wysłanej przeze mnie z Siedlec z powodu tego nieoczekiwanego dla mnie ruchu 1 Armii. W notatkach, które mam przed sobą, pisanych w Siedlcach, poza ostrym słowem "idiotyzm", nazywam ten ruch koncentracją w kierunku Poznania. Czyniłem w ten sposób aluzję do względnie licznej ucieczki najbardziej przyzwyczajonych do pokory elementów naszej stolicy z Warszawy, gdy ta była zagrożona. Uciekano do Poznania, gdzie również chciano ewakuować rząd i centralne instytucje.

Spędziłem ten dzień w Warszawie, gdzie, jak już wspomniałem, sytuacji tak optymistycznie brać nie chciano i gdzie zatem próbowano robić przez pół, nie na całego. Drugie niedociągnięcie, które przy analizie zawsze wykrywałem, było, że 19 sierpnia, kiedy już dostrzegłem wspomnianą pracę połowiczną, nie na całego, ze strony panów, których zostawiłem w Warszawie, nie ująłem wszystkiego w swoje ręce, kasując ten chaos organizacyjny i bezład dowodzenia, który się rozwijał i wzrastał po moim wyjeździe 12 sierpnia dla prowadzenia kontrataku. Nonsens założenia w bitwie warszawskiej, wypływający z sugestii miesięcznych porażek i klęsk, które ponosiliśmy, był tak silnie założony w Warszawie, że ludzie z trudem oswobadzać się mogli od jego konsekwencji. Było tam stale jak gdyby dążenie do utrzymywania na bezpośrednim froncie w Warszawie możliwie wielkiej ilości wojsk, zabezpieczających stolicę od trwogi. Szybki, błyskawiczny przewrót sytuacji, dokonany przeze mnie tak nieznacznymi siłami, nie wydawał się nikomu trwały, gdy przedtem prawie półtora miesiąca cała nasza armia na południu i na północy rady z nieprzyjacielem dać sobie nie mogła. A gdy sugestia zmory, tak długo trwającej, była jeszcze dostatecznie silna, czepiano się najdrobniejszych przejawów aktywności nieprzyjaciela, by przypuszczać jeszcze możliwość klęski, a nie być pewnym zwycięstwa. W umysłach więc i sercach trwało jak gdyby zaćmienie, gdy ja już 19 i 20 sierpnia byłem zupełnie od jakiegokolwiek trwogi oswobodzony. Dokładnie zdawałem sobie sprawę, że trzeba jak najszybciej skończyć z niepotrzebnym skupieniem nadmiaru wojsk pod Warszawą, jako skutkiem nonsensu założenia strategicznego przy początkach bitwy. Jak już wspominałem, podczas mego pobytu w Warszawie 18 sierpnia najgorętsze debaty, toczone z niepokojem, dotyczyły się nie czego innego, jak wiadomości z Płocka, który dnia tego był przez Sowiety zdobyty, jak o atakach na Włocławek i ruchach sowieckich w okolicach Brodnicy i Torunia. Sugestia porażek i klęsk w ten sposób jak gdyby się wzmacniała - nieprzyjaciół szedł wciąż naprzód, zdobywając nowe miasta i szerząc się ku zachodowi. Dlatego też wyznaję, że z pewnym podziwem czytałem u p. Tuchaczewskiego skargi na swoją 4 Armię, a u p. Sergiejewa uznanie słuszności wszelkich krytyk, zwróconych pod jego adresem za działania 4 Armii podczas bitwy warszawskiej. Narzekania p. Tuchaczewskiego już zupełnie są nieusprawiedliwione. Dał przecież wyraźny rozkaz 8 sierpnia, skierowujący armie 4 i 15 nie do zdobywania Warszawy, lecz do „pochodu za Wisłę”. Poszły więc obie armie, nie dotykając Warszawy i zebranych tam polskich wojsk, wprost ku zachodowi. Do Wisły zaś, czy w Płocku czy we Włocławku, doszła jedynie 4 Armia p. Sergiejewa, wyprzedzając, jak zwykle dotąd, szerokim frontem. Dla samej idei forsowania Wisły nie był to wcale zły sposób. Dlatego też, powtarzam, o co p. Tuchaczewskiemu w skargach na p. Sergiejewa chodzi? Przypuszczam, że obaj ci autorowie ulegli pewnego rodzaju sugestii, gdy krytykowali działanie sowieckiej 4 Armii. Autorytetem, któremu ulegli, sądząc z treści cytatów, była pobieżna bardzo analiza jednego z oficerów francuskich, który wydał broszurę o tym boju. Dowcipna uwaga tego Francuza mówi, że 4 Armia

sowiecka, zamiast być pod Warszawą, walczyła raczej z Traktatem Wersalskim niż z Polakami. Przypisuje on nawet do pewnego stopnia niepowodzenie sowieckie brakowi współdziałania pod Warszawą nie czego innego, jak 4 Armii p. Sergiejewa. Jest to dość zrozumiałe dla mnie nieporozumienie. Polega ono na sugestii trwogi o Warszawę, gdy wszyscy bezwiednie chcieli widzieć skoncentrowane siły p. Tuchaczewskiego nie gdzie indziej, jak przy Warszawie. Tymczasem, zgodnie z rozkazem p. Tuchaczewskiego z 8 sierpnia, nie tylko 4 Armia nie chciała walczyć o Warszawę, lecz również i 15 Armia, najliczniejsza i najbardziej uposażona, omijała naszą stolicę i zaplątana była w bojach tylko swoim lewym skrzydłem, nie całością.

A stwierdzić wyraźnie trzeba, że Wisłę w „pochodzie za Wisłę” ujrzała tylko jedna północna 4 Armia p. Sergiejewa. Będąc zaś najdalej ku zachodowi, w najcięższe w porównaniu z innymi armiami wpadła tarapaty przy odwróceniu. Pozostaje jednak przy niej zasługa, że najdłużej przeciągnęła sugestię porażek i klęsk w stosunku do nas, Polaków. Tym zaś z chwilą, gdy nie mogła czy nie umiała wiele zrobić bezpośrednio, pomogła bardzo efektywnie odwrótowi zarówno 3 Armii sowieckiej, jak i 15.

Wracając do historii odwrotu armii sowieckich i naszych działań, stwierdzam, że z powodu dziwnego rozkazu, grupującego 1 Armię ku zachodowi, nasza 4 Armia została skierowana na Łomżę; zaś 15 Armia sowiecka 19 sierpnia wieczorem znajdowała się w pełnym odwróceniu ku tejże Łomży. Dla pomocy zaczynającej dopiero odwrót 4 Armii zostawiła jedną dywizję na północ od Ciechanowa. Odwrót armii był bardzo pospieszny. Przyłączyły się do niego i niektóre części 4 Armii sowieckiej, które zdążyły minąć Ciechanów. Już 21 sierpnia większość 15 Armii wraz z częściami 4 Armii jest w Łomży, osłaniając swój dalszy odwrót boczną osłoną w okolicach Sniadowa. Nasza 4 Armia, zmuszona do zmiany kierunku oswobodziła w ten sposób sowiecką 3 Armię od bezpośredniego nacisku, nie zdążyła zaś dobiec do swego nowego celu, opuszczonego przez dziwny odwrót ku zachodowi 1 Armii. Dlatego też 21 sierpnia pod Smadowem wchodzi w kontakt z cofającą się 15 Armią tylko straż przednie lewoskrzydłowej 15 Dywizji. Oddziały te, co prawda, zdobyły Smadowo, co o ile mi wiadomo, wywołało już w Łomży w wojskach sowieckich prawdziwy popłoch. Nazajutrz 22 sierpnia koncentruje się już cała nasza 15 Dywizja i silnym uderzeniem wieczorem zdobywa Łomżę. Przy tak pospiesznym tempie, mowy naturalnie być nie mogło o uporządkowanym odwróceniu. Gdy nazajutrz przyjechałem do Łomży, stwierdziłem, że bardzo wielu z podwładnych p. Tuchaczewskiego rozpytywało w Łomży i jej okolicach nie o co innego, jak o drogi wiodące do Prus Wschodnich. Znowu więc cała armia czyniła pospieszny odwrót pod naciskiem jednej tylko naszej dywizji.

Pozostała jeszcze na zachodzie 4 Armia. Była najdalej, aż na brzegach Wisły, najpóźniej otrzymała rozkaz i utraciła dotychczasowego swego dowódcę, który szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, a teraz był w pospiesznym, w bardzo pospiesznym odwróceniu do Augustowa i Grodna. Dotychczasowymi jednak zwycięstwami i siłą moralną przykuła ku sobie tyle uwagi i tyle trwogi, że wszystko to (z wyjątkiem dwóch dywizji), co dotąd przeciwko armiom p. Tuchaczewskiego miało bronić Warszawy, skierowane jest ku niej, by ciasną siecią ją otoczyć i zdławić. Od wschodu więc idzie ku niej 1 Armia, lecz ta, mając do przewyciężenia zadane jej nowe skręty i zmuszona w części bez mostów przechodzić jeszcze raz Narew, nie nadąża nigdzie - ani do Łomży, gdzie była 18 sierpnia skierowana, ani pod Mławę, gdzie ją nowe rozkazy dowódców posyłają. Ściga ją i naciska od południa aktywniejsza znacznie od 1 Armii - 5. Lecz armia p. Sergiejewa i bez niego broni się jak lew osaczony. Dnia 22 sierpnia, gdy Łomża już była w moim ręku z opuszczonym pospiesznie mostem przez Narew, 4 Armia sowiecka przerwała przeszkody, otwierając drogę dla swojej piechoty i taborów. Nazajutrz nieznaczna już przeszkoda, naprędce rzucona do Chorzel z tejże naszej 5 Armii, została szybko zniesiona i reszta sowieckiej 4 Armii ruszyła ku wschodowi. Było jednak za późno. Od Łomży ku północy wybiegły już przegrodzić jej drogę dwie dywizje (14 i 15) z naszej 4 Armii. Po krótkim boju i próbie przerwania i tej przegrody, 4 Armia sowiecka wyrzekła się dalszych usiłowań i przeszła granice Wschodnich Prus, składając tam broń. Tak się zakończyła historyczna bitwa pod Warszawą.

P. Sergiejew załącza do swojej książki szkic bitwy pod Warszawą. Jest on nieco zaplątany

i niezupełnie ścisły dla naszych działań, niedokładnie przez niego znanych i zrozumianych. Dla charakterystyki armii sowieckich reprodukuje ten szkic, opuszczając wszystkie szczegóły, gdyż wtedy nie każdy zorientuje się w tej chaotycznej, źle dowodzonej po obu stronach bitwie. Odkładając szczegółową analizę bitwy pod Warszawą na później i ograniczywszy się tylko do ogólnej strategicznej jej oceny, i w reprodukcji szkicu ograniczam się w ten sposób. Tym jaśniej występuje wtedy praca strategicznych jednostek p. Tuchaczewskiego, poszczególnych armii. Streszczam losy ich pokrótce, zaczynając od południa.

Grupa Mozyrska przedstawiona jest na szkicu jasną linią, łączącą 58 Dywizję we Włodawie z jakąś strzałką z numerem 57 pod Żelechowem, dodatek stanowi jakieś tajemnicze kółko, otaczające Łuków. Wobec tego, że ani ten szkic, ani działania moich wojsk nie wyjaśniły mi tajemnicy Grupy Mozyrskiej - zwycięskiej od 4 lipca w dwóch kierunkach, a zupełnie nie stawiającej oporu w dniach 16 i 17 sierpnia - ograniczę się krótkimi słowami. 58 Dywizja dwa razy próbowała zatrzymać naszą 3 Dywizję Legionową bezskutecznie i wycofała się rozbita za Bug, oddając Włodawę i Brześć, zajęty 19 sierpnia. Nasza 3 Dywizja Legionowa zatrzymała się potem w Brześciu, przedłużając w ten sposób pasywną osłonę Bugu. W ten sposób aktywna dalsza praca ku północy wojsk gen. Śmigłego skurczyła się do działań 1 Dywizji Legionowej z brygadą jazdy, sekundowanych od zachodu poparciem dalekim 21 Dywizji Górskiej. Reszta Grupy Mozyrskiej z 57 Dywizją wyszła zupełnie z rachuby, była bowiem istotnie "rozpyloną" do tego stopnia, iż jeńcy z 57 Dywizji brani byli przez wszystkie nasze wojska, zaczynając od lewoskrzydłowej 14 Dywizji do prawoskrzydłowej 1 Legionowej na przestrzeni od Wieprza aż po Białystok i Łomżę.

Następnie uderzona została 16 Armia. Południowe jej Dywizje, 8, 10 i 17, zaatakowane zostały koło Kołbieli i Mińska dnia 17 sierpnia wieczorem i 18 sierpnia rano przez nasze dywizje 14 i 15 z dwóch stron. Część sowieckich dywizji rozproszyła się od razu i cofała w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu, tj. tam, skąd przyszły - na wschód ku Brześciowi. O nich to pisałem w swoim liście do gen. Sosnkowskiego. Duża część tych rozbitków wyłapana została przez ludność miejscową, która formalnie na nich urządziła polowanie. Na szkicu p. Sergiejewa widzimy 16 Armię, jak 18 sierpnia zbiera się na Liwcu pod Węgrowem, mając drogę odwrotową teraz na Drohiczyn. Uderzona wieczorem tegoż dnia przez straż przednią jednej tylko dywizji naszej, 21, i wiedząc, że jazda nasza i straż przednia 1 Dywizji Legionowej już zabiegają jej drogę w Drohiczynie, cofa się 16 Armia, jak to na szkicu pokazano, ku północy w stronę Bielska. (Patrz szkic nr 8) Próby oporu na Bugu szybko zostają złamane, szczególnie przez obejście 1 Dywizji Legionowej, i koło Bielska część taborów i nieznaczna ilość wojsk unika pościgu, umykając do Wołkowyska. "Gros" zatrzymane jest przez zajęcie już 20 sierpnia Bielska przez 1 Dywizję Legionową i po bardzo słabym ze swej strony oporze rzuca się ku północy, szukając wyjścia przez Białystok.

Wobec tego, że szkic p. Sergiejewa urywa dzieje 16 Armii w Bielsku, dając potem tylko rozproszone w różne strony strzałki, cytuję p. Putnę, dziejopisa 27 Dywizji sowieckiej w tym pochodzie. Opisuje on, że Bielsk próbowała odebrać od naszej 1 Dywizji Legionowej 21 Dywizja sowiecka, a gdy się to jej nie udało, 16 Armia, która cały czas nie miała żadnego związku ani z dowódcą swoim, ani z żadną inną armią sowiecką, przechodząc z trudem przez Narew pod Surazem wyszła 22 sierpnia koło południa na 12 wiorstę szosy Białystok-Mazowieck, gdy Białystok już od rana 22 sierpnia był zajęty przez straż przednią 1 Dywizji Legionowej. Oto jak opisuje p. Putna, co na tej 12 wiorście się znalazło: "Na szosie do Białegostoku zgrupowane były liczne tabory i poszczególne jednostki trzech armii (pułki 407, 408, 409 i części dywizji 2, 3, 6, 8, 10, 17, 21, 55). Przeciwnik silnie zajmował Białystok i próby jednostek dywizji 2 i 21 wyrzucenia go z miasta nie miały powodzenia". Nastąpił wieczorem nowy rozpaczliwy atak na Białystok jednych i nocne przemarsze dookoła innych. Przez pewien czas droga przez Białystok była nawet otwarta, lecz w rezultacie zostawiono mnóstwo materiału wojennego i wielką ilość jeńców w rękach 1 Dywizji Legionowej. Stan zaś armii oddaje p. Sergiejew słowami: „Wszelki porządek ostatecznie został naruszony i części 16 Armii wyszły w postaci marnych resztek tak groźnych niegdyś

dywizji". Dodaje zaś w uwadze: "Utrzymały jeszcze jakiś porządek i zdatność do boju tylko po jednej brygadzie w dywizjach 8 i 17 i dwie brygady 27 Dywizji (z piętnastu brygad, które były w armii)".

Następna, 3 Armia sowiecka najszcześniejsze losy miała w bitwie warszawskiej. Rozkaz

p. Tuchaczewskiego ruszył ją do ataku na Modlin;

lewym swym skrzydłem pomagała 16 Armii, z tego właśnie powodu jej 21 Dywizja podzieliła losy sąsiedniej armii. Przy rozbiciu 16 Armii cofnęła się za Narew, próbując przez chwilę tylko stanąć na Bugu. Gdy to się nie udało, zerwała kontakt z 15 Armią, pozostawiając ją swemu losowi, a widząc klęskę 16 Armii, zaczęła spiesźnie uchodzić wzdłuż szosy Wyszaków-Ostrów-Zambrów. Na szkicu p. Sergiejewa mamy ją pod Wyszakowem 19 sierpnia, następnego dnia pod Ostrowem, gdzie nie próbuje w ogóle stawiać oporu i odchodzi dalej, będąc jeszcze na równi z odchodzącą tamże i będącą już koło Ostrołęki 15 Armią. Lecz już dalej wyrzeka się jakiegokolwiek udziału i współudziału z innymi armiami, spieszy wykorzystać czas, gdy nasza 4 Armia zwrócona została ku Łomży, a nasza 1 Armia czyni swój odwrót za Narew ku zachodowi. Na szkicu widzimy ją 22 sierpnia, w dniu klęski 16 Armii pod Białymstokiem i 15 Armii pod Łomżą, jak, nie pomagając w żadnym kierunku, spieszy w postaci trzech strzałek ku północnemu wschodowi na Ossowiec i w kierunku Grodna. P. Sergiejew stwierdza, że z klęski warszawskiej wyszła ona najlepiej; stwierdzić to mogą również i ja, gdyż znalazłem ją w miesiąc później, uparcie broniącą Grodna i przejścia przez Niemen.

15 Armia nie szła pod Warszawę, obchodziła ją, idąc w kierunku Wisły w dolnym jej biegu poza Modlinem, zaczęła więc o obsadę naszą w Warszawie lewoskrzydłowymi dywizjami, lecz nie doszedłszy do swego celu, otrzymała 17 sierpnia wieczorem rozkaz cofania się z powodu natarcia polskiego z Łomży. Cofnęła się, by przyjąć na siebie ciężar bojów w tym czasie, gdy żadna armia już bojów nie prowadziła. Dnia 19 sierpnia widzimy ją skoncentrowaną w Ciechanowie, Makowie i Przasnyszu, czekającą jeszcze na nadejście 4 Armii, lecz wobec zupełnego rozbicia 16 Armii i odejścia 3 - armia ta cofa się. Na szkicu p. Sergiejewa znajdujemy ją 20 sierpnia w okolicach Ostrołęki, 22 sierpnia jest ona w Łomży, którą pod naciskiem jednej dywizji naszej (15) traci tegoż dnia. Odchodzi pospiesznym już przez Grajewo, dotykając w ten sposób granicy ze Wschodnimi Prusami. Zostawiła ona w ostatnim boju i natychmiastowym pościgu wielką ilość jeńców, przy czym nie miała jej część, zmęczona i zniechęcona do dalszych bojów, przeszła przez granicę do Wschodnich Prus, dając się tam rozbroić. Wreszcie 4 Armia uwidoczniła się na szkicu p. Sergiejewa, jak koncentruje się zewsząd - spod Włocławka, Brodnicy i zza Wkry w liczbie czterech dywizji i konnego korpusu i 22 sierpnia przebiega pod Mławą pierwszą przeszkodę pod Chorzalami (jeden pułk tzw. Sybirskiej Brygady) i wreszcie 25 sierpnia pod Kolnem, zatrzymana przez nasze dywizje 14 i 15, przechodzi przez granicę i daje się rozbroić we Wschodnich Prusach.

W historii bitwy warszawskiej zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagła zmiana ról obu stron walczących. Zwyciężony zostaje zwycięzcą, zwycięzca zwyciężonym - w jakieś parę dni. Gdy zaś zestawimy się z niezwykłą jakąś sugestią klęski polskiej, która nieodparcie narzucała się umysłom i sercom ludzkim nie tylko u nas w Polsce, lecz i na całym świecie, gdy się zestawimy z niezaprzeczonym faktem upadku moralnego młodego państwa polskiego, czego wyrazem była wysłana delegacja pokojowa do stóp p. Tuchaczewskiego, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił - szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu. Gdy dawałem charakterystykę potężnego wpływu, który wywarł p. Tuchaczewski swym zwycięskim pochodem, mówiłem, że mieliśmy po swojej stronie wrażenie kalejdoskopu, wywołującego chaos obliczeń, rozkazów i raportów. Kalejdoskop kręcił się może powoli, lecz przy nim dzień nie podobny był tak dalece do dnia następnego, że jakby w kontredansie plątały się wszystkie figury - manewry dywizji i pułków z nazwami geograficznymi. Teraz ja miałem swój rewanż i swój triumf.

Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop, w takt wściekłego galopu zakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczących figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały

całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Nie wiem, czy moi podwładni ówcześni zdawali sobie w tym galopie zdarzeń sprawę, co się dzieje właściwie. Część zachodnia - na pewno nie! Byli w okresie najwyżej kontredansu i to dosyć lichego. Natomiast zawsze z przyjemnością wspominam, że zakręciwszy korbę kalejdoskopu na takt wściekłego galopa i kontrolując siebie co chwilę, konstatowałem z rozkoszą, że zachowuje dobrą te te fro idę d'un chef, który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nie upada od porażek. Toteż gdy Warszawa po przydługiej sugestii klęski przeszła do festynów i uroczystości, ja w Siedlcach przygotowywałem dalszą wojnę i zaraz po wzięciu Łomży, bo 23 sierpnia, dałem nowy zarys dalszych operacji. Zmieniłem od razu nienaturalny, ku północy zwrócony, front, na prosty i naturalny - wschodni, dzieląc wojska na nowo pomiędzy nowe armie i przechodząc jako zwycięzca do porządku dziennego nad mnóstwem śmiesznego chaosu dowodzenia i jego rozkładu z czasów porażek i klęski.

Rozdział dziewiąty

P. Tuchaczewski był wyznaczony przez państwo, któremu służył, na stanowisko na tyle wysokie w organizacji armii prowadzącej wojnę, że nie mógł być oswobodzony od rachunków i kalkulacji, które są udziałem najwyższych stopni dowodzenia podczas wojny. Na stopniach tych bowiem dowódca ograniczać się nie może jedynie do technicznych zadań, związanych z działającą wojenną armią. Musi, chociażby dla sądu własnego o możliwości realizacji zadań, które przeznacza swym podwładnym, mieć stały rachunek i kalkulację sił i wartości wojennej swego państwa, jak i tego państwa, z którym wojnę prowadzi. Bez takiego rachunku wyższe dowodzenie jest z konieczności słabe i łatwo jest wtedy popłatać takiemu wodzowi rachunek ściśle wojskowy przez dodanie i jakby wrzucenie mu do pracy elementów i danych zapożyczonych z dziedziny mu obcej, a jednak ciężącej nad nim nieustronnie. Dziedziną taką są, że użyję określenia poprzednio przeze mnie użytego, fronty wewnętrzne obu stron wojujących. Siła i kierunek frontu wewnętrznego w stosunku do toczonej wojny stanowi często znacznie więcej niż siła i wartość samego wojska. Dlatego też nie dziwię się wcale, że p. Tuchaczewski poświęcił cały rozdział rozważaniu tej właśnie dziedziny, związanej ze sztuką wojny. Wobec tego zaś, że ja w wojnie stałem na szczęblu jeszcze wyższym niż p. Tuchaczewski, gdyż nie tylko dowodziłem armią polską, lecz byłem zarazem Naczelnikiem Państwa, musiałem robić ten sam rachunek stale i systematycznie. Chcę więc teraz, gdy o te) wojnie piszę, zestawić pokrótce oba rachunki i wpływ ich na wojnę także w specjalnie poświęconym temu rozdziale.

P. Tuchaczewski prowadził swe armie ku Wiśle i za Wisłę w imieniu i z zadaniem niesienia siłą tego, co w rozważaniach igadmema nazywa rewolucją. Zgodnie z tym i tytuł rozdziału brzmi Rewolucja z zewnątrz. Już sam tytuł zadania wojennego ma w sobie ślady wyraźne faktu, że rewolucja wewnętrzna nie istniała, gdy ją na ostrzu bagnatów z zewnątrz przynosić trzeba było. W każdym razie faktem było niezaprzeczone, co stwierdza i p. Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju jednakowego ze sobą, tzn. sowieckiego, i ten cel chrzczyła nazwą rewolucji z zewnątrz. Fakt, że taki właśnie cel był dla wojny postawiony, był mi zupełnie dobrze znany i dlatego stwierdzam od razu, że osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego, jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagnety do nas przyniesiona nie była. Polska początek wojny z Sowietami miała już w r. 1918, a był to rok, w którym zaledwie dwa ostatnie miesiące żyć zaczęła życiem samodzielnym. Dotąd bowiem, jak zapewne p. Tuchaczewskiemu wiadomo, żyć była zmuszona - również przez bagnety, panie Tuchaczewski - życiem nie polskim, przez siebie samą urządzonym, lecz życiem obcym, związanym aż z trzema państwami: Rosją, Niemcami i Austrią. Ta niewola u zaborców trwała do końca r. 1918, już więcej niż 120 lat. Więcej zatem niż wiek cały darzono Polskę za pomocą bagnatów, które ongiś Polskę zwalały, dobrodziejstwami życia obcego i dlatego nieraz gorąco znienawidzonego. Polska więc w r. 1918 rozpoczynała na początku zimy wiosenny okres swego swobodnego życia po wiekowej niewoli. I chociaż ta wiosna w historii naszej zwana będzie krótkotrwałą, chociaż kwiaty, którymi wiosna ludzi darzy, nie pokryły barwną powłoką pleśni i wyziewów wiekowej niewoli - była jednak wiosna ta dość silna, by uzbroić w wysiłki dostateczną ilość ludzi nie chcących raz

jeszcze zakosztować, co znaczy bagnet p. Tuchaczewskiego, niosący zagładę naszego własnego życia na korzyść złych czy dobrych, to było wszystko jedno, lecz przymusowych tortur niewoli. Jako Naczelnik Państwa Polskiego i Wódz Naczelny jej sił zbrojnych dumny dotąd jestem, że byłem wyobrazicielem tych, co wiosnę w Polsce głosili i przejawy jej piersiami własnymi osłaniali.

Postawiłem też sobie, niezależnie od nikogo, już w r. 1918 wyraźny cel dla wojny z Sowiecami.

Zdecydowałem mianowicie natężyć siły, aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykluwało i wykuwało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego, życia nie urządzonego przez nas samych. W r. 1919 zadania tego dokonałem. Odrzuciłem próby sowieckie tak daleko, że pracy odbudowy własnego życia, także złej czy dobrej, w to nie wchodzi, Sowiety nie były w stanie mącić i jej przeszkadzać. Ta wielka przestrzeń, którą się zabezpieczyłem od „rewolucji z zewnątrz”, miała nawet dla celów wojny swoje złe strony. Przy znanej bowiem lekkomyślności naszego narodu, przy, niestety, powolnej i często nieudolnej pracy budownictwa nowego życia zapomniano o prawach ciążących nad narodem, gdy wojnę prowadzi. Nie widziano jej z bliska i za mało brano ją w rachubę. Cel więc sobie postawiony osiągnąłem w 1919 r. Zapytać jednak wolno, czy nie ma jakiego błędu w rachunkach i kalkulacjach p. Tuchaczewskiego? Gdy po zwycięstwach jego, odniesionych nad nami, praca budownictwa u nas, pod wpływem tych zwycięstw, zamarła, gdy rękę swą już wyciągał po centrum naszego życia, stolicę Warszawę, gdy więc bagnety zrobiły już swoje, rewolucja sowiecka jednak pozostała tylko na bagnetach, nie mając wtedy wartości wewnętrznej w Polsce. A przecie cały rachunek p. Tuchaczewskiego i jego państwa nie na czym innym się opierał, jak na tym, że bagnety dają tylko hasło i dają możność przejawienia siły tejże rewolucji sowieckiej wewnątrz kraju, do którego przyszły.

Sili się więc p. Tuchaczewski słowami, określeniami i stylem zrobić to, czego nie zdołał zrobić w r. 1920 bagnetem i przemocą. Łatwym jest przeciwstawić słowa - słowom, dając czytelnikowi do wyboru zatrzymanie serca tam, gdzie słowo mu się bardziej podoba. Dla przykładu spróbuję. Więc jesteśmy u p. Tuchaczewskiego biało-Polakami, może to u niektórych czytelników wywoła radosne bicie serca, ja na to określenie się nie gniewam. W herbie bowiem naszego państwa mamy orła nie innego, jak białego koloru i gdy, jak każdy orzeł mając dziób zakrzywiony i ostre szpony, rozwinął swe skrzydła w kampanii p. Tuchaczewskiego 1920 r., przeciwstawić się potrafił dwugłowemu potworkowi, chociaż ten w czerwony wymalował się kolor. Zostańmy więc biało-Polakami, gdy nasz orzeł jest biały, jedną naturalną ma głowę, a szpony dość ostre, by potwórki zwyciężać i gniazda swego bronić. Prawda. Jesteśmy także „pańską Polską”. Jakżeż mi to dokładnie przypomina czasy dzieciństwa, gdy w Wilnie ze wstrętem i obrzydzeniem rzucałem książki tak znanych w szkolnictwie rosyjskim autorów jak Iłowajski. Tam również uczono dzieci, jak wielkie moskiewskie cary „pańską Polskę” dobrodziejstwami darzyły, jak wielkie zasługi przed Bogiem, ludzkością, a zatem i Polską mają, a ta miatieżna w każdym pokoleniu wiosnę swego życia krwawym powstaniem święci - „pańska Polska”! Przypomina mi to bardzo piękną anegdotę. Mianowicie jeden z rosyjskich „radykałów” twierdził, że Polska tak jest przesiąknięta „pańską kulturą” i „pańskim” wstrętnym sposobem myślenia, że nawet do Boga zwraca się przez „Pan”, a zwyczajny tufiel nazywa pan-tufiel. P. Tuchaczewski w rachunku swoim wcale nie bierze pod uwagę, że akurat w tym czasie, gdy on „pochód za Wisłę” czynił, u nas w sejmie najsilniejszym stronnictwem było stronnictwo chłopskie, włościańskie, które także do Boga zwraca się przez „Pan”, a o tuflu mówi nie inaczej jak pan-tufiel. Akurat wtedy, gdy do bram stolicy p. Tuchaczewski pukał, na czele rządu, który Polskę bronił, stali przedstawiciele zarówno włościan, jak i robotników, pp. Witos i Daszyński. Lecz jeżeli, jak powiedziałem, na wodza, który będąc złamanym moralnie, woli przeciwnika się poddaje, nie ma lekarstwa, to także świat nie znalazł lekarstwa na głowę i oczy doktrynera. P. Tuchaczewski tych faktów nie widzi i nie chce rozumieć. Realite des choses dla niego nie istnieje. Nie istnieje więc i w wielu wypadkach, gdy o nas mówi.

Oto, np. na stronie 180 pisze: „Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofensywy cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i białych polskich armii, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich”. Doprawdy, głowy doktrynerów są cudowne! P. Tuchaczewski nie widzi wcale, że w przeciągu całej

wojny, którą Sowiety prowadziły z nami, na tyłach bliskich, a bardziej jeszcze na dalekich frontu przeciw nam zwróconego, inne wojska sowieckie i inni koledzy p. Tuchaczewskiego nie robili nic innego, jak z trudem zwalczali takie czy inne przeciw Sowiecom powstania! Nawet duża część armii, dowodzonej przez Tuchaczewskiego, przysłała do boju z nami, gdy różne powstania gdzieś wewnątrz sowieckiej Rosji zgnieść zdołała. Nic zaś podobnego w Polsce nie było. I wojska, o ile były zorganizowane, swobodnie mogły być stawiane do walki z tym, co było przed frontem, a nie z tym, co poza frontem się znajdowało! Zaledwie w paru miejscach w przeciągu całej wojny zmuszony byłem do posłania bardzo słabych oddziałów i to nie dla wojny, nie dla boju, lecz dla zrobienia masowych rewizji i odebrania broni, którą można było mi zagrozić. Pamiętam, jak jednemu z wybitnych przedstawicieli jednego z państw zachodnich, który zwykł był wierzyć znacznie więcej "caro-sławnemu historykowi" Iłowajskiemu niż mnie, i który zatem, tak samo jak p. Tuchaczewski, oczekiwał, że coś musi "gotować się" i "wrzeć", pokazałem, jak na moich tyłach pracują koleje i telegrafy bez żadnej osłony. Może p. Tuchaczewski zechce, jak i w innych miejscach, widzieć w tym niedorozwój "rewolucji", a odwrotnie - w powstaniach, z którymi sam walczył na tyłach polskiego frontu, przerost kontrrewolucji; dla strategii i kalkulacji wodza te słowa nic nie zmieniają. Fakty mówią, że w swojej kalkulacji p. Tuchaczewski błędził, a ja błędu ani w sercu, ani w myśli nie miałem. Powiada p. Tuchaczewski, że ma jeszcze "charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego" w postaci 30 000 ludzi, którzy weszli w skład jego armii, prowadzonych za Wisłę. Gdyby tak i było, chociaż p. Tuchaczewski, jak widzieliśmy na początku książki, z tablic obrachunkowych swych sił wstydliwie "uzupełnienie" to wykluczył, to nasze dwie tzw. litewsko-białoruskie dywizje w ogólnej ilości dały tyleż ochotników, którzy się armii p. Tuchaczewskiego przeciwstawiali. I znowu obojętnym jest dla strategii i sztuki wodza, jak te cyfry będą ochrzczone, gdyż w najgorszym dla mnie wypadku świadczą one o równej możliwości uzupełnienia wojsk dla jednej i dla drugiej strony. Co do mnie zaś, stwierdzam, że osiągając swój cel postawienia pomiędzy Warszawą a Sowiecami możliwie wielkiej przestrzeni, działałem jako człowiek, który teatr wojny znał tak dobrze, że zarówno krajobraz, jak i każdy człowiek miał mnie za swego, nie obcego, i przemawiał zupełnie zrozumiałym dla mnie językiem. Widziałem więc dobrze, że olbrzymia, ogromna większość ludności odnosiła się z głęboką nieufnością, a często z wyraźną niechęcią do Sowieców i ich panowania, widząc w nich - słusznie czy niesłusznie, jest to także dla strategii obojętne - panowanie nieznośnego terroru, który chrzczono nazwą żydowskiego. Dlatego też nie czułem nigdy w przeciągu całej wojny trwogi o to, bym na swoich tyłach mógł mieć jakiegokolwiek powstanie.

Co się zaś tyczy Polski, która także u p. Tuchaczewskiego wygląda w r. 1920 tak, że nikt, kto tę wojnę przeżył, jej by nie poznał, to w odpowiedzi p. Tuchaczewskiemu zacytuję ustęp z jednego z moich listów pisanych pod Warszawą. Pracując w nocy z 19 na 20 sierpnia w Siedlcach, zestawiałem wszystkie dane o stanie wojsk i ludności. Na podstawie tych danych zmieniłem nieco mój rozkaz dany 18 sierpnia a do ówczesnego ministra wojny, gen. Sosnkowskiego, pisałem o potrzebach, że tak powiem, rządowych. Oto są moje ówczesne wrażenia: "To, co się tu dzieje, przechodzi zupełnie ludzkie wyobrażenie. Żadna droga nie jest pewna, tyle rozbitych i rozsypanych, ale również zwartych i izolowanych oddziałów z armatami i karabinami maszynowymi włości się tu wszędzie w okolicach. Na razie załatwia się z nimi miejscowa ludność oraz najrozmaitsze człony tyłowe różnych dywizji, które jednak muszą ciągnąć dalej za swoją dywizją, a po nich pozostaje przeraźliwa pustka, tak że przypuszczam, że gdyby nie chłopci, którzy się uzbroili, to jutro albo pojutrze Siedlecczyzna będzie we władzy bolszewików, rozbitych i rozprószonych poprzednio przez nas, a ja i różne komendy przy pomocy uzbrojonej ludności będziemy siedzieli w uzbrojonych miastach. Powtórzcie to również Skulskiemu (ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych) i powiedzcie mu, że w Siedlcach na trzeci dzień po zdobyciu przez nas, nie znalazłem absolutnie żadnej władzy cywilnej, a tym bardziej uzbrojonych policjantów". Obrazek ten sytuacji mojej, Naczelnika Państwa Polskiego, który spokojnie i bezpiecznie się czuje, gdy w mieście policji nie ma, a dokoła jest więcej nieprzyjaciela, chociażby rozbitego, niż wojsk mu podwładnych, daje wymowny wyraz, czym była Polska ówczesna w swoim stosunku do dobrodziejstw sowieckich, niesionych na

bagnetach p. Tuchaczewskiego. I jeżeli p. Tuchaczewski woli rezolucje "masowych mityngów" w Białymstoku, to ja - wyznaję - wolę swoją sytuację w Siedlcach.

P. Sergiejew zawsze jest bardziej prawdomówny niż p. Tuchaczewski.

Pisze on o tej kwestii na stronie 82 całkiem inaczej. Oto są jego słowa:

"Rachuba na wybuch polskiej rewolucji mogła być poważnie czyniona tylko w politycznych kancelariach i to dostatecznie oddalonych od frontu. W wojsku mało w to wierzono i, zdaje się, próba formowania polskiej armii czerwonej w Białymstoku była dostatecznym dowodem, że źródła naszych informacji zbyt optymistycznie patrzyły na położenie sprawy w Polsce". Zdanie p. Sergiejewa świadczy o tym, ile złudzeń i iluzji pęknąć musiało u wojska sowieckiego przy zetknięciu się z realite des choses. P. Tuchaczewski zresztą nie był w owych czasach tak odosobniony. Bardzo wielu cudzoziemców, którzy wówczas zwiedzali Polskę po raz pierwszy, a którzy, jak p. Tuchaczewski, skłonni byli zawsze bardziej wierzyć historykom szkolnym Iłłowajskim niż realite des choses, rozmawiając ze mną najczęściej stawiali mi pytanie, czy ja - ówczesny Naczelnik Państwa, nie obawiam się wybuchu rewolucji "a la Russie" u nas? Otrzymywali zawsze i niezmiennie ode mnie odpowiedź, że jeżeli sądzonym jest, w co zresztą wątpię, by świat zechciał przejść przez eksperyment rosyjski, będziemy my, Polacy, ostatni, którzy to zrobimy. Dodawałem zawsze, że jesteśmy zbyt bliskim sąsiadem Rosji, abyśmy łatwo na naśladownictwo się zdobywali.

Cała frazeologia p. Tuchaczewskiego jest mi dobrze znana. Tyle lat życia swego spędziłem w pracy dla ruchu socjalistycznego, że boję się, iż p. Tuchaczewskiego na świecie nie było, gdy literatura ze słów używanych przez niego była w moich rękach. Zapożyczona ona jest z prac wielkiego uczonego i myśliciela - Karola Marksa. I chociaż nigdy w swym życiu nie byłem stronnikiem tego, co nazywają materialistycznym pojmowaniem dziejów, a co stawiano zawsze jako podstawę wszelkiej frazeologii marksistów, umiałem zawsze odróżnić wielkość pracy samego Marksa od wulgaryzacji jego głębokich zawsze myśli. Natomiast gdy widzę p. Tuchaczewskiego, idącego śladami księcia warszawskiego Paskiewicza, jak stuka do bram Warszawy, powtarzając zaklęcia zaczerpnięte z Marksa, nie mogę nie odpowiedzieć mu tytułem znanej u nas w Polsce broszury innego wielkiego teoretyka socjalizmu, Liebknechta - Soli Europa ko-sakisch werden! Czy Europa ma zostać kozacką?

Pomijając podstawy myślenia o nas p. Tuchaczewskiego, a zatrzymując się jedynie na wyniku pracy jego w wyższym dowodzeniu wojną, stwierdzić należy, że p. Tuchaczewski omylił się, gdy sądził, że znajdzie wydatną pomoc dla siebie w Polsce podczas wojny. A że niewątpliwie złudzenie to wpływało na jego sposób dowodzenia i specjalnie dało mu argumenty i motywy, gdy decydował o pochodzie "za Wisłę", analiza bezstronna orzec winna, iż w rachunku i kalkulacji sił swego państwa i państwa nieprzyjaciela błędził, błąd zaś zemścił się na nim i na dowodzonych przezeń wojskach.

Rozdział zakończyć chcę postawieniem kropki nad „i” natury politycznej. P. Tuchaczewski, jak zresztą i p. Sergiejew, chcą zawsze widzieć w działaniach moich jakąś podwładność w stosunku do wielu bardzo nieokreślonych instytucji. Tych instytucji wymieniają ilość niemałą. Więc jest Ententa, więc jest zrzeszenie kapitalistów świata całego, więc jest także komplet Imperialistów, jest wreszcie sztab Ententy i ściślej - sztab francuski. Pod tym względem p. Tuchaczewski jest dziwnie podobny do niektórych moich podwładnych i rodaków, którzy wszystkie porażki przypisują mnie, wszystkie zaś zwycięstwa albo sobie, albo, gdy nie przypuszczają, by im kto uwierzył - Francuzom. Naturalnie na gorącą chęć, żeby tak było, nie ma żadnego sposobu ani lekarstwa i nie dla przekonania kogokolwiek z tak dobrze o sobie sądzących to piszę, lecz dla ścisłości historycznej dodaję: objąłem dowództwo wojsk polskich jako naczelny wódz armii budowanej z niczego, sam, bez niczyjego upoważnienia; zostałem zaś jednomyślnie wybrany na Naczelnika Państwa Polskiego przez sejm, przez siebie zwołany, i nie sądzę, by teraz tajemnicą dla kogoś było, że oba te fakty zaszły nie za wpływem, lecz przeciw chęciom tego, co w owe czasy zwano Ententą. Nie widzę zresztą w tym wstydu ani dla siebie, ani dla Ententy. W sprawach politycznych byłem zawsze przedstawicielem, jak to już mówiłem, tych, co w naszej, niestety krótkotrwałej wiośnie nowego życia, bronić chcieli własnymi piersiami odbudowy Polski, z błota niewoli wydobywającej okruchy swego

istnienia. Wiedząc zaś, jak to jest trudne, ześrodkowałem swe wysiłki i myśli dla tego tylko celu, gdy Ententa - co także nie jest tajemnicą - szukała rozwiązania problemu rosyjskiego więcej znacznie niż takiego czy innego ułożenia spraw polskich. W sprawach zaś wojny i jej decyzjach nie-sklonny byłem ulegać komukolwiek. Toteż przedstawiciel Francji militarnej, którym był w Polsce gen. Henrys - a tego zawsze z całą serdecznością wspominam -- jeżeli i miał kiedykolwiek złudzenie, to zaniechał zupełnie prób tego rodzaju. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego i nie sędzę, bym komukolwiek jaką ujmę robił, gdy powtórzę bardzo mądre zdanie innego reprezentanta tejże Ententy i tegoż sztabu francuskiego, gen. Weyganda, akurat w czasie kryzysu warszawskiego; kiedy zmęczony brakiem siły wewnętrznej u nas, Polaków, którzy w chwili najgroźniejszej szukali pokory i, za radą zewnętrzną idąc, posyłać mieli delegację do kwatery p. Tuchaczewskiego do Mińska, chciałem zrzucić na pół z siebie odpowiedzialność w tym wypadku i zaproponowałem gen. Weygandowi współudział w dowodzeniu - odmówił mi. Twierdził rozsądnie i rozumnie, że dowodzenie wojskiem tak szybko sformowanym jak nasze i tak mu nie znanym ani co do wartości, ani co do dowódców, ani wreszcie co do tego, czego od wojska wymagać można, jest za trudne i niemożliwe dla niego. Dlatego też zadawała się wypowiedzeniem teoretycznym sądów i, przynajmniej co do mnie, powstrzymywał się od jakiegokolwiek nacisku na moje jakiekolwiek decyzje i postanowienia. I jeżeli, wolny w wyborze dla bitwy warszawskiej, wybrałem nonsensowne, zdaniem moim, założenie, dając do pasywnych prac obrony trzy czwarte wojska, a do ataku jedną czwartą, nie obciążam nonsensem niczyjego sumienia, oprócz mego własnego.

Rozdział dziesiąty

Praca wojny jest sztuką. Sztuka tworzy dzieła, a obiektem sztuki wojny jest zawsze zwycięstwo. Zwycięstwa więc szuka każdy dowódca jako produktu swej pracy dowodzenia, swej pracy mózgu, nerwów i woli. Praca wojsk dowodzonych przez wodza jest właściwie materializacją tego, co przed tą pracą przemyślał, przeżył i skombinował dowódca.

P. Tuchaczewski niechybnie był wodzem nieprzeciętnym. W swoim pochodzie za Wisłę materializował on swoje poprzednie rozważania, swoją poprzednią pracę duszy. Odnosił zwycięstwa - jest to rzecz niezaprzeczona. Musiał więc szukać dróg i metod, którymi zwycięstwo uzyskiwał, darząc nim zarówno wojsko, którym dowodził, jak i państwo, które w wojnie reprezentował.

Wojnę tę prowadziłem ja z naszej polskiej strony. Znając dokładnie swoją w tej dziedzinie pracę, wiem i rozumiem dobrze, że praca dowodzenia ze strony przeciwnej, ze strony sowieckiej, równie niełatwa była, jak ze strony naszej. Dlatego gdy - jak mówiłem we wstępie - nieraz z niesmakiem odrzucałem książkę p. Tuchaczewskiego, pełną zjadliwego, jak mu się zdawało, niszczenia nieprzyjaciela - tak jak nie potrafił tego zrobić w rzeczywistości - książkę pełną fałszów historycznych, książkę o przysmaku dla mnie wstrętnym, bo jakąś marną publicystyką smarującą wielkie dzieło wojny - gdy więc z niesmakiem i niechęcią odrzucałem tę książkę, ratowała mnie i moją robotę myśl, że wyświetlic potrafię na przykładzie p. Tuchaczewskiego wielką pracę dowodzenia, czynioną przez niego w niezwykłych warunkach.

P. Tuchaczewski jako dowódca potrafił dać nieraz zwycięstwo. Nie jest wcale obowiązkiem zwycięzcy tłumaczyć, jak to uczynił. Nie jest wcale obowiązkiem wodzów czyny swoje chcieć czy móc ubierać w teoretyczne rozważania, teoretyczne określenia, w coś w rodzaju doktryny. Przysłowie francuskie, które mówi: *la critique est aisee, mais l'art est difficile*, jasno stwierdza prawa tworzących dzieła sztuki i pozostawiających tworzenie doktryn i teorii sztuki komu innemu. I nie każdy wódz wielkich wojen kusił się o ubranie swej pracy w szatę teorii, w szatę zakończoną we wszystkich szczegółach jak gdyby doktryny. Prawie każdy jednak, pracując nad swym dziełem - zwycięstwem, próbował i potem dać choćby zarys, tłumaczący metody swojej pracy i rozwój swojej myśli, którą realizował za pomocą działań żywej siły ludzkiej podwładnego mu wojska.

Spróbował tego i p. Tuchaczewski i - że powtórzę raz jeszcze - kilka stroniczek jego dziełka, które tej właśnie dziedzinie pracy swojej poświęcił, są - zdaniem moim - upiększeniem jego wykładów, upiększeniem, które godziło mnie z pracą, przedsięwziętą przeze mnie obecnie. P. Tuchaczewski przedsięwzięty swój pochód za Wisłę był oddalony od obiektu swoich pożądań, od celu, który sobie

wytknął, o dobrych kilkaset kilometrów. Przebiegł więc przed tym swoją myślą, a później pracą przestrzeń równającą się połowie Europy. Przedsięwzięcie niemałe! W dziełku swoim podaje metody swej pracy, tworzone przed tym, nim ją rozpoczął na polu bitwy. Stwierdza on, że "przy obecnych rozległych frontach" "skupienie mas taranowych" jest koniecznym wynikiem charakteru wojny obecnej. Szuka on więc w swych rozważaniach sposobu żywienia wojny siłą, przy przebieganiu wielkiej przestrzeni, za pomocą sformowania taranowych - jak określa - mas. Te dojść muszą wszędzie, gdzie operacja się zatrzymuje, jako rezerwa zachowana w ręku głównodowodzącego. Rezerwą tą chce złamać opór nieprzyjaciela wszędzie, gdzie nieprzyjaciel zechce go postawić. W ten jedynie sposób - twierdzi p. Tuchaczewski - wielkie operacje, na długą metę obliczone, dają się prowadzić w warunkach, gdy ma się do czynienia z wielkimi, rozległymi frontami i wielkimi przestrzeniami.

Nie chcę wchodzić w analizę drobiazgową rozważań p. Tuchaczewskiego. Cieszyłem się, czytając te rozważania. Nie mają one bowiem charakteru zaślepienia doktrynera. Widać w nich pracę myśli ważącą na szali argumenty za i przeciw, szukającą rozstrzygnięć ciężkiej pracy mózgu i nerwów w męce duszy. Nie chcę śledzić tych rozważań, chociaż sam je przebiegałem nieraz, pracując nad tym samym problemem, który sobie postawił p. Tuchaczewski. Mógłbym do jego argumentów dodać całe mnóstwo nowych; prawdopodobnie i sam uznałby, że nie przytoczył wszystkich, które przytoczyć można. Chcę jedynie prześledzić działanie tego, co on nazywa masą taranową, podczas całego jego pochodu od Berezyny i Dźwiny aż do Wisły. Chcę znaleźć, gdzie i w jakim stopniu materializowała się myśl p. Tuchaczewskiego w pracy boju, pracy wojska. Zaczął więc p. Tuchaczewski 4 lipca od wstępnego boju nad "wątlą strumieniem" Auta. Rozkład sił jego nazwałem w swojej analizie zręcznym, dobrze pomyślanym, śmiało wykonanym. Trzy armie ściągnął na front o przestrzeni 100 km, by pobić jedną naszą I Armię, która tu stała. Przeciwno większości sił polskich w Berezynie i na Polesiu postawił słabe siły, szukając mocy tam, gdzie szukał rozstrzygnięcia. Taranu jednak tam nie widzę. Gdy przebiegał organizację sił p. Tuchaczewskiego, sądziłem, że taran jest skupiony w najlepiej uposażonej 15 Armii. Lecz szła ona do natarcia wcale nie uszykowana w głąb, wcale nie w tym rozkładzie, który by pomoc chciał dawać innym, gdy bój się zatrzyma. Bardziej ta-ranowo ułożone były obie skrzydłowe armie, specjalnie zaś północna 4 Armia. Było to raczej zgodne z ideą Sedanu, z myślą o natychmiastowym, blisko wytkniętym celu zadania nieprzyjacielowi nie porażki, ale klęski. Taranu więc tam nie spostrzegłem. Zresztą nie szukam w tym właśnie początku operacji konieczności dla p. Tuchaczewskiego wierności dla swojej idei. Otwierał smoleńskie wrota; otwierał je bojem, dla którego, jako dla boju, a nie pochodu z daleko wytkniętym celem dla przełamania oporu przestrzeni z możliwościami, które posiadał nieprzyjaciel, rozkład wojsk uczynił.

Zgoda więc - 4 lipca taranu nie było. Natychmiast jednak, nawet w czasie boju, zaniechawszy jego zakończenie, p. Tuchaczewski formuje ten taran. Czyni to organizując dalsze poruszenie ku zachodowi z dwiema armiami: 3 i 15. Traci nawet, jak to widzieliśmy, na ten cel sporo czasu. Idea jest mu droga. Daleko, o kilkaset kilometrów, świecą mu wieżycy Warszawy, błyska szeroka wstęga Wisły, a przejść tę drogę trzeba trudem, trzeba siłą. Żywić więc przyszłe boje, łamać więc przyszłe przeszkody, zgodnie z zasadniczą myślą p. Tuchaczewskiego, mają armie 15 i 3. Skierowuje on je tam, gdzie przeszkoda czeka, tam, gdzie ma jeszcze nie złamane bojami siły polskie - ku południowi. Nasza 4 Armia, stojąca na Berezynie, ma doznać na sobie mocy zmaterializowanej myśli p. Tuchaczewskiego - działania taranu. Już przy analizie tego poruszenia porównywałem 15 Armię, idącą spokojnie w kierunku Mołodeczna, do starej gwardii Napoleona. Stoi ona z fajkami w zębach, jako ostatni odwód wielkiego cesarza Francji. Przygląda się obojętnie toczącemu się przed jej oczami bojowi, wiedząc z góry, że palma zwycięstwa, rozkosz złamania oporu i zmiana porażki nieprzyjaciela na klęskę na nią spadnie, gdy oko cesarza wypatrzy odpowiednią chwilę.

Taran więc ruszył. Armia 3 do Mińska, 15 do Mołodeczna. Nieprzyjaciel jednak, zgodnie zresztą z przypuszczeniem, wyrażonym w rozważaniach p. Tuchaczewskiego nie chciał się poddać operacji i być bity taranem; usunął się od uderzenia. Taran, złożony z 3 Armii i skierowany na Mińsk, uderzył w próżnię. Zrobił więc to, czego właśnie w rozważaniach swych p. Tuchaczewski się obawiał. 15 Armia,

idąca ku Mołodecznu i mająca pomóc wszystkim, a opóźniona w marszu, przyszła także za późno. Boje p. Sergiejewa, który do rozkoszy taranu nie należał, nad modrą Wilią „naszych strumieni rodzica”, rozstrzygały oczekiwany opór przeciwnika przedtem, nim taran cokolwiek bądź zrobił. Nasze wojska znowu się cofnęły nie z powodu taranu, nie zmuszone przez wspólne wszystkich armii p.

Tuchaczewskiego uderzenie, lecz z powodu obejścia skrzydła, które w trzydniowym boju nad Wilią zostało złamane. Taran i masy taranowe nie miały w tym wielkiej zasługi.

Mamy więc dalej próby wyznaczenia kierunku dla taranu. I - ku wielkiemu memu zdziwieniu - dalszy kierunek mas taranowych nie jest wcale dyktowany przez chęć znalezienia dla nich oporu przeciwnika, przez chęć do szukania, gdzie ten opór będzie najsilniejszy. Odwrotnie, gdy modra Wilia zawiodła, na drodze p. Tuchaczewskiego stanął szary jej kochanek, Niemen, który, broniąc ziemi ojczystej, dyktował p. Tuchaczewskiemu poruszenia wojsk. Zmusił go do zaniechania nieprzyjaciela, do dostosowania poruszenia taranu do krętego biegu Niemna. Taran, w ten sposób ułożony przez Niemen, niewiele ma wspólnego z dziełem wojny, z żywieniem jej sił tam, gdzie skrzydła słabną. Skrzydła idą zupełnie samodzielnie, wcale nie związane z taranem. Narasta nowa przegroda, przegroda, z której korzysta nieprzyjaciół. Jest nią znowu Niemen i Szczara.

Taran, przez bieg Niemna ścieśniony, zwęża się i masuje. W tym właśnie miejscu jest najbardziej ścieśniony, idzie tak, jakby p. Tuchaczewski oczekiwał, że właśnie prawe jego skrzydło, 4 Armia, będzie zatrzymane i będzie wymagało pomocy taranu.

Lecz Niemen zostaje złamany. Kto go ostatecznie forsuje? Znowu nie taran! Znowu 4 Armia p.

Sergiejewa z jego jazdą! Znowu obejście skrzydłowe, bez próby nawet łamania oporu taranem! Znowu więc masy taranowe, meużytecznie ściągnięte i sformowane tym razem przez Niemen, nie przez P.

Tuchaczewskiego!

Wyrasta dalej nowa przeszkoda. Nie pomogła Wilia, nie pomógł Niemen. Jako przegroda stają dwie znowu rzeki, Narew i Bug. Taran, raz przed Niemnem ściągnięty, idzie i dalej w ciasnym rozkładzie strategicznym, nie rozszerzając się ku południowi, nie szukając tam rozstrzygnięcia, gdy raz w początku swego ruchu uderzył na południe w próżnię.

Cóż się dzieje na tych rzekach? Oto ciekawy rozkaz p. Tuchaczewskiego, przytoczony u p. Sergiejewa, z datą 1 sierpnia 1920 r. Cytuję go dosłownie: „Przeciwnik przed frontem 15 Armii okazuje stanowczy opór. Ażeby okrążyć i zniszczyć nieprzyjaciela, dowódca frontu nakazał naszej armii: kontynuując ruch w kierunku Ostrołki, dwiema dywizjami uderzyć na przeciwnika w ogólnym kierunku na Mazowieck”. Więc znowu 4 Armia p. Sergiejewa, zatrzymana w tym czasie przez tę samą Narew pod Łomżą, ma pomagać taranowi, nie zaś taran 4 Armii. Prawie chciałbym powiedzieć: "więc gdy trwoga, to do Boga". Stanowczy opór ma być łamany nie przez taran, lecz znowu przez obejście, nie taranowej, a pościgowej armii północnej.

A więc taran dotąd nigdzie rezultatu nie dał; uderzał albo w próżnię - jak to było pod Mińskiem, późnił się - jak to było pod Wilnem, pozostawiał rozstrzygnięcie nie sobie, lecz obchodzącej, pościgowej 4 Armii - jak to było na Narwie. Może zatem przyczynił się w czymkolwiek do ostatniej pracy pochodu, gdy Wisła była przed materialnymi oczami jeśli nie p. Tuchaczewskiego, to jego wojska?

Nie chcę być złośliwym. Znam ciężary dowodzenia, znam konieczne nieraz jego błędy. Lecz myśl mi błyska, że - kto wie - może idea taranu, uporczywie zachowana, przyczyniła się do klęski p.

Tuchaczewskiego pod Warszawą. W taran ujęta 15 Armia szła rozstrzygnąć, według jego rozkazu z 8 sierpnia, nie boje pod Warszawą, gdyż w nich nie miała brać udziału, lecz miała zadanie geograficzne - przechodzenie szerokiej W^łsy, gdzie nieprzyjaciela nie było.

I tylko ostatnie zadanie taranu, zadanie nie zwycięstwa, lecz klęski, było najlepiej rozwiązane przez najbardziej taranowo uposażoną i najbardziej do tego wdrażaną 15 Armie. Gdy wszystkie inne się cofnęły albo w bełładzie (16), albo opuszczając współtowarzyszy niedoli (3), 15 Armia przez dwa dni, 18 i 19 sierpnia próbowała grać rolę starej gwardii, która umiera, ale się nie poddaje.

Gdy kreślę historycznie przebieg materializacji myśli p. Tuchaczewskiego, nie chcę w ten sposób powiedzieć, że p. Tuchaczewski nieproduktywnie pracował, że p. Tuchaczewski myślał błędnie tak dalece,

iż z góry na niepowodzenie swoją myśl skazywał. Tak nie jest. Myśl jego ma swoją wartość i to wartość dużą. Jest w niej wiele z tego, nad czym niejednemu pracującemu nad sztuką wojenną zastanowić się radzę. Jest próba, która mogła nie dać owoców, która na pewno nawet samego autora nie zadowalała. Gdy chcę analizować myśl p. Tuchaczewskiego do głębi, gdy usiłuję odszukać w rozważaniach i konkluzjach błędną podstawę, znajduję zawsze błąd w jednym i tym samym. Błąd zaś nie tyczy się taranu, nie tyczy się metody żywienia - jak mówię - siłą długiej operacji wojennej, z góry przewidującej opór nieprzyjaciela, lecz z góry również wyrzekającej się myśli dyktowania nieprzyjacielowi sposobu postępowania i stanięcia do oporu tylko tam, gdzie sobie doktrynerski łeb wyobraża i życzy. Błąd w rozważaniach, rozmyślaniach i wywodach p. Tuchaczewskiego znajduję zawsze, gdy myślę, że szukał on porównania swej pracy z pracą armii niemieckiej na froncie francuskim w 1914 r. Już w ciągu analiz, które czyniłem na poprzednich stronicach, starałem się ustawicznie wykazywać, jak niebezpiecznymi zasadzkami są dla wodzów słowa, określenia, figury geometryczne, nazwy geograficzne i wszystko to, co głośnego protestu wielkiego Napoleona słuchać musi, gdy spod kopuły Inwalidów dotąd woła *Mais c'est la realite des choses qui commande, messieurs!* Więc pochód Niemców ku Paryżowi, ku Sekwanie i za Sekwanę, Czyż nie przychodziło p. Tuchaczewskiemu na myśl, że pochód ten, płód wielkiej myśli i wielkiej pracy mózgu i nerwów Schlieffena, związany jest ściśle z próbą rozwiązania problemu, który w owe czasy stawał przed strategią, by doczekać się swej próby urzeczywistnień w 1914 r.? Była to próba rozwiązania strategii mas. Gdy w bajecznym wyścigu za liczbą, za jej siłą, za przewagą liczby, wyścigiem, który charakteryzuje strategię po zwycięstwach pruskich 1870 r., armie Europy przekraczały liczbę miliona, powstawał problem nowy, nie znany dawniej: jak ruch godzić z masą? Jak ruch godzić z mnóstwem urzędów, koniecznych dla żywienia wojny, z ogromną artylerią, niezliczonymi taborami, z całą masą urzędów, bez których wojna przy nowoczesnych środkach boju bezsilna by była. Strategia mas i ich ruch dla zwycięstwa! Oto była olbrzymia praca, którą w ciszy przepracowali wykształceni oficerowie, która zajmowała mnóstwo umysłów, marzących o nowych Pannach, o nowych Sedanach czy o nowych Jenach i Austerlitzach! Wiedząc, że pracę moją czytać będą ludzie, którzy nad tymi zagadnieniami głowy nie łamali i nerwów nie szarpali, dam jedno porównanie, które być może ogrom problemu przed oczy postawi. Weźmy miasto milionowe, więc np. Warszawę, i postawmy problem przeniesienia Warszawy dzisiaj do Psiej Wólki, a nazajutrz do Psich Kiszek, z których nawet wyłazić jest niepolitycznie, jak mówił Zagłoba. Przedstawmy sobie Warszawę w rucliu codziennie, z ogromem codziennych potrzeb i codziennej pracy. A przecież wyścig piekielny za liczbą przekraczał śmiało miliony, biegł już do połowy dziesiątka. Więc strategia mas żądała, by pięć Warszaw biegło ku zwycięstwu, by pięć Warszaw żyć mogło co dzień na innym miejscu, by pięć Warszaw, pracując co dzień nad dziełem zwycięstwa, wszystkie odpadki produkcji wojennej gdzieś na dalekie tyły odrzucało, dając co dzień nowy pokarm dla narzędzia wojny, dla paszcz armatnich i luf karabinowych, wiecznie niesytych. Strategię mas związać z ruchem, ruchem dać zwycięstwo! Oto był problem, związany z pochodem Niemców ku Sekwanie i za Sekwanę. Gdy p. Tuchaczewski swoją 15 Armię w taran związawszy czyni masą, to pozwolę sobie przypomnieć mu, że w jego obliczeniu 15 Armia ma w ogóle 46 883 walczących. Jeden korpus niemiecki, gdy szedł po zwycięstwo, liczył więcej! Gdy więc słowo „masa” do 15 Armii stosuje i w ciasny dla niej korytarz ją pakując zwalnia jej bieg, mech przejrzy przemarsz pięciu korpusów I Armii niemieckiej Klucka przez istotną dla mas cieśninę, przez jedno miasto Akwizgran, i niech porówna go z przemarszem swego taranu po wielkich i szerokich polach od Głębokiego do Mołodeczna! Wtedy by może nie chciał tak nieskromnie swoją 15 Armię „masą” nazywać i szukać natchnienia dla problemów, które miał do rozwiązania w strategii mas, których nie posiadał. Strategia mas w 1914 r. nie dała zwycięstwa żadnej ze stron walczących. Wielkie zwycięstwa, odniesione przez Hindenburga i Ludendorffa, i ich śmiałe manewry na polach bitew w Polsce i Prusach Wschodnich nie należą do strategii mas, gdyż mas w ścisłym tego słowa znaczeniu wodzowie ci nie posiadali.

Strategia mas zwycięstwa nie miała. Ruch mas, o którym marzyła, szybko się wyrodził w wojnę stojącą, gdy mówię o Zachodzie.

W strategii mas zasadniczą rzeczą było związanie milionów w jedną współdziałającą stale masę żołnierska. Wszystkie jednostki musiały być z sobą w ścisłym kontakcie. Zaludnienie wojennej przestrzeni, którą miliony przebiegały, było jak gęste zaludnienie, a spoidła taktyczne w postaci wzajemnego poparcia czy to ogniem, czy natychmiastowym ruchem miały być zabezpieczone. I niech się p Tuchaczewski me ludzi, że gdy von Kluck prawe swe skrzydło miał zupełnie otwarte, to działo się to jedynie dlatego, by przestrzeni rozmyślnie nie zaludniać wojną. Mas do tego celu nie wystarczyło. Taktyczne i strategiczne spoidła rwałyby się, gdyby chciano oprzeć skrzydło o morze. Strategia więc mas oprócz mas samych wymagała spoistości, wymagała możliwości współdziałania nieledwie najwężziej pojętego słowa „taktycznego”.

Jak powiadam, strategia mas wyniku nie dała. Zamarła ona po różnych próbach w bezruchu i w bezładzie. Ruch został przezwyciężony przez siłę okopu, przez siły materialne i przegrody, które przeciwnicy sobie wzajemnie postawili, i odtąd zaczyna się walka z okopem, walka z przegrodą ruchu, który tak znacznie osłabił. Każdą próbę przerwania okopu i zdobycia ruchu opłacano tak olbrzymimi ofiarami, że pomimo iż nad wydobyciem elementu ruchu z poniżenia pracowały najlepsze i najsilniejsze umysły, największe siły, nie potrafiono długo rozstrzygnąć problemu. A płacono dużo, płacono ogromnie, by ruch zwycięstwem znowu zrobić. Pamiętam, gdy marszałek Petain wskazywał mi skrwawione pagórki pod Verdun i mówił mi, że milion prawie ludzi leży w tych zoranych granatami polach bitwy! Milion ludzi, co zniknęli bez śladu, tak że obecnie kości obu nieprzyjaciół leżą zmieszane z sobą i najbliżsi krewni ich nie odróżnią! Tak olbrzymie hekatombie dla stworzenia ruchu, gdy ruch legł zwyciężony w ponurych okopach!

Pamiętam dobrze te czasy. W zapadłych puszczech Polesia wołyńskiego stojąc, pracowałem także nad okopami. Wiekowe sosny padały pod siekierą, by drogi mościć tam, gdzie przedtem łosie tylko chodziły. Biegły druty telefoniczne i telegraficzne w miejscach oglądanych niegdyś tylko przez wilki i cietrzewie. W polach drucianych przed okopami istotnie przy jasnym słończku zabłądzić było można. Budowałem schrony i pod ziemią z olbrzymich kłoców drzewa, i nad ziemią z takichże kłoców betonu, by ludzie w przepastnych puszczech zamieszkać mogli. Budowano kolejki, gdy przedtem na błotnistych drogach wystarczał dla potrzeb ludzi marny konik, leniwie się wlokący. Kolejami i kolejkami biegły ku nam nie tylko zapasy żywności dla nowego miasta wojennego, wyrosłego w puszczy, nie tylko masy materiału budowlanego, który co dzień zużywano, krzycząc: jeszcze i jeszcze! - lecz biegły również transporty żywego materiału wojny - ludzi. Dokąd? Z jednego okopu do drugiego; z jednego miasta wojennego do innego, równie przypadkowo powstałego zbiorowiska żołnierzy.

Byłem w okopach; pamiętam swój śmiech pusty, gdy razu pewnego nad Stochodem jedna tylko kompania moja, idąc na wypad, podtrzymywana była w swym ruchu dwudziestoma kilkoma bateriami różnych kalibrów różnego rodzaju dział, które piekło ognia czyniły. A przy cudownym fajerwerku różnokolorowych sygnałów, wyrzucanych w powietrze, te dzikie i niezaludnione miejsca wydawać by się mogły jak festyn uroczysty w bogatym i zasobnym mieście.

Myślałem więc w owe czasy, że wojna nie tylko się wyradza, lecz że w ogóle zginąć na zawsze musi. Gdy ruch, główny element zwycięstwa, zaginął, praca wojny stała się jakąś bezsensowną, dziką metodą zabijania ludzi. Nie mogłem sobie wyobrazić, by ludzkość raz jeszcze chciała przewracać życie całych krajów na to, aby okop żywiły, a strategia i sztuka, zakrywwszy oczy ze wstydu, liczyć by miały jedynie cyfrę zabitych, cyfrę zniszczonych istnień, by z tej potwornej rachuby myśl o zwycięstwie wysnuć.

Cieszyłem się wtedy w okopach. Wojna więc zniknie! I zmora wisząca nad tyloma pokoleniami ludzkimi raz wreszcie sama się zabije! Wyrodzi się tak dalece, że sztuka, życia wojny nie kraszac, przez samą obrzydliwość maszynowego mordowania ludzi zniechęci do siebie najzagorzalszych adeptów. Wojna zaginie wraz ze wszystkimi jej skutkami! Ulgę to przyniesie - tak myślałem - i mojej ojczyźnie, ofierze wojny! Lecz zarazem żal mi było tej niebiańskiej sztuki, którą ludzkość pochód swój przez tysiące lat znaczyła. Sztuka wojny, która tylu wielkich ludzi wydała, ludzi, w których siła niepojęta moc czarowną

zakula, tak iż dziełem swym - zwycięstwem czynili nowe tworzywa dziejów, które żyć mogły i wieki całe. Czy znajdzie ludzkość inne metody skrótu dla swego tworzywa dziejowego? To były pytania, którymi jako mały brygadier, zatracony w okopach, swoje konkluzje w stosunku do przyszłości czyniłem.

Gdy wróciłem z Magdeburga do Polski i prawie w jednej chwili władza polityczna i wojenna w moim ręku się skupiły, wiedziałem z góry, że idę na nową wojnę, że czeka mnie nowa burza wojenna z ciężarem wodza naczelnego, który na swe barki włożyłem. Nowa wojna z nowymi nie znanymi problemami, tak bowiem z każdą wojną bywa. Nie byłem tak naiwny, bym strategię mas bez mas samych chciał powtarzać i naśladować. Bezsilność i upokorzenie słabości czułem zbyt wyraźnie, bym chciał upiększać swoje problemy słowami i określeniami, zaczerpniętymi z przepychu siły liczbowej, którą w 1914 r. rozwinęto. Problem wojny, szukanie zwycięstwa tą metodą, można było tylko śnić, oszukując się słowami, określeniami bez treści. Zamiast korpusów - bataliony, zamiast armii - dywizje; gdzie są te masy, dla których strategia mas język naginała, metody wypracowała? Nienawidziłem zawsze słabości, która upiększa się chce pustymi dźwiękami słów bez treści! P. Tuchaczewski idzie inną drogą. Kocha się w słowach, treści im nie dając. Dla niego 15 Armia jest taranową masą dla innego marnych dwa tysiące jeźdźców - pół dywizji w 1914 r. - jest konną masą, dla większego oszołomienia siebie i innych nazwaną korpusem.

Znam dobrze te słowa. Widziałem usilne starania upiększenia i naszej armii szumnymi słowami, zaczerpniętymi z innej mści; słowami, które gdzie indziej kiedyś siłę oznaczały, które kiedyś wyrosły w szukaniu zwycięstwa innymi, niemożliwymi dla nas drogami. Nigdy zwieść się nie dałem ułudami, chociażby najładniej na mapie namalowane były w różne kolory, gdzie kółka i koła, reprezentujące małe i nikłe oddziały, były rozciągane na mapie tak, by oszałamiająco udawały potężne liczbowo masy określeniami w tak zwanych "legendach", zaczerpniętymi ze strategii m a s, spieszących ku zwycięstwu. Zwycięstwa jednak szukać trzeba. Na to jest wojna, na to są wodzowie. Dlatego też, gdy dziełko p. Tuchaczewskiego przerzucałem, wczytywałem się raz po raz w myśli jego, w ślady jego pracy, w zagadnienie, jak przezwyciężał on trudności problemu, jak - gdy mas istotnych nie było, gdy wiązać nie mógł, jak to było i z nami, wojsk w jeden potężny, współdziałający taktycznie łańcuch - jak dawał sobie radę z zasadniczym problemem, nad którym tyle czasu sam się męczyłem? Problem bowiem stanął dla mnie od razu w całej swojej przerażającej; nagości. Problem przestrzeni i zaludnienia jej pracą wojny. Przestrzeń tak ogromna, tysiąc kilometrów olbrzymiego frontu, cała Europa cywilizowana takiej przestrzeni nie zna! A wojska i siły dla zaludnienia tej przestrzeni wojną, dla opanowania jej siłą z wszystkimi władzami i spoidłami, brakowało zarówno mnie, jak i p. Tuchaczewskiemu. Wszelkie próby myślowe, które czyniłem, by ten ciężki problem wiązać z doświadczeniami tak niedawno ubiegłej wojny, nie udawały mi się nigdy. Ani strategia mas, ani strategia wiążąca ściśle jednostki wojskowe we wzajemną taktyczną współpracę, ani wreszcie strategia okopów, nie dawały mi nigdy żadnych rozwiązań. Oszukiwać zaś siebie słowami i określeniami, wpadać w zasadzkę dla pustych dźwięków bez treści, tak jak to czyniło wielu, nie chciałem i nie mogłem.

Powtarzam, strategia mas oparta była zarówno na istnieniu milionów będących w ruchu, jak na uzyskaniu zapewnienia, że wszystkie jednostki, będące w ruchu, wzajemnie się wspierają prawie taktycznie, że są ze sobą związane ścisłymi spoidłami. Gdy ten problem rozważałem, nazywałem tę strategię „strategie serre” albo "strategie encadrante". Strategia ścieśniona, gdyż ścieśniona wojska w ruchu tak, by im zapewnić siłę masy, strategia "ankadrująca" - polskiego słowa nie znajdowałem - gdyż każdej jednostce daje poparcie sąsiadów, w ścisłej więzi będących. Strategia okopów nic pod tym względem nie zmieniła, przeciwnie - spotęgowała. Masy zwiększyła, gdyż nie bała się ciężkiego problemu milionów, albowiem zamknęła je w okopach, odrzucając ruch. Spoidła zaś wzmocniła nieledwie materialnie, gdy ściągnęła masy wiążadłem nieprzerwanym drutu i okopu. Stąd taka pasja u naśladowców tej strategii u nas, gdy głośno wołali: "Faites une ligne forte!!"

U p. Tuchaczewskiego - powtarzam - nie widzę śladu, by ten problem zasadniczy walki z przestrzenią, której zaludnić wojną i opanować pracą wojny nie mógł, starał się rozstrzygnąć. Może więc i cała myśl o

taranowych masach, żywiących siłą wojnę na wielkich przestrzeniach przy długich operacjach i rozciągniętych frontach, tak się nie powiodła p. Tuchaczewskiemu, gdyż w samym początku i założeniu ten błąd zasadniczy popełnił. Igrał słowami nie mającymi treści. Nie miał mas, nie mógł im zapewnić faktycznej siły "ankadrowaniem".

Kończąc swoje rozważania nad próbą p. Tuchaczewskiego rozwiązania wielkiego problemu, który stał ongiś przede mną, gdy w tych samych warunkach co on wojnę prowadzić musiałem, nie chcę ze swej strony dawać metody swoich rozważań i metody swoich myśli, gdy po długich nieraz mękach próbowałem czynić to, co strategia każe: dać sobie, dać wojskom i krajowi, którego broniłem, zwycięstwo. Spokojnie tylko powiem, że całą wojnę dwuletnią znaczyłem nie czym innym, jak zwycięstwami. Za każdym razem, gdy dzieło wojny sam własnymi rękami czyniłem, odnosiłem zwycięstwa, które w dziejach tej wojny były epokami. Były one bowiem zawsze zwycięstwami strategicznymi, nie tylko uzyskiwaniem przewagi taktycznej. Zmuszałem nieprzyjaciela do zmiany jego rozkładu strategicznego, zmuszałem do szukania pod wpływem mego zwycięstwa nowych prób ułożenia całej organizacji wojny, gdy dawne przygotowania przed moim zwycięstwem pękały w ogniu bitwy. Tak więc na początku 1919 r. jednym rzutem na Wilno przeniósłem front w dni parę o dwieście kilometrów na wschód, przezwyciężając przestrzeń tak wielką małymi względnie siłami. Gdy próbując raz jeszcze swojej metody na polach Ukrainy, prowadziłem wojsko do napadu, rozmyślnie stanąłem na czele jednej z armii - 3 - by swoimi własnymi rękami sprawdzić swe myśli, nie obciążając nadmiernymi, jak mi się zdawało, wymaganiami nikogo z moich podwładnych. Dwa dni boju wystarczyło, by sowiecka 12 Armia, która mi się przeciwstawiała, legła w bojach, pokonana rozbiciem prawie doszczętnym, rozbiciem, z którego już do końca wojny podnieść się nie mogła. Pamiętam radosną chwilę, gdy na swoim biurku znalazłem depeszę dowódcy sowieckiej 12 Armii In caro przez radio na świat posłaną, a wołającą: "Gdzie są moje dywizje?" Odpowiedź dowódca armii otrzymał od jednego tylko dywizjonera, który z jakiegoś lasku z zachowanej stacji radio depeszował: „Jestem tam a tam, lecz gdzie moje wojska, nie wiem”.

Trzeci raz bezpośrednio wziąłem w swoje ręce dowodzenie w bitwie pod Warszawą. I chociaż z przykrością zawsze wspominam cały nonsens założenia bitwy, nonsens, którego przełamać nie zdołałem, to chwila triumfu, gdy we wściekłym galopie bitewnym nieprzyjacielska armia za armią trzaskała, zmykając w popłochu, gdy tak niedawno jeszcze triumfy swoje święciły, zostanie na zawsze zwycięstwem siły dowodzenia i pracy nad dziełem zwycięstwa.

A wreszcie nad Niemnem, szarym rycerzem, Wilna kochankiem, dowodząc bezpośrednio połową naszych wojsk, zwycięską wojnę zwycięsko zakończyłem. I znowu powiem, nie mam obowiązku metody pracy wojny wyjaśniać, w słowa rozważań i doktryny je ubierać. Wiem, że mając w założeniu bezsilność, bezsilność liczebną w stosunku do przestrzeni, zwycięstwo do sztandaru wojsk naszych przywiązałem. A czyniłem to zawsze metodą nie strategii mas, których nie miałem, nie strategii działania w związku i wiązania wszystkiego w ścisłe ramy i spoidła, nie za pomocą strategii ścieśnionej i ankadrującej wszystko taktycznie i nie za pomocą strategii okopów, których nie budowałem. Walczyłem metodą inną, którą - gdy nad nią się biedzę, by w słowa ją ubrać, nazywam zawsze strategią pełnego powietrza - „strategie de plein air” - strategią, w której jest zawsze więcej powietrza niż zaludnienia wojennego przestrzeni, strategią, gdzie wilki i cietrzewie, łosie i zające swobodnie ruszać się mogą, nie przeszkadzając dziełu wojny i dziełu zwycięstwa.

Wiem dobrze, że wielu z tych, co nad tym samym problemem co ja, głowę sobie łamało, szukając metod dla dania nam zwycięstwa i nie dając sobie z tym problemem rady, opuściło w bezsilności ręce i dawno orzekło, że zwycięstwo było istotnie, lecz tylko dlatego, że nie była to wojna istotna. Jakaś półwojna lub nawet jej ćwiarteczka; jakieś dziecinne szamotanie się i bijatyki, dla których wielka teoria wojny zamyka pogardliwie swe podwoje.

Nie chcę przeczyć. Chcę tylko dodać, że ta bijatyka wstrząsnęła losami dwóch państw bezpośrednio, dwóch państw, liczących razem 150 milionów ludzi. Chcę powiedzieć, że ta wojna czy bijatyka omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata i że jej kryzysy były kryzysami milionów i milionów

istot ludzkich, a dzieło zwycięstwa na czas, daj Boże, dłuższy stworzyło podstawy już dziejowe dla obu państw walczących. Niech więc będzie bijatyka, gdy metody i doktryny dla niej znaleźć niepodobna.

Michał TUchaczewski

Pochód za Wisłę

Wykłady wygłoszone na kursie uzupełniającym Akademii Wojskowej R.K.K.A. w Moskwie

7-10 lutego 1923 roku

przełożył Antoni Bogusławski major dyplomowany

Towarzysze! Głównym źródłem wykładów niniejszych są moje wspomnienia. Po części opieram się na przejrzeniu naszych dokumentów urzędowych oddziału operacyjnego sztabu frontu. Korzystałem również z książki towarzysza Sergiejewa Od Dźwiny do Wisły oraz z niektórych artykułów francuskich i polskich. Brak czasu nie pozwolił mi zatrzymać się nad tym zagadnieniem tak długo, jak byłbym pragnął i jakby należało. Dlatego wykłady będą miały charakter ogólnego rzutu oka na działania wojenne z punktu widzenia strategii i charakter studium szczegółów strategicznych. Działań taktycznych różnych jednostek wojskowych będę w nich unikał.

I

Wybuch wojny

Przegląd wypadków rozpoczynam od chwili, kiedy Polacy rozpoczęli natarcie na naszym froncie południowo-zachodnim i zajęli Kijów. Ówczesne położenie Rosji sowieckiej było następujące: Kołczak był zlikwidowany na wschodzie, Denikin był zlikwidowany na Kaukazie. Tylko gniazdo Wranglowskie trzymało się na Półwyspie Krymskim. Na północy i zachodzie (nie licząc Polski) działania były zakończone. Z Łotwą podpisano już pokój. Toteż wystąpienie Polski zastało nas we względnie pomyślnych dla nas warunkach. Gdyby rząd polski umiał porozumieć się z Denikinem przed jego klęską, gdyby nie bał się hasła imperialistycznego: „jedna, niepodzielna, wielka Rosja”, wówczas uderzenie Denikina na Moskwę, posilkowane przez ofensywę polską z zachodu, mogłoby skończyć się dla nas znacznie gorzej i trudno nawet zdać sobie sprawę z możliwości ostatecznych wyników. Ale złożony splót interesów kapitalistycznych i narodowych nie pozwolił zrodzić się temu sojuszowi i Armii Czerwonej wypadło potykać się z wrogami po kolei, co w znacznej mierze ułatwiło jej zadanie. Na ogół wiosną 1920 mieliśmy możność przerzucić prawie wszystkie nasze siły zbrojne na front zachodni i rozpocząć ciężką walkę z "białymi" siłami Polaków.

II Obszar działań wojennych

Obszar przewidywanych działań wojennych na froncie zachodnim dzielił się mniej więcej według południka rzeką Berezyną. Brzegi tej rzeki, błotniste i zalesione, na całej swojej przestrzeni są poważną przeszkodą do jej forsowania. Te właściwości zwiększone są jeszcze tym, że w górnym jej biegu, w rejonie m. Lepią - miast. Berezyny - jez. Pelik, znajdują się prawie nieprzebyte błota, porośnięte lasem. Na południe, wzdłuż dolnego biegu oraz na wschód i zachód od rzeki, ciągną się nieprzerwane lasy, przeważnie błotniste i bardzo słabo zaludnione. Kolej przecina Berezynę zaledwie w trzech punktach: pod Borysowem, Bobrujskiem i Szaciłkami. Wskutek tego rejon najwygodniejszy do forsowania rzeki - w kierunku Iłumienia - jest niestłuchanie niepodatny dla zorganizowania komunikacji armii. Na północ od błot Berezyny, między Leplem i Dźwiną, znajduje się sucha przestrzeń, wygodna do przesuwania i działań wielkich mas wojska. Prawda, że rejon ten jest poryty przez jeziora, jednakże tutaj wojsko działać będzie w okolicy ludnej, a przede wszystkim armia czynna ma tutaj wygodne połączenia: rzekę Dźwinę i węzeł kolejowy połocki. Obszar ten Polacy nazywają „wrotami smoleńskimi”.

Na południe od dolnego biegu Berezyny teren staje się zupełnie nieodpowiedni do działań wielkich jednostek wojskowych. Lasy, bagna i słabe zaludnienie są tego przyczyną.

Na ogół, można ustalić dwa kierunki najwygodniejsze dla naszego uderzenia: wrota smoleńskie i kierunek Iłumienia.

Polacy w tym czasie ustawili się mniej więcej wzdłuż linii Dżisna- -Połock-rzeka Uła-st. Krupki-Bobrujsk-Mozyrz. Cechą dodatnią "wrót smoleńskich" dla naszego natarcia było, jak już powiedziano wyżej, zaludnienie obszaru, stały grunt i dogodna komunikacja. Cechą ujemną było to, że natarcie wprost od Połocka napotykało na drodze bardzo ciężką przeszkodę - Dźwinę. Zaś uderzenie między Dźwiną a Leplem zmuszało naszą armię, po przejściu do rejonu st. Orzechowna, do załamania swojej linii operacyjnej przez zachodzenie prawym ramieniem co najmniej na 90 stopni. W kierunku Ihumenia można było pozwolić sobie na wygodny ruch po linii prostej. Jak wspomniano wyżej, ruch ten musiał mieć miejsce w rejonie odznaczającym się bezdrożami i gruntem lesisto-bagnistym, gdzie organizacja tyłów napotkać by musiała, przy naszych nędznych środkach, przeszkody nieprzewyciężone. Oto dlatego przy wypracowaniu planu działań zaczepnych dla uderzenia głównego zostały obrane wrota smoleńskie.

Ugrupowanie sił

Według planu głównodowodzącego główną rolę strategiczną odegrać miał front zachodni. Tu, w rejonie Witebsk-Tołoczyn-Orsza, skupiły się wielkie siły, przewożone z różnych likwidowanych frontów.

Wybrany przez głównodowodzącego rejon koncentracyjny rozwiązywał dowództwu frontu ręce, jeżeli chodzi o wybór tego lub innego kierunku operacyjnego. Kilku marszami można było podciągnąć te siły do wrót smoleńskich i w takim samym czasie skoncentrować się w kierunku Ihumenia.

Nasze skupione oddziały nie mogły być podciągnięte do jednakiego poziomu. Te oddziały, które już poprzednio znajdowały się na froncie zachodnim, nie wydawały się godne szczególnego zaufania. Stały one tu przez kilka lat, rozciągnięte szeroko, przy czym wojsko polskie, bardziej przedsiębiorcze, przez ciągłe wycieczki i drobną szarpaninę męczyło i demoralizowało naszych żołnierzy. Tracili działa, karabiny maszynowe i rannych. Jednocześnie z żadnej strony nie stosowano poważnych działań aktywnych. To wszystko, w połączeniu z niepowodzeniami zeszłorocznymi w walkach z Polakami, rzucało na nasze oddziały jak gdyby cień niepewności i pewnej nieśmiałości. Odwrotnie, oddziały przybywające z innych frontów, dopiero co przez nas zwycięsko zlikwidowanych, pełne były wojowniczego nastroju i bardzo wysokiego napięcia ducha. Zdolność ich do boju była bezwarunkowo wielka.

Oddziały miejscowe frontu zachodniego (dywizje strzelców 48, 53, 8, 10, 17, 2 i 57) zajmowały linię frontu bojowego. Oddziały przerzucone z innych frontów skoncentrowane były w wyżej wskazanym rejonie Witebsk-Tołoczyn-Orsza. Na froncie zachodnim były tylko dwa dowództwa armii: dowództwo 15 i 16 Armii. Tymczasem zamierzona koncentracja (stosownie do ilości dwudziestu jeden dywizji) wymagała nie mniej, jak 4 do 5 dowództw armii. Oddziałów technicznych, łączności i kolejowych było na froncie zachodnim bardzo niewiele, bezwarunkowo za mało do choć trochę poważniejszych działań wojennych. Ściąganie tych oddziałów na ogół znacznie opóźniło się w stosunku do ściągania zasadniczych rodzajów broni, skutkiem czego działania następne odbywać się musiały w nadzwyczaj trudnych warunkach.

Wojsko polskie rozciągnięte było kordonem wzdłuż całej zajętej przez nie linii, mniej więcej równomiernie. Każda ich dywizja starała się wydzielić odwód; armie ze swojej strony czyniły to samo. W ten sposób oddziały rozciągnięte równomiernie wzdłuż frontu, eszelonowały się również mniej więcej równomiernie w głąb. Ta pozorna równowaga rozmieszczenia polskiego przez samo swoje założenie rodziła pewne niebezpieczeństwo, a mianowicie to, że dowództwo polskie, bez względu na wysiłki, nie mogłoby skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczną część armii polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie dowódców.

Te błędy rozmieszczenia polskiego były przez nas wzięte pod uwagę i przy organizacji natarcia liczone na to, aby silne uderzenie naszych przeważających sił od razu zniszczyło pierwszą linię polską. Ażeby osiągnąć w najkrótszym czasie najlepszy wynik, dowódcy dywizji otrzymali rozkaz wprowadzenia swoich oddziałów w bój od razu, bez pozostawiania jakichkolwiek odwodów. Nasze oddziały masą

swoją gniotły i, w całym tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linii polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne i odwody dzieliły losy swej pierwszej linii.

Za to pod względem wyszkolenia stan wojska polskiego był na ogół wyższy niż naszych oddziałów. Uzbrojenie i umundurowanie również było lepsze.

Wzajemny stosunek liczebny naszych i polskich sił po zakończeniu naszej koncentracji równoważył się. Sztab polowy uważał nawet, że będziemy silniejsi. Ale to wynikało stąd, że my liczebność oddziałów obliczaliśmy według walczących. Polacy zaś - według bagnetów i szabel (tablica I), co znacznie utrudniało wyliczenia.

IV Ofensywa majowa

Podczas koncentracji naszych głównych sił na froncie zachodnim Polacy walczyli nadal zwycięsko na południowo-zachodnim. Sukcesy ich odbiły się i na północy. Polacy zajęli Mozyrz i rozpoczęli z powodzeniem natarcie na Rzeczyce. Intensywne wypadły i działania drobnych i średnich oddziałów wojska polskiego dały się odczuć na całym froncie zachodnim. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w przededniu rozpoczęcia przez Polaków ofensywy. Ażeby utrzymać nasze pozycje i nie dać Polakom możliwości wciągnięcia naszego zasadniczego ugrupowania w narzucone nam działania, stało się dla nas koniecznością przejście od obrony do natarcia. Z tego powodu 14 maja przedsięwzięta została ofensywa. Ofensywa ta była rozpoczęta zanim wszystkie nasze siły zdążyły się skoncentrować. Opóźnione dywizje wypadło traktować jako odwód. Jednocześnie trzeba się było liczyć z tym, że powodzenie naszej pierwszej ofensywy powinno być bezwarunkowo we właściwym czasie rozwinięte i nie mogło ograniczyć się drobnymi zadaniami chwilowymi.

Plan ofensywy przewidywał przebicie się przez „wrota smoleńskie”, rozbicie lewego skrzydła armii polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w Błota Pińskie. Plan ten miał tę dobrą stronę, że pozwalał w znacznej mierze zaoszczędzić siły. Wrogo względem Polski usposobiona Litwa mogła, w razie naszego posunięcia się naprzód, z powodzeniem osłaniać nasze skrzydło i tyły. Dalej to samo zadanie mogło przypaść Prusom Wschodnim, niezależnie nawet od ich na to zgody. W ten sposób, natychmiast po pierwszym przebicie się, wszystkie nasze siły mogły być wyzyskane dla działań aktywnych przeciw głównym siłom armii polskiej, a na prawe nasze skrzydło i na tyły moglibyśmy nie zwracać wielkiej uwagi. W kierunku Iłumienia działania 16 Armii (dowódca Sołłohub, szef sztabu Batorski) powinny po sforsowaniu rzeki Berezyny uderzyć z frontu w główne ugrupowanie „białych” sił polskich i nie pozwolić im na manewr w celu przeciwdziałania głównemu uderzeniu 15 Armii.

Oddziały 15 Armii, działające na północ od rzeki Dźwiny, były złączone pod dowództwem towarzysza Sergiejewa w grupę północną, której za zadanie postawiono sforsowanie Dźwiny w rejonie na zachód od Połocka, dla działania na skrzydło i tyły nieprzyjaciela, walczącego z 15 Armią.

15 Armia (dowódca Kork, szef sztabu Kuk) jak taran uderzyła na słabe oddziały Dywizji Litewsko-Białoruskiej, zajmującej mniej więcej bieg rzeki Ułły. Oddziały tej dywizji zostały rozbite, zdemoralizowane i rozproszone zaraz pierwszego dnia. Stopniowe wprowadzanie w bój odwodów polskich wzmogło jeszcze porażkę i jeszcze bardziej moralnie pognębiło armię polską. Nasza ofensywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie. 15 Armia bez trudności wykonała zwrot we „wrotach smoleńskich” i szła dalej w kierunku Mołodeczna.

Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo-zachodniego frontu na zachodni. Wprowadzenie w akcję tych nowych odwodów odegrało pewną rolę, np. na linii Postawy-Budśław-Ziembiny. Wojsko nasze spotkało się z szeregiem uzgodnionych przeciwuderzeń i zostało powstrzymane. Niepowodzenie w przeprawie 16 Armii jeszcze bardziej skomplikowało położenie. Wypada zauważyć, że prócz przyczyn rzeczowych, które przeszkodziły ofensywie 15 Armii, miało również miejsce pewne rozproszenie jej sił. Dywizje, rozciągnąwszy się w trzech kierunkach (Postawy- Mołodeczno-Ziembiny),

nigdzie nie stworzyły ugrupowania napierającego, a dywizja znajdująca się w odwrocie nie mogła na czas zdążyć z jednego kierunku na drugi.

Wreszcie decydujące uderzenie Polaków z kierunku Postaw przesądziło losy operacji. Oddziały 15 Armii zostały złamane i cała armia była zmuszona spieszyć się cofnąć. Jak to bywa zwykle po wielkim przemęczeniu lub wielkim zwycięstwie, ciężkie niepowodzenie akcji w ważnym kierunku błyskawicznie obiega cały front, skutkiem czego równowaga wojska natychmiast się załamuje. Rozpoczyna się szybki odwrót.

Ażeby powstrzymać uchodzące wstecz masy, postanowiono zorganizować obronę "wrót smoleńskich" w sposób następujący: Grupie Północnej rozkazano zająć rejon Hermanowicz i zamknąć mocno przejścia między jeziorami: Białym, Jelnem i Zadem; 15 Armii - przez wzmocnienie jej grupy południowej - zamknąć wejście do błot Berezyny w kierunku Wielkiej Czernicy; pozostałym siłom 15 Armii - bronić przejść do rzeki Mniuty. Dalsze posuwanie się wojska polskiego w kierunku Połocka dostawało się w kleszcze.

Dowództwo polskie, obawiając się ruchu czołowego, postanowiło przede wszystkim rozbić nasze ugrupowanie północne. Przeciw 18 Dywizji (świeżo przybyłej do Grupy Północnej) wysunięto 10 Dywizję Piechoty i VII Brygadę Rezerwową.

Walka trwała całą dobę i wreszcie 18 Dywizja musiała cofnąć się z wielkimi stratami. Ale też i nacierający nieprzyjaciół zachwiał się i stracił zdolność do dalszych działań rozstrzygających. To stało się punktem przełomowym w działaniu. Pewne wahanie trwało jeszcze dość długo, ale na ogół wrota smoleńskie zostały w naszych rękach aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, decydującą ofensywę.

Wnioski

Pierwsze to nasze działanie miało dla nas duże znaczenie. Wojsko nasze zobaczyło, że może zwyciężać Polaków. Prawda, że wojsko polskie w całym szeregu walk wykazało wyższość swojego wyszkolenia, ale nasza energia, śmiałość i umiejętność grupowania dowiodły na ogół, że nasze oddziały są pod względem taktycznym zdolniejsze od polskich. To ostatecznie rozproszyło tę chwiejność, jaka istniała w niektórych oddziałach. O przyszłych walkach wszyscy myśleli z hartem w duszy i całkowitą pewnością zwycięstwa.

Drugim ważnym wynikiem naszej pierwszej ofensywy było, że ulżyliśmy położeniu frontu południowo-zachodniego i w najcięższej dlań chwili zmusiliśmy część wojska polskiego do porzucenia kierunku Kijowa.

Wreszcie najważniejszym dla nas wynikiem było zajęcie wrót smoleńskich. Pozwoliło nam to na znacznie łatwiejsze organizowanie dalszej ofensywy i od razu postawiło nasze wojsko na linii kolejowej Mołodeczno-Połock.

Przygotowanie do głównej ofensywy

W pierwszej połowie czerwca na całym froncie zachodnim zapanował spokój. Stosunek wzajemny sił w tym czasie uwidocznił się w tablicy II.

Oczywiście, przy takich siłach i biorąc pod uwagę, że wszystkie posiłki wreszcie już przybyły, niepodobna było liczyć na decydujący rozwój głównej operacji. Niezbędną rzeczą było znaleźć sposób uzupełnienia naszych osłabionych oddziałów.

Dowództwo frontu wzięło pod rozwagę zasadę zdwojenia liczby bagnetów w każdej dywizji strzelców.

Powstawało przy tym niezmiernie trudne zagadnienie - uzupełnienie. Działał jeszcze wówczas Wszechrosyjski Sztab Główny, urząd wysoce biurokratyczny, który nie umiał wykonywać włożonych nań zadań. Praca w oddziałach rezerwowych, praca mobilizacyjna i walka z bandytyzmem prowadzone były formalistycznie, bezduszenie i nie dawały żadnych wyników. Naczelne dowództwo dysponowało armią zapasową, na którą spadło główne zadanie uzupełnienia naszych armii czynnych. Ale i jej środki były ograniczone i nie mogły zaspokoić naszych potrzeb.

Należy przy tym zauważyć, że wyszkolenie „krasnoarmiejców” w oddziałach rezerwowych stało na niezbyt wysokim poziomie. Bez otrzymania umundurowania nie można było go postawić należycie wobec chłódów wiosennych, nie pozwalających na ćwiczenie żołnierzy boso. Natychmiast po otrzymaniu umundurowania tworzone naprędce kompanie i bataliony marszowe, wagonowano je i wysyłano na fronty.

W takim nędznym stanie znajdowała się w tym okresie sprawa uzupełnienia naszych armii. Wszystkie fronty i armie czynne musiały we własnym zakresie, przy pomocy środków miejscowych, uzupełniać straty w oddziałach. Oczywiście, trudne to jest zadanie i wprowadza niejednorodność do spraw poborowych, ale innego wyjścia nie było.

Prócz czysto technicznych zastrzeżeń przeciw uzupełnieniu miejscowemu były również i ważne obiekcje polityczne. Istniało wielu zwolenników tego poglądu, że „krasnoarmiejcy” biją się źle niedaleko od miejscowości, z których są rodem, że najmniejsze niepowodzenie powoduje dezercję do ognisk domowych i rozpylanie się oddziałów.

Jednakże życie, które wszystkich i wszędzie zmuszało uciekać się do podobnego uzupełnienia miejscowego, wykazało błędność tego ostrożnego poglądu. W wypadkach klęski mieszkańcy najdalej położonych obszarów dezertowali równie łatwo, jak ludność miejscowa. Różnica pod tym względem była niewielka. Ale za to wszystkie znaczniejsze wysiłki, wszystkie śmiałe operacje i kampanie opierały się prawie zawsze na mobilizacjach miejscowych i na miejscowym uzupełnieniu. To samo miało miejsce i w czerwcu r. 1920. Słaba liczebność oddziałów, konieczność szybkiej ofensywy i beznadziejny stan centralnych oddziałów rezerwowych zmusiły front zachodni do szukania uzupełnień przy pomocy własnych środków.

Według posiadanych przez nas wiadomości, front zachodni przepełniony był dezertami z roczników podlegających mobilizacji. Obliczaliśmy, że przy prawidłowym zorganizowaniu kampanii w tym celu można będzie wydusić ze wsi 40 000 dezertów.

Został opracowany staranny plan tej kampanii, puszczono w ruch czynniki polityczne i administracyjne, ustanowiono w jak najszerszym zakresie surową władzę karzącą i kampania poszła od razu bardzo intensywnym tempem. Wynik jej przewyższył wszelkie oczekiwania. Dezerterzy poczęli meldować się dobrowolnie. Najczęściej starali się oni w charakterze ochotników, stawiać się w oddziałach walczących. Zaledwie nieliczne elementy ściągano drogą administracyjną. W ciągu czerwca wcielono około 100 000 dezertów, co dwa i pół raza przewyższyło nasze nadzieje.

Cała ta masa została rzucona do naszej armii zapasowej i do pułków rezerwowych w armiach czynnych, gdzie rozpoczęła się gorączkowa praca nad wyszkoleniem celem dalszego skierowania do pułków walczących. Trudności w tej mierze były ogromne. Zupełny brak jakiegokolwiek umundurowania, niedostateczna ilość pomieszczeń koszarowych utrudniały naukę i obniżały jej poziom.

Przybyli do nas na front zmobilizowani komuniści i członkowie związków zawodowych ("profsojuznicy") zostali zmieszani z tą świeżo zwerbowaną masą, szybko ją opanowali i włączyli w nią ducha męstwa i odwagi w walce z Polską „panów”.

Na ogół w końcu czerwca dzięki intensywnej energii działaczy pracujących nad Armią Czerwoną to kolosalne, prawie nie do rozwiązania zadanie zostało wykonane i uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizji. W końcu czerwca wytknięty plan podwojenia składu bojowego był wykonany prawie całkowicie. To z góry przesądzało nasz przyszły sukces i dawało nam możliwość szerokiego i długotrwałego rozwinięcia działań.

Nastroj wojska naszego był bardzo dobry. Świadomość powagi położenia i konieczność, bez względu na ofiary, bronięcia Rosji Sowieckiej przed najazdem polskich "panów" wywołały nie tylko wśród "krasnoarmiejców" w naszych oddziałach, ale wśród całej ludności robotniczej i włościańskiej mocne przeświadczenie, że walczyć wypadnie do końca.

Z takim samym napięciem została przygotowana organizacja tyłów naszych przyszłych działań.

Istniejące oddziały kolejowe (czołowe pociągi remontowe i dywizjony kolejowe) zostały ściągnięte i,

choć liczebnie nie odpowiadały zamierzonym zadaniom, jednak dawały możliwość odbudowywania dróg żelaznych, zgodnie z zasadą koncentracji sił.

Budowa mostu na Dźwinie pod Połockiem była na ukończeniu i na początku działań mieliśmy połączenie kolejowe do st. Ziabki. Wobec trudności odbudowy mostu pod Borysowem (długość przeszkody 75 sążni) zaczęliśmy zawczasu przygotowania do budowy tego mostu. Wywiad przez szpiegów wskazał nam, że Berezyna w tym rejonie ma około 25 sążni szerokości. Profil piantu oyi nam znany. Mając zamiar zbudować most na zrębach na liniach podjazdowych, zbudowaliśmy zawczasu i złożyliśmy na platformach części składowe tego mostu. Taka zapobiegliwość pozwoliła nam podczas ofensywy w ciągu 5 dób odbudować ten most, mający 75 sążni długości. Nasze organy kolejnictwa wojskowego zupełnie nie wierzyły w możliwość tak szybkiej budowy.

Biorąc pod uwagę brak środków przewozowych w naszych oddziałach, wypadło uciec się do jak najszerzej mobilizacji podwód. Armia 4 zmobilizowała ich do 8000 sztuk, 15 i 3 - do 15000, 16 zaś - około 10000. Było to wielkim ciężarem dla ludności miejscowej, ale lęk jej przed najściem "panów" pozwolił nam z łatwością uciec się do tego sposobu. Ta wielka ilość środków przewozowych pozwoliła naszemu wojsku rozwinąć szybkie i śmiałe działania z zachowaniem ciągle czynnych i działających tyłów. Prawda, że w pracy tej był wielki chaos, ale też aż do podejścia do Bugu i Narwi wojsko nasze było stale dość dobrze zaopatrzone we wszystkie niezbędne dla niego produkty.

Środki łączności ściągano także ze wszystkich stron; po części tworzone je w armii zapasowej frontu zachodniego. Ale pomimo wielkiego nacisku w tym zakresie rozpoczęliśmy działania lipcowe słabo przygotowani pod tym względem. Środków brakło i ostatecznie sama operacja nie udała się z powodu ich braku. Zaznaczyć trzeba, że w działaniu lipcowym po raz pierwszy zastosowano planowo punkty operacyjne i liniowe organy łączności.

„Białe” dowództwo polskie też nie siedziało z założonymi rękami, lecz uzupełniało i wzmacniało swoje oddziały (tablica III).

W powyższej tablicy w składzie naszych dywizji strzelców wzięte są również w rachubę bataliony rezerwowe dywizji. Dlatego w obliczeniach figurują także bataliony rezerwowe polskich pułków walczących.

Chociaż rozmieszczenie wojsk polskich zdradzało pewną dążność do wzmocnienia się naprzeciw naszego prawego skrzydła, nie mogło być jednak nazwane zdecydowanym i nosiło cechy kordonowe oraz pasywne. Te słabe strony armii polskiej były przez nas wzięte pod uwagę i wykorzystane w decydującej ofensywie lipcowej.

Stosunek wzajemny sił

Plan ofensywy był bardzo podobny do planu majowego. Podstawą jego była nadal ta sama myśl oparcia naszego prawego skrzydła o Litwę i Prusy Wschodnie i odrzucenia sił polskich ku błotom Polesia. W ten sposób kierunek głównego uderzenia przechodził znowu przez "wrota smoleńskie". Za to teraz ruch przez „wrota” był dla nas bez porównania dogodniejszy. Nie byliśmy już zmuszeni zaginać lewego skrzydła i można było działać wprost na skrzydło armii polskiej, usiadłszy mocno okrakiem na czynnej już drodze żelaznej Połock-Mołodeczno.

Zapobiegliśmy do pewnego stopnia brakom dowodzenia, które uwydatniły się w pierwszym działaniu. Mieliśmy aparat dowództw czterech armii i dowództwo Grupy Mozyrskiej. Prawda, że aparaty te, z wyjątkiem armii 15 i 16, były bardzo słabe i pozbawione specjalnych środków technicznych łączności. Jednakże widoczny był postęp i pod tym względem.

Skoncentrowaliśmy trzy nasze armie w rozstrzygających kierunkach:

4 (dowódca Sergiejew, szef sztabu Szuwajew; była Grupa Północna), 15 (dowództwo poprzednie) i 3. 16 Armia ustawiona była nadal w kierunku Ihumenia (dowództwo poprzednie), a Grupa Mozyrska (dowódca armii Łazarewicz, szef sztabu Lisowski) - w kierunku Mozyrza (dowódca Chwesin). Takie ugrupowanie pozwalało skupić w kierunku Głębokiego nasze przeważające siły przy jednoczesnym zachowaniu trwałego i elastycznego władania nimi.

4 Armia liczyła (bez 48 Dywizji Strzelców) około 14000, 15 Armia do 26000, a 3 Armia do 20000 bagnietów i szabel; 16 Armia miała ich 25 000, a Grupa Mozyrska około 6000.

W ten sposób na naszym prawym skrzydle, przeciw nieco więcej, jak 30 000 polskich bagnietów i szabel, wysunęliśmy naszych około 60 000. Należy przy tym mieć na uwadze, że Polacy siły swoje eszelonowali daleko w głąb, jednak bez określonego ugrupowania, zaś pierwsza ich linia była rozciągnięta kordonowo. Jednocześnie odwody ich nie mogły stworzyć, nawet przy przegrupowaniu, żadnego groźnego dla nas skupienia w chwili naszego przejścia do natarcia. Na to były one zbyt słabe liczebnie, zbyt rozproszone i rozrzucone. W naszym planie leżało w dalszym ciągu jednoczesne wprowadzenie w bój wszystkich posiadanych sił, ażeby od razu znieść pierwszą linię bojową przeciwnika. Dalsze wprowadzenie w akcję odwodów polskich byłoby już nie z ich, lecz z naszą korzyścią, ponieważ pozwalałoby nam stopniowo rozbijać te siły.

Na odcinku 16 Armii stosunek sił był mniej więcej jednakowy. Za to na mało ważnym lewym skrzydle (kierunek Mozyrza) byliśmy dwa razy słabsi od Polaków.

Rozstawiając w ten sposób siły, dowództwo frontu miało na celu ruch oskrzydłający 4 Armii na północ od jeziora Wielkie Jelno, uderzenie czołowe przełamujące 15 Armii na Głębokie i uderzenie skrzydłowe 3 Armii w kierunku Parafianowa. 16 Armia, skupiwszy siły, miała atakować w kierunku Ihumienia i Mińska, wiążąc całe centrum przeciwnika. Grupa Mozyrska, która w tym czasie zajęła miasto Mozyrz, miała współdziałać z 16 Armią w kierunku Hłuska.

Przytoczone wyżej rozmieszczenie sił naszych było ustalone rozkazem dowódcy frontu zachodniego z 30 czerwca. W skład 4 Armii, nie licząc 48 Dywizji Strzelców, włączono 12, 18 i 53 Dywizje Strzelców, 164 Brygadę Strzelców i 3 Korpus Konny, złożony z 10 i 15 Dywizji Jazdy, pod dowództwem towarzysza Gaja. W skład 15 Armii włączono dywizje strzelców 4, 11, 16, 33 i 54; w skład 3 Armii - dywizje strzelców 5, 6, 21 i 56; w skład 16 Armii - dywizje strzelców 2, 8, 10, 17 i 27. Skład Grupy Mozyrskiej pozostał bez zmiany.

Ofensywa 4 lipca

Dnia 2 lipca dowódca frontu zachodniego wydał rozkaz przejścia do zdecydowanej ofensywy o świcie 4 lipca.

4 Armia otrzymała zadanie skierowania głównego uderzenia na północ od jeziora Wielkie Jelno i wejścia 5 lipca w rejon Szarkowszczyzna-Łużki. Konne masy miały być wyrzucone na brzeg lewy Dźwiny i w kierunku Święcian.

15 Armia otrzymała rozkaz uderzenia w kierunku Głębokiego.

3 Armia otrzymała zadanie zajęcia 5 lipca Dokszyca, a 6 lipca odcięcia przeciwnika od linii odwrotu drogą żelazną w rejonie st. Parafianowo.

16 Armia miała forsować Berezynę z 5 na 6 lipca dla natarcia w kierunku Ihumienia.

Grupa Mozyrska miała współdziałać z 16 Armią, działając na skrzydło przeciwnika.

Liniami rozgraniczającymi były: między armiami 4 i 15 ujście rzeki

Uszacz-miast. Łużki-Budzicze, między armiami 15 i 3 Dzwonie-źródła rzeki Berezyny, między armiami 3 i 16 jezioro Pelik - górny bieg rzeki Hajny.

Ofensywa rozwijała się z wielkim powodzeniem. 4 Armia wysunęła na północ od jeziora Wielkie Jelno 12 i 53 Dywizje Strzelców i 164 Brygadę Strzelców; za nimi wyruszył Korpus Konny; wzdłuż rzeki Dźwiny posuwała się 18 Dywizja Strzelców.

2 łatwością przełamawszy nieznaczące piesze oddziały przeciwnika, grupa uderzeniowa 4 Armii szybko i zdecydowanie wykonała swój ruch oskrzydłający. Jednakże po drodze napotkała niespodziewanie dla siebie polskie oddziały 8 Dywizji Piechoty. Mieliśmy przedtem jeszcze wiadomości, że Polacy sami przygotowują się do ofensywy i że pierwszym ich zadaniem ma być wyparcie nas z rejonu dzisieńskiego.

Najwidoczniej ruch 8 Dywizji Piechoty od Hermanowicz północnym brzegiem jeziora Wielkie Jelno był przygotowaniem tego manewru. Oddziały 8 Dywizji zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i

straciły całkowicie zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły osiągnąć w tych okolicznościach. Brak środków łączności do rozporządzenia dowódcy 4 Armii nie pozwalał mu kierować mocno oddziałami i dlatego działania dywizji 12 i 53 miały niezbyt skoordynowany charakter. W każdym jednak razie przeciwnik był rozbity, zaś nasze oddziały prowadziły nadal ofensywę, trochę zaledwie odchyliwszy się od postawionego im zadania. 18 Dywizja prowadzi uparty bój z przeciwnikiem i dopiero obejście, wykonane przez grupę uderzeniową i powodzenie, osiągnięte przez sąsiednią 15 Armię pozwoliły jej ruszyć z miejsca.

15 Armia, naprzeciw której znajdowały się główne siły przeciwnika, prowadziła całodzienną krwawą i uporczywą walkę. Dopiero wieczorem na całym odcinku wojsko polskie zostało rozgromione, pobite i z wielkimi stratami odrzucone w kierunku Głębokiego. Wzięto jeńców, karabiny maszynowe i działa.

3 Armia sforsowała Berezynę, rozbiła stojące naprzeciw niej oddziały polskie, zajęła na czas Dokszyce i również na czas przecięła drogę żelazną w rejonie Parafianowa. Przeciwnik, rozbity na tym obszarze energicznym ruchem oddziałów 3 Armii, musiał w popłochu odstąpić w kierunku północnym i północno-zachodnim, cofając się po terenach bagnistych, leżących na północ od linii kolejowej.

Już 7 lipca było jasne dla każdego, że oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione.

Działania 16 Armii były także uwieńczone całkowitym powodzeniem.

Przeszedłszy przez rzekę Berezynę i bijąc napotykaną po drodze polskie oddziały, posuwała się szybko naprzód w kierunku Ihumienia.

Grupa Mozyrska, przez natarcie z rejonu Hłuska w kierunku pół-nocno-zachodnim, udzieliła jej czynnego poparcia.

Ażeby zabezpieczyć lepiej sukces 16 Armii, 6 lipca dowództwo frontu rozkazało 3 Armii współdziałać z nią przez ruch w kierunku Mińska.

7 lipca wychodzi rozkaz, w którym 4 Armia otrzymuje następujące zadanie: w dn. 9 lipca znaleźć się w rejonie Twerecz-Goduciszki-Ko-maj, armia ta 10 lipca ma zająć rejon st. Mołodeczno; armie 3, 16 i Grupa Mozyrska zachowują poprzednie zadanie. Ofensywa rozwija się całkowicie pomyślnie na całym froncie. Korpus Konny, oderwawszy się zupełnie od głównych sił swojej armii i działając na północ od jeziornego i błotnistego rejonu Dżisny, zaszedł daleko na tyły „białej” armii polskiej i 9 lipca, po wygranej bitwie, zajął Święciany, zadając przeciwnikowi poważne straty i biorąc znaczną zdobycz wojenną. Demoralizacja, którą to uderzenie Korpusu Konnego wpoilo w wojsko nieprzyjacielskie, była tak wielka, że nie potrafiło ono dać odporu głównym siłom 4 Armii na linii potężnie umocnionych pozycji niemieckich. 9 lipca 4 Armia wykonała wyznaczone jej zadanie. 15 Armia również na oznaczony termin zajęła Mołodeczno. Armie 3 i 16, rozbijając dośrodkowym natarciem każdą próbę oporu przeciwnika, prowadziły nadal ofensywę z powodzeniem.

Przychwyciliśmy rozkazy polskie, z których wynikało, że dowództwo polskie, widząc swoją zupełną klęskę na odcinku północnym, nakazało planowy i stopniowy odwrót na odcinku naszej 16 Armii.

Jednakże manewr, przez nas przedsięwzięty, całkowicie pokrzyżował te plany, nie pozwalając Polakom zająć ani utrzymać we właściwym czasie ani jednego wytkniętego punktu. Organizacja ich odwrotu została zachwiana i przybrała charakter zupełnego bezładu.

Teraz przed frontem zachodnim powstało nowe zadanie strategiczne. Wzdłuż Berezyny, wpadającej do Niemna wraz z licznymi dopływami, rozciągają się trudne do przeprawy błota, pokryte gęstymi lasami i mające zaledwie kilka możliwych dla ruchu dróg. Górny bieg Niemna nie stanowi żadnej poważnej przeszkody dla wojsk napierających. Za to od błotnistego obszaru Berezyny płynie on w kierunku zachodnim, aż do ujścia rzeki Szczary i na całej tej przestrzeni stanowi już dość poważną przeszkodę, wskutek bystrości prądu i szerokości łóżyska. Dowództwo frontu miało więc rozstrzygnąć pytanie, którędy poprowadzi swoje główne siły: na północ czy na południe od tej przeszkody rozdzielającej?

Ze względu na zasadniczy pomysł oparcia naszego prawego skrzydła o granice państw wrogich Polsce i ze względu na mniejszą stratę czasu na przegrupowania postanowiono główne natarcie poprowadzić na

północ od Niemna. 9 lipca wydano rozkaz, według którego 3 Armia miała 11 lipca skoncentrować się w rejonie Chołchło-Pierszaje-Raków; 16 Armii rozkazano zająć 11 lipca Kojdanów; Grupie Mozyrskiej wskazano kierunek Słucka i Łunińca. Jako linie rozgraniczające wyznaczono: między armiami 4 i 15 Budzicze-jezioro Narocz-Oszmiana; między armiami 15 i 3 miast. Ilia-rzeka Berezyna-st. Listopady; między armiami 3 i 16 - rzeka Hajna-miast. Wołna. Armie północne miały dalej prowadzić ofensywę. Oddziały 3 Korpusu Konnego, podtrzymywane przez 164 Brygadę Strzelców, nacierały w dalszym ciągu od Święcian w kierunku Michaliszek. Tutaj, na skutek braku środków łączności, co utrudniało niesłychanie dowodzenie oddziałami armii, miała miejsce niepożądana zwłoka. Dowództwo 18 Dywizji niewydajmie traciło czas w rejonie jezioro Świr-Michaliszki, działając w oderwaniu i rozproszeniu swymi oddziałami. Łączności pomiędzy poszczególnymi dywizjami również nie było. Dowódca armii musiał osobiście jeździć do sztabów dywizji, otrzymywać tam niezbędne wiadomości i na miejscu dawać wskazówki. Zorganizowane i zespolone wysiłki trzech dywizji strzelców dają wreszcie wynik i rzeka Wilia zostaje sforsowana. Przeciwnik, poniosłszy tu poważne straty, rozpoczyna spieszny odwrót. 3 Korpus Konny nie miał również początkowo powodzenia. Kilka jego prób, aby sforsować rzekę Wilię, było każdorazowo odpierane przez oddziały piechoty polskiej. Wreszcie, przy pomocy 164 Brygady, zadanie to zostało spełnione i oddziały korpusu wdarły się na przedmieście miasta Wilna. Przez pewien czas i tu trwały uporczywe walki, ale 14 lipca rano Wilno zostało już przez nas zajęte ostatecznie. Kiedy tylko Litwini wyczuli, że Armia Czerwona odnosi zupełnie wyraźne powodzenia, ich stanowisko neutralne natychmiast zmieniło się na wrogi w stosunku do Polski. Oddziały litewskie uderzyły na polskie siły, zajmując Nowe Troki i st. Landwarowo.

Szybki ruch oskrzydłający Korpusu Konnego i pomoc wojska litewskiego odcięły północnej armii polskiej linię odwrotu ku Oranom i Grodnu. Część jej rozpoczęła szybki odwrót w kierunku miasta Lidy. W ten sposób w tym kierunku, w którym dośrodkowo posuwały się trzy nasze armie, musiało wojsko polskie cofać się z północy i wschodu. Kwestią życia dla wojska polskiego stało się zatrzymanie natarcia 15 Armii na pozycjach niemieckich, aby pozwolić cofnąć się głównym siłom i tyłom. Istotnie, natarcie 15 Armii napotkało gwałtowny opór na linii dawnych niemieckich umocnień. Rozpoczął się uparty bój w rejonie Smorgoń.

Ażeby dać szybszy rozwój wypadkom na prawym skrzydle 15 Armii przez związanie jego działań z pomyślnym natarciem 4 Armii, w kierunku Smorgoń wysunięto 5 Dywizję Strzelców, wycofaną z 3 Armii do odwodu dowódcy frontu zachodniego.

15 Armia przez kilka dni walczy na linii okopów niemieckich bez wyniku. Jednakże ruch oskrzydłający 18 Dywizji Strzelców z 4 Armii obala wreszcie polski opór w rejonie Smorgoń i oddziały 15 Armii zaczynają stopniowo od prawego ku lewemu zajmować pozycje niemieckie. Natarcie prowadzone jest znowu stanowczo, przy czym do zadań 15 Armii należy również współdziałanie w stopniowym usuwaniu wojska polskiego z pozycji na odcinku 3 Armii.

W rozkazie z 12 lipca 4 Armia otrzymuje zadanie wyjścia do rejonu Orkan w dniu 17 lipca; armie 15 i 3 otrzymują rozkaz zajęcia w tymże terminie linii Żyrmuny-Lida. Armia 16 ma w tymże czasie zająć rejon Baranowicz; Grupa Mozyrska ma posuwać się w kierunku Pińska. Ażeby ulżyć 16 Armii w pracy stopniowego zajmowania okopów niemieckich, począwszy od prawego skrzydła, skierowano ku niej 2 Dywizję Strzelców, wycofaną do odwodu frontu. Jako linie rozgraniczające wyznaczono: między armiami 4 i 15 Oszmiana-Woronowo-Skidel; między armiami 3 i 15 Listopady-Sobotniki-Lida-St. Mosty; między armiami 3 i 16 Wołna - ujście rzeki Berezyny-Dereczyn. W ten sposób Armii 3 postawiono za zadanie częściowe sforsowanie Niemna i przesunięcie części sił wzdłuż jego lewego brzegu. Ten środek miał ułatwić 16 Armii jej ciężkie zadanie sforsowania okopów niemieckich na wielkiej przestrzeni i dalszy jej ruch ku rzece Szczarze.

Można było z dużym prawdopodobieństwem przypuścić, że dowództwo polskie postanowi uporczywie bronić się na froncie 16 Armii i w tym celu wyzyska linię okopów niemieckich oraz bieg rzeki Niemna. W takim wypadku nasza Grupa Północna znalazłaby się w położeniu, w którym musiałaby się zatrzymać. Przewidując to, armiom dano wskazówkę, że na wypadek powstrzymania 16 Armii na pozycjach

niemieckich i na wypadek skoncentrowania na południe od Niemna wielkich mas polskich, zadaniem armii 3 i 15 będzie zmiana ich zasadniczego kierunku i uderzenie z północy na południe w skrzydle i na tyły polskich mas; 4 Armia powinna by zabezpieczyć to działanie przez natarcie w kierunku Grodna. Jednakże to przypuszczenie nie urzeczywistniło się. Armia 16 własnymi siłami potrafiła złamać opór rozbitych oddziałów armii polskiej, ale sam fakt manewru i gotowość naszego zasadniczego ugrupowania do manewrowania zasługuje na rozbiór nieco dokładniejszy.

Przy obecnych rozległych frontach jest rzeczą niemożliwą uderzać wszędzie jednakowo skupionymi siłami. Śmiałe prowadzenie działań musi bezwzględnie przewidywać skupienie wielkich ugrupowań wojskowych w kierunkach rozstrzygających i pozostawienie minimalnych sił na kierunkach drugorzędnych. Na wypadek powodzenia, na wypadek pomyślnego rozwoju dalszych działań, przed dowództwem wielkich jednostek wojskowych staje nieuchronnie zagadnienie - czy należy dalej prowadzić działanie, zatrzymując ugrupowanie poprzednie i poprzedni kierunek operacyjny, czy też należy wybrać nowy? Czy zatrzymać w linii bojowej wszystkie wysunięte do boju masy, czy też je rozrzedzić przez wycofanie części sił do odwodów? Czy nie lepiej prowadzić dalej pościg słabymi siłami i tylko wówczas, kiedy ujawni się nowe ugrupowanie sił nieprzyjacielskich, uderzyć na nie silnymi zachowanymi odwodami.

Te zagadnienia są rozstrzygające w działaniach współczesnych, ponieważ z małymi wyjątkami nie ma możliwości znieść siły nieprzyjacielskiej jednym mocnym i decydującym ruchem. Koniecznością jest prowadzenie działania za działaniem, uderzenia za uderzeniem i zadawanie przeciwnikowi ciągłych strat. Odpowiedzieć na te zagadnienia raz na zawsze odpowiednimi formułami - nie można. Położenie bywa zbyt różnorodne, aby stosować doń na zawsze określone prawidła. Ale jednocześnie zwykły rozwój działań współczesnych zmusza do wyciągnięcia pewnych wniosków. Przede wszystkim rozległość frontu ogólnego natarcia i nieuniknione zniszczenie linii kolejowych przez armię ustępującą uniemożliwia przerzucenie wojska we właściwym czasie. Dlatego raz podjęte zmasowanie wojska, przy szybko rozwijającej się ofensywie, może być zmienione jedynie z wielką trudnością i to częściowo. Po wtóre, pozostawienie w ścigającej linii bojowej zaledwie niewielkich sił może pozwolić łatwo przeciwnikowi zorganizować się, zatrzymać nasze natarcie i doprowadzić do porządku swoje zdeorganizowane oddziały. To wszystko nie znaczy, żeby nieprzyjaciół godził się zaraz stawiać znów z nami do boju. Na odwrót, w całym szeregu wypadków będzie on starcia unikał, zanim nie przygotuje nowego potężnego przeciwuderzenia. W tym wypadku wprowadzenie do akcji utworzonych przez nas znacznych odwodów celem rozbicia przeciwnika, który się zatrzymał, może stać się uderzeniem w próżnię, nie prowadzącym do żadnych pozytywnych wyników, ale jeszcze pociągającym za sobą nieuniknioną stratę czasu.

Niemówność przy obecnych rozległych frontach zniesienia armii przeciwnika jednym uderzeniem zmusza do osiągnięcia tego szeregiem działań kolejnych, które powinny kosztować przeciwnika drożej niż nas. Im szybciej będziemy go pędzili, im mniej damy mu czasu na zorganizowane wycofanie się z bitwy, tym więcej wpłyniemy na rozkład jego sił zbrojnych i uniemożliwimy lub bardzo utrudnimy nową bitwę generalną. Słowem, szereg logicznie prowadzonych działań niszczących, złączonych nieprzerwanym pościgiem, może zastąpić tę rozstrzygającą bitwę, która była najlepszą formą starcia za poprzednich armii, nie mających frontów o takiej rozciągłości.

Przeciw tego rodzaju wywodom wysuwają dość uzasadnioną obiekcję, że zgromadzenie na rozstrzygającym kierunku mas taranowych zbyt wyraźnie uwydatnia zasadniczą myśl operacyjną. Przepada zupełnie możliwość zaskoczenia. Rozpoczynające się ugrupowanie taranowe ułatwia przeciwnikowi zawczasu przygotowanie przeciwuderzenia i w odpowiedniej chwili z odpowiedniego rejonu spotka się z jego przeciwnatarciem.

Każda bitwa jest rzeczą złożoną i wielostronną. I te braki natarcia taranowego, które zostały przed chwilą przytoczone, istotnie odpowiadają rzeczywistości. Ale jeżeli zagadnienie rozpatrzyć szerzej, to ujrzymy takie jego strony, które te braki całkowicie wyrównują. Po pierwsze nie wolno zapominać, że pobity przeciwnik jest pod względem dysponowania siłami zbrojnymi w gorszym położeniu niż armia zwycięska. Bezwład klęski i poczucie położenia bez wyjścia ogarnia cofającego się, jeżeli nie dają mu

możności zaczepienia się o cokolwiek ani możliwości przegrupowania, jeżeli zmuszają go co dzień do przyjmowania wciąż nowych walk i tracenia wciąż nowych i nowych sił. Dlatego, jeżeli zasadnicze ugrupowanie taranowe zwrócone jest w odpowiednim kierunku i odpowiednio ubezpieczone na skrzydle i w drugorzędnych kierunkach, to każde przejście przeciwnika do natarcia staje się dla tych mas nie przykrością, ale upragnionym, jedynym marzeniem. W nacierającym zwycięzcy każdy objaw aktywności ze strony przeciwnika może wywołać jedynie radość, ponieważ daje mu wreszcie możliwość dopędzenia głównych zachwianych sił wroga i wymierzenia mu ostatecznego, druzgocącego ciosu. Skupienie mas taranowych jest, jak już wspomniano wyżej, nieuniknionym wynikiem charakteru wojny współczesnej. Armia niemiecka na froncie francuskim w r. 1914 i cały szereg naszych kampanii w okresie wojny domowej mogą być przytoczone jako dowód tego. Również na przykładzie naszej kampanii przeciw "białym" siłom Polaków w 1920 r. można z wielką korzyścią przestudiować zagadnienie o wykorzystaniu mas taranowych. Kiedy 16 Armia potrzebuje pomocy od północy, masa taranowa, pod postacią 3 Armii, daje ją przez natychmiastowe natarcie na Mińsk. Gdyby 16 Armia potrzebowała pomocy na linii starych okopów niemieckich, to potężne uderzenie nie mniej, jak dwóch naszych armii padłoby na skrzydło i tyły działającego przeciw niej wojska polskiego. W dalszym okresie naszych działań, podczas walk naszych nad Bugiem, mogła wyniknąć potrzeba takiegoż manewru ze strony naszych armii północnych. I gdyby wynikła, to oczywiście mogłaby być natychmiast zaspokojona. Niepowodzenie naszego ostatniego działania nad Wisłą nie powinno mieszać istoty zagadnienia i prowadzić do nieprawidłowych i lekkomyślnych wniosków. Tam zaszedł nie błąd w zasadniczym ugrupowaniu naszego uderzenia, ale niedopatrzenie pod względem jego skrzydłowego ubezpieczenia. O tym będzie mowa dalej.

Rewolucja z zewnątrz

Kiedy z całkowitą i wyraźną jasnością uwydatnił się ten ostateczny pogrom, któremu uległy armie polskie na froncie zachodnim, kiedy armie nasze forsowały nareszcie linie umocnień niemieckich, niepokój i panika ogarnęły nie tylko burżuazję polską, ale i jej europejskich protektorów. Otrzymaliśmy notę Curzona, w której proponował nam, żebyśmy zatrzymali się na osiągniętej rubieży, a rząd angielski będzie pośredniczył między nami i rządem polskim w sprawie ustalenia naszych wspólnych granic według traktatu wersalskiego, to jest na granicy etnograficznej Polski. Oczywiście nie można było dowierzać temu wystąpieniu dyplomacji kapitału angielskiego. Mieliśmy już jedną taką próbę pośrednictwa Anglii między nami a Wranglem, która zakończyła się wzmocnieniem i czynnym wystąpieniem Wrangla pod pokrywką pośrednictwa angielskiego. Ale jednocześnie nota Curzona, chociaż spowodowana naszymi zwycięstwami, miała niektóre cechy ultimatum. Na wypadek, gdybyśmy się nie zgodzili na propozycję angielską, groziło nam wystąpienie czynne przeciw nam kapitału angielskiego. W jaki sposób wystąpienie to miało się konkretnie wyrazić, nie wiedzieliśmy dokładnie, ale było zupełnie jasnym, że sytuacja staje się groźna. Walka polskiego kapitału z proletariacką rewolucją rosyjską rozwijała się do skali europejskiej.

Jeżeli uchyliliśmy pośrednictwo Curzona, to rzuciliśmy tym samym wyzwanie kapitałowi europejskiemu i walka zapowiadała się na śmierć i życie. Było zupełnie jasne, że nawet w razie zupełnego rozbicia Polski „panów”, wojna klasowa nie mogłaby być przerwana i musiałaby stanowczo przelać się żywiołowo do krajów Europy środkowej.

Jaki był stan proletariatu zachodnioeuropejskiego? Czy był on przygotowany do rewolucji? Czy mógłby wesprzeć, wlać się w lawinę socjalistyczną, która toczyła się ze wschodu, niosąc mu wolność? Dalsze wydarzenia dają wyraźną odpowiedź twierdzącą na te pytania.

Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofensywy cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i „białych” polskich armii, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich. Wiedzieliśmy, że w przejściu przez Białoruś znajdziemy nie tylko przyjazny do nas stosunek, ale i znaczne posiłki w postaci zmobilizowanej przez nas masy „krasnoarmiejskiej”. To przewidywanie sprawdziło się całkowicie.

Ponad 30 000 dobrego, pewnego rekruta zaciągnęliśmy pod sztandary, wyszkoliliśmy i włąli w szeregi Armii Czerwonej. Jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego.

Położenie w Polsce przedstawiało się równie pomyślnie dla rewolucji. Silny ruch proletariatu i nie mniej groźny ruch robotników rolnych stawiał burżuazję polską w niezmiernie trudnym położeniu. Wielu komunistów polskich sądziło, że wystarczy nam dojść do etnograficznej granicy Polski, aby rewolucja proletariacka w Polsce stała się nieunikniona i zupełnie pewna. Istotnie, po zajęciu rejonu białostockiego spotkaliśmy się z gorącym przyjęciem i poparciem ludności robotniczej. Na mitingach masowych uchwalano rezolucję o wstępowaniu do Armii Czerwonej. Włościanie początkowo traktowali nas podejrzliwie pod wpływem agitacji księży i szlachty, ale bardzo szybko oswoili się z nami i uspokoili. Parobcy rolni wyraźnie z nami sympatyzowali. Tak więc to wszystko, co widzieliśmy w zajętej przez nas części Polski, bezwarunkowo sprzyjało ofensywie socjalistycznej i gotowe było ją poprzeć.

To, co się mówi o rozbudzeniu uczuć narodowych wśród klasy robotniczej polskiej w związku z naszą ofensywą, jest po prostu wynikiem przegranej przez nas kampanii. Strach ma wielkie oczy. Nie należy zapominać, że przy podejściu naszym pod Warszawę ludność robotnicza Pragi, Łodzi i innych środowisk fabrycznych burzyła się głucho, ale była dławiona przez burżuazyjne polskie oddziały ochotnicze. Liczenie na rewolucję w Polsce, idącą na spotkanie naszej ofensywie, stanowiącą wynik strzaskania narzędzia ucisku w rękach burżuazji polskiej - miało poważne podstawy i, gdyby nie nasza klęska, byłoby uwieńczone pełnym powodzeniem.

Czy Europa mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na Zachodzie?

Wypadki mówią, że tak. Nasza szybka i zwycięska ofensywa poruszyła, wzburzyła całą Europę i zahipnotyzowała wszystkich razem i każdego z osobna, ciągnąc oczy ludzkie na wschód. Zarówno robotnicze, jak burżuazyjne dzienniki zajęte były tylko tym jednym zagadnieniem: ofensywą bolszewicką. To była myśl ogólna, na to zwracano wszędzie wyteżoną uwagę. Robotnicy niemieccy otwarcie wystąpili przeciw Entencie, zawracali transporty z zaopatrzeniem i uzbrojeniem, które Francja przesyłała Polsce, nie dopuszczali do wyładowywania francuskich i angielskich statków z amunicją i bronią w Gdańsku, powodowali katastrofy kolejowe itd. - słowem, prowadzili czynną walkę rewolucyjną na korzyść Rosji sowieckiej. W Prusach Wschodnich, kiedy otarliśmy się o nie, popłynęły do nas setki i tysiące ochotników, sparta-kusowców i robotników bezpartyjnych pod sztandary Czerwonej Armii, tworząc w niej niemiecką brygadę strzelców.

Należy zauważyć, że polski komitet rewolucyjny również postanowił sformować polską Armię Czerwoną, która zaczęła tworzyć się w przyspieszonym tempie, ale w chwili naszej przegranej nie zdążyła jeszcze zakończyć swojej organizacji.

Tak więc Niemcy kipiały i dla ostatecznego wybuchu czekały tylko, aby dotknął ich zbrojny potok rewolucji.

W Anglii klasa robotnicza była również ogarnięta przez najżywszy ruch rewolucyjny. Komitet ruchu stanął do jawnej walki z rządem angielskim. Pozycja tego ostatniego była silnie zachwiana. Położenie przypominało stan rządu carskiego w epoce istnienia rady delegatów robotniczych w r. 1905.

We Włoszech wybuchła prawdziwa rewolucja proletariacka. Robotnicy zajmowali fabryki i zakłady przemysłowe, organizując swoje zarządy. Gdyby nie nikczemna działalność socjaldemokratów, rewolucja rozrosłaby się niechybnie do olbrzymich rozmiarów.

We wszystkich krajach europejskich położenie kapitału zachwiało się. Klasa robotnicza podniosła głowę i porwała za broń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski.

Oczywiście, po przegranej wojnie łatwo jest doszukiwać się błędów politycznych i nieprawidłowych posunięć. Ale sytuacja, tylko co przedstawiona, mówi sama za siebie. Rewolucja z zewnątrz była możliwa.

Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi i, gdyby nie nasze błędy strategiczne, nie nasza przegrana na polu walki, to być może, że wojna polska stałaby się ogniwem, które Rewolucję Październikową złączyłoby z rewolucją zachodnioeuropejską.

Forsowanie Niemna i Szczary

Dalsza ofensywa naszego zasadniczego północnego ugrupowania róż wijała się bez przerwy i z ciągłym powodzeniem. W rejonie Zyrmuny- Lida przeciwnik poniósł poważną porażkę i stracił znaczną ilość jeńców i artylerii. 16 Armia i Grupa Mozyrska działały dalej z równym powodzeniem.

18 lipca dowództwo frontu wskazało dalsze zadanie (szkic nr 9). 4 Armia otrzymała rozkaz forsowania 21 lipca rzeki Niemna w rejonie na południe od Grodna, 15 Armia - forsowania rzeki Niemna w dn. 22 lipca, 3 Armia - forsowania głównymi siłami rzeki Niemna w rejonie ujścia Szczary, 16 Armia - forsowania rzeki Szczary w rejonie na północ od Słonimia. Linie rozgraniczające wyglądały jak następuje:

między armiami 4 i 15 Skidel-Indura, między armiami 15 i 3 st. Mosty- Roś, między armiami 3 i 16 pozostawiono linię poprzednią.

Tymczasem dowództwo polskie organizowało również ze swej strony nową operację. Zamierzając za wszelką cenę utrzymać się na linii rzek Niemna i Szczary, miało zamiar skupić grupę uderzeniową z sześciu dywizji piechoty w rejonie Grodna, ażeby uderzyć na skrzydło głównego ugrupowania naszej armii. W tym celu posuwały się ku Grodnowi dywizje piechoty 5, 8 i 10, a zebrane w Białymstoku dywizje 9 i 17 i trzy pułki ułanów posuwały się przez miasto Kuźnicę ku Grodnowi od zachodu. 2 Dywizja Litewsko-Białoruska znajdowała się już w tym rejonie (szkic nr 10).

Szybkie działanie 3 Korpusu Konnego rozbiło wszystkie plany polskie. Już 19 lipca zagonem zajęta została twierdza Grodno. Oddziały litewsko-białoruskie były rozbite i w nieładzie wyparte na brzeg zachodni Niemna. Oddziały 15 Dywizji Jazdy zajęły Kuźnicę, a 10 Dywizja Jazdy zajęła miasto Skidel, oczekując nadejścia sił pieszych 4 Armii. Tymczasem piesza masa polska, doszedłszy do rozmieszczenia naszych dywizji jazdy, przeszła do zdecydowanego natarcia i z powodzeniem zaczęła wypierać te oddziały. W czasie, kiedy na zachodnim brzegu rzeki Niemna 15 Dywizja Jazdy była wyparta do twierdzy i ustaliła się na brzegu, 10 Dywizja Jazdy prowadziła uporczywy bój z rozwiniętymi „białymi” dywizjami Polaków na przedpolu Grodna ze strony miasta Lidy. Tymczasem piesza masa 4 Armii debuszowała z puszczy grodzieńskiej i wpadła na tyły i skrzydła idących naprzód dywizji polskich. Dywizje te zostały obalone, zgniecione i w całkowitym nieładzie odrzucone na południe ku st. Mosty. Drogę przecięły im podchodzące oddziały 15 Armii, bijąc je ostatecznie, powodując demoralizację i odrzucając je na zachodni brzeg rzeki Niemna. Tak niepomysłnie zakończyła się dla Polaków próba przedsięwziętego przez nich ugrupowania przeciwuderzeniowego. Nasze wojsko zdecydowanie nacierało i na całym froncie, po szeregu walk, sforsowało rzekę Niemna. 16 Armia, po sforsowaniu rzeki Szczary, na przedpolu Wołkowyska spotkała się z silnym przeciwnatarciem oddziałów polskich. Natarcie to zostało odparte, przy czym Polacy stracili wielką ilość jeńców i dział. Na całym froncie ofensywa nasza rozwijała się w dalszym ciągu.

Po wiadomości o zajęciu Grodna, głównodowodzący dał dyrektywy dla frontu zachodniego, nakazując zajęcie Warszawy na 12 sierpnia.

Zagadnienie, czy trzeba było, czy nie trzeba zatrzymywać się na polskiej granicy etnograficznej, jest również jednym z ulubionych tematów polemicznych. Większa część naszych autorów wskazuje na to, że na tej rubieży wygodniej nam się było zatrzymać, zorganizować swoje tyły, naprawić łączność i odbudować linie kolejowe, wlać w oddziały uzupełnienia, które w liczbie 60 000 ludzi znajdowały się w eszelonach i posuwały się za idącym naprzód wojskiem, następnie zaś, podremontowawszy się i wzmocniwszy, rozpocząć nową ofensywę dla ostatecznego unicestwienia armii polskiej.

Takie postawienie sprawy jest istotnie bardzo nęcące. O ileż przyjemniej nacierać, kiedy koleje są w porządku, kiedy łączność działa bez przerw, kiedy oddziały są uzupełnione do przepisanej liczby, a przeciwnik jednocześnie jest pod wpływem rozkładu i demoralizacji. Ale czyż tak w rzeczy samej układały się warunki? Ciągłość naszego pościgu ostatecznie demoralizowała wojsko polskie.

Według świadectwa francuskich i polskich oficerów, oddziały wojskowe straciły wszelką wytrwałość bojową. Tyły polskie roiły się od dezertorów. Nie było żadnej nadziei ratunku; wszyscy uciekali w tył,

nie wytrzymując najmniejszej poważnej walki. I ten brak wytrwałości panował nie tylko w oddziałach wojskowych, ale i wśród wyższych dowódców polskich.

Czy to położenie, w którym my, acz liczebnie słabsi, byliśmy jednak silniejsi od przeciwnika, mogło ostać się w wypadku, gdybyśmy się zatrzymali na granicy Polski? Oczywiście nie. Jeżeli nam to zatrzymanie dałoby możliwość przeprowadzenia uzupełnień, wzmocnienia naszych tyłów, doprowadzenia do porządku całego organizmu nacierających armii, to - rzecz jasna - Polacy pod tym względem mieli znacznie szersze możliwości. Nie należy zapominać, że stawką w grze było istnienie świata kapitalistycznego, nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Nieprzerwane transporty i eszelony z amunicją i bronią szły na pomoc armii polskiej z Francji i Anglii. Strajki i czynne przeciwdziałanie robotników niemieckich w Gdańsku i na kolejach tłumione były siłą przez wojska francuskie i angielskie, które brały na siebie troskę o wyładowanie i załadowanie niezbędnego zaopatrzenia. Kapitał polski wyęczał wszystkie swoje siły, rozwijając wściekłą agitację przeciw ofensywie bolszewickiej. Księża służyli mu całkowicie i wzywali ludność polską do samoobrony narodowej. Formowanie burżuazyjnych oddziałów ochotniczych szło bardzo dobrze. I gdybyśmy tylko dali Polakom spokojnie przeprowadzić tę pracę, to po dwu lub trzech tygodniach, potrzebnych nam do zakończenia naszych spraw, spotkalibyśmy się z armiami znacznie silniejszymi od naszych i musielibyśmy znowu stawiać na kartę naszą przyszłość strategiczną. Wobec tego wstrząsu, jakiego doznała armia polska, mieliśmy prawo i powinniśmy prowadzić dalej naszą ofensywę. Zadanie było trudne, śmiałe, złożone, ale zagadnień światowych nie rozstrzyga się za pomocą tatwiotkich zadań.

Walki nad Narwią i Bugiem

W końcu lipca rozpoczynają się nasze walki nad Narwią i Bugiem. Po raz pierwszy od czasu początkowych działań bojowych Polacy stawili nam tu uparty opór.

Na odcinku armii 4, 15 i 3 musielśmy koniecznie forsować grząskie rzeki Biebrzę, Narew i Nurzec, które miały mało przepraw i stanowiły poważną przeszkodę. Polacy wykorzystali tę przeszkodę i, ustawiwszy nieco za nią swoje wojsko, stawili nam bardzo poważny opór. Do powodzenia ich przyczyniła się i ta okoliczność, że nasze środki łączności po dawnemu były niedostateczne, a dowodzenie wojskiem było nadzwyczaj utrudnione, co często nadawało walkom cechę pewnego rozproszenia i, oczywiście, tamowało sukces. W szczególności okoliczność ta dała się odczuć na odcinku 16 Armii, która zajmowała rozległy front około 80-wiorstowy, mając wszystkiego pięć dywizji strzelców. Położenie 16 Armii komplikowało się jeszcze przez istnienie na skrzydle twierdzy Brześć.

Po sforsowaniu Niemna w rozkazie z 23 lipca była nakreślona dalsza ofensywa. Armiom frontu rozkazano w dniu 3 sierpnia wyjść na linię:

Ostrołęka-Ostrów-Kosów-Drohiczyn-Biała-Włodawa. Jako linie rozgraniczające wskazano: między armiami 4 i 15 Indura-Sokołówka- Zambrów-Pasieki, dla 4 włącznie; między armiami 15 i 3 Roś-Strabla-Brok, wszystko dla 15 Armii; między armiami 3 i 16 Dereczyn- st. Hajnówka-Boćki-Miedzna, wszystko dla 3 Armii; między 16 Armią i Grupą Mozyrską Brześć-Międzyrzec.

Korpus Konny, zyskując nadal 1 do 2 przemarszów w stosunku do głównych sił 4 Armii ruszył na Ossowiec i po walce zdobył tę twierdzę. Dalszy jego ruch skierowany był ku Łomży. W ślad za Korpusem Konnym szła 12 Dywizja Strzelców. Dywizje 18 i 53, podszedłszy ku brzegom Marwi na odcinku Strąkowa Góra-Babino, nawiązały z przeciwnikiem decydujące walki, sforsowawszy rzekę, ale bój trwał ze szczęściem zmiennym bez zasadniczych wyników.

15 Armia, wyszedłszy na błotniste brzegi Narwi, również zaczęła prowadzić walki czołowe bez wyników.

3 Armia, doszedłszy do bagnistych brzegów Nurca, prowadziła tu walki dość nieporządne. Dowódca 3 Armii, towarzysz Łazarewicz, w tym czasie zachorował, nie mógł się ruszać, i dowództwo armii nieco się rozprzęgło. Faktycznie, 3 Armia otrzymała najłatwiejsze zadanie: nie miała przed sobą poważnych przeszkód naturalnych i posiadała dostateczną zdolność uderzeniową.

Korpus Konny, podszedłszy do Łomży, atakował ją od północy 15 Dywizją Jazdy i przeprawił się na południowy brzeg Narwi 10 Dywizją Jazdy. Jednakże walki tutaj doprowadziły do wyniku nie od razu. Dopiero przy pomocy 12 Dywizji Strzelców udało się ośwładać tę fortalicję 2 sierpnia.

53 Dywizja forsuje wreszcie 1 sierpnia Narew w rejonie Strąkowej Góry, bijąc w skrzydło przeciwnika, stawiającego opór 18 Dywizji.

18 Dywizja Strzelców forsuje Narew w kierunku Jeziora i wśród uporczywych walk posuwa się dalej. W ten sposób na północy przeciwnik obalony na całym froncie 4 Armii i oskrzydłony, zaczyna cofać się przed armiami 15 i 3, które deptają mu po piętach, nękając ciągłymi walkami tylnych straży.

W 16 Armii sprawa przedstawiała się mniej szczęśliwie. Dowództwo frontu, biorąc w rachubę rozciągnięcie frontu tej armii, wskazywało jej konieczność ugrupowania sił głównych ku prawemu skrzydłu, żeby wspólnie z naszym zasadniczym ugrupowaniem frontowym szybko złamać opór przeciwnika. Ale twierdza Brześć zajęła uwagę 16 Armii i odciągnęła główne jej siły, chociaż przy liczebności znajdującej się tam polskiej załogi twierdza ta nie była dla nas bynajmniej groźna.

Rozciągnięte na olbrzymiej przestrzeni dywizje 27 i 8 prowadzą walki bez wyniku wzdłuż rzeki Bug, nie mając możliwości sforsowania jej. Dopiero po zajęciu Brześcia 16 Armia przeprowadza wreszcie wskazane jej ugrupowanie i forsuje Bug. Ofensywa znowu zaczyna rozwijać się z powodzeniem. Grupa Mozyr-ska, która przysłała z pomocą 16 Armii przy zdobyciu twierdzy Brześć, również forsuje Bug i wykonuje otrzymane zadanie.

Mając na względzie, że armie 4 i 15 znowu będą musiały forsować Narew, a także biorąc pod uwagę wzmożony opór przeciwnika, linie rozgraniczające między armiami 4 i 15 przeciągnięte są od Zambrowa przez m. Ostrołękę: w ten sposób cała 4 Armia bez przeszkód obchodzi Narew.

Walki naszego głównego ugrupowania frontowego nad Narwią i Bie-brzą zaciągnęły się w ogólnej sumie od 28 lipca do 1 sierpnia. Było to pierwsze nasze poważne zatrzymanie. Za to na odcinku 16 Armii sprawa stała znacznie gorzej. Z powodu wzmiankowanego wyżej) rozproszenia sił, 16 Armia dopiero 6 sierpnia zdobyła się na sforsowanie Bugu.

To ostatnie zatrzymanie, wynikające nie z siły oporu nieprzyjacielskiego i nie z trudności forsowania rzeki, ale głównie z braków w ugrupowaniu sił, stało się przyczyną nieco rozbieżnej oceny położenia przez dowództwo frontu i naczelne dowództwo. Z rozmowy hughesowej 8 sierpnia widzimy, że zdaniem naczelnego dowództwa główne siły wojska polskiego skoncentrowane są na lewym brzegu Bugu i gotowe do przyjęcia nowej rozstrzygającej bitwy. Skutkiem tego naczelne dowództwo uważało za bardziej celowe przerwanie masowego natarcia naszego północnego ugrupowania na zachód i uderzenie główną masą sił na lewe skrzydło zasadniczego ugrupowania przeciwnika, ażeby jeszcze nie dochodząc do Wisły ostatecznie rozbić armię polską.

Według danych wywiadu frontu zachodniego położenie przedstawiało się zupełnie inaczej. Główne ugrupowanie wojska polskiego istniało w dalszym ciągu na linii kierunku naszego głównego natarcia. Stosunek wzajemny sił wykazuje tablica IV.

W ten sposób naturalnym i jedynie prawidłowym zadaniem była dążność do rozbicia zasadniczego północnego ugrupowania przeciwnika. I to było tym bardziej naturalne, że wymagało mniej niż jakiegokolwiek inne działanie ruchów złożonych i mniej straty czasu. Przede wszystkim zaś można było być już zupełnie pewnym, że przeciwnik zaczął się cofać za Wisłę. W ten sposób obniżenie ku południowi naszego uderzenia taranowego oznaczałoby uderzenie w próżnię, stratę czasu i wyprowadzenie całej masy wojsk na najtrudniejszy do przebycia kierunek ku Warszawie. Wobec tego dowództwo frontu pozostawiło w sile dane armiom zadania i prowadziło dalej ofensywę.

Dziś, kiedy wiemy, co działo się w tym czasie po stronie polskiej, z zupełną pewnością możemy stwierdzić, że front zachodni miał słuszość w swych działaniach. Już 6 sierpnia, na posiedzeniu Rady Wojennej w Warszawie postanowiono oderwać się od pościgu naszych oddziałów i po przeprowadzeniu za Wisłą zasadniczego przegrupowania przejść do kontrofensywy. Oczywiście, byłoby nam znacznie przyjemniej rozpocząć rozstrzygającą bitwę przed dojsiem do Wisły, ale przeciwnik ustępował.

Należało gotować się do najtrudniejszego, najcięższego i najniebezpieczniejszego działania: do walki ze wszystkimi siłami polskimi, opierającymi się o szeroką, bystrą i trudną do przeprawy Wisłę.

Nasze armie północne wśród walk o średnim napięciu bez przerwy posuwały się naprzód. 16 Armia i Grupa Mozyrska łatwo, miejscami utraciwszy kontakt z przeciwnikiem, prowadziły dalej ofensywę.

W7 rozkazie z 3 sierpnia armii postawiono za zadanie dojść 8 sierpnia do linii Przasnysz-Maków-Wyszków-Parczew.

Zadanie zostało wykonane.

Położenie nad Wisłą

Ciągłe niepowodzenie, ciągłe cofanie się ostatecznie złamały zdolność do boju armii polskiej. Było to już nie to wojsko, z którym wypadło nam się mierzyć w lipcu tegoż roku. Całkowite zdemoralizowanie, całkowita niewiara w możliwość powodzenia podkopały siły zarówno dowódców, jak i rzeszy żołnierskiej. Cofano się nieraz bez żadnego powodu. Tyły były wprost zawałone przez dezertów. Żadne represje nie mogły odtworzyć porządku i zaprowadzić dyscypliny. Na dobitkę, łączyły się z tym jeszcze obostrzone antagonizmy klasowe.

Przez zastosowanie mobilizacji całej burżuazji i inteligencji polskiej środowiska robotnicze zostały zdławione, ale tętniły bunt.

Przy pomocy sztabu generalnego francuskiego oraz uzbrojenia i zaopatrzenia z Francji, Polska wobec całkowitej swojej porażki, gorączkowo porwała się do odtworzenia swoich sił bojowych. W tym czasie armia polska nie osiągnęła jeszcze swej ostatecznej struktury, ale za to teraz formowanie szło całą siłą pary. Dywizje drugiej linii z numerami pułków od 101 i wyżej. Zjawiały się na naszym froncie jedna za drugą. Wreszcie pojawiły się formacje trzeciej linii, tzw. ochotnicze. Te formacje, bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostateczne zalety bojowe, ponieważ przeważnie kompletowały się z elementów inteligentnych i burżuazyjnych, które pojmując, że los ich stawia się na kartę, zdradzały wielkie zdecydowanie i upór. Słowem, na tyłach za Wisłą prowadzono intensywne przygotowanie nowych sił, mobilizację i akcję formacyjną. Wszystko to spieszenie zbierano razem i rzucano w głównych kierunkach. Pod Warszawą wzmocniono umocnienia.

Stworzono bardzo silny plac zborny od Modlina do Warszawy i nieco bardziej na południe. W tym kierunku ściągano siły ze wszystkich stron. Jeżeli w czasie naszych walk nad Niemnem i Szczarą stosunek wzajemny sił wypadał na naszą korzyść, to obecnie położenie zmieniło się zasadniczo. Za to siły Polaków wzrosły według danych naszego ówczesnego wywiadu do 70 000, w rzeczywistości zaś były jeszcze większe.

Pojmując dobrze swoje położenie bez wyjścia, dowództwo polskie, jak należy sądzić nie bez udziału francuskiego sztabu generalnego, 6 sierpnia przesięgało prawidłowe, śmiałe postanowienie oderwania swojego wojska od naszych ścigających je mas i zasadniczego przegrupowania sił na całym froncie polskim. Widząc, że losy Polski rozstrzygać się będą nad Wisłą, dowództwo polskie ściąga tu wszystkie swoje siły. Z kierunku lwowskiego odwołuje się prawie wszystkie oddziały polskie. Zostawia się tylko ukraińskie oddziały partyzanckie armii gen. Pawlenki i resztki 6 Armii, według źródeł polskich w składzie zaledwie jednej dywizji jazdy. Jednakże należy przypuszczać, że z dywizji piechoty zostało tu także choć cokolwiek. Cała ta słaba grupa otrzymała za zadanie zabezpieczenie rejonu naftowego.

Wszystkie pozostałe siły polskie są przerzucone liniami kolejowymi w kierunku północnym. Dowództwo polskie ryzykuje stratę Galicji, ale ma nadzieję wygrania bitwy generalnej i zbawienia w ten sposób Polski burżuazyjnej. Dlatego cała armia polska koncentruje się nad Wisłą.

Z naszej strony sytuacja wyglądała jak następuje: oddziały frontu zachodniego były wycieńczone i osłabione fizycznie, ale silne duchem i nie bały się przeciwnika. Przeciwnik, dwa czy trzy razy silniejszy, nie mógł powstrzymać naszego natarcia. Działała siła bezwładu uderzenia, siła bezwładu zwycięstwa. Ale jeżeli oceniać nasze ogólne położenie strategiczne, sprawa przedstawiała się bynajmniej nie tak różowo. Jeszcze przed rozpoczęciem kampanii polskiej rozpatrywano zagadnienie połączenia frontów zachodniego i południowo-zachodniego. Wówczas naczelne dowództwo uznało takie zjednoczenie za

przedwcześnie i projektowało jego urzeczywistnienie przy osiągnięciu południka Brześcia Litewskiego. W istocie błotniste Polesie nie pozwalało na bezpośrednie współdziałanie frontów zachodniego i południowo-zachodniego;

dlatego postanowienie powyższe było zupełnie możliwe. Ale kiedy po wyjściu przez nas na wskazaną linię próbowaliśmy urzeczywistnić zjednoczenie, okazało się, że jest ono prawie niewykonalne wobec zupełnego braku środków łączności. Front zachodni nie mógł jej nawiązać z frontem południowo-zachodnim. Przy pomocy posiadanych przez nas nędznych środków mogliśmy wykonać to zadanie nieprędko, nie prędzej, jak 13-14 sierpnia, a położenie już w końcu lipca stanowczo wymagało natychmiastowego zjednoczenia całego wojska pod wspólnym dowództwem. W rozmowach hughesowych z głównodowodzącym i w telegramach znajdujemy ciągle roztrząsanie samego zagadnienia i tych sposobów, jakie przesiębrano, aby je urzeczywistnić.

Dowództwo frontu zachodniego, licząc, że lada dzień otrzyma do rozporządzenia armie konne 12 i 1, już zawczasu przeznaczało im za zadanie ściąganie ku lewemu skrzydłu zasadniczych armii frontu, ale sprawa zaciągała się i zadanie to pozostało otwarte.

Siły frontu południowo-zachodniego nie współdziałały z zasadniczymi siłami frontu zachodniego. Szczególnie mocnym podkreśleniem powyższego była ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał przed sobą swoje miejscowe i samo w sobie nadzwyczaj ważne zadanie ośrodkiem obszaru galicyjskiego - miastem Lwowem. Toteż w tym kierunku szły zasadnicze wysiłki frontu południowo-zachodniego, rozchodząc się w ten sposób z wysiłkami frontu zachodniego co najmniej o 90°.

Położenie złożyło się niesłychanie niepomysłnie dla frontu zachodniego. Wychodząc na przedpoła Wisły, był on pozostawiony swoim siłom, podczas gdy przeciw niemu były skupione siły całej armii polskiej. Ta okoliczność była już wyżej wyjaśniona przy początku naszych walk nad Wisłą. Wywiad sztabu polowego przeczył naszym wiadomościom o dokonywanym przez Polaków przegrupowaniu, uważając, że wszystkie siły, które były na froncie południowo-zachodnim, pozostają naprzeciw niego nadal. W tej sprawie istnieje spór w rozmowie hughesowej.

Do całej tej sprawy wplątała się jeszcze ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał wzrok zwrócony w dwu kierunkach - ku Lwowowi i ku Krymowi, skąd w tym czasie działał aktywnie Wrangel. Ciągłe powodzenia frontu zachodniego napełniały mocnym przeświadczeniem o naszym ostatecznym powodzeniu. Projektowano ściągnięcie z frontów zachodniego i południowo-zachodniego całego szeregu dywizji dla przerzucenia ich w kierunku Krymu. Nieraz wypadało walczyć o nietykalność oddziałów. Na ogół położenie strategiczne można ocenić w następujących słowach: Polacy dokonali śmiałego, prawidłowego przegrupowania, postawili na kartę kierunek galicyjski i skoncentrowali wszystkie swoje siły naprzeciw decydującego frontu zachodniego na czas rozstrzygającego starcia. Nasze siły w tej decydującej chwili były rozdrobnione i zorientowane w różnych kierunkach. Te wysiłki, jakie przedsięwzięło naczelne dowództwo, ażeby przegrupować masę zasadniczą frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina, niestety, dla całego szeregu nieoczekiwanych przyczyn, nie zostały uwieńczone powodzeniem i przegrupowanie zawisło w powietrzu.

Autorzy francuscy i polscy lubią porównywać bitwę nad Wisłą z bitwą nad Marną. Jednakże w rzeczywistości nie ma tu żadnego podobieństwa.

Nasuwa się za to gwałtem inne porównanie, mianowicie - z działaniem w Prusach Wschodnich w r. 1914. Tam *Rennenkampf* postawił sobie za zadanie wziąć Królewiec i posunął całą swoją armię na północny zachód, podczas kiedy *Hindenburg* cofał się na południowy wschód, ku skrzydłu armii *Samsonowa*. To pozwoliło mu skupić bezkarnie wszystkie siły przeciw połowie wojsk rosyjskich, liczących na współdziałanie sąsiada.

Natarcie rozstrzygające

Tymczasem nasza ofensywa rozwijała się bez przerwy. Stawało się jasne, że nie czas myśleć o wahaniach, odpoczynkach, ale że nadszedł czas, kiedy jednym uderzeniem ostatnim trzeba rozstrzygnąć

posunięte daleko wypadki. Niejednokrotnie są dawane wskazówki w tym względzie, podkreślone jeszcze 12 sierpnia dyrektywą głównodowodzącego o konieczności możliwie rychłego zajęcia Warszawy.

Rozkaz towarzysza Trockiego nosi ten właśnie charakter.

Dla frontu zachodniego było zupełnie jasne, że główne siły przeciwnika skupione są naprzeciw naszego zasadniczego ugrupowania w rejonie Ciechanów-Modlin-Warszawa. Według naszych obliczeń przeciwnik, wzmocniony liczebnie, rozporządzał tutaj ilością do 70 000 bagnatów i szabel. W pozostałych kierunkach siły były znacznie mniejsze. Jedynie Grupa Mozyrska napotykała na swej drodze bardziej uporczywy opór „białych” polskich oddziałów.

Lewe skrzydło, to jest ugrupowanie frontu południowo-zachodniego cały czas niepokoiło front zachodni. Oczekując co chwila oddania armii konnej do rozporządzenia frontu zachodniego i nawiązania z nią łączności, projektowano stworzenie silnego ośrodka w kierunku Lublina, przez skoncentrowanie tam sił głównych armii konnych 12 i 1. Jak już powiedziano wyżej, powstało takie położenie, w którym trzeba było działać szybko i zdecydowanie. Jednocześnie siły frontu zachodniego nie przenosiły 40 000 bagnatów i szabel. W ten sposób wypadło nacierać na przeciwnika dwa razy silniejszego i przy tym wspartego o tak potężną przeszkodę, jak Wisła. Było oczywiste, że na podstawie zwycięstwa częściowego, na podstawie rozgromienia naprzód Jednego z odcinków frontu polskiego, można było wygrać bitwę rozstrzygającą.

Przy obraniu kierunku głównego uderzenia trzeba było myśleć nie tylko o taktycznych jego zaletach w walce, ale także o zasadniczych życiodajnych magistralach przeciwnika. Skierowanie uderzenia w środek w kierunku Warszawy było zadaniem nad nasze siły. Pozostawało rozbić jednego ze skrzydeł, prawego lub lewego. Wychodząc na lewe skrzydło przeciwnika, tym samym groziliśmy jego połączeniom z Gdańskiem. Biorąc pod uwagę, że ruch rewolucyjny w Niemczech przerywał normalny przewóz amunicji i broni z Francji dla armii polskiej, że arterią główną było połączenie przez Gdańsk, manewr ten nie tylko wyprowadzał nas na skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego, ale także zagrażał zasadniczej linii polskich połączeń. Dalszą zaletą tego kierunku było to, że nasze oddziały, ażeby to uderzenie wykonać, nie musiały dokonywać żadnych zasadniczych przegrupowań, przez co zyskiwano na czasie, a ponadto nie trzeba było zmieniać naszej zasadniczej linii komunikacyjnej. Ta ostatnia szła od Wilna i Lidy na południo-zachód.

Ujemną stroną wyżej wskazanego kierunku było, że oddziały oskrzydłające zwracały się poniekąd tyłem do granicy Prus Wschodnich, przez co swoboda ruchów operacyjnych, na wypadek nieudanego działania, znacznie się zmniejszyła, a nawet powodowała pewne niebezpieczeństwo.

Natarcie na prawe skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego w istocie stawiało przed armiami frontu zachodniego zadanie złamania całego frontu strategicznego polskiego, co poza trudnościami zasadniczymi wobec przeważających sił przeciwnika komplikowało się jeszcze koniecznością forsowania w tym samym miejscu rzeki Wisły. Poza tym natarcie to wymagało dość złożonych przegrupowań naszych sił i nieuniknionej zmiany linii komunikacyjnej na Kleszcze i Brześć. Było oczywiste, że przeciwnik, znacznie wzmocniony, nie pozwoli nam bezkarnie przeprowadzić takiej manipulacji. Natarcie dwiema grupami było dla nas zupełnie niemożliwe wobec naszej słabości liczebnej. Tak więc trzeba było zdecydować się na atakowanie lewego skrzydła polskiego, ubezpieczając się w kierunku Dębłina i licząc na ściągnięcie w czasie wykonania działania sił frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina.

8 sierpnia dowództwo frontu wydaje rozkaz o uderzeniu na siły polskie i sforsowaniu Wisły, z wyznaczeniem terminu na dzień 14 sierpnia. Uderzenie główne projektowane jest w rejonie na północ od Warszawy. 4 Armia ubezpiecza się do pewnego stopnia w kierunku Torunia, głównymi zaś siłami forsuje Wisłę w rejonie Płocka; 15 Armia forsuje ją w kierunku Łowicza; 3 Armia forsuje Wisłę w rejonie Wyszogród-Modlin; 16 Armia, ubezpieczając się w kierunku Garwolina, głównymi siłami forsuje Wisłę na północ od Warszawy. Grupa Mozyrska naciera dalej, aby forsować Wisłę w rejonie Dębłina. Jest ona wzmocniona, na żądanie frontu zachodniego, 58 Dywizją Strzelców ze składu 12 Armii frontu południowo-zachodniego. Jako linie rozgraniczające wskazano:

między armiami 4 i 15 Maków-Ojrzyn--Płock-Piątek; między armiami 15 i 3 Brok-Nasielsk-Wyszogród-Sochaczew; między armiami 3 i 16 Miedzna-Modlin-Błonie; między 16 Armią i Grupą Mozyrska Brześć-ujście Wieprza; między frontami zachodnimi i południowo--zachodnimi głównodowodzący wyznaczył linię Włodawa-Puławy.

W ten sposób przeciw prawemu skrzydłu zasadniczego ugrupowania polskiego skierowaliśmy nie mniej, jak czternaście dywizji strzelców i 3 Korpus Konny. Biorąc pod uwagę wyższość moralną naszych wojsk, mieliśmy całkowite prawo liczyć tu na zwycięstwo.

Zwraca na siebie uwagę bardzo głębokie obejście, dokonywane przez nasze armie. Jednakże obejście takie oparte było na mocnych podstawach. Gdyby przeciwnik spotkał nas przeciwnatarciem na prawym brzegu Wisły, ugrupowanie nasze byłoby mocno skondensowane i oskrzydłające. Jeżeli zaś „białe” polskie oddziały nie były w możności wdać się z nami w otwartą walkę i cofnęły się za Wisłę, wówczas dla wygody forsowania tej nadzwyczajnie trudnej przeprawy rzeczą niezbędną byłoby dokonać jej na rozległym froncie. Zmuszał nas do tego zwłaszcza brak materiałów pontonowych.

6 sierpnia, na dwa dni przed tym postanowieniem, Polacy w swojej głównej kwaterze ustanawiają następujący plan działań:

W kierunku Lublina pozostają tylko partyzanckie oddziały ukraińskie i polska grupa konna, licząca półtorej dywizji. Wszystkie pozostałe siły przerzuca się nad Wisłę i rozdziela pomiędzy pięć armii. Naprzeciw naszego prawego skrzydła koncentruje się 5 Armia w składzie trzech dywizji piechoty, jednej brygady piechoty oraz wielkiej liczby oddziałów granicznych i różnych nowych formacji, w ogólnej liczbie 29 000 bagnetów i szabel. Rejon działań Modlin-Maków. Zadaniem jej jest nie dopuścić do dalszego natarcia bolszewików za Bug i Narew.

1 Armia, w składzie czterech dywizji piechoty, jednej brygady piechoty oraz znacznej ilości ochotniczych i różnych przypadkowych formacji, koncentruje się na warszawskim przyczółku mostowym i liczy w swoim składzie do 40 000 bagnetów i szabel.

2 Armia, w składzie dwóch dywizji piechoty i rozmaitych drobnych oddziałów, broni odcinka Wisły na południe od Warszawy do Dębina i liczy w swoim składzie 16000 bagnetów.

4 Armia, w składzie trzech dywizji piechoty, koncentruje się w rejonie na południowy zachód od Wieprza, ażeby uderzyć na skrzydło naszych nacierających sił głównych. Koncentrację 4 Armii ubezpiecza 3 Armia, złożona z trzech dywizji piechoty i jednej brygady jazdy, działających w kierunku Lublina. Liczebność tych dwu armii dosięga do 22 000 bagnetów.

Oceniając to ugrupowanie „białych” sił polskich, trzeba uznać jego zupełną celowość wobec powstałych warunków i położenia. Jednakże wydaje się, że pomimo iż w wyniku swoim dało ono całkowite zwycięstwo, w kierunku rozstrzygającym (lubelskim) skupiono za mało sił. O ile nie byłoby błędów z naszej strony i ubezpieczenie tego kierunku zostało zmasowane, ugrupowanie to nie tylko nie mogłoby się zachować czynnie, ale byłoby ponadto zgniecione.

Tak więc na odcinku naszych armii 4, 13 i 3, mających w swoim składzie dwanaście dywizji piechoty i dwie dywizje jazdy, Polacy mogli wystawić zaledwie trzy i pół dywizji piechoty, prawda że w pełnym składzie, oraz różne drobne oddziały. Mieliśmy zupełną możność zadać tu przeciwnikowi druzgocący cios, odsłaniając jego lewe skrzydło i połączenia. 16 Armia wiodła natarcie czołowe na najpotężniejsze polskie ugrupowanie i musiała związać je przez czas rozwijania się całego działania. Za to lewe nasze skrzydło było niewygodnie usytuowane pod względem sił. Przeciw dwóm dywizjom Grupy Mozyrskiej i trzem dywizjom 12 Armii, działającym w kierunku Lublina, Polacy wystawili sześć dywizji piechoty, doprowadzonych do pełnego składu, i w ten sposób mieli tu przewagę. Jeżeli w swoim czasie skoncentrowalibyśmy w kierunku Lublina oddziały armii konnej, to i tutaj ugrupowanie nasze byłoby groźne dla „białych” polskich oddziałów. Polacy wówczas nie tylko nie mogliby myśleć o natarciu z rejonu Dębin-Lublin, ale sami znaleźliby się w bardzo ciężkim położeniu i bezwzględnie musieliby być odrzuceni na zachodni brzeg Wisły. Okoliczność ta całkiem dobitnie wykazuje, że mogliśmy i powinniśmy zdecydować się na naszą ofensywę za Wisłę i że natarcie to miałoby zupełną podstawę powodzenia, gdyby z naszej strony nie nastąpiło przerachowanie się w koncentracji strategicznej.

5 Armia polska nie ma możliwości wykonać swego zadania. Zostaje odtrącona zdecydowanym natarciem naszych armii północnych i zmuszona cofnąć się na zachodni brzeg rzeki Wisły. 16 Armia zawiązuje walki w kierunku Warszawy.

W tym czasie na styku armii 4 i 15 ma miejsce wypadek, nieznaczny w założeniu, który jednak odegrał rozstrzygającą rolę w biegu naszego działania i dał początek jego katastrofalnemu wynikowi.

Sztab polowy 4 Armii, który przeniósł się po ofensywie do miasta Ciechanowa, został niespodzianie zaatakowany przez drobne oddziały przeciwnika, które przedarły się między armiami 4 i 15, skutkiem czego sztab musiał szybko się zwinąć i odjechać na zachód od swoich oddziałów. Przez to naruszona została łączność między sztabem frontu a 4 Armią, nie nawiązana już aż do naszego odwrotu, co oczywiście wynikało z zupełnego braku jakichkolwiek środków łączności strategicznej w naszym rozporządzeniu.

Sam incydent taktyczny został bardzo szybko zlikwidowany. 15 Armia wysłała na styk swoją dywizję odwodową, szybko przywraca położenie, i nasza ofensywa trwa dalej. Jednakże jak okazało się z dalszego biegu wypadków, ta okoliczność nie była prostym przypadkiem. 5 Armia polska, odepchnięta za rzekę Wisłę, otrzymała rozkaz przejścia do natarcia i rozpoczęła je na całym froncie armii 15 i 3. Już od pięciu tygodni trwała nasza ofensywa. Przez pięć tygodni dążyliśmy do tego, aby odnaleźć żywe siły wroga i w rozstrzygającym uderzeniu ostatecznie je unicestwić. Przez pięć tygodni "białe" polskie armie niezmiennie uchylały się od rozstrzygającego zderzenia ze względu na rozprężenie swoich oddziałów i dopiero nad Wisłą, wzmocnieni przez nowe formacje, Polacy zdecydowali się na bój. Nie wiedzieliśmy zawczasu, gdzie napotkamy główny opór przeciwnika - nad Wisłą czy za Wisłą. Ale wiedzieliśmy jedno: że gdzieś znajdziemy jego główne siły i rozbijemy je w decydującym spotkaniu. I oto teraz przeciwnik sam dawał nam możliwość zadanie to wypełnić. 5 Armia, najslabsza co do składu jednostek i najslabsza duchem, przeszła do natarcia na nasze armie 15 i 3, podczas kiedy nad jej odsłoniętym lewym skrzydłem zawisły najświeższe, najlepsze pod względem bojowym oddziały naszej 4 Armii. Dowództwo frontu me posiadało się z radości z powodu tego zdarzenia; armie 15 i 3 otrzymały rozkaz, aby na całym froncie na natarcie przeciwnika odpowiedziały zdecydowanym przeciwnatarciem i odrzuciły go za Wkrę, Armia zaś 4 ubezpieczwszy się w kierunku Torunia, miała wszystkimi siłami atakować rozpoczynającego natarcie przeciwnika na flankę i tyły w kierunku Modlina z rejonu Raciąż-Drobin.

Zdawało się, że zguba 5 Armii przeciwnika jest nieuchronna; unicestwienie jej pociągnęłoby za sobą najdonioślejsze skutki w dalszym biegu wszystkich naszych działań. Jednakże Polakom dopisało szczęście. Nasza 4 Armia, gdzie nowy dowódca armii stracił łączność ze sztabem frontu, nie zdawała sobie jasno sprawy z powstającego położenia. Nie otrzymując rozkazów frontu, wystawiła w rejonie Raciąż-Drobin jakieś nieokreślone półubezpieczenie i rozrzuciła swoje oddziały na odcinku Włocławek-Płock. 5 Armia przeciwnika była uratowana i zupełnie bezkarnie, mając na flance i tyłach naszą potężną armię z czterech dywizji strzelców i dwóch dywizji jazdy, nacierała dalej na nasze armie 3 i 15. Takie położenie, wprost potworne i nie do pomyślenia, pomogło Polakom me tylko zatrzymać ofensywę armii 3 i 15, ale jeszcze krok za krokiem wypierać ich oddziały w kierunku wschodnim.

Tymczasem 16 Armia mocnym uderzeniem zmiotła polskie oddziały i podeszła już zupełnie blisko do przeprawy na Wiśle, kiedy przeciwnatarcie tych oddziałów zmusiło ją do cofnięcia się wstecz.

Przechodzi ona znowu do natarcia i tu rozpoczynają się walki ze zmiennym szczęściem, bez wyraźnych wyników.

Na lewym skrzydle 16 Armia bez walk wychodzi na linię Wisły; prawe skrzydło Grupy Mozyrskiej osiąga ją również bez przeszkód. Za to w kierunku Parczewa grupa ta nawiązuje walki bez rezultatów. 13 sierpnia dowódca frontu zachodniego zostaje nareszcie podporządkowana 12 Armia.

Naczelne dowództwo, biorąc pod uwagę konieczność utrwalenia lewego skrzydła frontu zachodniego, daje 11 sierpnia o godzinie 3 frontowi południowo-zachodniemu dyrektywę o niezbędności zmiany ugrupowania i wysłania bez najmniejszej zwłoki Armii Konnej w kierunku Zamość-Hrubieszów.

Obliczenie czasu i przestrzeni wykazuje, że to wskazanie naczelnego dowództwa mogło być

bezwzględnie wykonane przed przejściem polskiego ugrupowania południowego do natarcia. Gdyby nawet wykonanie opóźniło się nieco, to oddziały polskie, które przeszły do natarcia, byłyby postawione wobec nieuniknionego zupełnego pogromu, bo tyły ich otrzymałyby uderzenie naszej zwycięskiej Armii Konnej.

Jednakże wobec położenia wynikłego w Galicji, gdzie kolejne ugrupowania przeprowadzane do tej pory, kierowane były ku Lwowu, wykonanie tego wskazania zostało zatrzymane. 12 sierpnia

głównodowodzący w rozmowie hughesowej zaznacza, że ta zwłoka w wykonaniu jego dyrektyw jest dla niego niezrozumiała i potwierdza swoją dyrektywę. Kiedy wreszcie przystąpiono do wykonania, było już prawie po niewczasie. Ale, co najgorsze, nasza zwycięska Armia Konna wpłatała się w owych dniach w zacięte walki o Lwów, tracąc bezpłodnie czas i siły na jego umocnionych pozycjach w walce z piechotą, jazdą i potężnymi eskadrami lotniczymi. Walki całkowicie pochłonęły Armię Konną, która do wykonania przegrupowania wzięła się tak późno, że nic pożytecznego w kierunku Lublina zdziałać już nie mogła.

Tymczasem 12 Armia przejęła rozkaz do 3 Armii polskiej, z którego wynikało jasno, że Polacy gotują się do ofensywy przeciwko naszemu lewemu skrzydłu w rejonie Wieprza. Nawiasem mówiąc, rozkaz ten wydał się nieprawdopodobny sztabowi polowemu, co daje się zauważyć z rozmowy hughesowej, z której wynika, że według danych wywiadu wszystkie wymienione przez nas oddziały nie są do nas przerzucone, lecz działają nadal na froncie południowo-zachodnim. Niestety, rozkaz był prawdziwy.

16 Armia prowadziła swoje natarcie bez wyników na północ od Warszawy. Położenie składało się tak, że rzeczą niezbędną było wzmocnić nasze lewe skrzydło i jednocześnie dać 16 Armii możliwość zaczerwienia działań w kierunkach mniej przez przeciwnika umocnionych. W związku z tym 14 sierpnia dowództwo frontu daje rozkaz, aby 16 Armia szukała przeprawy na południe od Warszawy i żeby wydzielić jedną dywizję strzelców do odwodu frontu w rejonie Łukowa. Do wykonania powyższego przystąpiono.

Kontrofensywa polska

Podczas przeprowadzania tych przegrupowań armia polska przeszła do ofensywy. Oddziały Grupy Mozyrskiej zostały łatwo rozbite, rozproszone i rozpoczęły bezładny odwrót. 16 Armia zaczęła odczuwać uderzenia flankowe, co było tym dotkliwsze, że właśnie przeprowadzano przegrupowanie i że łączność dywizji z dowództwem armii była przerwana. Wynikało to ze zbyt wielkiej odległości polowego sztabu armii od linii bojowej. To położenie stało się dla nas nadzwyczaj groźne, zwłaszcza, że Armia Konna uporczywie działała nadal w kierunku Lwowa, zamiast działać w kierunku Lublina.

Niestety, o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18 sierpnia z rozmowy hughesowej z dowódcą 16 Armii. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17 sierpnia. Grupa Mozyrska nic nie dała znać o tym, co się stało.

Dowódca 16 Armii meldując w rozmowie hughesowej o wynikłym położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, ale nie uważał ofensywy „białych” polskich oddziałów za poważną i przewidywał możliwość zlikwidowania jej. Jednakże zestawienie danych wywiadu o przeciwniku z faktem tej ofensywy, która zaczęła się z Wieprza, zmusiło do innego poglądu na tę okoliczność. Dowódca frontu natychmiast wydaje rozkaz całkowitej zmiany zadania dla armii frontu. Na naszym lewym skrzydle położenie przedstawiało się groźnie. Na naszym prawym skrzydle, dzięki niezrozumiałym działaniom 4 Armii, nie było zupełnie możliwości szybko skończyć z nacierającym przeciwnikiem. Na odwrót, 4 Armia, wysforowawszy się do Włocławka, z góry skazywała się na bardzo ciężkie położenie.

Wydany zostaje rozkaz treści następującej: 4 Armia w pełnym składzie, pomagając w drodze 15 Armii ma na 20 sierpnia bezwzględnie skoncentrować się w rejonie Ciechanów-Przasnysz-Maków. Telegram szefa sztabu frontu zachodniego dawał 4 Armii dyrektywę, aby, jeżeli współdziałanie z 15 Armią będzie ją zatrzymywało w ruchu, tego współdziałania unikała, ponieważ celem jej jest skupienie się we wskazanym rejonie i w oznaczonym terminie. Armie 15 i 3 otrzymały za zadanie powstrzymywanie przeciwnika i zabezpieczenie koncentracji odwodów 4 Armii. 16 Armia miała za zadanie cofnąć się nad Liwiec. Grupa Mozyrska - ubezpieczać lewe skrzydło 16 Armii. 12 Armia otrzymała rozkaz rozpoczęcia

natarcia, celem związania przeciwnika, nacierającego zza Wieprza. 21 Dywizji z 3 Armii i jednej dywizji z 16 Armii rozkazano forsownym marszem skierować się do odwodu frontu w rejonie Drohiczyń-Janów. Było oczywiste, że straciwszy czas i możliwość zadania przeciwnikowi klęski, sami wpadliśmy w ciężkie położenie i zmuszeni jesteśmy do odwrotu. Znając charakter walk i działań przy naszych przerywanych i rozrzedzonych frontach, dowództwo frontu nie ludziło się, że się utrzymamy i że odwrót będzie trwał prawdopodobnie do linii Grodno-Brześć. Tam mieliśmy możliwość wlać w szeregi tych 60 000 ludzi uzupełnienia, którzy już byli w eszelonach i szli marszem do batalionów zapasowych naszych armii. Tam mogliśmy odpocząć, zorganizować się i przejść z powrotem do ofensywy. Ale zasadniczym warunkiem tego było wyprowadzenie w dobrym stanie naszych armii z wynikłego położenia. Dlatego oderwanie się 4 Armii stanowiło źródło pewnego niepokoju; postawiono jej zatem ostateczny termin odwrotu. Jednak nie na tym koniec naszych nieszczęść. Brak środków łączności i błędzenia 4 Armii po manowcach korytarza gdańskiego widocznie przeszkodziły dowódcy tej armii w otrzymaniu wydanego rozkazu w swoim czasie. Na dobitkę nieszczęścia, dowódca 4 Armii, oderwany od sztabu frontu i od armii sąsiednich i wobec tego nie mający pojęcia o ogólnym położeniu na froncie, uważał to ostatnie za zupełnie pomyślnie, a odwrót - za rzecz zupełnie nie na czasie. 19 sierpnia, wypadkowo połączwszy się z dowódcą frontu, w rozmowie hughesowej wyraził mu cały swój pogląd, lecz otrzymał potwierdzenie kategoryczne wydanego rozkazu.

Samo się przez się rozumie, że 4 Armia tyle straciła czasu, iż we właściwym terminie nie mogła w żadnym razie wypełnić postawionego jej zadania. Okoliczność ta w związku z dezorganizacją Grupy Mozyrskiej, która doszła do szczytu, i z tym, że przeciwnik, który się od nas nauczył śmiałości, nacierał tu ze wściekłą szybkością, z góry skazywała 4 Armię prawie na pewną zgubę. Jedyna nadzieja mogła być jeszcze w tym, że przeciwnik, dla organizacji swoich tyłów, zatrzyma się choć na czas jakiś lub zwolni tempo swojej ofensywy. Ale tego przeciwnik nie zrobił. 20 sierpnia, odrzucając oddziały 16 Armii w nieładzie i bijąc po kolei we flankę oddziałów armii 3 i 15 przeciwnik zajmuje linię Przasnysz-Maków-Ostrów-Bielsk-Brześć. Tymczasem 4 Armia dopiero maszeruje ku Przasnyszowi i znajduje się w rejonie Ciechanowa. 22 sierpnia przeciwnik wychodzi na linię Ostrołęka-Łomża-Białystok. 4 Armia dopiero zbliża się do pierwszego punktu. Oddziały armii 15 i 3 wyężdżają wszystkie siły, aby zatrzymać natarcie przeciwnika i pozwolić 4 Armii przejść wąskim korytarzem między Narwią a granicą wschodniopruską. Ale to zadanie okazuje się niewykonalne. Armie 3 i 15 w nierównych walkach, w jak najcięższym dla siebie położeniu, tracą znaczną część sił, a 4 Armii już uratować nie mogą. Większą jej część przeciwnik przyciska do granicy Prus Wschodnich i zmusza do przejścia na terytorium niemieckie.

Tak kończy się ta nasza świetna operacja, wobec której drzeć musiał cały kapitał europejski, który odetchnął swobodnie dopiero po jej ukończeniu.

Polacy, włożywszy w swoją kontrofensywę tę całą resztę energii, jaka im została, stracili dech i nie mogli rozwinąć osiągniętych powodzeń. Nasze oddziały w najżałośniejszym stanie ściągaly na linię Grodno-Wołkowysk i stąd wracały do swoich armii. Praca zawrzała na nowo. Uzupełnienia zostały wlane do istniejących nadal kadr i po mniej więcej 2-3 tygodniach siły frontu były przywrócone. Jednakże przywrócenie tych sił pojmować trzeba względnie. Przybyłe uzupełnienie było nieumundurowane, nieobute, pomimo pory jesiennej.

O ofensywie można było myśleć dopiero po otrzymaniu umundurowania. Zaś bez ofensywy trudno mówić o wartości bojowej wojska. Gdyby przeciwnik przeszedł do ofensywy zanim byśmy to zrobili, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bylibyśmy pobici. Jednakże nastrój w wojsku był dobry. Mieliśmy wszystkie warunki, żeby znowu zwrócić szczęście na naszą stronę. Gała sprawa polegała na tym tylko, kto wcześniej się przygotuje i kto wcześniej przejdzie do natarcia. Niestety, położenie gospodarcze republiki nie pozwoliło nam urzeczywistnić naszego zadania. Polacy przeszli pierwsi do ofensywy i odwrót nasz stał się nieunikniony.

Armia Konna, która przybyła na kierunek lubelski z wielkim opóźnieniem, była wysunięta przez naczelne dowództwo celem wykonania głębokiego zagonu na Zamość, ale to już było poniewczasie.

Zakończenie

Zasadniczy wniosek z naszej kampanii r. 1920 jest ten, że przegrała ją nie polityka, ale strategia. Polityka postawiła przed Armią Czerwoną trudne, ryzykowne i śmiałe zadanie. Ale czy to ma oznaczać, że zadanie to było postawione nieprawidłowo? Nie było ani jednego wielkiego dzieła, które nie wymagałoby śmiałości i zdecydowania, I jeżeli porównać rewolucję październikową z naszą zewnętrzną ofensywą socjalistyczną, to oczywiście trzeba przyjść do wniosku, że zadanie październikowe było znacznie śmielsze, znacznie bardziej karkołomne. Czerwony front miał możliwość wypełnienia postawionego mu zadania, ale go nie wypełnił. Za zasadniczą przyczynę nieudania się operacji należy uznać za mało poważny stosunek do zagadnień przygotowania dowództwa wojskowego. Środków technicznych brakło głównie dlatego, że nie zwrócono na nie należytej uwagi. Dalej, brak przygotowania niektórych naszych wyższych dowódców czynił niemożliwym poprawianie na miejscu braków dowodzenia technicznego. W chwili decydującego starcia rozejście się prawie pod kątem prostym głównych sił frontów zachodniego i południowo-zachodniego przesądziło niepowodzenie działania właśnie w tej chwili, kiedy front zachodni był wciągnięty w ofensywę nad Wisłą. Nieskoordynowane działanie 4 Armii wyrwało nam z rąk zwycięstwo i, w ostatecznym obrachunku, pociągnęło za sobą naszą katastrofę.

Klasą robotniczą Europy zachodniej na wieść o ofensywie naszej Armii Czerwonej wstrząsnął ruch rewolucyjny. Żadne hasła narodowe, które rzuciła burżuazja polska, nie mogły przyćmić istoty rozgrywającej się wojny klasowej. To poczucie objęło i proletariata, i burżuazję Europy i wstrząśnięcie rewolucyjne ogarnęło świat. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy wyrwali z rąk burżuazji polskiej jej burżuazyjną armię szlachecką, wówczas rewolucja klasy robotniczej w Polsce stałaby się faktem dokonanym. A pożar ten nie dałby się ograniczyć ścianami polskimi. Jak wzburzony potok, rozlałby się po całej Europie zachodniej. Tego doświadczenia rewolucji z zewnątrz Armia Czerwona nie zapomni. I jeżeli kiedykolwiek burżuazja europejska wyzwie nas do nowej walki, to Armia Czerwona potrafi ją pogromić, zaś rewolucję w Europie wesprzeć i rozprzestrzenić.

Tablice i szkice

Nie zostały uwzględnione ponieważ materiał "źródłowy" uniemożliwiał ich prawidłową edycję.

POSŁOWIE

Gdyby nie to, że określenie "dziwna wojna" zwykło się stosować do wydarzeń na froncie zachodnim od jesieni 1939 do wiosny 1940 r., to pasowałoby ono jak ułół do początków konfliktu polsko-radzieckiego w 1919 r. Historycy spierają się nawet co do daty i miejsca pierwszego starcia zbrojnego. Nie wdając się w te spory przyjmijmy, za Mieczysławem Wrzosem, że 14 lutego 1919 r. "...w rejonie miasteczka Mosty nad Niemnem doszło do styczności bojowej między oddziałami Wojska Polskiego a jednostkami Armii Czerwonej i ukształtowała się linia frontu. Szczupłe siły polskie, złożone z 12 batalionów piechoty, 12 szwadronów kawalerii i 3 baterii artylerii, działały na dwóch odcinkach obsadzonych dość równomiernie. Formacjami odcinka południowego (rzeka Prypeć-Szczytno), czyli Grupą Podlaską, przemianowaną potem na Poleską, dowodził generał Antoni Listowski. Powierzone mu siły utrzymywały na prawym skrzydle łączność z grupą wołyńską generała Rydza-Smigłego i koncentrowały się głównie w dwóch rejonach, a mianowicie pod Antopolem na szlaku Brześć-Pińsk i koło Berezy Kartuskiej, czyli na kierunku Brześć-Bara-nowicze. Oddziały odcinka północnego (Szczytno-Skidel) należały do Dywizji Litewsko-Białoruskiej generała Iwaszkiewicza, który swoje siły skupiał przede wszystkim w rejonie Wołkowyska. Na tych pozycjach zgrupowania obu generałów (Iwaszkiewicza i Listowskiego) utrzymywały się do końca lutego 1919 r. Ścierały się one z niewielkimi siłami Armii Czerwonej, zaangażowanej wówczas przede wszystkim w działania zbrojne przeciw kontrewolucyjnym «białym» generałom" '.

Jeszcze 16 listopada 1918 r. dowództwo radzieckie utworzyło Armię Zachodnią. Trzydzieści dni później Włodzimierz Lenin wydał dyrektywę o udzieleniu narodowi białoruskiemu zbrojnej pomocy. Decyzje te wiązały się z przewidywanym wycofywaniem się wojsk Oberkommando-Ostfront, czyli, jak zwykło się je nazywać, Ober-Ostu. Na terenach, z których się wycofały, wytwarzała się swoista próżnia polityczna. Do terenów tych aspirowały i Polska, i Rosja Radziecka.

Charakterystyczny był bieg wydarzeń w Wilnie. Po wycofaniu się wojsk niemieckich ujawnia się wileńska Rada Delegatów Robotniczych. 1 stycznia 1919 r. oddziały polskiej samoobrony uzyskują kontrolę nad miastem. Nie na długo jednak, bo już 5 stycznia Wilno zostaje zajęte przez Armię Czerwoną. Tydzień później radziecka Armia Zachodnia otrzymuje rozkaz posuwania się do rzek Niemen i Szczara, a 12 lutego do rzeki Bug. Ta operacja nosi kryptonim "Wisła", ale nie należy z tego wyciągać wniosków zbyt daleko idących. Wydaje się - jak stwierdza Norman Davies - że było to jedynie hasło mające wzmacniać ducha rewolucyjnego ².

W tym samym dniu, w którym utworzona została radziecka Armia Zachodnia, czyli 16 listopada 1918 r., Piłsudski wysłał, jako naczelny dowódca Wojska Polskiego, depesze notyfikujące powstanie państwa polskiego. Depesza taka nie została przesłana do Moskwy, co musiało wzbudzić jej nieufność, ale nie należy zapominać, że Rosja Radziecka nie była jeszcze wówczas przez nikogo uznawana. Gest polski oznaczał więc tylko związek odradzającego się państwa z Ententą. Istotne z punktu widzenia Moskwy było, jak silny jest to związek, czyli - innymi słowy - w jakim stopniu Polska uzależniona jest od mocarstw zachodnich. W tym jednak momencie - w połowie listopada 1918 r. - wobec wybuchu rewolucji niemieckiej i związanych z nią nadziei na rozszerzenie się rewolucji w Europie, problem polski miał dla władzy radzieckiej dwa aspekty:

tworzenia się ośrodka burżuazyjnego hamującego rozwój rewolucji, a równocześnie odradzania się państwa polskiego, z którym - bez względu na jego kształt ustrojowy - należało unormować stosunki. Okazją do pierwszych kontaktów dyplomatycznych stała się sprawa przedstawicielstwa Rady Regencyjnej w Moskwie. Zostało ono zlikwidowane - wobec anulowania przez Rosję Radziecką traktatu brzeskiego - jako reprezentacja organu administracyjnego ustanowionego przez władze niemieckie. 26 listopada polski minister spraw zagranicznych, Leon Wasilewski, wystosował do ludowego komisarza spraw zagranicznych, Georgija Czi-czerina, notę, w której protestował przeciwko internowaniu personelu przedstawicielstwa i aresztowaniu części urzędników.

W odpowiedzi Ciczierin oświadczył, że nikt nie został aresztowany.

Nastąpiła dalsza wymiana depesz, w trakcie której Ciczierin podniósł sprawę ustalenia normalnych stosunków z Polską i wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych. Strona polska, z różnymi motywacjami, konsekwentnie odrzucała radzieckie propozycje. Wymordowanie 2 stycznia 1919 r. przez polskich żandarmów misji Rosyjskiego Czerwonego Krzyża zaostrzyło stosunki między obu państwami. Oferty radzieckie były dla Piłsudskiego nie do przyjęcia z wielu powodów. Przede wszystkim nie wierzył w trwałość władzy bolszewików w Rosji i - jak znakomita większość polityków europejskich - traktował ją jako epizod w dziejach rosyjskiej rewolucji. Przy tym założeniu nawiązywanie stosunków dyplomatycznych z Rosją Radziecką nie miało najmniejszego sensu. Więcej nawet: mogło utrudnić stosunki z przyszłą Rosją, która wyłoni się z rewolucyjnego zamętu. Musiał się też liczyć Piłsudski z polityką Ententy wobec rewolucyjnej Rosji. Zdawał sobie sprawę, że państwa Ententy traktują go nieufnie z powodu socjalistycznej przeszłości. Musiał je przekonać, że obawy te są nieuzasadnione. Również wewnętrzna sytuacja w Polsce przemawiała przeciw normalizacji stosunków z Rosją. Wygodniej bowiem było przedstawiać rewolucję rosyjską jako wroga i potencjalnego agresora. I wreszcie - co najważniejsze - unormowanie stosunków z Moskwą utrudniłoby Piłsudskiemu realizację koncepcji polityki wschodniej.

Jej celem było ograniczenie Rosji do jej terytorium etnicznego przez "rozcięcie jej po szwach narodowościowych". W memoriale złożonym w czasie wojny rosyjsko-japońskiej w 1904 r. w Tokio stwierdził Piłsudski, że niejednorodność narodowościowa państwa rosyjskiego "...stanowi główną słabość

jego - jego piętę Achillesową, punkt, na który wszyscy wrogowie państwa rosyjskiego bić powinni". Wszelako nie wszystkie "niezadowolenia narodowościowe są jednakowej wartości jako siła rozkładowa państwa rosyjskiego". Mniejszości zamieszkujące imperium carskie należą zarówno do narodów historycznych, jak i niehistorycznych, to jest takich, "które mają tradycję historyczną samodzielnego życia lub łączności z danym państwem, i takich, które jej nie posiadają". Do narodów historycznych - stwierdzał Piłsudski w memoriale - zaliczają się Polacy, Finowie, Gruzini i, w niewielkim stopniu, Ormianie. Rozumowanie to prowadziło do sprecyzowania następującego celu politycznego: "Rozbicie państwa rosyjskiego na główne części składowe i usamodzielnienie przemocą wcielonych w skład imperium krajów. Uważamy to nie tylko jako spełnienie kulturalnych dążeń naszej ojczyzny do samodzielnego bytu, lecz i jako gwarancję tego bytu, gdyż i Rosja, pozbawiona swych

podbojów, będzie o tyle osłabiona, że przestanie być groźnym i niebezpiecznym sąsiadem" 3.

Temu tokowi rozumowania pozostał Piłsudski wierny. Idea federacyjna, czyli odbudowa - w nowych oczywiście warunkach i dostosowanej do nich formie - unii polsko-litewskiej, była elementem owej szerszej koncepcji polityki wschodniej. Podobnie jak utworzenie państwa ukraińskiego. W tej jednak sprawie - w przeciwieństwie do Litwy i Białorusi - plany były o wiele mniej sprecyzowane. W tym ujęciu zrozumiały się staję często przez historyków cytowany fragment listu Piłsudskiego do Wasilewskiego z 8 kwietnia 1919 r. "Przypuszczam - pisał Piłsudski na kilka dni przed rozpoczęciem operacji wileńskiej - że w najbliższych czasach będę mógł otworzyć trochę drzwi dla polityki związanej z Litwą i Białorusią. Znasz moje pod tym względem poglądy, polegające na tym, że nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą - no i rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna, zdaje się, zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów, i doktrynki amerykańskie, przychylam się z miłą chęcią na stronę federalistów"4.

W swych działaniach politycznych Piłsudski musiał się liczyć zarówno ze stanowiskiem Ententy, jak i układem sił w Polsce. 31 maja 1919 r. w liście do Paderewskiego pisał: "Do zakończenia kwestii naszych granic zachodnich zależy w 9/10 od dobrej woli Ententy. Dlatego też zawsze byłem zdania, że dopóki ta kapitalna sprawa nie jest zakończona, należy wszystkie inne sprawy, w których możemy wpaść w konflikty ze zdaniem Ententy, starać się jedynie przeciągać bez ostatecznego rozstrzygnięcia, nie stawiając nigdzie kropki nad i. Dopiero po zakończeniu tych spraw stajemy się na Wschodzie pierwszorzędą siłą, z którą każdy, nie wyłączając Ententy, rachować się i liczyć będzie. Wtedy łatwo będzie, wyzyskując wszelkie preteksty, których nigdy przecież nie brak, rozstrzygać sprawy na swoją korzyść, wyzyskując to położenie, że będziemy bardziej potrzebni innym, niż ci inni byłiby nam potrzebni" 5.

Chodziło nie tylko o granice zachodnie Polski, ale i o zaopatrzenie materiałowe armii, a wcześniej przybycie armii Hallera z Francji.

Nie należy też zapominać, że Piłsudski nie miał oparcia w Sejmie Ustawodawczym i nie było kwestią przypadku, że operacja wileńska przeprowadzona została w czasie wielkanocnych ferii parlamentu. Wszystko to wiązało oczywiście Piłsudskiemu ręce.

Komplikował również sprawę konflikt polsko-ukraiński w Galicji. Przypomnijmy, że 1 listopada 1918 r. Ukraińcy proklamowali utworzenie na terenie Galicji Wschodniej Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, podejmując równocześnie próbę opanowania Lwowa. Udało się to jedynie częściowo.

Rozpoczęły się krwawe walki. 22 listopada odsiecz, pod dowództwem ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, przebiła się do Lwowa i miasto znalazło się w rękach polskich. Większość terytorium Galicji Wschodniej znajdowała się jednak nadal w rękach Ukraińców. W pierwszych dniach marca 1919 r. Lwów został ponownie odcięty przez wojska zachodnio-ukraińskie.

Zachodnioukraińska Republika Ludowa współdziałała, a na pewien czas nawet się połączyła, z Ukraińską Republiką Ludową obejmującą tereny Ukrainy Naddnieprzańskiej i kierowaną przez Dyktariat z ata-manem Petlurą. Na terenach Ukrainy Naddnieprzańskiej tworzyła się również Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Na terenie Galicji Wschodniej Polacy walczyli z

Ukraińcami, na Ukrainie Naddnieprzańskej sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana. Tutaj wszyscy właściwie walczyli ze wszystkimi. Armia Czerwona z wojskami Petlury, jedni i drudzy zaś z Polakami i z oddziałami białych (Denikin), a do tego grasowały tu bandy dezertów oraz kryminalistów. Wsie i miasta przechodziły z rąk do rąk, wszyscy mordowali, gwałcili i rabowali.

16 kwietnia 1919 r. Piłsudski rozpoczął operację mającą na celu zajęcie Wilna i Wileńszczyzny. 21 kwietnia miasto znalazło się w rękach polskich. U podstaw decyzji Piłsudskiego leżała obawa, że Wilno zostanie zajęte przez Litwę. Przewidywana na koniec kwietnia ewakuacja oddziałów niemieckich z Grodna również mogła skomplikować sytuację.

22 kwietnia, w dzień po zajęciu Wilna, wydał Piłsudski Odezwę do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Było to sformułowanie politycznie znaczące, odwołujące się do tradycji historycznej i zawierające wyraźną sugestię programu federacyjnego. "Wojsko polskie - oświadczał Piłsudski - które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, dla zniesienia rządów krajem wbrew ludności - wojsko to niesie wam wszystkim wolność i swobodę. Chcę dać wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski" 6. Informował też o powołaniu na zajętych terenach Zarządu Cywilnego na czele z Jerzym Osmo-łowskim.

Odezwa ta miała wielu adresatów. Oczywiście ludność Wileńszczyzny, ale również czynniki polityczne w Kownie. A także uczestników konferencji pokojowej w Paryżu, których miała przekonać, że Polska nie podbija Wileńszczyzny, lecz jedynie wyzwala ją spod panowania bolszewików.

Porozumienie z Litwą okazało się niemożliwe, a próba dokonania przewrotu w Kownie w celu powołania sympatyzującego z Polską rządu zakończyła się kompromitacją. Charakteryzując stosunki polsko-litewskie w tym okresie, znakomity ich znawca, Piotr Łossowski stwierdza:

„Dominowały jednak nade wszystkim wąsko pojęte uczucia nacjonalistyczne i idąca z nimi w parze zaborczość. Ze strony polskiej znajdowała ona swój przejaw nie tylko w poglądach endeków, zmierzających do inkorporacji całej Litwy bądź maksymalnego jej okrojenia. Podobnym celom służyły również w dużym stopniu idee federacyjne, mające na celu podporządkowanie Litwy Polsce w takiej lub innej formie. Ze strony litewskiej występowało także zjawisko jaskrawo wyrażonych dążeń zaborczych. Młody nacjonalizm litewski zmierzał do opanowania obszernych terenów zamieszkałych przez ludność białoruską i polską. Ujawniły się więc w omawianym okresie sprzeczności, które uniemożliwiały nawiązanie normalnych stosunków między Polską a Litwą. Podejmowane kilkakrotnie próby porozumienia kończyły się fiaskiem. W szczególności strona litewska odrzucała wysuwane wobec niej propozycje federacji. Nie chciała wchodzić w żadne bliższe więzy państwowe z Polską, nawet za cenę uzyskania określonych koncesji terytorialnych" 7.

Wyprawa wileńska i federacyjna odezwa Piłsudskiego wywołały gwałtowną kampanię endecji zarówno przeciw odezwie, jak i przeciw angażowaniu się w sprawy litewskie wówczas, gdy toczą się boje w Galicji Wschodniej. Piłsudskiego atakowano zresztą za obojętność wobec Galicji Wschodniej jeszcze i przed wyprawą wileńską. Księżę Eustachy Sapieha, jeden z organizatorów nieudanego zamachu stanu przeciw rządowi Moraczewskiego, obarczał ten właśnie rząd odpowiedzialnością za "rozpaczliwe położenie Lwowa".

W niecały więc miesiąc po rozpoczęciu operacji wileńskiej, 14 maja 1919 r. Piłsudski przystąpił do ofensywy w Galicji Wschodniej. Wojska polskie osiągnęły dużą przewagę i posuwały się szybko naprzód. 27 maja - wobec bardzo silnych nacisków Ententy - ofensywa została wstrzymana. Niewielka część Galicji Wschodniej pozostała w rękach ukraińskich. Na krótko jednak. 25 czerwca Rada Najwyższa konferencji pokojowej upoważniła rząd polski - wobec realnej możliwości rozszerzenia się terytorialnego zasięgu władzy bolszewickiej - do wprowadzenia w Galicji Wschodniej tymczasowej okupacji kraju po rzekę Zbrucz. Ostateczne decyzje co do losu Galicji Wschodniej miały być podjęte w przyszłości.

28 czerwca ponownie ruszyła ofensywa polska wypierając, do 18 lipca, oddziały ukraińskie za Zbrucz. W większości podporządkowały się one Dyrektoriatowi.

Opanowanie Galicji Wschodniej stworzyło sytuację umożliwiającą zawarcie porozumienia z Dyrektoriatem, który zresztą znajdował się w bardzo trudnym położeniu. Z jednej bowiem strony oddziały jego były wypierane przez Armię Czerwoną, z drugiej - poważnie zagrożone przez Denikina. W tych warunkach zaprzestanie działań wojennych z Polską było kwestią dalszego istnienia, tym bardziej że Petlura utracił poparcie Francji.

9 sierpnia wystosował do Piłsudskiego list, w którym proponował porozumienie i współdziałanie w walce z Armią Czerwoną, 1 września podpisany został polsko-ukraiński układ rozejmowy i ustalona linia de-markacyjna pomiędzy oddziałami polskimi i ukraińskimi. Dalsze rokowania polityczne prowadzić miała w Warszawie misja ukraińska, kierowana przez Andrzeja Liwickiego.

W tym samym czasie co opisywane tu wydarzenia - latem i jesienią 1919 r. - prowadzone były ściśle poufne polsko-radzieckie rozmowy polityczne. Doszło do nich w okolicznościach dość niezwykłych. Otóż od połowy marca, po ucieczce z Niemiec, przebywał w Polsce wybitny działacz polskiego i niemieckiego ruchu robotniczego - Julian Marchlewski. Posługiwał się fałszywym paszportem i czekał na okazję przedostania się do Rosji Radzieckiej.

W końcu marca 1919 r. przybył do Moskwy specjalny delegat rządu polskiego, Aleksander Więckowski. Był to bardzo dobry wybór, bo Więckowski z czasów swej dawnej działalności w ruchu robotniczym, a i później w Petersburgu, miał rozliczne kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi. Ułatwiało mu to rozmowy w Moskwie. Nie trwały one długo, gdyż po wyprawie wileńskiej, w końcu kwietnia, zostały przerwane. Cziczerin oświadczył wprawdzie, że rząd radziecki w każdej chwili gotów jest kontynuować rokowania, jeśli rząd polski powstrzyma działania zaczepne przeciwko republikom radzieckim, ale rząd polski nie zamierzał w owym czasie działań tych powstrzymywać.

Po uznaniu przez Ententę Kołczaka, wobec pogarszającej się sytuacji militarnej Rosji Radzieckiej, Marchlewski - wbrew zresztą radom swych politycznych przyjaciół, którzy obawiali się, że rzecz skończy się jego aresztowaniem - zwrócił się w połowie czerwca 1919 r. do wiceministra spraw wewnętrznych Józefa Becka (ojca późniejszego ministra spraw zagranicznych) oferując mu swoje usługi; dla porozumienia poufnego, które mogłoby doprowadzić do rokowań polsko-radzieckich. Marchlewski z Beckiem znali się jeszcze z czasów, gdy razem tworzyli Związek Robotników Polskich. Znał też Marchlewski dobrze Stanisława Wojciechowskiego, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, z którym po spotkaniu z Beckiem rozmawiał.

18 czerwca Marchlewski przeszedł oficjalnie linię frontu i udał się do Moskwy z zapewnieniem, że "Polska nie będzie prowadzić działań na froncie wschodnim, jeśli zostaną rozstrzygnięte spory co do granic i Armia Czerwona granic tych nie przekroczy. Strona polska wyraziła również zgodę na rozpoczęcie w najbliższym czasie nieurzędowych rokowań polsko-radzieckich" 8.

Inicjatywa Marchlewskiego spotkała się z najwyższym uznaniem kierownictwa radzieckiego i ostrą krytyką Centralnego Komitetu Wykonawczego grup KPRP w Rosji. Polscy komuniści uznali działania Marchlewskiego za niedopuszczalne, rewolucję w Polsce zaś za kwestię najbliższej przyszłości.

Decydowali jednak nie oni, a radzieckie kierownictwo. Rozmowę z Marchlewskim przeprowadził Lenin i wyposażył go w bardzo szerokie pełnomocnictwa, m.in. w kwestiach terytorialnych.

17 lipca Marchlewski przekroczył z powrotem linię frontu, a następnego dnia spotkał się z por. Julianem Olszamskim, adiutantem Piłsudskiego. 20 lipca rozmawiał z komisarzem generalnym Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, Jerzym Osmańskim. Zaprotestował przeciw trzymaniu go pod strażą i domagał się - zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami - umożliwienia mu wyjazdu do Warszawy. Zamiast do Warszawy przewieziono go jednak do Białowieży, a w pociągu spotkał go Aleksander Więckowski, delegowany przez Piłsudskiego do rozmów.

22 lipca odbyli czterogodzinną rozmowę i następnego dnia Więckowski wyjechał do Warszawy.

Powrócił do Białowieży 29 lipca w towarzystwie Michała Kossakowskiego. W wyniku dwudniowych rozmów ustalono, że odbędą się rokowania polskiego i rosyjskiego Czerwonego Krzyża w sprawie zakładników, uchodźców i jeńców.

Marchlewski był rozczarowany rezultatami rozmów. Jak zanotował w diariuszu Kossakowski, "oczekiwał czegoś więcej. Oświadczył nam, że był upoważniony przez Lenina do daleko idących pertraktacji w sprawie pokoju. Zakładnicy to szczególnie łatwy do załatwienia, nie warto o nich mówić, na wypadek gdyby rząd polski zgodził się zacząć mówić wstępnie o zaniechaniu działań wojennych, Lenin wyraźnie powiedział: gdyby Polacy mieli zamiar przeprowadzić na Litwie i Białorusi plebiscyt - nie rozejdziemy się o to, jak ma być ten plebiscyt przeprowadzony; nie rozejdziemy się również co do losów Białorusi" 9.

Oferty te nie zostały podjęte przez rozmówców Marchlewskiego. Powrócił on do Moskwy przygotowywać rokowania Czerwonych Krzyży. Było oczywiste, że rokowania te w każdej chwili przekształcić się mogą w rozmowy polityczne.

Mniej więcej w tym samym czasie Piłsudski starał się zorientować co do sił i zamiarów kontrrewolucji rosyjskiej. We wrześniu wysłał do Denikina generała Aleksandra Karnickiego i Jerzego Iwanowskiego i zamierzał wysłać do Kołczaka generała Eugeniusza Michaelisa. Mieli oni się zorientować, co reprezentują "biali" generałowie. O wiele łatwiejsze było ustalenie poglądów politycznych "białej" Rosji. Jej politycy nie ukrywali, że hasłem ich jest "jedna i niepodzielna Rosja". Byli wprawdzie gotowi obiecać przychylne rozpatrzenie problemu uznania państwa polskiego w granicach etnicznych, ale dopiero po zwycięstwie nad rewolucją. Tego typu deklaracje oraz wyraźne popieranie przez Ententę idei odbudowy "Wielkiej Rosji" budziły niepokój Piłsudskiego, albowiem ich realizacja oznaczałaby całkowite przekreślenie jego koncepcji polityki wschodniej. Uważał, że nie leży w interesie Polski istnienie silnej Rosji, popieranej przez Ententę. Nie należy więc - mimo nacisków Ententy - popierać kontrrewolucyjnych generałów.

11 października w Mikaszewiczach na Polesiu rozpoczęły się rozmowy reprezentantów Rosyjskiego i Polskiego Czerwonego Krzyża. Szefem delegacji radzieckiej był Marchlewski, polskiej - Kossakowski. Równocześnie rozpoczęły się poufne rozmowy polityczne między Marchlewskim a kapitanem Ignacym Boernerem, który zastąpił zmarłego Więckowskiego. 3 listopada Piłsudski przekazał Boernerowi oświadczenie dla Marchlewskiego. Stwierdził w nim, jako Naczelnik Państwa, że wojska polskie nie posuną się poza zajmowane obecnie pozycje, że doradza stronie radzieckiej cofnięcie się o 10 kilometrów w celu stworzenia pasa neutralnego, że popierać będzie żądania łotewskie w sprawie Dyne-burga, że domaga się przerwania wszelkiej agitacji komunistycznej w wojsku polskim, a także nieatakowania Petlury, że w razie niedyskrecji rządu radzieckiego wyciągnie odpowiednie konsekwencje i wreszcie, że jeśli rząd radziecki cofnie wojska o 10 kilometrów, zaprzestanie agitacji i nie zaatakuje Petlury, gotów będzie wysłać swego pełnomocnika na rozmowy z Leninem. Boerner miał też oświadczyć Marchlewskiemu, że Polska nie jest i nie chce być żandarmem Europy, jedynym zaś probierzem jej polityki jest racja stanu, a ta nie polega na wspomaganiu Denikina w jego walce z bolszewikami. Oświadczenie Piłsudskiego miało olbrzymie znaczenie dla Rosji Radzieckiej. Jej sytuacja militarna była krytyczna i wspomagające Denikina uderzenie polskie mogłoby przynieść klęskę. Natomiast zneutralizowanie frontu polskiego pozwalało przerzucić wojska do walki z Denikinem, co zakończyło się jego porażką.

Gdy porażka ta nastąpiła, Piłsudski polecił zerwać rozmowy z Marchlewskim. Nie miał zamiaru pomagać Denikinowi, ale nie zamierzał też zawierać pokoju z Leninem. W każdym razie nie w tym momencie. Piłsudski konsekwentnie odrzucać będzie oferty pokojowe Moskwy. 22 grudnia 1919 r. Cziczerin wystosował do rządu polskiego notę z propozycją natychmiastowego rozpoczęcia rokowań. Rząd polski nie udzielił żadnej odpowiedzi, a treść noty zataił przed opinią publiczną. 28 stycznia 1920 r. Rada Komisarzy Ludowych opublikowała podpisane przez Lenina, Cziczerina i Trockiego oświadczenie, w którym stwierdzono, że rząd radziecki uznawał i uznaje niezależność i suwerenność Polski, że Armia Czerwona nie przekroczy linii pozycji zajmowanych na froncie białoruskim i ukraińskim, że rząd radziecki nie zawarł żadnych umów międzynarodowych skierowanych przeciwko Polsce. 2 lutego Ogólnoro-syjski Centralny Komitet Wykonawczy Rad powtórzył radzieckie propozycje pokojowe.

Rząd polski odpowiedział 4 lutego enigmatycznym oświadczeniem. 24 lutego przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych Stanisław Grabski ogłosił komunikat, że komisja - z udziałem premiera Leopolda Skulskiego, ministra spraw zagranicznych Stanisława Patka, wiceministra spraw wojskowych generała Kazimierza Sosnkowskiego i szefa sztabu generała Stanisława Hallera - rozpatrywała sprawę rokowań pokojowych. Komisja określiła zasady rokowań. Znalazło się wśród nich stwierdzenie, że ostateczny układ musiałyby ratyfikować konstytucja rosyjska. Ciało to rozwiązane zostało w początku 1918 roku i warunek ów był oczywiście nie do przyjęcia dla rządu radzieckiego.

Ale o to właśnie chodziło. Piłsudski, przygotowując się do rozstrzygnięć zbrojnych, nie mógł lekceważyć radzieckich propozycji pokojowych, bo groziło to izolacją polityczną w Polsce. Jego posunięcia wojskowe wobec radzieckiej deklaracji, że terytorialne aspiracje Polski mogą być uwzględnione, stawały się dla społeczeństwa coraz mniej zrozumiałe. Musiał też liczyć się z narastającymi nastrojami antywojennymi i nie mógł nie brać pod uwagę opinii europejskiej. Stąd konieczność wysuwania warunków, które uniemożliwiłyby rokowania i jednocześnie pozwalały głosić, że Polska jest do nich gotowa.

W tym aspekcie rozpatrywać należy, szeroko zresztą opisany w literaturze polskiej i radzieckiej, epizod borysowski. Wysłanie przez Polskę jako miejsca rokowań Borysowa, miasta leżącego nad Berezyną, w warunkach lokalnego jedynie zawieszenia broni było dla Rosji nie do przyjęcia. Gdyby jednak propozycja została przyjęta, to korzyścią było zneutralizowanie lewej flanki polskiej w planowanej operacji.

W pierwszych dniach marca oddziały polskie, dowodzone przez gen. Władysława Sikorskiego, zajęły Mozyrz i Kalenkowicze, przecinając bezpośrednią komunikację pomiędzy północnym i południowym zgrupowaniem wojsk radzieckich.

W pierwszych miesiącach 1920 r., w okresie nasilonej kampanii pokojowej Rosji Radzieckiej, Piłsudski nie zamierzał szukać rozwiązań pokojowych. Uważał Rosję - na co zwraca uwagę Piotr Wandycz - za kraj pokonany, któremu Polska może dyktować warunki¹⁰. Przede wszystkim jednak porozumienie pokojowe oznaczało określenie granicy polsko-radzieckiej. To Piłsudskiego nie interesowało, bo nawet najdalej na wschód przesunięta granica oznaczała przekreślenie jego koncepcji polityki wschodniej. A po drugiej stronie frontu? Na ile szczerze były radzieckie propozycje pokojowe? I Wandycz, i Davies uważają, że Moskwa była zainteresowana pokojem z Polską i że gotowa była zapłacić zań wysoką cenę. Wierzone, że rewolucja w Polsce jest nieuchronna, a po jej zwycięstwie polsko--radzieckie problemy graniczne stracą znaczenie.

Oczywiście radzieckim ofertom pokojowym towarzyszyły przygotowania wojenne. "Jest obowiązkiem armii przygotowywać się do pokonania wroga" - stwierdza Norman Davies, dodając, iż zadaniem polityków jest zapobieganie wojnie". Front Zachodni będzie więc od stycznia 1920 r., gdy liczył 4 dywizje piechoty i jedną brygadę kawalerii, sukcesywnie wzmacniany, osiągając 25 kwietnia stan 20 dywizji piechoty i 5 brygad kawalerii. Wzrastały również siły polskie.

Prowadził też Piłsudski aktywne działania dyplomatyczne. Usiłował zmontować antyradziecki sojusz państw bałtyckich, ale rezultaty były mniej niż nikłe. Zawarte zostało wprawdzie porozumienie z Łotwą, lecz nie weszło w życie. Nie udało się uzyskać aktywnego poparcia Rumunii. Francja realizowała co prawda dostawy wojskowe dla armii polskiej, ale do działań Piłsudskiego odnosiła się nieufnie.

Osiągnięte zostało natomiast porozumienie z Petlurą. 21 kwietnia podpisana została umowa polityczna, w której stwierdzono, że „Rzeczypospolita Polska uznaje Dyktariat niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej z głównym atamanem, panem Simonem Petlurą na czele, za zwierzchnią władzę Ukraińskiej Republiki Ludowej". Brzmiało to dumnie, ale w rzeczywistości niewiele znaczyło, ponieważ wojska Petlury były już rozbite, a on sam z niedobitkami swych oddziałów znajdował się w Polsce, całkowicie zależny od rządu polskiego. Swoisty smaczek ma fakt, że gdy w trakcie rokowań Petlura obstawał uparcie przy swoim zdaniu, władze polskie po prostu aresztowały go wraz z ministrami na 24 godziny. Artykuł drugi umowy politycznej zawierał określenie granicy pomiędzy Polską a Ukraińską Republiką

Ludową. Galicja Wschodnia pozostawała w Polsce. Było oczywiste, że gdy tylko Ukraińcy się wzmocnią, zanegują to postanowienie.

24 kwietnia umowa polityczna uzupełniona została konwencją wojskową. Nie zostały podpisane umowy gospodarcze, których projekty się zachowały. Świadczyły one o tendencji do całkowitego podporządkowania gospodarczego Ukrainy i traktowania jej jako terenu ekspansji kapitału.

Istnieje uderzające podobieństwo pomiędzy koncepcją Piłsudskiego przed sierpniem 1914 r. i rolą, jaką odegrać miał Petlura. Wkroczenie - przypomnijmy - oddziałów strzeleckich do zaboru rosyjskiego spowodować powinno jeśli nie wybuch powstania, to w każdym razie masowy napływ ochotników. Oddziały te w miarę posuwania się ku Warszawie winny rozrastać się w armię polską. Bardzo podobną rolę odegrać miał Petlura. Po wkroczeniu u boku armii polskiej, na Ukrainie szkieletowe dywizje wypełnić się miały ochotnikami. Przewidywano też tworzenie następnych dywizji. Nic takiego się nie stało - ochotnicy nie napłynęli.

"Plan wielkiej operacji ukraińskiej Wojska Polskiego - stwierdza cytowany już Mieczysław Wrzosek - był dostosowany do federacyjnej koncepcji obozu belwederskiego w Polsce. Uwzględniał zamiar uporczywej obrony zajmowanych obszarów białoruskich i rozwinięcia strategicznego natarcia na obszarach ukraińskich w celu ich opanowania. Na obszarach ukraińskich marszałek Piłsudski spodziewał się głównych sił przeciwnika. W oparciu o wcześniejsze informacje wywiad snuł przypuszczenie, że na Ukrainę przybędą te zgrupowania Armii Czerwonej, które na przełomie jesieni 1919 r. i zimy 1920 r. rozgromiły Armię Ochotniczą Denikina. Za takimi oczekiwaniami przemawiało sąsiedztwo obszarów, które były widownią zmagania Czerwonej Armii z wojskami Denikina, i obszarów ukraińskich. W połowie kwietnia 1920 r., gdy przygotowania do operacji ukraińskiej dobiegały już końca, wywiad dostarczył nowych informacji. Wynikało z nich, że dowództwo Armii Czerwonej gros swych sił zgrupowało nie na Ukrainie, lecz na Białorusi. Były to materiały prawdziwe, ale dotarły zbyt późno i na zmianę decyzji nie było już czasu, ponieważ zachodziła obawa, że przeciwnik wykorzysta okres przerzutu wojsk polskich z Ukrainy na Białoruś i zniszczy wojska polskie w transportach, a następnie przejmie inicjatywę na obydwu częściach wschodniego teatru wydarzeń wojennych. Z tego też względu marszałek Piłsudski zdecydował się na przeprowadzenie przygotowanej operacji ukraińskiej, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że-do spotkania z głównymi siłami przeciwnika może tam nie dojść" 12.

Umowa polsko-ukraińska wywołała żywe reakcje po obu stronach. Do dymisji podał się premier rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej Izaak Mazepa. Przeciwnikami umowy byli również Petruszewicz, Hruszewski i Winniczenko.

Opinia polska była także podzielona. "Prasa, odzwierciedlająca i urabiająca opinię - stwierdza Pobóg-Malinowski - szła w czterech kierunkach. Prorządowy jej odłam z warszawskim «Kurierem Porannym" i «Kurierem Polskim» na czele - w sowieckich propozycjach i targach rozej-mowych widział podstęp i obłudę, tworzenie zaś Ukrainy oceniał jako «akt polskiego rozumu stanu», wyrastający z najstarszych polskich tradycji historycznych oraz najskuteczniej zabezpieczający Polskę od wschodu. Socjaliści w «Robotniku» i w Sejmie wypowiadali się za dalszym ciągiem pokojowych z Moskwą rokowań, uznawali jednak w pełni prawo Ukrainy do niepodległości i stawiali to jako jeden z głównych warunków w pertraktacjach z Moskwą. Ludowcy z dotychczasowego stanowiska «życzliwej neutralności przechodzili do umiarkowanych zastrzeżeń. Dla Narodowego Zjednoczenia Ludowego z Dubanowiczem na czele hamulcem był należący do tego stronnictwa premier Skulski; mimo to, choć nie kwestionowano tu prawa Ukrainy do samodzielnego życia - nie wierzono, by istnieć mogły warunki do utrzymania się państwa naddnieprzańskiego «poza okres przejściowy(r), za «szaleństwo» też uważano zerwanie «dla sprawy Ukrainy(r) rokowań z Moskwą. Najgwałtowniej jednak wystąpił obóz prawicowo-narodowy. Stanisław Grabski - jako przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych - już 23 kwietnia złożył przewodnictwo na znak protestu, zarzuty jego poparł Marian Seyda, Głabiński zaś politykę Naczelnika uznał za operną hazardu i ryzyka", "niejasną i niepewną w celach», osłabiającą pozycję polską na Zachodzie. Te zarzuty, spadające z trybuny sejmowej, stały się hasłem przewodnim dla prawicowej prasy, która bez umiaru atakowała Naczelnika za "niebezpieczny hazard», za «szaleńcze ryzyko", za

«awanturę bez logiki i bez myśli»; polityka taka - pisano - nie znajdzie uznania i poparcia na Zachodzie, a Polska na własne siły skazana nie może żywić «niewczesnych ambicji przerabiania mapy Europy»; zarzucano Naczelnikowi "konspirację", «działania idące na przekór opinii publicznej», alarmowano tę opinię, że Naczelnik «obiecywał nie zawierać bez zgody Sejmu żadnych umów prawno-państwowych», a jednak traktat - poza plecami Sejmu - zawarł - i «co jeszcze gorsze" - zawarł traktat z Petlurą - człowiekiem, który «nie ma poparcia własnego nawet społeczeństwa»; Naczelnik Państwa - powtarzano w różnych odmianach - «chce tworzyć jakąś Ukrainę», «chce ją budować kosztem krwi polskiego żołnierza, kosztem polskiego skarbu, kosztem dalszej wojny z Rosją"..."

25 kwietnia 1920 r. ruszyła, kierowana przez Piłsudskiego, ofensywa polska. Jej celem militarnym było rozbicie Armii Czerwonej. Celem politycznym - stworzenie burżuazyjnego państwa ukraińskiego. Ani cel militarny, ani cel polityczny nie zostały zrealizowane. Kampania kijowska przyniosła w rezultacie zagrożenie istnieniu państwa polskiego. W sierpniu 1920 r. niewiele brakowało, by padła Warszawa. Z największym trudem udało się powstrzymać pochód za Wisłę Armii Czerwonej, rozgrzanej sukcesami i przeświadczeniem, że dąży "na spotkanie europejskiego proletariatu, który wie, że może ono nastąpić tylko nad trupem białogwardyjskiej Polski, w wolnej, Robotniczo-Włościańskiej Polsce" 14.

Co pewien czas odżywa na łamach prasy spór o autorstwo planu polskiej kontrofensywy. Spór ten miał w latach II Rzeczypospolitej charakter polityczny, podobnie jak określenie "cud nad Wisłą". Dziś jest już tylko echem czasów minionych. Niezależnie bowiem od tego, w jaki sposób narodził się plan polskiego uderzenia, za jego przyjęcie i realizację odpowiadał Piłsudski jako wódz naczelny. Gdyby - a było to przecież możliwe - kontrofensywa się nie powiodła, wódz naczelny nie mógłby tłumaczyć się, że nie był autorem jej planu.

W 1920 r. stanęły naprzeciw siebie dwie niezwykle osobowości: Józef Piłsudski i Michaił Tuchaczewski. Różniło ich właściwie wszystko począwszy od wieku (Piłsudski miał 53 lata - Tuchaczewski 27 lat), ale jedną cechę mieli wspólną. Obu wyniósł na zajmowane stanowiska wicher historii. Ich wspaniałe talenty dowódcze ujawnić się mogły, bo przyszło im żyć w czasie wielkich przemian, gdy dokonywały się, by użyć słów Piłsudskiego, bajeczne kariery.

W lutym 1923 r. Tuchaczewski wygłosił w Akademii Wojskowej Robotniczo-Włościańskiej Armii Czerwonej w Moskwie cykl wykładów, które pt. Pochód za Wisłę w końcu 1923 r. zostały ogłoszone drukiem. Od kwietnia do czerwca 1924 r. Piłsudski pisał polemikę z Tuchaczewskim. Ukazała się jesienią 1924 r., razem z tekstem Tuchaczewskiego.

Gdy Piłsudski zaczynał dyktować swą polemikę, od roku już przebywał na dobrowolnym wygnaniu w Sulejówku. W końcu maja 1923 r. powołany został rząd Chjeno-Piasta pod prezesurą Wincentego Witosa. Piłsudski złożył dymisję z funkcji szefa Sztabu Generalnego, a wkrótce i z przewodniczenia Ścisłej Radzie Wojennej. 3 lipca w Sali Malinowej hotelu Bristol w Warszawie odbył się bankiet zorganizowany na cześć Piłsudskiego. Marszałek wygłosił na nim przemówienie, w którym m.in. powiedział: "Prezydent nasz zamordowany został po burdach ulicznych, obniżających wartości pracy reprezentacyjnej, przez tych samych ludzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo. Moi panowie, jestem żołnierzem. Żołnierz powołany bywa do ciężkich obowiązków, nieraz sprzecznych ze swoim sumieniem, ze swoją myślą, z drogimi uczuciami. Gdym sobie pomyślał na chwilę, że ja tych panów, jako żołnierz, bronić będę - zawahałem się w swoim sumieniu. A gdym się raz zawahał, zdecydowałem, że żołnierzem być nie mogę. Podałem się do dymisji z wojska. To są, moi panowie, przyczyny i motywy, dla których służbę państwową opuszczam" 15.

Dla nikogo, kto umiał czytać teksty polityczne, nie mogło ulegać wątpliwości, że Piłsudski odchodząc do Sulejówka nie rezygnuje z walki o władzę. Przeciwnik został określony - była nim endecja. Wynikało to z układu sił politycznych. Utrwalenie się u władzy koalicji Chjeno-Piasta przekreślało szansę piłsudczyków. Stąd konieczność rozbicia tej koalicji za wszelką cenę. Oznaczało to zmianę, a może raczej modyfikację dotychczasowej formuły politycznej. Zakładała ona ponadpartyjność Piłsudskiego, programowe jego dystansowanie się wobec rozgrywek partyjnych. Podjęcie walki z endecją w pewnym

sensie formułę tę przekreślało. Ale tylko w pewnym sensie. Nie występuje bowiem Piłsudski jako rzecznik żadnej partii. Nie walczy z endecją dlatego, że jest ona prawicą, że reprezentuje taki czy inny program polityczny. Podejmuje walkę z wynaturzeniami życia politycznego, których symbolem jest endecja. Walkę o czystość moralną, o etykę życia politycznego.

Tę płaszczyznę etyczną uzupełnia płaszczyzna historyczna. Sięganie do historii ma utrwalić stereotyp tego, który przyniósł Polsce niepodległość i potrafił uchronić Polskę przed jej utratą. Dodajmy, że sięganie w przeszłość zwalnia od konieczności formułowania programu na przyszłość.

Rok 1920 nie powstaje tylko jako rezultat historycznych zainteresowań Marszałka. Ma on do spełnienia ważną rolę w walce o władzę.

Dziś czytamy teksty Piłsudskiego i Tuchaczewskiego już tylko jako świadectwo epoki. Przez wiele lat wycofywano tę książkę z bibliotek, starano się ją wymazać z narodowej pamięci. Nie udało się to, bo udać się nie mogło. Wytworzyła się wokół niej legenda zakazanego owocu. Myślę, że jest świadectwem normalnienia naszego życia umysłowego, że oto ukazuje się ona - i to w sporym nakładzie - w księgarniach.

Andrzej Garlicki

Przypisy

- 1 Mieczysław Wrzosek: Wojsko Polskie i operacje wojenne lat 1918-1921, Białystok 1988, ss. 339-340.
- 2 Norman Davies: White Eagle, Red Star. The Polish-Soviet War, 1919-1920, Londyn 1983, ss. 26-27.
- 3 Józef Piłsudski: Pisma zbiorowe. Warszawa 1937, t. II, ss. 249-258.
- 4 Leon Wasilewski: Józef Piłsudski jakim go znałem, Warszawa 1935, ss. 175-176.
- 5 "Niepodległość" 1962, t. VIII, ss. 37-38.
- 6 J. Piłsudski: Pisma..., t. V, ss. 75-76.
- 7 Piotr Łossowski: Stosunki polsko-litewskie 1918-1920, Warszawa 1966, s. 115.
- 8 Feliks Tych, Horst Schurnacher: Julian Marchlewski. Szkic biograficzny. Warszawa 1966, s. 368.
- 9 Diariusz Michała Kossakowskiego. Archiwum Polskiej Akademii Nauk.
- 10 Piotr S. Wandycz: Soviet-Polish Relations 1917-1921, Cambridge Mass. 1969, s. 182. " N. Davies: op. cit., ss. 88-89.
- 12 M. Wrzosek: op. cit., ss. 466-467.
- 13 Władysław Pobóg-Malinowski: Najnowsza historia polityczna Polski, Londyn 1967, t. II, ss. 432-433.
- 14 Z wystąpienia Lwa Trockiego w dniu 5 maja 1920 r. na wspólnym posiedzeniu W.C.I.K., moskiewskiej rady delegatów robotniczych i włościańskich, związków zawodowych i komitetów fabrycznych (tekst udostępnił mi mgr Jerzy Kochanowski).
- 15 J. Piłsudski: Pisma..., t. VI, s. 34.

Spis treści

Rok 1920 Pochód za Wisłę . . . Tablice i szkice ... Posłowie {Andrzej Garlicki}

Wydawnictwo Łódzkie - Łódź 1989

Wydanie pierwsze. Nakład 99650+350 egz. Ark. wyd. 14.93. Ark. druk. 15. Papier offset, kl. III, 70 g. rola 61 cm. Oddano do składania 24 maja 1988 r. Podpisano do druku w kwietniu 1989 r. Łódzka Drukarnia Dzielowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45. /am. nr 412/1100/88. S-16.

Jakość dostępnej wersji zawierała ogromną ilość błędów skanowania i dlatego z góry przepraszam za napotkanie tych nie wychwyconych w tekście tej ważnej lektury.